





EX+LIBRIS

WOJEWÓDZKIEJ

I MIEJSKIEJ

BIBLIOTEKI

PUBLICZNEJ

IM. EMANUELA SMÓŁKI

W OPOLU

PISMA

ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

Z PORTRETEM AUTORA.

TOM III.



MIKOŁÓW — CZĘSTOCHOWA.
NAKŁADEM KAROLA MIARKI, SP. Z OGR. POR.
1912.



884

~~10077~~
3498 S

3494 | III
IV

ZBIORY SLASKIE

Akc V Nr ³³⁷7 / 65 / C

PSALMY PRZYSZŁOŚCI.

Dam chwałę Bogu; prawdę powiem; niech boli
jako chce.

Teofil SZEMBERG. — Wyprawa na Wołoszczyznę.



I.

PSALM WIARY.

29. A odpowiadając Jezus rzekł im: błaznicie nie będąc świadomi pisma ani mocy Bożej.

30. Albowiem przy zmartwychwstaniu ani się żenić, ani za mąż chodzić będą, ale będą jako aniołowie Boży w Niebie.

31. A o powstaniu umarłych nie czytaliście, co wam powiedziano od Boga mówiącego:

32. Jam jest Bóg Abrahamów i Bóg Izaaków i Bóg Jakóbów? Bóg nie jest ci Bogiem umarłych ale żywych? Św. MATEUSZ, Roz. XXI.

47. Pierwszy człowiek z ziemi ziemski, wtóry człowiek sam Pan z Nieba.

48. Jaki jest ten ziemski, tacy też i ziemscy. a jaki jest niebieski, tacy też będą niebiescy.

Św. PAWEŁ. LIST I. do KORYNTYAN, Roz. XV.

Dusza i ciało to tylko dwa skrzydła,
Któreimi czasu i przestrzeni sidła
Duch mój rozcina w postępowym locie!
Gdy się zużyją przez chwil i prób krocie
Odpadać muszą — lecz on nie umiera —
Choć to się śmiercią nazywa u ludzi!
On zwiędłe zrzuca, a świeże przybiera
I w nie otulon, znów na jaw się budzi!
A to się zowie, narodzin godzina!
I duch mój, wzięwszy skrzydła niezmęczone,

Niemi znów leci — lecz już w wyższą stronę!
Tak coraz wyżej ku Panu się wspina,
Ciała i dusze własne po za sobą
Sypie jak liście żółkłe i strząśnięte,
Wciąga do siebie siły im odjęte —
On sam wciąż żyje ich zgonów żalobą!

Za nim — przeszłości zmierzchające tonie!
Przed nim — rozwarte wszechbezmiarów błonie!
Przed nim świat wszystek — czas, przestrzeń bez końca,
Piętra z dróg mlecznych i dni z lat tysiąca;
A dalej, wyżej, nad niemi — za niemi —
Ten co jest wszystkim i wszystko obleka,
Duch twórczy gwiazdy, anioła, człowieka,
Cel a początek i Nieba i ziemi;
Ten, który zawsze, i wyżej i dalej,
Niedoścignięty, nad wszystko się pali:
Spokój — a jednak razem siła tchnąca —
Blask najwyższego duchów Ducha-Słońca!

K'niemu wciąż dążę — z razu tam iść muszę
Przez piekła trudu — przez czyśca zasługi —
Aż zacznę wdziawać i ciała i dusze
Bardziej promienne, i wstąpię w świat drugi!
W świat, co od wieków zwan okręgiem Nieba —
I w nim letargów mi już nie potrzeba,
Ani przebudzeń z grobu, by iść wyżej!
Tam żywot wieczny — żywot nieustanny —
Grób i kołobka koniecznie są niżej:
Na tych planetach, gdzie świt Ducha ranny,
Gdzie człowiek Boga niemowlęciem jeszcze
I kwili tylko przeczucia swe wieszczce —
Lecz dla aniołów, śmierci nigdzie nie ma!
Przeszłość i przyszłość ostreimi oczyma
Widzą i znają — dla nich, przemienienie
To jedna chwila — to dalsze natchnienie!
Jak my na ziemi w godzinę zachwytu

Nikłą pieśń z serca czerpię — tak tam oni
Kształt rzeczywisty czerpią z fal wszechbytu,
Szaty przemienne czerpią z życia toni
I coraz dalej ku Panu — ku górze
Lecą w królewskiej ciał i dusz purpurze!

W koło, niebieskich coraz więcej darów,
Grzmiących dźwięczności i światła pożarów,
Mnożą się mleczone pierścienie i pręgi,
Coraz to szersze lazuruwe kraje,
— Przestrzeń pełniejszą potęg się wydaje —
— Czas coraz bardziej się przeterażniejsza —
A jednak przyszłość, co od końca dzieli,
W nieskończoności swej, nigdy nie mniejsza.
Bo Pan wszystkiego jest wszystkiem na wieki,
Choć coraz bliższy, on równie daleki!
Jego-to, Jego żądają Anieli!
Żądza bez miary co chwila rosnąca,
Miłość bez granic — to życie bez końca! —

On, ogni w wszechstworzenia wiązany łańcuchem,
On Bytem, Myślą, Życiem — Ojcem, Synem, Duchem?
On jak Myśl w świecie mieszka i jak Byt wieczysty,
Lecz za świata krańcami, On jest osobisty. —
On Duchem świętym, jednym, który wie sam siebie,
Rozlał się po wszej ziemi, a został na Niebie!
A my wszyscy i wszędzie Jegośmy obrazem,
I wstępując stopniami w coraz wyższe włości,
Żyć musim nieśmiertelnie, z Nim żyć musim razem,
Zrodzeni z Jego łona, żyć w Jego wieczności!
I jako On nas stworzył, tak my tworzyć dalej,
I z wnętrza nas samych, wyprowadzać światy,
By prząść Mu, jak nam uprządl, wiadomości szaty,
O ile możemy, biedni, w Anielskiej pokorze,
To coś Ty nam dał z łaski — oddawać Ci, Boże,
A nigdy nie módz, nigdy, nic ci oddać, Panie,
I tak żyć w Tobie wiecznie, przez wieczne kochanie!

Lecz szkołą duchów są ludzkości dzieje —
Drogą do niebios, planety koleje!
Na nim to, na nim pójdą zasłużeni
— A wszyscy razem — do innych przestrzeni.
Gdy Syn Twój, sędzia, zmartwychwstałych książę
Losy tej ziemi w dzień sądu rozwiąże,
I z nich anielstwo ludziom wypromieni!
A do dnia tego wiodące tu wschody
To w łasce Twojej poczęte narody! —
Garść im powołań sypnąłeś z wysoka —
W każdym z nich żyje, myśl jakaś głęboka,
Co z piersi Twoich zesłaniem jest tchnieniem
I narodowi odtąd — przeznaczeniem!
A są wybrane jedne przed innemi,
By o Twą piękność walczyły na ziemi,
I krzyż lat wielu wlokąc krwawym śladem,
Były wśród świata — anielskim przykładem!
Aż nie wywalczą, straszną walką w grobie
Wyższego w ludziach pojęcia o Tobie,
Więcej miłości i więcej braterstwa,
W zamian za tkwiący w piersiach nóż morderstwa!

Takim jest naród Twój polski, o Boże!
Kto cząstką jego — niech wie się Twej woli
Cząstką na ziemi — i choć go świat boli
Tak, że aż zwątpić o nadziei może
Niech w tem cierpieniu wytrwa niesłychanem,
Boć on zaprawdę w Twoim Duchu chrzcony,
Boć on zaprawdę Twym ziemskim kapłanem,
Jeśli się cierniów nie wstydzi korony,
Jeśli pojmuje, że kochasz bezmiernie
Synów tych, których koronujesz w ciernie,
Bo cierń w krwi maczan — to kwiat wiecznotrwały —
I nim odmładzasz świat ludzkości cały!

Chrystus wciąż w tobie mieszka, o ludzkości!
 W twych piersiach żyje, w twoich losach gości,
 Krwią twą, krew Jego i ciałem twem, ciało!
 Stanie się tobie, co Jemu się stało!
 On wcielił w Siebie wszystkie twe nadzieje.
 Skądeś zrodzona: — z przeczystej Dziewicy,
 Bo z myśli Bożej, w Boże podobieństwo!
 Ku czemu idziesz: — ku Ojca stolicy. —
 Przez co przejść musisz: — przez trud i męczeństwo!
 A kiedy Chrystus nad Taboru szczytem
 Już się otacza wieczności przedświtem,
 Czy ty nie widzisz, co ten znak ci wróży?
 Nim los twój ziemski, w pełni się dokona,
 I ty, ludzkości, będziesz przemieniona!
 Zostawisz w dole u stóp ciemnych wzgórzy
 Wszystko co zwodzi i wszystko co boli;
 Zostawisz w dole szataństwo niewoli!
 Zostawisz w dole kłamstwa opętanie,
 Zostawisz w dole tajemnic zawisłość,
 A weźmiesz z sobą duchowe poznanie
 I serca wieczną, nieskończoną miłość!
 I z temi dwoma świętymi potęgi
 Jak Chrystus w światła wzbijesz się okręgi!
 Z czoła się twego grzech wszelki twój zetrze;
 Jak pióra, lekkie będą twe ramiona!
 Ręce pokładniesz na białe powietrze,
 I w niem się ważyć będziesz — spowietrzniona! —

II.

PSALM NADZIEL.

16. A ja prosić będę Ojca, a innego pocieszy-
ciela da wam, aby z wami mieszkał na wieki.

17. Onego Ducha prawdy, którego świat przyjąć
nie może, bo go nie widzi ani go zna. — Lecz wy
go znacie, gdyż u was mieszka i w was będzie.

18. Nie zostawię was sierotami — przyjdę do was.
Ś. JAN, Roz. XIV.

6. I widziałem drugiego Anioła lecącego przez
pośrodek Nieba, mającego Ewangelię wieczną, aby
zwiastował siedzącym na ziemi i wszelkiemu naro-
dowi, i pokoleniu, i językowi, i ludowi.

OBJAWIENIE Ś. JANA, Roz. XIV.

Dość już długo — dość już długo
Brzmiał na strunach wieszczów żal!
Czas uderzyć w strunę drugą,
W czynów stal! —

Wszystkim ciała dał Jehowa —
Duszę wszystkim Chrystus dał,
A Duch święty żywot chowa
By wraz ciało z duszą zlał!

Ja wam mówię — niedaleki
Zbawiciela Objawiciel!
Niedaleki — nam przed wieki
Obiecany Pocieszyciel!

Oto idzie już godzina.
Poznan będzie — niepojęty!
Z Ojca weźmie, weźmie z Syna
I rozleje się Duch święty! —

A nie trony — ni korony
Pierwsze ujrzą Cię na Niebie, —

Lecz niewinnie umęczony,
Ten, o Duchu! ujrzy Ciebie!

Kto lat tysiąc wieku strawił,
Kościół broniąc od poddaństwa!
Milionową pierś wciąż krwawił
Aż rozdeptał gad pogaństwa!

Kto wśród ludów nie miał brata; —
Ten, na czym już pogrzebie
Były wszystkie króle świata,
Ten, o pierwszy, ujrzy Ciebie!

Bo choć krwawy — choć zemdlony,
Wzrok utopion trzyma w Niebie!
A kto patrzy w Ducha strony
Ten, o Duchu, ujrzy Ciebie!

* * *

Ni zmysł kupców, ni dłoń kata
Przeciw prawdzie nie pomoże!
O przyjdź prędzej, wiosno świata!
O przyjdź prędzej, Duchu-Boże! —

Wszak my duchy, Duchu święty?
Wiecznie wstajem z własnych kości —
Wszak jak Chrystus wniebowzięty
Wniebowstąpię w Raj miłości?

Wszak my jedni i ciż sami,
Tylko coraz wyżsi, Panie?
I garniemy się wiekami
W ostateczne Zmartwychwstanie?

Jawem życia — czy snem w grobie
Z wiosny w wiosnę — wciąż ku wiosnie —
Kwiat niebieski — duch nasz — rośnie,
Wszyscy rośniem wciąż ku Tobie!

Kto opisze — kto opowie?
 Bóg jest jeden — jeden — sam!
 Przecież, w Bogu, dano nam,
 Że my będziemy jak bogowie!

* * *

Lecz wprzód ziemia ta stroskana
 Pokój przyjąć musi wszędzie!
 Wszak kazana w imię Pana
 Ewangelia wieczna będzie? —

Wszak z planety, co się rozciął
 Na odłamków tyle — tyle —
 Będzie jeden świat i kościół?
 Daj nam, Duchu — daj tę chwilę! —

Chrystusowy uścisk bratni
 Gdy okoli wszystką ziemię,
 Wejdzie, wejdzie wiek ostatni,
 I ostatnie ludzkie plemię.

Żegnaj, ziemio, z bólem! z żalem!
 — Wszędzie święte ze świętymi —
 Nowe błyszczy Hieruzalem
 Na padole starej ziemi!

Długa droga — trud był śliski —
 Krwi spłynęło i łez morze!
 Lecz anielstwa czas już blizki —
 — Pójdą — pójdą w Ciebie, Boże!

* * *

— Tak wam z krzyża, o plemiona,
 Dziś proroczy Polski naród:
 Choć mówicie: „Ot, już kona.“
 W nim przyszłości waszej zaród. —

Polsko! Polsko! grób twój tylko
 Był kołyską nowej zorzy!

Wśród wieczności jedną chwilką,
W której począł się dzień Boży!

Czas już zedrzeć z wieku chmurę!
Idącego Pana chwalmy!
Rzucać palmy — rzucać psalmy —
Kwiaty na dół — pieśni w górę!

O rzucajcie pieśni, kwiaty!
Oto idzie — idzie Pan;
A nie smętny jak przed laty,
Wolny cierniów, gwoździ, ran! —

Przemieniony, z niebios szczytu,
Z nad wszechświata gwiezdnych ścian,
Jak widnokrąg wszechbłękitu
Ku nam spływa — spływa Pan!

O! ten błękit pijcie duszą,
A wam wszystko zbłękitnieje!
Choć was męczą — choć was kuszą
Uwierzycie w mą nadzieję! —

Niech was darmo nie przestrasza
Że dziś podłość górą wszędzie?
Z wiary waszej, wola wasza —
Z woli waszej, czyn wasz będzie!

Nie powróci stara klęska —
Duchom — duchom tryumf dan!
Oto idzie moc zwycięska,
Panujący idzie Pan!

Dość już długo — dość już długo
Brzmiał na strunach wieszczów żal!
Czas uderzyć w strunę drugą,
W czynów stal! —

III.

PSALM MIŁOŚCI.

1. Chociażbym mówił językami ludzkimi i anielskimi, a miłościbym nie miał, stałem się jako miedź brzękająca albo cymbał brzącający.

2. I choćbym miał proroctwo i wiedziałbym wszystkie tajemnice i wszelką umiejętność i choćbym miał wszystką wiarę, tak, żebym góry przenosił, a miłościbym nie miał, nicem nie jest.

Św. PAWEŁ, LIST DO KORYNTYAN, Roz. XIII.

Przeciw piekłu podnieść kord!
 Bić szatanów czarny ród!
 Rozciąć szablą krwawy knut
 Barbarzyńskich w świecie hord.
 Lecz nie nęcić polski lud
 By niósł szlachcie polskiej mord!
 Marne wrzaski — próżne mowy —
 Z krwi i z błota — stary świat!
 My do innych idziem lat,
 Promień z Niebios spadł już nowy!

Gdy z kolebki duch się budzi,
 Niemowlęctwem wolnych ludzi
 Gilotyna i grabieże!
 Dzieciom luby wściekły gniew!
 I w wylaną, bratnią krew,
 Wierzą ciemne w ślepej wierze!
 Nie wolności dotąd człowiek,
 To wolności wstało zwierzę!
 Lecz czas łuskom odpaść z powiek —
 Czas już przejrzeć Boga wolę!
 Czas anielski podjąć trud,
 Czas odrzucić wszelki brud,
 I tem samem znieść niewolę! --

Nie jest czynem — rzeź dziecinna!
 Nie jest czynem — wyniszczenie!

Jedna prawda Boska, czynna,
 To przez miłość, przemienienie!
 Jeden tylko, jeden cud,
 Z szlachtą polską, polski lud,
 Jak dwa chóry — jedno pienie! —
 Wszystko inne, złudą złud!
 Wszystko inne, plamą plam
 I Ojczyzna tylko tam! —
 Jeden tylko, jeden cud,
 Z szlachtą polską, polski lud.
 Dusza żywa z żywym ciałem
 Zespolone świętym szaleń;
 Z tego ślubu jeden duch,
 Wielki naród polski sam,
 Jedna wola, jeden ruch,
 O! zbawienie tylko — tam! —

Kto chce iskier z czarta kuźni,
 By przepalić czarta moc,
 Ten, świat w gorszą wpycha noc,
 Ten, mądrości wiecznej bluźni. —
 Choćby nie był Moskal rodem,
 Ten, Moskałem stał się z ducha,
 Ten, mongolskich natchnień słucha —
 Moskwa-piekło, mu narodem.

Szata Polski nieskalana,
 Przenajczystsza i świetlana —
 Jak niewinność trudu trudów,
 Jako odkup wszystkich ludów
 Dotąd w Polski grobie leży!
 Ten kto wzniesie pierwszy rękę
 By śnieg zetrzeć z tej odzieży,
 Kto przemieni w zbrodnią — mękę,
 Kto przekuje nóż w kajdany
 A nie w szablę — ten przeklety!
 Tego straszna gna pokusa —
 Ni mu rozwój światów znany —

Ni objawion mu Duch święty,
Ni pamiętam Duch Chrystusa!
On bez myśli, on bez serca —
W Boga skarbcach nic nie kupi —
On nieszczęsny i on głupi —
Jak kat każdy i morderca!

Gdy zstępują w świat geniusze,
Innym sprawę wiodą torem!
Nikt przez mordy i katusze
Nie był wieków dyktatorem!
Raczej żyją niebezpiecznie,
Raczej w końcu giną sami,
Lecz zwycięstwo ich trwa wiecznie —
A z nich żaden się nie splami
Terroryzmem — by do szaty
Purpurowej brał szkarłaty
Z braci swoich z żętej głowy —
Ani Cezar stary w Rzymie!
Ani Francyi Cezar nowy!
Każde krwawe w dziejach imię,
Ach, nosiła mierna dusza!
Słaby tylko rzeź wybiera:
Czy mu imię jest — Marjusza,
Czy mu imię — Robespiera!

W poświęcenia świętej dumie
Poprowadzi lud do bitwy,
Kto prowadzić lud ten umie:
Szlachta Polski — Ruś — Litwy!
Pierwsze czyja kwitnie w blizny?
Kto się palił wciąż ofiarą
Na ołtarzach tej Ojczyzny?
Kto nad ludu błędną marą,
Nad przepaścią ciemną jeszcze,
Skrył się cały w żary wieszczę?
Kto sam z władz swych się rozbierał,
Narodowi pootwierał

Przyszłe, wielkie bytu niwy?
Ani kupcy — ni Żydowie —
Ani mieszczan też synowie —
Lecz ród szlachty nieszczęśliwy! —
Ród, co nie znał z wrogiem miru,
Żniwem trupiem ścinan w boju
Lud zapędzan do Sybiru —
Oni tylko — dotąd oni,
Z Polską w sercu — z mieczem w dłoni —
Dniem i nocą bez pokoju!

Któż, zachwycon zdarzeń ściekiem,
Nie popełnił nigdy winy?
Chyba jeden — ten jedyny,
Co był Bogiem a Człowiekiem!
Jakiż naród — jakiż stan —
Wiek że jaki, z czystem czołem
Krzyknąć może: — Jam Aniołem!
Jam nie zadał drugim, ran.

Lecz się grzechy mazać winny,
Gdy z grzesznika człowiek inny
Wylatuje wśród cierpienia —
Tak jak Fenix, co się zmienia,
Nieśmiertelny — wśród płomienia!
A wyleciał ptak ten nowy,
Syn zbudzonych z snu, rozbiorem!
Ani zasnął ojców wzorem!
Zjeżył skrzydła — ścisnął szpony --
I w powietrzu gryzł korony,
Berła, miecze i okowy,
Które trzyma ptak dwugłowy!

Wszędzie, wszędzie, na planecie
Braci moich ryty ślad!
Wy go słowmi nie zmażecie,
Bo tchnie w dziejach Boży ład!
Ich za Polskę — ścigał świat!
Ich za Polskę — męczył kat —

Nie od wczoraj — od lat wiele
Pierś im palił skwarny brzeg —
Lub krył oczy wygnań śnieg,
I więziła cytadela! —
Na alpejskich skał wyżynie,
Po śródziemnych fal błękiecie,
Na italskim Apeninie,
Na hiszpańskich *Sierrów* szczycie,
Na germańskich niw równinie,
Po moskiewskich wszystkich lodach,
Na francuskiem każdym polu,
Po wszechziemiach — po wszechwodach,
Sieli przyszłej Polski siew!
Boże ziarna — własną krew —
— I wy — syny tego bolu! —

Tam lud święty — szlachta święta
Nie kto inny — prowadziła,
A ją natchnień wiodła siła —
Bez niej, dzisiaj, wam by pęta
Ducha żarły a nie ciało —
Bo lud martwy, sam — to mało —
Ogrom leży a bez czucia —
Jeszcze trzeba iskry z Nieba
A nie z ziemi — do rozkucia
Marzącego w śnie olbrzyma —
I bez szlachty — ludu nie ma!

Z życiem wiernie przechowanym
Ona stoi na mogile,
W której zmartwychwstańców tyle!
Ona ludu dziś kapłanem! —
Dzierży w ręku moc ofiary —
Groźb nie lęka się, ni kary —
Bo zdeptała świat wasz stary,
Świat zawiści — mordy — ciemna —
W którym tylko moc ujemna;
Wie się ona przeznaczoną,

Do noszenia tu korony!
 Lecz jedyną tu koroną
 Wylać ducha na miliony!
 Ciałom wszystkim rozdać chleba —
 Duszom wszystkim — myśli z Nieba!
 Nic nie spychać nigdy w dół,
 Lecz do coraz wyższych kół
 Iść przez drugich podnoszenie
 Tak Bóg czyni we wszechświecie!
 Bo cel światów — szlachetnieje!
 Wy co niższe zniżać chcecie,
 Patrzcie! patrzcie! — Od kamienia
 Jak stopniami Pan przemienia
 Duchy stworzeń. — Z razu senny
 Wszczętek życia, aż powoli
 Wydobędzie się z niewoli
 — Walka trudna i trud boli —
 Lecz podnosi się kształt zmienny,
 Wreszcie, przywian Duch z daleka
 Wdziewa na się pierś człowieka —
 Głaz, kwiat, zwierzę, śniły z cicha,
 On, ku Niebu pnie już głowę —
 Do Aniołów pieśnią wzdycha
 Między gwiazdy eterowe!

Wszystko, wszystko, wiecznie, wszędzie
 Rwie się w górę, z Bożej myśli!
 Z wiecznym Bogiem ten nie będzie
 Kto inaczej świat swój kreśli!
 Kto nie zszlachcić naród cały,
 Lecz chce szlachtę zedrzeć z chwały,
 Może chwilkę w gruzach siedzieć,
 Braci zchłopi lub obali —
 Lecz nie wzniesie ludu dalej. —
 Bo wszechświata prawom wbrew
 Sennych zbudzi, nie na ludzi —
 Zbudzi sennych, na zwierzęta!



Miasto światel wielkiej burzy
 Ujrzy ziemskiej dno kałuży,
 I w niej polską, spiekłą krew!
 — To nie polskie będą święta!

* * *

Powiedz, orle! orle mój!
 Białoskrzydlny, niezmazany,
 Skąd tych czarnych myśli rój
 One rosną — gdzie kajdany!
 Ach! niewola sący jad
 Co rozkłada duchów skład!
 Niczem Sybir, niczem knuty
 I cielesnych tortur król!
 Lecz narodu duch otruty —
 To dopiero bólów ból! —

* * *

Wiecznie stoi przywłaszczyciel
 Przed wszystkich oczyma! —
 Tem, że stoi, już kusiciel,
 Chyba Boga niema!
 Sprosnościami hydnej dumy
 Pomieszał rozumy!
 Rozwiązuje sam sumienia,
 Przez ogrom cierpienia!
 Sieje kłamsto i ciemnotę,
 Zmieni zbrodnię — w cnotę!
 Bohaterów on przekaci
 Na trupach ich braci!
 On przyuczy dzieci małe
 Wierzyć w mord jak w chwałę!
 Wezmą sztylet mdłe panienki
 Jak róże do ręki!
 Powie siostra: „bracie, weź,
 Bo zbawieniem rzeź! —

Oszaleją jego szaleń
Rozwściekną — wścieklizną!
Jak on będą — piekłem całem,
Nie Niebem, ojczyzną!

Precz tym złudom, o ma Święta!
Złej godziny to są mary!
Ty zostaniesz niedotknięta!
Ty nie zbędziesz dawnej wiary:
Że ten tylko więzy przetnie
Kto namaszczonej cnoty znakiem,
Że na ziemi być Polakiem
To żyć bosko i szlachetnie!

Niechaj szepcą Jezuity,
Niechaj wrzeszczą demagogi,
Że cel wielki a ukryty
Odwszetcznia podle drogi —
Że przypadków idąc kołem
Wolno w bagna zejść szatana!
Potem dusza w nich skąpana
Znów odnajdzie się się aniołem;
Że się zmaże hańby kartę!
Że królestwo Boże z czarta;
Że wszechdobro złego warte —
Że wszechmiłość — zbrodni warta!

Precz tym złudom, o ma Święta,
A otacza cię ich wiele —
Wszystkie świata chcą zwierzęta
W zwierzę zmienić cię, Aniele!
U stóp świętych twej Golgoty
Wszystkie złości zgromadzone!
Wszystkie fałsze i ciemnoty —
Wszystkie czarne wieku duchy!
Ci z nożami — ci z łańcuchy —
A chcą wszystkie mąk koronę
Zwiąć ci z czoła w piekiel stronę —
Byś zmartwychstań wielkim czynem

Nie zabłysła Serafinem! —
 By krwi twojej i łez strugi
 Nie mieszkały w przyszłym niebie!
 By się na nic nie przydało
 Chrystusowe w tobie ciało
 Umęczone poraz drugi!
 By z najdroższej Panu — z Ciebie,
 Pozostała w dziejach świata
 Jakaś brudna tylko szata —
 By ty znikła — ty! zbawczyni,
 Córkó Boża, ty — daremno —
 I w sławiańskich niw pustyni
 Już na wieki było ciemno! --

Jakież straszne ich postaci
 Tych kuszących bezbożników!
 Tysiącami wściekłych ryków
 Proszą ciebie o mord braci!
 Inni każą — w imię Cara
 Wierzyć tobie — żeś ty mara!
 Kościotrupie u nich lice —
 Boże! Boże! — to upiory
 Z cmentarzowej wyszłe nory. —
 W oczach żądła — nie żrenice —
 Pod żebrami — serca nie ma —
 W miejscu serca, wąż się zżyma,
 I wyłazą z piersi gady,
 Wszystkie hańby — wszystkie zdrady —
 Obrzydliwym gnąc się ruchem,
 Każda wije się łańcuchem
 Z drugą wiąże się w przestrzeni!
 Już się coraz bardziej zbliża
 Tłum plugawy ten do ciebie!
 Łańcuchami zmij złączeni,
 Do twojego idą krzyża
 Co na wzgórzu, w czystym Niebie.
 Już stanęli — wznoszą głowę —

Plwają śliny swe nieczyste
 Na two ciało promieniste,
 Zarzucają z węzów wieńce
 Na przebite twoje ręce,
 Za two stopy marmurowe!
 Oni ciebie by rozdarli,
 Ciebie, przyszłą — ci z przeszłości —
 Ciebie, żywą — ci umarli,
 Co nie wejdą do twych włosów!

* * *

Polsko moja! Polsko święta!
 Nad zwycięstwa stoisz progiem;
 Kres to męki twój ostatni,
 Niechaj tylko uwydatni
 Żeś wszechzłego wiecznym wrogiem! —
 Potem prysną śmierci pęta,
 I ty będziesz wniebowzięta,
 Bo aż w śmierci byłeś z Bogiem!

Gdy ostatnia chwila zgon w życie przesila,
 Najsroższy bój!
 Szloch zwątpień — jęk skargi jęczą mrące wargi —
 O! Boże mój! —

W męczeńskiej twej sile pokonaj tę chwilę,
 Ten zwycięż ból!
 A wstaniesz na nowo, a wstaniesz królową
 Sławiańskich pól!

Moskiewskie mamidła, obietnice, sidła,
 Nie zwodzą już!
 Dziesięć ludów czeka na myśl — lub człowieka —
 Myśl twoja — tuż!

Nie zsamobójczona, z własną krwią u łona
 Przed Bogiem stań!
 By wziął cię z kolei w poczet swych idei,
 Tych świata pań!

Dziś wschodni łód dwóch bójką wiar -

— Ty i Car. —

Car życia trąd — ty, życia prąd,

Ty, życia dar!

Niech miłośnie jak ku wiosnie

W twą patrzą twarz

Bądź mistrzynią,

Co krzywości świata prości;

Przewodczynią

Wszechmiłości!

Grzech wszelki maż — lżę wszelką susz —

Depc ziemski szal — rządź światem dusz,

Gardź państwem ciał,

Nieś dech Pana Nieskalana żadnym kałem!

Ludy, z trzody stwórz w narody;

Stań nad niemi, ich na ziemi ideałem!

Przeciw piekłu podnieść kord!

Bić szatana czarny ród!

Rozciąć szablą krwawy knut

Barbarzyńskich w świetle hord!

Lecz nie nęcić polski lud

By niósł szlachcie polskiej mord!

Jedno tylko ach! zbawienie,

Jeden tylko — jeden cud,

Z szlachtą polską, polski lud,

Jak dwa chóry — jedno pienie! —

Hajdamackie rzućcie noże,

I oszczerstwa i bluźnierstwa!

By carycy w grobie kości

Nie skleiły się z radości,

Trup nie parsknął w śmiech szyderstwa!

Hajdamackie rzućcie noże!

By nie klęły na was wieki,

Że cel wieków — znów daleki!

Żeście w dumie — żeście w szale
Przywrócili losów szalę
I rozbili się na skale.
Kędy wiecznie się wyrodni
Rozbić muszą — bo na zbrodni!..
Hajdamackie rzućcie noże!
Jeśli w głębi serca wiecie,
Że w planety tego dzieje
Pan wciąż z niebios myśl Swą sieje.
— Nie przypadek rządzi w świecie —
Nikt nie stawia gmachu z błota:
I najwyższy rozum — cnota!
Hajdamackie rzućcie noże!
Bo gdy miną fale godzin
Co nas dzielą od odrodzin,
Będzie Polska zmartwychwstała
Wszystkich zbójców przeklinała!
Tamci lepsi — i mniej śmieli,
Skradli ziemię, czci nie tknęli,
Sławy wieków nie zatarli!
Niech głos ludów to opowie!
My, jaśnieli, choć umarli,
Jako jaśnia aniołowie!
Hajdamackie rzućcie noże!
A gdy zagrzmie — o żniw porze,
Wtedy naprzód — w imię Boże!
Bierzcie szable — sierpy — kosy —
Dać żniwiarzom wszystkim grunt,
Rozpłomienić święty bunt; —
Lecieć będą, lecieć kłosa,
Ziemię zboczy gęsty wróg.
Twierdz i więzień prysną mury —
Duchem zatłoni, ogrom zgorze
Jak suchego siana stóg!
A patrzący wiecznie z góry
Nie odwróci twarzy, Bóg!

VI.

PSALM ŻALU.

2. mają oczy, aby widzieli, a nie widzą, —
uszy mają aby słyszeli, a nie słyszą. . .

EZECHIEL, Roz. XII.

17. Boć nie posłał Bóg Syna Swego na świat,
aby sądził świat, lecz aby świat był zbawion przezeń.

Ś. JAN, Roz. III.

Psalm następny, z następnego powodu :

Przeciw trzem poprzedzającym, a szczególnie trzeciemu, zaraz po ich ukazaniu się, zatem nie mały czas jeszcze przed bezbożnej pamięci miesiącem lutym 1846 r. — napisano pieśń w podobnym ich kształtowi kształcie. — Ta pieśń w rękopiśmie *), jedna z przedziwności języka polskiego, brzmiąca cudownymi dźwięki, a głębokiego mistycyzmu piętnem naznaczona, wyobrazicielką jest niektórych dążeń i myśli krążących po widnokęgach umysłowych epoki naszej. — Jeden ją wybrzmiał z piersi swych — ale po wielu piersiach drzeźnią zawarte w niej tchnienia. — Nie sposób jej tu w całości wydać, bo imię wieszczą, który ją wyśpiewał i wola jego o niej, nieznanemi. — Po krótkce więc tylko treść w niej leżących zarzutów i pomysłów się opisze. — Teć albowiem nietylko są jednego wyłączną, rzeczywistą, ale zarazem pewnej liczby drugich wspólną, idealną własnością. — Kształtu się nie przywodzi — ideę tylko się podaje!

Pieśń owa w uroczych, a ironijnych strofach zaczyna od zarzucenia Psalmowi Miłości przeczuć zupełnie fałszywych i bojaźni niczem nie usprawiedli-

*) Wiersz, o którym tu mowa, został wydrukowanym w Lipsku, u Bobrowicza pod tytułem: DO AUTORA PSALMÓW PRZYSZŁOŚCI i znajduje się w wydaniu Pism Słowackiego, Lipsk Brockhaus, 1869, na końcu tomu IV.

(Przypisek wydawcy.)

wionej, przed pewnemi wypaść mogącemi klęskami — i zapowiada absolutnem twierdzeniem, że nigdy nic podobnego na ziemi polskiej się nie zdarzy. — Dalej, szydząc, utrzymuje, że chyba upiory snuły się wieczorem po drodze zadumanego szlachcica i plemion dawno zmarłych po księżycu mgliły się kurhany — lub też nad zasypiającemi oczyma pobłysk padł od czerwonych kotary firanek — stąd krwi widzenia, stąd strach złowieszczy, bo — *Któż, gdzie i kiedy nożem zagroził, lub stanął ci sporem?* — Próżne mary — wcale ni mord ni rzeź — ale z wieńca kwietnianego nadpowietrznych duchów obrywające się postaci, przelatujące w przestrzeniach — *a ty złąkł się, syn szlachecki.*

Po takowym wstępie, pieśń przechodzi do ocenienia stanowiska całej szlachty polskiej — przyznając, że jej niegdyś było sto tysięcy, ma ją teraz za zupełnie już nieistniejącą i oświadcza, że wcale i nigdzie — *jej nie ma.* — Że w głębiach czasu gotuje się wichrowy płomień, co wybuchnąwszy zgasi i zdmuchnie jak świecę wszelkiego szlachty onej przypomnieli. — Przyjdą światła jakieś Boże, widzialne, wśród burz apokaliptycznych pałające, — i rzucają się na lud i popchną go — a stąd cudowne powstaną strachy i przerażenia, żywe jakoby śmierci przechadzające się po ziemi — a w nich i z niemi będzie duch!

— *Słaby, mówisz, rzeź wybiera, a czy wiesz co on, ten duch, wybierze?* — Po tym zapytaniu, pieśń Jehowicznem wzbierając natchnieniem — głosi, że zapewne duch on młody wybierze za środek wcielenia się swego, ludów zatracenie — z wichrów, komet i płomieni okropne odmęty, w których króle drżą, matki ronią, ziemia się rozpada i gruzy po gruzach tylko chłonie; — a z onych zwalisk wszystkich korzysta duch — którego definicya, że jest — *wiecznym rewolucyonistą.*

Nad tak w pył i popiół rozsypanem światem nowa zorza unosi się w górze; — a pod jej blaskami,

w jakichciś smętnych przestworach zatracenia, jęczy przeszłość historyczna kraju. — Nieskończone westchnienie słyhać z tej otchłani ojczystych dziejów — ale po nad nią wszechwładny Duch — *uciska, mroczy i błyska* — aż stopniowemi uciski uzupełni nowego Boga i wiek absolutnie nowy.

Po takich przejściach, kończy pieśń modlitwą gorącą i uroczystą o rychłe zniszczenie się dopiero co wyżej przytoczonych obrazów, z najmisterniejszą sztuką odmalowanych!

Na takiej treści wieszczby, odpowiedzią następnym psalm.

I.

Więc strach, mówisz, mówił ze mnie,

Gdym przeczuwał, że się w ciemnie

Zasuwamy, a nie w zorzę —

I że lud się shańbi może!

Prawdę mówisz — pewnem męstwem

Ja się nigdy nie pochlubię: —

Ja przed bliźnich drzę męczeństwem —

W otchłań spychać — ja nie lubię;

Gdzie brud ujrzę — wnet mi serce

Jakaś bojaźń chwyta Bożą, —

Braćmi nie są mi morderce, —

Szablę kocham, — wstyd mi noża!

Jakbym zląkł się — na stolicy

Z gwiazd i tęcz, Bogarodzicy

Widnej w widzeń błyskawicy

A mówiącej sprośne słowa,

— Samby zląkł się i Jehowa! —

Tak się lękam i truchleję,

Kiedy w polskie spaść ma dzieje

Mord i srom!... Lepszy grom!

Zmartwychwstaje się z pod gromu, —

Nie zmartwychwstaje z pod sromu!

Tyś odważny — ja się boję
Kazirodczych ran!
Bojaźń moją — męstwo twoje
Niech osądzi Pan!

* * *

Więc gdy padać miały trupy
Twych nieszczęsnych braci —
Gdy z nich mieli zdzierać łupy
Chłopi — żydzi — kaci; —
Kiedy ziarno siane w śmieci
Od wersalskich dzieci
Zdradą miało zejść niemiecką, —
Więc i ty, jak dziecko,
W bańce własnych siedząc marzeń
Nie przeczułeś zdarzeń?
Nie wcieliłeś się w to ciało
Co tak cierpieć miało!
Ach! nie wzięłeś ran — przed ciosem
W pierś twą, magnetycznie, —
Aleś jednym wciąż piał głosem
Tylko fantastycznie!
Wzrokeś wlepił w tve niebiosa; —
Ukraińska kosa
Na nich krzyżem wybawienia; —
W koło błyskawice —
Z światła cepy i kłonic —
I wichry z płomienia!
A w otchłaniach, gdzieści w dole,
Z przekleństwem na czole
Polska szlachta — polskie pany —
Czyścić z świata zwiany,
Jak smętne bałwany,
Czarne fale — siwe piany,
W burzliwą noc! —
Tam Zborowskich ścięte głowy,
Topór i kloc!

Płacz bez końca — zgrzyt echowy —
 Miłość — chwała —
 Przeszłość cała
 Rozdeptana przez wiek nowy!
 O mój wieszczu, stój!
 Oto jutro rano
 Na powstański bój
 Polskie pany wstaną!
 Szlachta — której nie ma —
 Bohaterskiej niżli kiedy,
 Wyzwie Trój-Olbrzyma!
 Lecz z twych niebios spadną wtedy
 Twoje tajemnice —
 Cepy i kłonicie —
 Twój, ach! spadnie cud!
 I tych Polski namiestników
 Za kilka srebrników
 Twój rozsieka lud!
 I strun twoich granie
 Zagłuszy wrzask mordu!
 I nic nie zostanie
 Z twojego akkordu! —

* * *

Bodajbyś, wieszczu, był wieszczyl prawdziwie!
 Bodajbym zdjęty przerażenia dreszczem
 Był kłamcą tylko — ty natchnionym wieszczem —
 I plam nie było na ojczystej niwie!
 Bodajby Polska nierozdarta — cała —
 Tak jak się czuła dniem przed rzezią jeszcze
 Pieśni twe, wieszczu, uwielbiała wieszczę
 A z moich marnych na gardło się śmiała! —
 Bodajbym nawet — zapozwan przed sądem
 Za potwarz moją na lud nieskalany.
 Co żadnej hańby nie owrzodził trądem,
 Usłyszał wyrok: na śmierć lub kajdany!
 I ty w tryumfie stał z harfą twą złotą

Uragający — i pytał: „A co to?”
 I mnie prowadził aż do rusztowania
 Wśród przekleństw gminu — co tobie się kłania
 I milionowym dziękuje poklaskiem,
 Żeś odgadł światła wschód czysty — przed brzaskiem —
 Szlibyśmy oba i szczęśliwsi oba —
 Ty chwałą własną — ja Polski zbawieniem; —
 Bo i mnie, wieszczu, wciąż śni się ta doba, —
 Lecz wiem, że wściekłość — nie jest zduchownieniem. —
 Lecz wiem, że wszelka zwycięstwa godzina
 Bić w sercu Boga nad światem zaczyna,
 Nim tu narodom, na świecie, uderzy! —
 Więc przed nim stanąć narody wprzód muszą
 Nie z rykiem zwierząt — lecz z anielską duszą; —
 Lud tylko święty ... Królestwo odzierży!
 Przemień go — przemień w Króla i Kapłana —
 Lecz zanim jeszcze nie przekrólewszczony
 Nie klękaj przed nim — nie kładź mu korony, —
 Lecz ufaj w szlachtę polską — i moc Pana! —

* * *

Ależ wieszczu — boś ty wiary
 Dni zaprzeszyłych — tyś wieszcz stary!
 Cóż o Duchu ci się śni?
 Duch twój wiecznie grzmi w twej pieśni
 Jak pogański Jowisz jaki; —
 Lub kataklizm wśród natury,
 Co świat chwyta na tortury;
 To indyjskich bóstw oznaki!
 Duch-że twój — inkwizytorem?
 Lub wandalskich dni upiorem,
 Co powtórzyć ma do joty
 Historycznych kręgów zwroty,
 I z postępów wynieść tyla,
 Tylko tyle co Atyla?
 Duch twój, tylkoż myślą czystą
 A nie życiem istnem, szczerem?

Tylko rewolucjonistą,
 Tylko Robespierrem?
 Filozofią — a bez serca?
 Kościotrupem — a bez skóry?
 O! tyś ducha jest oszczerca —
 Bo go nie znasz; tylko chmury
 Co go kryją widzisz mgliste,
 A nie światło jego czyste,
 A nie kształty powietrzniane,
 A nie ruchy przefaliste; —
 Te ci dotąd są nieznane!

*

*

*

Ciało jest — konserwatorem
 Dusza — wieczną buntownicą, --
 I do siebie stoją sporem;
 Im pogody nie zaświecą, —
 Im nie ma pokoju
 Odkąd rajski wąż
 Pchnął je do rozstroju,
 Dusze z ciałmi, nad otchłanią,
 Psują się i ranią
 Bratobójczo wciąż!
 Ach! idea — i zwierzęta —
 Anielice — i tygrysy!
 I w tej walce, bywa snadnie,
 Że gdy ludzkie rysy
 Idea pokładnie,
 Wnet i w Bogu ta poczęta
 Oszaleje! i jej dzieje
 Na tej ziemi szkaradnemi!
 Potok krwi czerwony
 Przez wszystkie Ojczyzny,
 Gwałty i wścieklizny,
 Upadki i zgony.
 Wieńce kwitną dziś wawrzynem
 Jutro z nich ciernia korony —

Każden starzec-wiek, strącony
Przez wiek drugi, co mu synem;
I ojcobóstwami ciągnie się i plami
Płynący czas! któż zbawi nas?
Kto z żywiołów klótni,
Z bitwy miejsc i lat
Harmonią wylutni,
Rytmu stworzy świat?

Ten, w kim głębie życia górą,
Co nie duszą, w lekkość chorą,
Ani ciałem w ciężar chorem; —
Ten, co trzecim idzie torem. —
W kim ciało i dusz wspólny ruch,
Ten który — tryumfATOREM —
Święty Duch!..

Lecz on płynie — a nie skacze,
Lecz on wschodzi — a nie spada, —
Ziemia pod nim krwią nie płacze —

On nie woła: Biada!
Arcyświatła w nim potęgi
On zapełni widnokregi
Niewidzialne — a błękitem
Nad niziną i gór szczytem
Równie promienieje.
Rankiem budzi sennych ludzi
Na nadzieję!

I do ciemnej zbieży studni,
By wysrebrzał cień —
Aż się ranek wypołudni
W bieluteńki dzień! —

II.

Moc Jehowy — nie gniew,
Zlana z myślą Chrysta
W jeden wiew
Iskra wiekuista, wiew bez końca

Wskroś przez ziemie — słońca —
 I oddech ten taki jak sen, —
 I przepływa i porywa
 I ciągnie za sobą okryte żałobą
 Wszystkie wieki jak kaleki,
 Jak trupów rząd!
 Gwar — jęk — i szum —
 Wlecz się tłum: —
 Będzie sąd! —

* * *

Oto w dole Józafackie pole; —
 Jednej trumny wieko
 Niebios dach!
 Lzy wiekom z ocz cieką. —
 Wielkom strach!
 A wszędzie w krąg
 Widm krwawych ciąg; —
 Przeszłości wspomnienia
 Jak zmory chodzące
 Miecz potrzęsające —
 Jak anioły gońce
 Zatracenia!

* * *

Do kata-Anioła każdy z wieków woła:
 „Zlituj się nademną,
 Gdzież zbawień świat?“ a anioł-kat:
 „Precz w otchłań podziemną,
 Boś żył nadaremno —
 Bo z wielki innemi braćmi twemi
 Tyś niezbratan! — ja cię znam —
 Jam jest: — Ty sam —
 A twój, szatan!“

* * *

W bezmocy wśród nocy
 Wiek po wieku stęka —

Obalon przyklęka!
 Leje się żar zgryzotnych kar; —
 Duszni i cielesni w krwi i pleśni —
 Przepaść tuż!
 A Anioły w górze jak burze
 Strącające już!
 Nad dołem
 Drżą potępieni! —
 By nie paść w tę przepaść
 Wspierają się społem!
 Jak łańcuch pierścieni
 Łono na łonie — i zetknięte dłonie —
 Twarze obok twarzy!
 Miłość się im marzy
 Przy zgonie!

* *

Aż z męczarń doliny
 Krzyk jeden, jedyny,
 Ziemskich wieków wstanie:
 „W piersiach, nam, o Panie,
 Twoje strzały tkwią!
 My piekielni
 Pokiśmy rozdzielni,
 Ale biedni,
 Gdyśmy w jedni,
 Twaśmy krwią,
 Twym obrazem!
 Miej o Panie,
 Zmiłowanie, —
 Już my razem!”

* *

A gdy tak jęczą,
 Od ich skrucu
 Niebo spłonie tęczą,
 Głos im wpadnie w słuch,

„Oto idzie Duch“
 I ujrzą w przestrzeni
 Zstępujący grom —
 Świat się przepromieni
 W dyamentowy dom!
 Potępionych wieków ile
 Spada gromów tyle!
 Wiek każdy w piorunie
 Na złocistej łonie,
 Co go niesie w dal! —
 On się pali,
 Przepostacia; —
 Jak na morzu z fal
 Przepostacieni
 Idą w mgle z promieni,
 A wszyscy jak bracia!
 Oto z gwiazd korona
 Na czasie niesiona, —
 Ludzkości to wieca!
 I przeszłość zbawiona
 I przyszłość zaświeca!

* * *

Znów po wszem-lazurze
 Stworzenny wiew —
 Słyszać w dole w górze,
 Anielski śpiew:
 „Chwała z wieków w wiek,
 Bo stał się sąd!
 Łez krwawych ściek
 Zmienion w światła prąd!
 Z dni starych, grzech
 Już zwian jak puch —
 I wlał w duchy dech
 Wiekuisty Duch —
 I objął rząd.“

III.

Stój, o wieszczu, w takiej wierze, —
Nie mów, że ty nie wiesz jeszcze
To co Duch wybierze, —
Tak nie mówią Boży wieszcze!
— Ze świętości duch jednolit —
Ni mongolskich biczy,
Ni czerwonych Rzeczpospolit
W swe cuda nie wliczy!
Wolna tylko ludzka wola
Gdy zła i nieszczera
Taki tór — obiera
I nim ziemskie brudzi pola!
Bo tak wolna, że aż zdolna
Drogi Boże same
Przepiekielnić w zguby jamę!
Bo tak wolna, że aż zdolna
W imieniu braterstwa
Rozsiewać morderstwa; —
W imieniu nadziei
Świat wytrącić z swych kolei,
By bez wstępnych sił
Zśliznął się po wiekach w tył!
Wie, że kłamie — a wciąż kłamie —
Obluda — jej znamię!
I toć straszna wina,
Co ni Ojca ani Syna,
Lecz dotyka Ducha!
I tej winy nie zmaże
Żaden ból ni skrucha,
Ni żadne cmentarze!
Ach! nietylko wiek przeszłości
Faryzejskie rodzi dusze —
Za dni naszych i przyszłości
Są Faryzeusze!

Powtarzacie: „Chryste! Chryste!“
 A nie macie w sercu Jego; —
 Jakżeż Ducha wam świętego
 Przejąć dobro wiekuiste?
 Z was się każdy nad odłogiem
 Własnej próżni, wspina Bogiem
 Na paluszkach wzdętej pychy! —
 — I tak wy zwierzęciejecie. —
 Bo kto sam się bóstwi w świecie,
 Ten na odwrót swego szalu
 Odczłowiecza się pomału; —
 Aż się stanie taki lichy
 Że padając — dojdzie chyba
 Do roślinnej istni grzyba! —
 Lub też dziki — sępny — chory —
 Miasto widzeń — widzieć zmory.
 Miasto natchnień — czuć wściekłą
 Będzie; — zmąci wiary, dzieje,
 Człowieczeństwo i ojczyznę,
 Zwątp rozpaczy i nadzieje! —
 Wtedy wśród błędów swych pędu
 Wezwie drugich do oblędu. —
 Za każdym się krokiem
 Przenazwie prorokiem —
 Zbawicielem — Bożym bratem:
 I dusz wielu będzie katem!
 Aż nie wątpiąc że się zbożył,
 Że jak Boga stwórcą znał,
 Tak się stwórcą sam tu stworzył,
 Coraz pełnszy własnych chwał,
 Pocznie wierzyć jadownicę,
 Że mu sługą — ludzkie życie:
 Stanie się i katem ciał!

*

Nie tak z Duchem się obcuje —
 Nie tak w Ducha się wstępuje?

— Gdy pochylisz kornie czoło
 Zadrży serce — drga szpik kości
 Z anielskiej rzewności; —
 I klęczący spojrzysz w koło
 Na niesprawiedliwości —
 Klęski — smętki — gromy —
 Babilony i Sodomy; —
 Ujrzysz Carów w chwale,
 Lub zdasane ludu fale
 Świat zatracające!
 I przyćmione w górze słońce,
 I niebieskie mocy
 Wstrząśnięte wśród nocy; —
 A uczujesz miłość trudu
 I męki odwagę!
 Wstaniesz ludzi zbawiać z brudu.
 Kryć ich wstydy nagie. —
 A za rany — i za ciernie
 Podziękujesz tkliwie —
 I dotrzymasz wiernie
 Na nieszczęście niwie!
 Wśród podłości — niespodlony, —
 Wśród krzywd — nieodmiłówniony. —
 Wciąż tve usta Pana chwałą —
 Wciąż pierś twoja — twardą stałą,
 Co się błyszczy nieskalanie,
 A tve oko płacze żalnie
 Po nad każdym cudzym bólem; —
 I tak stąpasz ofiar polem,
 Nigdy w kłamsta podziemnice,
 Ciemne i tajnice
 Nie zstępując — bo do Boga
 Wiesz że jedną tylko drogą,
 I jej światłem widny — biały —
 Nie dbasz o wrogów nawały,
 Co z lochów piekielnych
 Czychają — na dzielnych;

Co czarni i nocni,
Tylko zdradą mocni,
I orężni pychą
Zabijają cicho!

A gdy stawiać tak twe kroki
Ty nie mówisz: „Jam wysoki“
Ale czujesz, żeś wciąż niczem
Przed Pana obliczem!

Wtedyś ty dopiero
Duszą czystą, szczerą —
I czynów łańcuchem
Połączasz się z duchem: —
A z Boga co w Niebie,
Powraca do ciebie
Miłości spływ!

I kiedyś po męce
W jego pójdiesz ręce
Wszechwiecznie żyw!
I ja patrzę wśród zamieci!
W niebios kir!

I ja widzę — kędy leci
Zdarzeń wir!
Słyszę wśród chmur
Zmartwychwstałych chór
Ach! znany głos!
Lecz nie we krwi,
Którą zemsta leje,
Cel Polski tkwi. —
Zemsty dzieje
Zemstą tylko,
Chuci chwilką: —
To nie Polski los!
Jej od Pana pomyślana
Cudniejsza cześć!
Nie pożogi ani trwogi
Ma światu nieść!

* * *

Tu, Sybiry mroźne
I Iwany groźne, —
A po drugiej stronie klubowe tyrany,
Kule strute — kwas siarczany,
Ludożercze bronie!
Boże! zmiłuj się nad wami!
Między dwiema szkaradami
Wstać ma Polska kojarznicą!
Dwóch barbarzyństw — ma być spojem —
I to zwiecie — *Tajemnicą* —
To — wieków pokojem! —
W jedno zło jedyne
Wszetecznym poswatem
Siostrę gilotynę
Ślubić z knutem bratem!
Rozdeptać kościoły, pomieszać plemiona,
Sumienia anioły wygnać z ludzi łona!
I mieć Polskę — tego *dzieła*
Czarną spełnicielką!
W krew truciznę jej lać wszelką,
By *sprawy* się ją! —
Trząść przed wzrokiem jej pochodnie
Wszechświata pożaru, —
Obiecywać jej za zbrodnie
Nadziemską moc czaru!
Kusić dziejów anielicę,
By pod koniec męki
Odrzuciła świętych wdzięki,
Upiorowe wdziała lice, —
I odkłąkszy z przed ocz Pana,
Zcierwieniona — rozczochrana —
Zakochała się w szatanie,
Świadczyła mu o tej chwili,
Jak pierwsi chrześcianie
Niebiosom świadczyli!
To wasz pomysł — to *rzecz* wasza!
Takie świty

Duch wasz skryty
Nam przynasza!

* * *

Wszak nie w takim stroju,
O wiekuisty Panie,
Do ostatniego boju
Polska twoja stanie!
Nie jędrza z niej przebrzydła!
— W ustach z twym pacierzem —
A nad jej pancerzem
Spływające skrzydła. —
W jej dłoniach kształt dwóch mieczy
Z przedziwnej jasności,
Co nie rani — ale leczy!
I woła: „Ja się spieszę,
Bo zapraszam w gości
Do niebieskich włości
Ludzkie rzesze!“

* * *

Lecz wprzód jeszcze — sądy pańskie —
Na czas, czasów zwrót!
Rzeczpospolity szatańskie
I północny knut!
I trząść będą każdym krajem
Wytracając się nawzajem!
Patrz! świat kat twój, Polsko! — leży
Rozciągnięty w pyle —
Ten co obrał cię z odzieży,
Urągał ci tyle,
Co zwiąawszy tve ramiona,
Dziki — podły — dumny —
Wbijał gwoździe ci do łona
Jak do desek trumny; —
Patrz! świat kat twój, Polsko, oto
Zapadł w krew i błoto!

Od morza do morza
Porwał się do noża —
Bratobójczo się przewala,
Wije na kształt gada,
Podnosi — i pada,
Aż znękany czci Moskala!

* * *

Zleć, o Polsko — zleć, Aniele,
W promienistym ciebie!
Nie bądź katem twego kata!
Ach! śmiertelny pył
Gdy raz w śmierci zstąpi kraje,
Tylko cnotą znów dostaje
Nadśmiertelnych sił!
A inaczej — rwie zatura
W głąb tej samej kary
Ofiarników i ofiary!
Zostaje ruina —
I nadgrobek na niej świata! —
— Chrystus tylko z grobu wzłata
Lecz nie Katylna!

* * *

Przyjdź, o Polsko — zleć, Aniele.
W promienistym ciebie! —
— Pragnęli wolności
A Boga nie znali!
Po ziemiach — ich kości —
Ich prochy — na fali; —
A żyjących, co zostali,
Samo życie boli: bo w niewoli!
Z jednych ojczyzn — puste cisze —
Nad gruzami się kołysze
Bluszcz wietrzany!
A gdzieindziej w pysze
Sprośne Pany!

Bez koron na głowie
 Lecz z różgą ze stali, —
 I służą Jehowie,
 Lub z schizmy powstali!
 Duchoborce, Roskolniki — *)
 I po nocach słyhać ryki
 Rozrzynanych ciał
 Na cześć Molochowi. —
 Tak panują ludzie nowi!
 Jak z Tarpejskich skał
 W zad przez dziejów wschody
 Zepchnięte narody. —
 I zlatują do ciemności
 Coraz głębiej — dalej
 — Bo chcieli wolności
 A Boga nie znali! —

* * *

Przyjdź, o Polsko — zleć, Aniele,
 W promienistym cie!e!
 — Zwiesz się: — Bogumiła —
 Czerwonym sztandarem
 I moskiewskim carem
 Zarównoś wzgardziła!
 Od dwóch tych zatracieli
 Tak czarno w Europie!
 Wśród nawałnic — na potopie
 Jedna świecisz w bieli!
 Ledwo stopa się twa zetrze
 Z wierzchołkiem bałwanów —
 I przemijas przez powietrze
 I ścigasz szatanów!

*) Nazwiska sekt powstałych na łonie grecko-rossyjskiego Kościoła, a których krwawe obrzędy przypominają to, co najszkaradniejszego było pod względem rozpusty i okrucieństwa w starożytnych wschodnich, fenickich i kartagińskich religiach.

Przed dwóch mieczy tych jaśnieniem,
Przed twych skrzydeł tęczę
Obalają się i jęczą
Jak przed Boga cieniem!

* * *

Idź, o Polsko — idź, Aniele,
W promienistem cieie!
Świat nie poznał ciebie z lica —
Świat cię zabił — aż na mękę
Sam jest wzięty, — a ty rękę
Dasz mu — jego męczennica!

Idź, o Polsko — idź, Aniele,
W promienistem cieie!
W tobie ludzkość przechowana!
Po nad złości i nad szaty,
Po nad hańby i nad kały —
Tyś niepokalana!

Idź, o Polsko — idź, Aniele,
W promienistem cieie!
W dłoniach twoich nie puginał
Gminnym uwieńczon wawrzynem,
Co pierś wroga porozrzynał!
— Innego blask oręża!

Boż człowieczym tu czynem
Duch tylko zwycięża!
Nadziemsko ty Bożą —
Boś boleści tu boleścią!
A miłością Bożą!

I powracasz z dobrą wieścią!
W okół ciebie — Zło się pieni,
Ty nie zważasz przecie, —
Sypniesz z dłoni garść promieni
I znów jaśniej w świecie!
Aż przelecisz wszystkie kraje

I światłością obośieczną
 Śmierć odegnasz od nich wieczną —
 — Tak się zmartwychwstaje!

V.

PSALM DOBREJ WOLI.

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie.
 Z skarbu wiecznego miłościwej łaski!
 Tysiącoletnie dałeś panowanie
 Ubrane w śnieżne, przechrześcijańskie blaski
 Nadeuropejskiej cnoty! — Twego Syna
 Dałeś nam pierwszym w świeckie wpoić dzieje --
 Z Polski — Ojczyzna w przeszłości jedyna,
 Co z piersi miłość, a nie rozbój sieje;
 Co mieczem — tylko świat ewanigeliczny,
 Gardzi grabieżą — nie garnie zdobywszy —
 Spaja się z braćmi — a dumnych roztrąca,
 Lecz i tych jeszcze w jawnem świetle słońca!
 Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w Niebie
 Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
 Daj nam, o Panie, świętymi czynami
 Wśród sądu tego samych wskrzesić siebie!

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!
 Gdyśmy zstąpili z życia Kapitolu
 W porzobiorowej doliny otchłanie,
 Zmarłych żywemiś trzymał na walk polu!
 Choć nas nie było, przecieśmy bywali
 Ponadgrobowo — choć w grobie złożeni —
 Na bojowiska każdego przestrzeni,
 Z orłem ze srebra i szablą ze stali!
 Do serc wsmętnionych w cierpienia czyścowe
 Wlewałeś bicie, wśród nicestwa, nowe —

Wiecznieś nas kapał w jakiejś dziwnej enocie —
Wrzкомо z nas trupy — a duchy w istocie.
Co elektrycznych nadziemnych strumieni,
Wszystkieś zgromadził w okół naszych cieni,
By nam powrotne, wstające z mogiły,
Na wstyd Europie — ciało uiskrzyły!
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w Niebie
Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętami czynami
Wśród sądu tego samych wskrzesić siebie!

*

*

*

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!
Żywot najczystszy — a więc godzien krzyża,
I krzyż — lecz taki co do gwiazd twych zbliża —
Najwyższe dałeś w czasie powołanie!
Tchem dzieje świata Tyś przegiął jak kłosy
Do pełniejszego dla nas wszędzie żniwa!
Ziemiś nam ujął — a spuścił niebiosy
I serce Twoje nas zewsząd przykrywa;
Lecz wolną wolę musiałeś zostawić; —
Ty bez nas samych nie możesz nas zbawić!
Boś tak ugodnił wysoko człowieka
I naród każdy — że Twój zamysł czeka,
Zawieszon w górze, aż własnym ubiorem
Człowiek lub naród jego pójdzie torem!
Z wolnością tylko twój duch się wciąż swata —
Nikt niewolnikiem w bezmiarach wszechświata!
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w Niebie
Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętami czynami
Wśród sądu tego samych wskrzesić siebie!

*

*

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!
Przykład nieszczęsnej Twej Hierozolimy,
W której tak długo było Twe kochanie,

Aż się rozwiała w perzyny i dymy,
 Rozdarta w sobie — a zemstą do końca
 Przeciw ludzkości całej szalejąca!
 I ona kiedyś być miała królową
 Pogańskim katom, świecącą w koronie!
 Lecz że wciąż śniła o tych katów zgonie,
 A dość Twych iskier nie miała w swem łonie,
 By nad nich podnieść się życiem na nowo,
 Odkrólewszczona — i stała się wdową. —
 I dotąd płacze na twojego Syna
 Za to, że plemion toporem nie ścina,
 Jedno krzyż wzięwszy w zmartwychwstałe dłonie
 Światy obala — gdzie tym krzyżem wionie!
 Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w Niebie
 Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
 Daj nam, o Panie, świętymi czynami
 Wśród sądu tego samych wskrzesić siebie!

* * *

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!
 W ciemnościach naszych sprośne gwałtu wzory,
 Szkaradne rzezie i niecne zabory,
 Za które dzieciąt przeklina ich łkanie,
 Za które sami, z łaski Twej promieni
 Jakby z pancerza już odpancernieni
 Stoją w nagości popełnionych czynów,
 Bez starożytnych na czołe wawrzynów,
 Z żałob największą okryci żałobą —
 Hańbą serc własnych shańbionych — przed Tobą!
 Nie drugich śmiercią — lecz własną bezpłodnie
 Kończą na ziemi wszystkie ziemi zbrodnie!
 Żadna z nich, żadna nie ma przywilei, —
 Król czy gmin jaki dopuści się zdrady
 Słownu Twojemu — przepada z kolei!
 Aniołów nawet przepadły miriady!
 Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w Niebie
 Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,

Daj nam, o Panie, świętymi czynami
Wśród sądu tego samych wskrzesić siebie!

*

*

*

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie!
My nad otchłanią, na ciasnym przesmyku, —
Skrzydła nam rosną już na zmartwychwstanie —
Usta rozwarłe do wesela krzyku,
Ku nam z błękitów — jakby z twego łona
Złote jutrenki — jakby twe ramiona,
Spieszą już na dół od Nieba po ziemię,
By zdjąć nam z czoła wiekowych klęsk brzemie.
Wszystko gotowe — wschód rozpromieniony —
Anioły patrzą — a tam z drugiej strony
Ciemność pod spadem bezgłębnym wybrzeża!
I pnie się — wzdyma — rośnie — ku nam zmierza —
Przepaść — śmierć wieczna — w której niema Ciebie
Co od początku złych i pysznych grzebie,
A sama pychą i złością i swarem,
I mężobójstwem onem, jak świat starem,
I kłamst i bluźnierstw rozkipionym warem!

I wstała siwa w pasach z czerwoności!
W czarnych błyskawic czarnej jaśni płynie!
Rdzę z krwi pokoleń i gruzy i kości
Na swych topielach piętrzy ku wyżynie,
Gdzie wpół nad grobem, a wpół jeszcze w grobie
Stoim w tej pierwszej odrodzenia dobie!
Jeśli zawrotnem na nią spojrzym okiem,
Jeśli się jednym ku niej ruszym krokiem
Wnet zórz nam światło poblednie na skroni
I Syn nad nami Twój łzy nie uroni,
I Duch nie będzie nam Pocieszycielem!
Na dnie jej sobie nicestwo pościelem!

Zmiłuj się, Panie! broń nas — bądź Ty z nami!
Nie! — darmo; — teraz tu stać musim sami!
Ach! wiem! — ta chwila już do nas należy;

W ostatniej losów tej naszych przemiani
Żaden Twój Cherub nam w pomoc nie zbieży!
Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!

Lecz wspomnij — wspomnij, żeśmy dawni sługi,
Że nim wiek począł się ten dziejów drugi,
My w przeszłym wieku twój nakaz już czcili
I nie czekali chwil spełnionych chwili,
By uznać Ciebie za ziemskiego władcę
W Królowej polskiej — Twojej ziemskiej matce!
Odkąd z mgły czasów naród wyjawiony,
Z ciał polskich — polskich dusz wyszło miliony
Z Jej świętym w śmierci na ustach imieniem;
Niech im dziś Ona odwspomni wspomnieniem;
Niech w wielką zmarłych tych ubrana chmurę!
Na tych niebiesiech do Ciebie się modli,
By nie związali nam stóp dążnych w górę
Szatani z piekła — lub też ludzie podli.

Spójrz na Nią, Panie! — gdy z dusz onych rzeszą
Co w okół wieńcem powietrznianym spieszą,
Zwolna ku Tobie wznosi się bezmiarem!
Wszystkie się ku Niej gwiazdy rozmodliły,
Wszystkie w przestworach wirujące siły
Zmiękły pod smętnym rozrzewnienia czarem!
Coraz to wyżej — jakby na promieniach
Wschodzi niesiona na tych białych cieniach,
Płynie w lazury, za dróg mlecznych chmury,
Płynie za słońca, taka bielejąca,
Coraz to wyżej, do góry — do góry!

Spójrz na Nią, Panie! — Wśród Serafów grona
Oto u Tronu Twego rozklęczona —
A na Jej skroniach lśni polska korona.
I płaszcz błękitny zamiata promienie
Z których tam przestrzeń; — i wszystkie przestrzenie
Czekają: — modli się bardzo po cichu —
Po za Nią stojąc, płacząc ojców mary? —

W dłoniach Jej śnieżnych jakby dwa pułhary —
Krew Twoją własną w prawym Ci kielichu
Podaje, Panie; — a w lewym, co niżej,
Krew krzyżowanych na tysiącach krzyży
Poddanych swoich, krew płynną przez lata
Po wszystkich ziemiach, pod mieczem Trój-kata!
I boskim, tamtym wzniesionym kielichem
Błaga drugiemu przelaski Twej, Panie!
Przepaść tymczasem wielkim huczy śmiechem —
Podplanetarnych fal jej słyhać granie!
Wężowych głębin splotami wciąż toczy,
Mgłą, wichrem, pianą zalewa nam oczy,
By nas prześmiertnić w kłamce i morderce!
Nie widzi marna co dzieje się w górze —
Nie widzi marna, że niczem jej burze,
Gdy takie za nas tam dręczy się serce!
O Panie, Panie! więc nie o nadzieję,
— Jak kwiat się sypie; — więc nie o zgon wrogów,
— Zgon ich na chmurach jutrzejszych już dnieje;
— Więc nie o przestęp cmentarzowych progów,
— Przebyteć, Panie: — ani o broń władną, —
— Z wichrów nam spada; — ni o pomoc żadną —
Zdarzeń otwarłeś już przed nami pole!
Lecz wśród tych zdarzeń straszego wybuchu,
O czystą tylko błagamy Cię wolę
Wewnątrz nas samych — Ojczy, Synu, Duchu!
O Ty najdroższy, wszędzie utajony,
Widny z za światów przejrzystych opony,
Wszech Ty przytomny, nieśmiertelny, święty,
W serc i gwiazd wszelkich mieszkający ruchu,
Co tak gwiazd bunt rozewasz na szczęty
Jak serc przewrotność — Ojczy, Synu, Duchu,
Ty coś rozkazał człowieczej iściźnie,
By nędzna siłą i kolebką mała
Przez moc ofiary się wyanielała —
I Polskiej naszej rozkazał ojczyźnie,
By wwiodła w miłość i mir ludy bliżnie

Niezatraconej prawości przykładem,
Choć wciąż pod głązów grobowych opadem
Wszystkich tych ludów otruwana jadem!
Ty, co w dziejowych odmetów rozruchu
Wściekłych piorunem przybijasz do darni —
A zacnych zbawiasz — bo zacni — z męczarni —
Błagamy Ciebie, Ojczy, Synu, Duchu,
Z prostotą dzieciąt, w niewieściej pokorze,
Przed Tobą dzieci i niewiasty, Boże,
A świata męscy; — my, co się nie boim
Od wieków walczyć przeciw wrogim Twoim,
Błagamy Ciebie, razem z naszą Panią,
Co za nas Twego doprasza się słuchu,
My, zawieszeni pomiędzy otchłanią
A Twem królestwem, Ojczy, Synu, Duchu!
Błagamy Ciebie z wrytem w ziemię czołem,
Skronią już w wiosen twych kąpani dmuchu,
Błagamy Ciebie — stwórz w nas serce czyste —
Odnów w nas zmysły — z dusz wypień kąkole
Złud świętokradzkich i daj wiekuiste
Wśród dóbr Twych dobro — daj nam dobrą wolę!
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w Niebie
Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętymi czynami
Wśród sądu tego, samych wskrzesić siebie!

K O N I E C.

RESURRECTURIS.



Świat ten cmentarzem z łez, ze krwi i błota!
Świat ten jak wieczna każdemu Golgota!

Darmo się duch miota, kiedy ból go zrani!

Na burze żywota nie ma tu przystani!

Los z nas szydzi w każdej chwili!

Dzielnych strąca do otchłani —

Gina święci — gina mili —

Żyją niecierpiani!

Wszystko się płacze — i nierozgmatwanie!

Śmierć w pobliżu — a w oddali

Gdzieś na wieków późnej fali

Zmartwychwstanie!

Więc trzeba skrzepnąć — stwardnieć — być bez serca?

Pośród morderców, stanąć jak morderca?

Pośród zbrodniarzy, wystąpić zbrodniarzem?

Kłamać — nienawidzić —

Zabijać i szydzić —

Tak świat, tem samem co dawa, obdarzym!

— Oto potęga! — lub stańmy się niczem!

Jedźmy i pijmy — bądźmy śmiecią złotą —

Ciała wygodą a myśli nędzotą —

Tak się do głupich i szczęśliwych wliczym!

O! nie! o duchu mój!

Wstecz się cofnij — stój!

Nie taką to bronią

Na ludzkości czele

Z złem na ostre gonią

Zła ukróćciele!

Jedna tylko w świecie
 Moc ofiary cicha
 Los gniotący zgniecie —
 Oto dziejów lew!
 A podłość czy pycha
 To jednakie śmiecie,
 Które w otchłań spycha
 Lada dziejów wiew!

O! poznaj sam siebie!
 Nie żądam być panem
 Jak Pan, który w Niebie!

Ni chciej jak bydle gnić nad paszy łajem!
 Z tej strony grobu przed zmartwychwstań wschodem
 Bądź ty w człowieku męką z niebios rdem,
 Bądź arcydziełem nieugiętej woli!
 Bądź cierpliwością — tą panią niedoli —
 Co gmach swój stwarza z niczego — powoli!
 Bądź tą przegraną — której cel daleki,
 A która w końcu wygrywa na wieki!
 Bądź spokojnością — wśród burz niepokoju —
 W zamęcie miarą — i strojem w rozstroju —
 Bądź wiecznem pięknem — w wiecznym życia boju!
 Dla podłych tylko i faryzeuszów
 Bądź groźbą — gniewem — lub świętem milczeniem!
 I nie miej żadnych z obłudą sojuszków!
 Dla wszystkich innych bądź anielskiem tchnieniem!
 Bądź tym pokarmem, który serca żywi —
 Bądź mi łzą siostry — kiedy nieszczęśliwi —
 A głosem męskim — gdy się w męstwie chwieją!
 Tym, którzy w domu wygnani — bądź domem!
 Tym, co nadzieję stracili — nadzieją!
 A śpiącym trupio — bądź przebudzeń gromem!
 W walce z tem piekłem świata, co się złości,
 Zawsze i wszędzie, bądź siłą co skłania —
 Nad śmierć silniejszą siłą ukochania —
 Bądź piekłem miłości.

W ciągłej przykłady i słowa postaci
Rozdawaj siebie samego twej braci!
Mnóż ty się jeden przez czyny żyjące
A będą z ciebie jednego — tysiące!
Bądź i w kajdanach niestrudzonym trudem!
Niech ból cię każdy choć boli, nie boli!
W jednej twej piersi — bądź twym całym ludem!
Bądź Niebo z ziemią spajającym cudem!
Świętością w niewoli!

Nie spiesz się na śmierć — aż jak ziarno w ziemi
Myśl twa się w serca wsieje — i rozplemi!
Póki męczeństwo nie pewnią zwycięstwa —
— Twem dobrem tylko — a nie człowieczeństwa,
Unikaj męczeństwa! —
Marnej sławy wieńce
Chwytają szaleńce!
W niebezpieczeństw wiry
Skaczą bohaterzy!
Lecz wyższa moc Ducha
Tych ułud nie słucha!

Dopiero kiedy jęczący dokoła
Dzwon zdarzeń wszystkich na ciebie zawoła,
Byś ty się w odkup ofiarował za nie —
A usłyszawszy to ziemi wołanie
Ty padniesz duszą w pokornianej skrusze
U rozstajnego obu światów proga
I w twą rozślaną tam przed Bogiem duszę
Spłynie wśród ciszy natchnienno głos Boga,
Wstań — i jak szermierz dobiegły do mety
Ze stóp twych strząśnij pył tego planety —
Wstań — i z miłości co gdy kocha, kona,
Odlatujące wznies w Niebo ramiona!
Wstań i do katów co spieszą ku tobie
Sam spiesz się naprzód i witaj tych gości
Cicho — spokojnie — błogo — w bezżałobie —

Litośnym wzrokiem twej nieśmiertelności!
Wtedy świadectwem skończ w przyszłość obfitem,
Śmiercią, bądź życia najwyższym wykwitem.

Co świat przezwiał snem i marą
 Uczyń jawem,
 Uczyń wiarą,
 Uczyń prawem,
Czemiść pewnem i ujętem,
 Czemiść świętem,
Co głęboko w serca
Jak sztylet się wwierca
I tkwi w nich bez końca,
Choć tylko je trąca
Westchnienia powieniem...
Aż świat twój morderca
Sam klęknie i wyzna,
Że Bóg i ojczyzna
Narodów sumieniem!

Gdy z krwi płynnej twego ciała
Myśl twa szkarłat będzie miała,
Myśl twa będzie — światła prądem,
Skrzącym w górze Bożym sądem
Nad bezbożnych dolną zgrają, —
 Jej nie dotrzymają
 Ni męże, ni działa,
 Ni kłamstwa, ni złudy
 Ni geniusz, ni chwała,
 Ni króle, ni ludy;
I o trzeciej dobie
Na męki twej grobie
Ze zdarzeń powodzi
Po nad klęsk otchłanie
Niezrodzone się narodzi —
Sprawiedliwość wstanie! —

DZIEŃ DZISIEJSZY.



Iluz ich zwiędło w samym życia Maju —
Czy w własnych domach — bez domu i kraju —
Czy na wygnaniu! — i milczeli długo
Z dziwnym uśmiechem nad zadziwem świata,
Co im chciał darmo Ojczyzną być drugą; —
Milczeli z dziwną litością przez lata —
Aż wpadli w niemoc; — lecz w skonu godzinie
Dan im wzrok w przyszłość cudowny — proroczy —
I ona Świętą widzieli na oczy,
Co nie zginęła i nigdy nie zginie!

Możem ja zasnąć — umarłem już może,
Dajcie mi pokój, przyjaciele moi:
Próżno mnie wskrzeszać — nic mi nie pomoże,
Nikt rany mojej, pod Niebem, nie zgoi.

Jam bardzo smętny — jam bardzo znudzony —
A jednak muszę pójść tą drogą ciemną,
Kędy z was żaden nie pójdzie dziś zemną, —
Zdejmcie mi z serca waszych uwag szpony!

Dajcie mym skrzydłom wybujać z tych cieśni,
Już i tak długo byłem z wami razem.
Wy życia tylko rozbitym obrazem —
We mnie brzmiały głosy nieznanych wam pieśni.

Na co czekacie? czegoż jeszcze chcecie
Czy żebym przystał, że dobrze na świecie?
Czy żebym płakał, że umieram młody,
Lub też zapragnął pośród ludzkiej trzody

Zostać i starzeć; — zaprządz się do pługa —
Wić się po ziemi jak ucisku sługa —
Czuć tylko w nocy — w dzień działać inaczej;
Niech Bóg wszechmocny przebaczyć wam raczy!

Nie pójdę w starych ojczyzny kościołach
Zasiąść do biesiad na braci popiołach
I katów zdrowie pić w Boga imieniu, —
Wolę tu skonać w zgrozie i milczeniu.

Czemu patrzycie takim dziwu wzrokiem,
Jakbym was urzekł szaleństwa urokiem?
Ja brat wasz — człowiek — ja na was spojieram
Z miłością brata — i cicho umieram;

I prawdę mówię pod skrzydłami śmierci:
Kraj wam trzy sępy rozdarły na ćwierci,
A sprządz go nazad wolą nie umiecie!
Z was niewolniki też dotąd na świecie.

Darmo z natchnieniem czyn pogodzić chciałem --
Ciało w myśl natchnąć i myśl stworzyć ciałem.
Ach! nie czas jeszcze z lotnej marzeń wstęgi
Snuć węzły życia i wieńce potęgi!

Nad grobem świętym — nędznych waśni sporem
Nie Chrystusowem płomieniem my gorem;
Jedni w bojaźni swej się zasklepili —
Drudzy żądają gwałtu w każdej chwili.

Śni się wrzeszczącym, -- że lud się przez rzezie
Rzeką krwi bratniej do Raju przewiezie!
Boże pioruny, nie ziemskie trucizny,
Z upadku martwe dźwigają ojczyzny!

A czy wy wiecie, wy, na podłość chorzy
Lub na bezrozum — gdzie ten piorun Boży!
On w piersi ludzkiej drga — i zwie się Miłość —
I on rozcina tu losów zawiłość!

Tem, że się brudem szatańskim nie plami,
Mści się straszliwie po nad szatanami.
Ryje na czole im potępień znamię
I z krzywd budowne cesarstwa ich łamie.

Wiedźcież gdzie zemsta, gdy tak zemsty chcecie.
Kto strachem wzgardzi, a nie tknie się zbrodni,
I wskaże światu świętość Polski — w świecie,
Ten w arcy-zemstę czyny swe zapłodni.

A czas zwyciężyć już, o przyjaciele!
— Nie rozumiecie może, dni za wiele
Na martwych myślach wyście przeigrali —
I na воск zmiękły wam serca ze stali. —

O pójdźcie — pójdźcie przez rodzinne sioła,
Przez łąk zielenie i przez kłosów fale;
Tam w kłosie każdym szemrzą ziemi żale,
Tam lilía polna o pomstę zawoła! —

Szum tylko borów słychać tam w przestrzeni
A w borach groby z zielska i kamieni,
A w każdym grobie męczennik spoczywa —
I nad nim sosna hymn umarłych śpiewa.

Na polach w okół tajemne grabarze
Kopią w głąb ziemię — i broń poszczerbioną,
Obrazy świętych i stare ołtarze,
Na pył rozbiwszy, rzucają w jej łono.

By nie stał żaden przed oczyma ludzi
Pomnik dni dawnych, — by ziemia ta cała
Nagim — bez krzyżów — cmentarzem się stała —
Gdzie z snu wiecznego mój lud się nie zbudzi.

Ach! u bram miasta — patrzcie — tam w dolinie,
Rota żołnierzy o brzasku godzinie
Strzelby nabija — i stoi — i czeka
Na wóz ten czarny — na tego człowieka,

Co zwolna jedzie w śmiertelnej koszuli
Skazan od sędziów by poległ od kuli,
Za to, że wygnan śmiał wrócić na łany,
Gdzie ojców rola i braci kajdany.

Starców i sierót lud za nim się tłoczy —
Słońce z za wzgórzów wznosić się zaczyna —
Dzwon z wieży słychać — to zgonu godzina;
Lud podniósł w Niebo obłąkane oczy!

On zstąpi z wozu, — on w jaskrawe słońce
Spojrzy jak orzeł i słów kilka doda:
— Chleb ten był gorzki i zatrutą woda,
Którą żył tutaj — teraz na tej łące

— Upaść mam ciałem jak nieczułe brzemie —
Jedna myśl tylko mej duszy się śniła —
Tę myśl jak ziarno rzucam na tę ziemię,
Niech dziś się skryje — by jutro odżyła. —

Gdzież jestem? mówcie! — co się zemną dzieje?
Ten obraz cały tak prysnął przedemną —
Mgła mi śmiertelna jakaś w oczy wieje —
Lud — łaka — miasto, zapada w noc ciemną —

Jakby mój naród zapadał w otchłanie!
Dni tylem płakał i prosił Cię, Panie,
O błysk nadziei! — Podajcie mi ręce —
Ja nie chcę skonać w tej Zwątpienia męce!

Trzymać mnie, ścisnąć — przykuć mnie do ziemi,
Ja tu chcę zostać z temi umarłemi, —
Lub nim odejdę, przeczuć w mojej duszy
Że duch zmartwychwstań ich prochy poruszy.

Mówcie co do mnie — już nic nie wiem zgola. —
Czy tam nie widać mojego Anioła,
Który obiecał — czy to mi się śniło?
Śnieżnem mnie skrzydłem przykryć pod mogiłą!

On stoi — widzę — niech chwilkę poczeka —
Co będzie z Polską? Patrzcie! — do człowieka
Całkiem podobny! Czyż to twarz Anioła?
Nie — to mój szatan, który na mnie woła!

Znam cię, dusz słabych siwy kusicielu,
Tyś przepsuł Wiarę — zatrul Miłość wielu;
Wiem — ty przyszedłeś w ostatniej godzinie
Mnie prorokować, że mój naród zginie.

Głos szatana.

Ja jestem rozum — ja jestem konieczność!
Nie czas mi bratem — ale siostrą wieczność;
A choć mnie ludzie przezwali szatanem,
Mój duch świat stworzył — i ja ziemi panem!

Ostatni jesteś z wielkiego plemienia,
Ostatni jesteś z bohaterów rodu,
Żyłś bez domu — umrzesz bez imienia —
Zwiany jest z ziemi ślad twego narodu.

Matką ci mara upadłej swawoli, —
A bracią twoją proch, co gnije w trumnie!
Życiem twem było — tylko konać dumnie,
Lub siać lzy marne na nicestwa roli!

Śmiercią trza umrzeć — śmierć jest poświęceniem —
Gdy niepojęta — tylko wtedy kara,
A gdy ją pojdziesz, rozumu ofiarą,
Przez zgubę części całości zbawieniem.

Tem bieży potok, że fale mijają,
Tem ogół stoi, że szczególnie płyną,
Tem ludzkość żyje, że narody giną,
I trwa tem wszechświat, że światy konają!

Lud twój się dostał drugiemu ludowi
Na krew i pokarm. — Ojców twych spuściznę
Wróg dziś przerobił na śmierć i zgniliznę;
On życie świata tą śmiercią odnowi.

Bo w piersi weźmie zagadkę przyszłości,
Którą rozwiązać — nie wam — było dano!
On ją rozetnie depcąc wasze kości —
Śpijcie na wieki wam noc, jemu rano!

Lecz ty — odpowiedz! — na coś z umarłemi
Zawarł przymierze? Czemu w blaskach słońca
Żyć nigdy nie chciał — lecz w czarnej zaciemi
Sny swe jak lampy rozstawiał bez końca?

Darmo się zżymasz — przegrałeś w tym boju —
Rozum na ciebie raz ostatni woła —
Przed koniecznością ugnij wreszcie czoła,
Zrzuc z duszy upór — a zaśniesz w pokoju!

Uznaj że dobrze — i mądrze — i święcie;
 Klęknij przed zgodą widomą w zamecie,
 Co sprzęgła razem w okrąg nieskończony
 Trumny pogrzebów i życia korony!

A w tem uznaniu schwycisz wieczność całą,
 Myśl twą pojednasz z naszej myśli chwałą,
 I wtedy będzie darowane tobie,
 Żeś wprzód nam bluźnił — płacząc gdzieś na grobie!

Jeden z przytomnych.

Jakkolwiek straszny ten czarny Jegomość,
 Zda się rozległą ma rzeczy świadomość.

Drugi.

Mógłby on dużo nam ująć cierpienia
 Przez myśl tę nową, co sprawy tor zmienia.

Trzeci.

Kołowrot w głowie — i tamto — i owo —
 Lecz czuję wielką odrazę sercową.

Głos umierającego.

Czemu bledniecie — obróćcie się ku mnie —
 Bracia, nie patrzcie w posępną twarz jego!
 — On duchem wprowadzie — ale duchem złego,
 Falsze więc prawi nadęto i szumnie.

Ach! gdzie mój Anioł — ten siostrzany — biały —
 Co miał przyjść po mnie — czemu nie przybywa?
 Sam głos twój tylko pieśń zgonu mi śpiewa —
 Lecz nie drzę, duchu — boś nędzny, boś mały.

Boś jedną tylko Wszechżycia połową,
 Niedopełnienie — wieczna twoja dola!
 — Z ust twoich płynie wiecznej śmierci słowo,
 Bo wiesz co przymus — a nie wiesz co wola!

Żądza serc wielu może pod mogiłę
 Zstąpić jak Anioł — i anielską siłę

Wlać w kość i popiół — nazad stworzyć naród;
Bóg w wolę ludzi rzucił cudów zaród!

Byle się nigdy w pychę nie spodliła,
W cud się zolbrzymi — wciąż wzrastając czynem!
Pycha — to karłów zbuntowanych siła —
Wawrzyn jej zwycięstw — na krótko — wawrzynem.

Taki dziś kwitnie na twych lubych czole —
Ich tryumf głosisz w człowieczeństwa kole!
Lecz wierzaj, duchu, — ciału bez idei
Nie zwiastuj nigdy nic, prócz — beznadziei!

Pogromcy wieków, na dziejowej niwie,
Tak jak my walczym — walczą nieszczęśliwie,
Jak my, po grobach żyją — nie na słońcu —
A czemuż, powiedz, ich wygrana w końcu?

Czemuż przed niemi, na wydarzeń polu,
Świat wreszcie zadrży z niewymownej trwogi?
Na Niebie — z niebios pospadają bogi, —
Na ziemi, cesar spada z kapitolu?

Bo wciąż się z tobą pasowali, duchu,
Gdyś na ucisków trzymał ich łańcuchu;
Bo wolni w wolnych głębokościach woli
Przysięgli wtedy — że i śmierć nie boli!

Coś nieznanego stworzyli pod słońcem —
Stworzyli hańbę na wieki, dla ciebie,
Stworzyli ciało wśród katów, — a w Niebie,
I krew z żył wziętą męczarni tysiącem.

Która wciąż świadczy o dobru i pięknie! —
Mówże, u jakich piekieł znajdziesz proga
Moc, co się woli praw strasznych nie zleknie,
Gdy cierpi w świecie — a poczęta z Boga?

I dziś jak niegdyś wytknięta jej droga
Łaską niebieską — i dziś zdoła wroga

Obalić ona — i zespoi razem
Słowo dni zbiegłych z przyszłych dni wyrazem.

Konieczność, duchu, jest sługą wolności.
— Ten żyć nie umie kto prawa nie rości
Myśl wieczną wcielać — ale w swoje ciało —
A kto męczennik temu się udało!

Zdejm z nas twój rozum bez czynu i woli,
Nie nam przydatny tylko tobie kwoli,
Byś karki ludzkie, jak podłe bydłęta
Na dół przeginał i kuł w hańby pęta.

Wieczna pokora w łzach i krwi—przed Bogiem —
Buntnieśmiertelny w łzach i krwi— przed wrogiem,
To los nasz — zakon — to nasze sumienie —
Przeszłości chwała — przyszłości zbawienie!

Idź innych zwodzić — Tyś duch cudzoziemiec!
Gdy zbrodnię jaki gdzie spełni morderca,
Wraz ją uprawnisz teorią bez serca; —
— Tyś idealny Moskal — chybaś Niemiec!

I prawdęś wyrzekł — ja żyłem na grobie!
Wszystkie kajdany wszystkich moich braci
Mnie skrępowały — zmarniałem w żałobie —
Lecz Bóg mi wstydem twym ból ten odplaci.

Zanim na łożu tem ciało me skona,
Zjawi się duszy mej dusza rodzona —
Zjawi się — wróci — obiecała przecie —
Raz mnie ostatni gdy żegnała w świecie.

Widzę, pamiętam — gasnąc na mem ręku
Tak mi przyrzekła — i zagasła w jęku!
Mówię ci, duchu, że z niebieskich błoni
Wróci tu do mnie i przyszłość odsłoni!

Precz ty uciekaj przed tem objawieniem,
Bo z ust twych wścieklizn lać się będzie piana,

Albo też padnij mi tu na kolana
I Polskę uczcij serca nawróceniem!

Coś ty mi radził, ja ci radzę teraz,
Radzę i szczerze; — wielu zwieść i nieraz
Jeszcze ty możesz, — lecz to nie wygrzebie
Z grobu przyszłości ni twoich, ni ciebie.

Za to, że wiarą twą — był topór kata —
Że twą pięknością — co podłe a harde —
Skazany jesteś na plwociny świata,
Skazany jesteś na wieków pogardę.

Patrzcie! — on znika — bracia! już go nie ma!
W sercach się waszych tylko strachu zima —
Na licu waszem tylko zwątpień znamię
Po nim zostało — ożyjcie, on kłamie!

Na walkę, bracia — na godność bez końca
Wyście skazani. — W ciepłym świetle słońca
Zwierzętom igrać; — lecz wam działać trzeba;
A przez czyn ziemi przychylicie Nieba!

Jam ciężko grzeszny — wyznaję — o bracia —
Bom dał zamieszkać w sobie tej żałości,
Co z czucia w końcu w krew się przepostacia
I myśl zatrutą przewcieli w szpik kości.

Mnie, smutek zabił — mnie gorzkie koleje —
Mnie, gwałt namiętnych, nieskończonych marzeń, —
Mnie, krok leniwy ognuśniałych zdarzeń —
Mnie, te dni naszych wciąż tak podłe dzieje!

Jam pił zanadto z krynic mętnych łzami, —
Za dużo trumien przeszło mi przed wzrokiem!
Wiek wołał — czekaj — rok ciągnąc za rokiem
Codzień świeżemi witał mnie trumnami! —

Wszystko, com kochał, w ziemi pogrzebałem,
Miłości moich — krzyże — tam po błoniach.

Gdzie blade jeźdźce śpią przy śpiących koniach,
Z orłem na piersiach — sennem, k'wawem, białem!

Gdzie leżą w węgiel rozsypane chaty,
A w bagnach rosną niezabudek kwiaty
I czajka woła — jak wprzód — na dzieci,
I słońce cicho nad równiną świeci!

Wszystko, com kochał, w ziemi pogrzebałem,
Ciężko mi — ciężko — pod wspomnień nawalem;
Czemu nie wraca moja utracona —
Ta, co mnie kocha za grobem — gdzie ona?

Nikt z was nie widział piękności na oczy,
Bo piękność dotąd gdzieś jeszcze w zamroczy!
Zwolna kwiat ziemi z toni wieków wzrasta, —
Lecz przyjdą czasy — lecz kiedyś się zjawi
Córka człowieka i Boga — niewiasta!
I męskie serca od śmierci wybawi!

Ach! ona była nadejścia jej wskazem —
Zorzą przecucia w ciemnych nocy kole,
Wolnej a świętej — odbitym obrazem —
Z Nieba dni przyszłych na tych dni padole!

Widziałem niegdyś jak wszyscy klęczeli
Plotąc jej z kwiatów więdniejących wieńce!
Ona, na sercu w krzyż złożywszy ręce,
Gardząc, mijała grono kusicieli.

Jak mgły pod słońcem szaty się jej śnieżą,
Na ciemnych włosach z jasnych róż korona,
I z czarnych rąbków na głowie przesłona,
Pod którą róże — jak w śnie smutku — leżą.

I tak szła zwolna przez tłum ludzki cały,
Jak siostra zmarłych — milcząca z żywymi,
Jak córka bogów — samotna na ziemi,
Duch —wszystek z bólu i z promieni chwały!

Ach! teraz wszystkie — te wszystkie obrazy
 Wałą się na mnie jak grobowe głązy,
 Mówcie mi, bracia — spokojne pacierze —
 W ostatnich zgonu podrzutach już leżę!

.

Chór przyjaciół.

Umilkł — już skonał — na grobie mu wieniec
 Z cierniów złożymy i napis pod spodem:
 „Choć żył na ziemi — nie był z ziemi rodem;
 Los jego -- rozpacz — a imię — szaleniectwo!”

Jeden z przytomnych.

Co też za życie tego człeka było!
 Ciągłe mu tylko w mózgu się roilo!
 O nieskończonych błękitu obszarach,
 A tu na ziemi o kochanek marach —
 I o Ojczyźnie!

Drugi.

To był patryota!

Trzeci.

Nie ma co mówić — lecz to stara cnota!

Czwarty.

Cenię go mocno — ale ganię za to,
 Że nigdy nie był dość arystokratą,
 Bo tylko silny pierwiastek takowy
 Może kraj podnieść w byt lepszy i nowy.

Piąty.

Cenię go mocno, — lecz nie cierpię za to,
 Że nigdy nie był dosyć demokratą,
 Bo tylko ostry ten pierwiastek zdoła
 Ze zgniłych wyrwać nas przesądów koła. —
 Tuszę, że Polskę niechybnie uzdrowi,

Każdemu rzezią grozić szlachciców,
 A potem — później — jeśli będzie trzeba —
 To i dać paszport Ichmościom do Nieba!
 Krwi sobie utocz — gdy stoisz nał grobem, —
 W łeb sobie wypał — kiedyś mocno chory, —
 Takim się Francuz wciąż leczy sposobem,
 A zdrów i silny, — z niego więc brać wzory!
 Żadnych półśrodków, — precz z niemi do kata,
 Wolność i równość *et cetera* świata;
 — Wreszcie komunizm — co bądź — wszystko jedno —
 Bylem Ojczyznę uratował biedną!
 — Wszak tak, Panowie?

Szósty.

Mylicie się srogo —
 Będzie nam tylko z panslawizmem błogo!
 I oszukamy tak gracko Moskali,
 Że ujrzą w końcu, iż my się dostali
 Do steru rządów. — Wtedy krzyknąć: brawo!
 Oni nam będą — a nie my im strawą!
 Tak sztuki stanu radzi polityka!
 Żal mi niezmierny tego nieboszczyka,
 Że się z tą prawdą minął oczywistą —
 On był powinien umrzeć panslawistą!

Siódmy.

On był powinien umrzeć komunistą!
 — Pozwólcie chwilkę — nad tym trupem — szczerze
 Powiem wam, bracia — w co ufam, w co wierzę.
 By zrzucić ucisk, nie łez nam i pisku
 Ale gorszego trza jeszcze ucisku!
 Despotyzm zbijesz tylko despotyzmem,
 Nie liberalnym żadnym krytycyzmem!
 — Czem postępować? — Nie zważać na prawa,
 Kiedy gdzie jaka przyjęta ustawa
 Celom się twoim na nic nie przydawa!

— Czem znów genialność? Ot, w jednym momencie
Przełamać naród w odmienne nagięcie,
I wciąż twórczości trzymając pochodnię
Czuć się nad wyrzut wyższym i nad zbrodnię!
Cnotliwym ludziom zanadto wygodnie —
Żadnej wewnętrznej nie spełnią ofiary —
Nie narażają się na zgryzot mary,
Nie chcą się shańbić i skalać dla ludu
Jak *Saint-Just* — *Marat* — ci dwaj święci brudu!
I są spokojni nawet na szafocie!
To — moralności jakby wielkie pany
Co chodzą w uczuć jedwabiu i złocie!
A co z tej cnoty — gdy kraj podeptany?
Uwagam ona zrobił mimochodem, —
A nią dowiodłem, że gdy twórczość każe,
Słuszna wziąć nawet przemoc nad narodem,
I że tyranią marząc, źle nie marzę.
Niech się wam serca zbytnie tu nie zrania:
Bo oczywiście komunizm tyranią!
Ni takiej znają niewoli na świecie
Ci, których Turek albo Chińczyk gniece!
Przed komunizmu dopiero obliczem
Każden szczegółnik w społeczeństwie — niczem!
Własność przepada — twe włosy — twa skóra
Nie twe — lecz rządu; — to mi dyktatura!
Aleć wiadomo — sławiańskiej natury
Normalnem prawem — żądza dyktatury!
Myśl, pot, grosz wszystkich, przez władzy przetaki
Wciąż przelatuje, — i władzy tartaki
Wciąż kraj piłują — ot! centralizacya!
— Nie dość krwi tylko chcieć jak demokracja; —
A któż krew przyjmie za co gązie w zapłacie?
Wprzód niż krew — pieniądz wojnę rozpoczyna, —
W skarbie drga zwycięstw ukryta sprężyna —
A skarb oparty na dóbr konfiskacie!
Rząd gdy jedynym właścicielem będzie,
Zaraz się zjawi moc i pogrom wszędzie!

Ci wywłaszczeni wszyscy, w jednej chwili
 Jak lwy się będą — obaczycie — bili!
 Nic tak człowieka w animusz nie wpędza
 Jak zwrot do stanu zwierząt — głód i nędza!
 Mnie się to widzi lekarstwem jedynem!
 Stare przysłowie: klin wybijać klinem.
 Więc dla mass wynajdź jakby kształt caratu,
 Więc podnieś Moskwę jakby do kwadratu,
 A taką Moskwą obalisz Moskale,
 — Piekłem na piekło. — Tak duch świat ocala!

Ósmy.

Patrzcie panowie, — na tej zgasłej twarzy
 Jakby sen dotąd cierpienia się marzy!
 Choć oko szklanne — choć jak z glazu wargę —
 Z ust i z ocz płynię jeszcze na was skarga. —
 Od wszelkich stronnictw napuszonej mowy
 Pełniejsze życia — milczenie tej głowy,
 Na której rysach się ból narodowy
 Rozpostarł wszystek, — on ból, co od wieka
 Każdego w Polsce rozdziera człowieka!
 Błogosławiony on ból — co dowodem
 Nieśmiertelności — bo już z grobu rodem!
 On ból czyścowy — opatrzny — obrończy
 Co nas rozbitych, jak religia, łączy,
 Aż cud niezaznan w świecie zeń wykwiła:
 Pośmiertna polskich dusz Rzeczpospolita!
 — Z takiej tajemnic i ofiar głębin
 Świętsze, ja tuszę, i prawdy i czyny
 Wyjść na jaw muszą, niż gwałt, konfiskata —
 Lub rzeź gdzie jaka, — czci — sił — czasu strata —
 Małpiarstwo tylko starych zbrodni świata!
 Co wy myślicie — ty i ów — i drugi?
 Zamiarów Bożych nieświadome sługi!
 Wy źdźbła przyszłości, z których każde śmiało
 Prawi o sobie: Jam przyszłością całą!
 Wy mędrcy — twórcy — wy krzykacze — zuchy, —

Wielkiej idei studenty — nie duchy!
Żaden z was kraju pod dłoń swą nie zgarnie:
Nie na toć naród zniósł takie męczarnie, —
Nie — nie zwycięstwem stronnicych mierności
Kończą się sprawy, w których Bóg sam gości!
Lecz myśl się Boża tutaj dobrem zowie —
Dobrem zaś tylko jest dobro, panowie!
A brud jest brudem — myj go sofizmami,
Pierz i lat tysiąc — on zawsze cię splami!
Wszystko co chwila rusza się i zmienia,
Prócz w piersiach ludzkich — ludzkiego sumienia!
Tu, wynalazków — daremna ochota!
Środków działania i w myśli i w ciele
Masz do odkrycia nieskończenie wiele,
Lecz jeden tylko w sumieniu tkwi: cnota!
Inaczejś bracie — nie człowiek — lecz zwierzę!
Oto, panowie, w co ufam i wierzę. —
Żadna genjalność w tym razie nie nada,
Bo to nie moja, ni twoja zasada —
To prawo światów co światami włada!
To nie sławiańskiej wynik dyktatury,
Lecz Bożej w ludzką zstąpionej natury!
A nieboszczyka owszem chwaleń za to,
Że komunistą, ni arystokratą,
Ni panslawistą, ani demokratą,
Ni jakimkolwiek bądź innem przezwiskiem,
Co z klęsk ojczyzny tylko pośmiewiskiem,
Nie zwał się nigdy. Jeśli jakim znakiem
Znaczyć go chcecie, — zwijcież go Polakiem,
Bo kochał Polskę oną wiekuistą,
Ziemsko-potęzną — i anielsko-czystą,
W której się zaród wieków szlachetności
Tak dowielmożni i tak dochrześciani,
Że z niej się stanie jak duchowa Pani
Innych narodów. — On żył w tej miłości
I w niej też umarł. Serce jemu wrzało
Goręcej w piersiach niż u innych ludzi!...

Dziewiąty.

Kogoż już teraz taki zapal złudzi?
 Praktyki trzeba — sercem żyć za mało.

Dziesiąty.

Aha! tak — prawdę mówi obywatel;
 Poszło już serce teraz w rząd bagatel;
 I lepsza jedna z Londynu młockarnia
 Niż poetyczna wszystkich dusz męczarnia.

Chór.

Nie traćmy czasu — bo życie praktyczne,
 Którym żyjemy, liczy w sobie liczne
 Zajęcia. — Zatem gdy już dni na Niebie,
 Bądź zdrów umarły — pożegnamy ciebie!

Głos umierającego.

Dzięki wam ludzie! — jam nie skołał jeszcze!

Chór.

Jak! — Co? — ty żyjesz?

Głos umierającego.

Ja z śmiercią się pieszczę!
 Ból zwątpień przeszedł — noc ducha ustała —
 Coraz mi płynniej cięży ciężar ciała,
 A już nie marzę, nie walczę, nie mdleję —
 Cały w błękitną zmieniam się nadzieję!
 Słodko umieram — słyszę głos Anioła —
 Głos wiosen moich — głos tak dawniej znany, —
 Wiecznie pamiętan i wiecznie kochany,
 Tu, — przy mnie — wszędzie — nademną — dokoła!

Chór.

Nic my, na honor, nie słyszymy zgoła.
 Cieszy nas tylko, że cię myśl wesoła
 Cieszy w tej chwili — winszujemy tobie!
 Może się kryzys w twej zjawi chorobie. —

Głos umierającego.

O, ty nademną tak się kołysząca,
O, ty coś piękną pięknością bez końca,
Bo wiesz już Pana niebieskie wszechcele —
I na twem licu tej wiedzy wesele. —
O siostro! błagam cię — słuchaj — niech oni
Ujrzą cię także — niech światło z twych skroni
W pierś im przypłynie — niech głos twój usłyszą!
Nastrój ich myśli ducha twego strojem,
By wrzask ich niezgód stał się odtąd — ciszą,
I walczyć mogli zwycięskim już bojem!
— A co — widzicie?

Chór przytomnych.

Jakież ciebie лихо
Znów opętało? Lecz spokojnie — cicho.
Wnet ci się nerwy wściekłym skręcają spazmem,
Gdy z takim będziesz gadał entuzjazmem.

Głos umierającego.

Czy ty mnie słyszysz? Siostro, błagam ciebie!
Zjaw się im wszystkim, tu, nagle, od razu!
Może ci na to Bożego rozkazu
Potrzeba — proszę — prosz Ojca co w Niebie
By ci pozwolił — módl się — módl — mów: Panie
— O co mnie błaga mój brat, niech się stanie. —
Nie bój się, — dobry jest Pan — On pozwoli
Byś im zwiastunką była Jego woli, —
Byś słowom moim w mej śmierci godzinie
Dała świadectwo, które nie przeminie!
Bóg ciebie kocha, boś kochała wiele,
Najnieszczęśliwsza z niewiast człowieczeństwa
Niewiasto Polska niegdyś. — Ty męczeństwa
Duszo i iskro — a dzisiaj Aniele!
Słuchaj ty — wymóż to na sercu Boga —
Uczyn to dla mnie, o siostro! o droga!
— A co — widzicie?

Chór.

Wciąż się ludzisz marą!

A nasze oczy widzą co widziały —
Ten pokój, lampą wpółoświecon cały;
Fortepian — stolik — po ścianach broń starą,
A pod tem oknem ten splot róż co wzrasta
Z tych donic kilku — wreszcie piec — i basta!

Głos umierającego.

Prawda, że wszystkiem dotrzymałaś wiary!
Póki na ziemi — kochałaś do zgonu, —
A teraz z góry aż z pod Boga tronu —
Przez zagrobowe wróciłaś bezmiary,
I czekasz na mnie — i stoisz przedemną —
By mnie wprowadzić w noc grobu tajemną!
Prawda, o siostró! a to wszystko na nic. —
Słuchaj — niech raczej w tę otchłań bez granic
Spadam bez ciebie — niech bez twej opieki
Tam błądzić muszę — może błądzić wieki —
A w zamian żądam, by im się twa postać
Ukazać mogła i słowo twe zostać
Z nimi wszystkimi. — Spiesz się — wszak cierpienie
Me widzisz! spiesz się, ja woli nie zmienię!
Nie me! mi moje zbawieniem zbawienie,
Lecz ich i Polski. Było zostać raczej
Gdzieś była, Siostró — bo pomódz inaczej
Mnie ty nie zdołasz. — Krótka nasza radość,
Jeśli mej prośbie nie uczynisz zadość!
W jaki bądź zaświat odejdzim oboje,
Ścigać mnie będą zgryzot niepokoje,
Żem już gdzieś z tobą schroniony i żywy
A kraj mój Polski dotąd nieszczęśliwy;
A oni wszyscy wciąż w kłótni i w błędzie!
I choćby w Niebie — źle mi w Niebie będzie!
I będę gorzki — i będę okrutny —
I ty choć anioł, będziesz anioł smutny;
Aż patrząc na mnie krzykniesz: „Nieszczęśliwam.“

Więc mnie wysłuchaj — raz jeszcze cię wzywam,
Wysłuchaj, siostró — patrz! — już dogorywam!
— A co — widzicie?

Chór.

Co to za muzyka?

Strun niewidzialnych szum dźwięczy w przestworze
I dźwięk nam każdy wskroś duszę przenika.

Głos w górze.

Wszechświęty Ojczy, Synu, Duchu — Boże!
Dziękuję Ci, Panie, żeś w ostatniej chwili
Dał znów być razem tym, co razem byli
W życiu przeszłości; — na ziemi on bratem
Był mi, a teraz go z umarłych światem
Przyszłam pobratać; — lecz nim mu ust pieniem
Duszę odwiążę — i jednym westchnieniem
Porwę go z sobą — wysłuchaj mnie, Panie!
Niech serca jego spełni się żądanie!

Jeden z przytomnych.

Już nie dźwięk tylko — wyraźnie brzmia słowa.

Głos umierającego.

Czemu się jeden za drugim tak chowa?

Jeden z przytomnych.

Słowo honoru! gdybym wierzył w Boga,
Toby mnie zdjęła w tym momencie trwoga! ..
— Daruj mi, Boże! padam na kolana!

Inny.

Jakby w płomieniach cała stoi ściana!
O Jezu! biję się w piersi żałością;
Zgrzeszyłem, Jezu! — Jakżeż blask ten rośnie!

Głos umierającego.

A co — widzicie?

Chór.

Oszalejem wszyscy!
 Czy my zbawienia czy też zgonu bliscy!
 Widzim, ach, widzim bielejące szaty
 I skrzydła widzim — i na głowie kwiaty —
 Tyś prawdę mówił — twoja ach! wygrana!

Głos w górze.

I będzie Polska — będzie w imię Pana!

Chór.

Umieramy po kolei!
 Serca nasze, jak tłum liści
 Gdzieś niesionych wśród zawiei
 Opadają w dół zawiści;
 Rwie nas w górę wir nadziei, —
 Umieramy po kolei!

Głos w górze.

Będzie Polska w Imię Pana!

Chór.

Gdzie dusz naszych wieczna rana!
 Już nas wewnętrzny ból nie gniecie!
 Piersi skaczą — myśl pijana
 Od radości, co nieznana!
 My umarli już na świecie!

Głos w górze.

Będzie Polska w imię Pana!

Chór.

Wszystko w okół — gdyby rajem —
 Wszystko wewnątrz — gdyby siłą —
 Tak nam dobrze — tak nam miło —
 Święty Boże! zmartwychwstajem!
 Pierś do piersi — do rąk ręce —
 Zesplatajmy się jak wieńce
 I rozwieńczmy się nad krajem!

Coraz jaśniej przed oczyma —
 Jednym duchem już się stajem —
 Tam gdzie miłość — Śmierci nie ma
 Ach! kochajmy się my wzajem! —

Głos w górze.

Będzie Polska w imię Pana!

Jeden z chóru.

Mgła przyszłości z serc nam zwiana,
 Alleluja! — wraca życie;
 Ojców duchy! czy słyszycie?
 — O wy, niegdyś bardziej z Bogiem
 Niżli Franki — niżli Niemcy —
 W każdym czynie czuciem błogiem
 Zbawiciele lub rozjemcy!
 Wy zdobywce — lecz Uniami,
 Których ludzka krew nie plami —
 Wy pogromce — lecz tyranów,
 Schizmatyków lub poganów!
 Przez dziesięciu wieków burzę
 Europejskich bram — wy stróże!
 Króle, wodze i rycerze
 Weszli z światłem w wszechprzymierze;
 Przeciw nocy, wiecznie ze dniem
 Czy pod Moskwą — czy pod Wiedniem; →
 Wy — jak w dziejach sny niebiańskie —
 Wy — godzące sprzeczne tory,
 Męczenniki wy chrześcijańskie
 I rzymskie tryumfatory!
 O! natchnijcie nas w tej chwili!
 Wprzyszlć przeszłość — oto pora:
 Niech skra wasza, co w nas chora,
 W płomień zdrowia się rozsili —
 Z głębi ludu — szlachty ród
 By wczłowieczać w ludzkość — lrd,
 Na to, z Bożej ją opieki

Wybierały los i wieki!
 Póki przodem przed narodem
 Poświęcenia stąpa chodem,
 Żadna rana w pierś zadana
 Jej nie zmoże; nie pochowa
 Żadna otchłań Kurcyszowa —
 Z tych otchłani — ona rodem!
 — O Aniele! patrz Aniele!
 My tu wszyscy jedną bracią,
 A kto ofiar spełni wiele
 Ten na ofiar pała czele,
 I to — arystokracją!

Głos w górze.

Będzie Polska w imię Pana!

Drugi z chóru.

O ty śliczna — oświetlana —
 O motylu ty mój Boży!
 Niech się serce me roztworzy
 U stóp twoich. — My nie kaci
 A wyrzynać chcieli braci!
 Ach! bo błdzić — to rzecz łatwa,
 Kiedy myśli smutek gmatwa;
 Cudzoziemiec plół nam dziwy:
 Że gdy szlachtę kto pogrzebie
 Ten na wieki już szczęśliwy; —
 Aż ja wieszać chciał i siebie —
 Bom sam szlachcic — jak Bóg żywy!
 O Aniele! — ja szalałem —
 Jużci szlachta u nas głową —
 — W niej mózg kraju — a lud ciałem;
 Zetnij głowę narodową,
 Cóż zostanie z pod obucha?
 Kadłub tylko — co krwią bucha
 Aż się wrogom do stóp zwali.
 I po tylu wiekach trudu

Ojczystego kadłub ludu
 Będzie grzeban przez Moskali!
 A pogrzebią go w koszary —
 Pod carskimi tam sztandary
 Trupa pocznie się zgnilizna. —
 W rój moskiewskich się żołnierzy
 Przerobaczy — sprzeniewierzy —
 Taka z mordu nam Ojczyzna!
 O Aniele! — aż strach bierze,
 Żem tak długo żył w tej wierze.
 Gwałtu — ratuj — co się znaczy?
 Jak w śnie wszystko się majaczy; —
 Czy to głos mój? — ktoś mną włada —
 Ktoś przezemnie inny gada!

Głos w górze.

Nie opieraj się daremno —
 Co oglądasz, mów

Drugi.

Źle ze mną!

Krew się wzdyma przed oczyma —
 I szumi i wali,
 I falą po fali
 Posuwa się dalej. —
 Bładych ciał połowy —
 Ręce — nogi — głowy —
 W głowach — w piersiach — kosy noże;—
 Z czerwonych strumieni
 Jeziora czerwieni —
 Z jezior — jeden morze —
 Wielki Boże!

Kędy spojrzeć — wszechprzestrzeni
 Krew kołysze się i pieni!
 Już od pian tych rudej pary
 Mrok w powietrzu rudoszary —
 Sklep Nieba, po szczyty

Tym kirem obity —
Pośrodku — twarz słońca
Jak lampa gasnąca —
I zgasła nademną —
Jakżeż teraz ciemno!
Tylko tam gdzieś na chmur łonie
W ładu stronie
Zorza płonie;
Tam w oddali
Świat się pali!
Z płomienistych łun — w przestworze
Jak drugie krwi morze —
W dole gruzów trzask, —
Nad łoskotem huczy grzmotem
Stutysiąców wrzask!
A tu bliżej — w łun obwodzie
Na szkaradnej onej wodzie
Oto wiosła płask, —
Setne płyną łodzie —
Wszytkie płyną w brzegu stronę
Bagnetami najeżone;
— Bagnetów tysiące —
Działa --- łąty tłące —
Wśród dział, trony i korony —
Flag purpury — i mundury: —
— To króle Europy!
Ha! na mordu fali
Jedni się zostali
Królowie i chłopcy!
Szparką jadą ci mocarze —
Wesołe ich twarze —
Prosto — prosto w te pożary
Przez te krwi obszary
Wiosłują wiosłarze!
I żelazo tych żołnierzy
Uderzy — uderzy
W chłopów ród!

I będzie się pasowało
Z ślepem ciałem — ślepe ciało
Z brudem — brud!
I będzie świat cały
Nad grobowym progiem
Bez Boga!
Ostatnim mu Bogiem
Wszecetrwoga!
Przed strachu bałwanem
Zgniją ludzkie serca!
Wieku tego Panem
Kat — szpieg — i morderca!
Na przemiany wszystkie klęski —
Dziś motłoch zwycięski
Jutro górą król; —
Wszędzie wstyd i ból —
Widnokreżna podłość wszędzie —
I nadejdzie dzień,
I wyciętej w pień
Żal nam szlachty będzie!

Głos w górze.

Zbudź się — zbudź się — w imię Pana!

Drugi.

Światłość jawu mi oddana
Aż się jeszcze trzęsę, pienię —
Kto w mych piersiach mówił za mnie?

Głos w górze.

Twój drugi Ty — two sumienie,
Co nie mówi nigdy kłamnie. —
Każden w sobie ma olbrzyma,
Który z prawdą — nie z nim — trzyma;
Wszecmoc drzemie — w tym olbrzymie —
Jemu — Wieczny Cud — na imię!
Gdy opisze ciebie kołem
Twoich własnych żądz i myśli.

Tak płomiennie ci je skreśli
 I rozwiesi po przed czołem,
 Że w nie patrzysz ócz twych wzrokiem!
 Wtedyś sobie sam -- wyrokiem --
 Wtedy bywasz -- i prorokiem!

Drugi.

Serce pękło -- myśl strzaskana!

Głos w górze.

Będzie Polska -- w imię Pana!

Trzeci z chóru.

O ty jasna -- Bogu miła,
 Choć mi każda mózgu żyła
 Wstydu żary na twarz cedzi,
 Rwie mnie spojrzeń twoich siła,
 Klękam -- klękam -- do spowiedzi.
 Dusza tylko się została
 Narodowi co -- bez ciała --
 Bóg tej duszy rosnać każe
 Po nad wszystkich klęsk cmentarze;
 Jej to straży powierzona
 Niw sławiańskich wszechobrona!
 A ja właśnie do niej -- do niej
 Zawolałem w burz godzinie:
 Patrz! nóż błyska -- pieniądz dzwoni --
 Od niemieckiej sprosnej broni
 Krew twych synów płynie. --
 Zrzucaj z czoła cierniów wieniec --
 Zstąp ty z krzyża gdzieś męczona,
 Stocz się w cara, stocz ramiona --
 On twój odtąd -- oblubieniec!
 Był ci wiecznym kusicielem --
 Był zatracicielem; --
 Zebrz -- niech będzie dziś -- mścicielem!
 Konieczności taka droga --
 Już czasy łaskawsze
 Nie przyjdą od Boga --

Zesamobójcz się — na zawsze!
Zatrac myśl twą — i jej godła —
 Z wiar twych tajemnicą
 Rozwiedź się — wietrznico!
Zeschizmatycz się — ty podła!
 Całuj, lubieżnico
 Łańcuchy i bicze!
Zwij siostrami — pustyń dzicze!
Wszystko snem jest — coś kochała —
Snem twa cnota — cześć — wstyd — chwała;
 Zemsty jedną chwilką
Ukój boleść niewyleczną —
 Zemsty żądaj tylko
 I giń — śmiercią wieczną!
A być może iż traf ziści,
Że z bezedni tego błota
Jakie wznijdą i korzyści —
Polska zdatność a ochota
Górę wezmą. — Będą jeszcze
Z nas — po carstwach — urzędniki
Radcy stanu — pisarczyki —
A u dworu — dworu wieszczę;
Trzeba — trzeba, gdy los woła,
Z człowieczeństwa wyniść koła,
Z Chrystusowej zejść Kalwaryi
Do moskiewskich kancelaryi...“
Miłosierdzia — o Aniele!
Ja upadam — to za wiele —
Niepodobna ciągnąć dalej —
Mózg na węgiel mi się spali, —
Daruj — daruj — ja tak szlocham
I tak Polskę moją kocham;
Na tej rzezi bratniej polu
Jam był rozum stracił — z bolu!
Lecz dziś dusza odzyskana —
Świadc mi sama, o przeczysta,
Żem nie Moskal, panslawista!

Głos w górze.

Będzie Polska, w imię Pana!

Czwarty z chóru.

I ja płaczę, cudna Pani,
I ja łaknę przebaczenia! —
Ach! nie rozum, w klęsk otchłani,
Sercem stracił był — z cierpienia; —
Więc człowieka się połową
Stałem tylko — tylko głową!
I ta głowa, sierzając skronie,
Słów nie swoich brzmiąca echem,
Z pysznym — zimnym — dzikim śmiechem,
Tak wrzeszczała w braci gronie:
„Lat tysiąców fałsz już zbity,
Rozwiązane Wiary Mithy —
Wszech-idea wiekuista,
Wszędobecna — wszędojedna —
Lecz siebie bezwiedna,
Lecz bezosobista,
Absolutną matką — ducha!
I ta wielka — ślepa — głucha,
W kształt się ludzki ubrać chciwa,
Dialektycznych sprzeczni rojem
Przez naturę wskroś przepływa,
Aż się stanie w łonie mojem
Świadomością i ustrojem!
Ją to niegdyś Bogiem zwano —
Lecz się grubo omylono —
W niej pierwiastne tylko ciemnie,
Co brzmią błędnych czuć szelestem —
Dźwięk dopiero spełny — we mnie!
Ja Bóg, bardziej niż Bóg, jestem!
Jam ostatni kres wszystkiego —
Wszechświat ku mnie tęskni — zbiega —
Jam kwiat dobra — jam kwiat złego —
Jam jest Alfa i Omega!
Lecz mnie jednak na wsze strony

Pierś mej matki opierścienia —
Oczywiście — z niw istnienia
Wracam w byt jej nieskończony. —
Nicość czeka mnie — po zgonie!
Każden człowiek się z kolei
Znów roztopia w wszechidei
Jak kropelka w morza łonie!
O zaświaty tylko pyta
Filozofia pospolita. —
Takie, bracia, wam odkrycia
Ja od pruskich niosę włosci;
Wiecznej myśli — brak jest życia —
Nam żyjącym — brak wieczności —
Poprzysięgam — choć się zżyma
Serce wasze — nie ma, nie ma
Boga, ni nieśmiertelności. —
Ludzkość tylko się odradza —
W duchu ludzkim więc — wszechwładza!
Jak Jehowa rządził stary
Dziś ja rządę wśród stworzenia —
 Burzę wiary,
 Spuszczam kary,
Na śmierć znaczę pokolenia!
A ze śmierci tych nasienia
Wyższej myśli wstaną ruchy!
Trzeba krwawe pchać ostrogi
W przyszłych wieków gnuśne brzuchy —
Żelaznemi niech kopyty
Roztratujać stare byty!
Tak w Historyi jeżdżą bogi!
 Gdyby nie te jazdy
 Postępu by gwiazdy
 Nie błysły nad światem, —
Czyn mój miłosierny zatem
Oto prawda rzeczywista
Tak jakem Heglista!
Zastosować tylko święcie

Nam do Polski to pojęcie!

Kto posiada

Temu biada!

Egoista!

Ja rozumem jemu świecę —

On opiera się logice —

Ślepotą zuchwała!

Lecz upor ten skruszę —

Zrównam wszystkie ciała —

Zrównam wszystkie dusze —

Będzie sławy karta;

Choćby rozwiać gmach w perzynę

Ja się stwarzam — w Katylinę —

Chcecie? — w Bonaparta —

Chcecie? — to i w Chrysta —

W co bądź... Hej! — ja komunista!“

Tak krzyczałem — tak — o Święta!

Nie bądź — nie bądź mi za sroga —

W myślne Niemców skutę pęta

Ach! wyznaję — jak zwierzęta

Już nie czułem w okół Boga!

Choć mnie ust twych uśmiech rani,

Nie odwracaj się, o Pani!

O patrz ku mnie, Światłolita —

Wzrok twój w Niebo chwyta!

Wiem już, wiem, wiem — wszechubóstwem

Być samemu sobie bóstwem!

Nie rozślubi żadna siła

Co myśl Zbawcy ześlubiła. —

Nie my sami wiążem siebie —

Duch nas Boży wiąże — bratni.

W nim moc pierwsza — cel ostatni —

Ojcem ojczyzn — Ojciec w Niebie —

Królem dziejów — jeden On;

Ja mych braci, tylko brat —

Mnie niewolno rzucać w świat

Ból i zgon!

Źle Ojczyznę — źle kochałem: —
Polska dzielność
Wierzyć tchnieniem piersi całem
W nieśmiertelność;
Źle Ojczyznę — źle kochałem!

Głos w górze.

O boleści — o gorycze —
Waśnie — dumy —
Bezrozumy:
O serca stronnicze!
Wina skrusze — darowana;
Będzie Polska w imię Pana!

Głos umierającego.

A tych kilku — patrzaj siostró —
Przemów do nich — przemów ostro —
Nie zgrzeszyli smutku szaleń —
Ale hańbą — ale kałem;
Gdy nad matki krwawem ciałem
Kirgizowa jazda tętni,
Oni hyl! — obojętni!

Głos kilku.

O my bardzo biedni — marni —
O my nędzni — ślamazarni —
My bez zbrodni i bez cnoty!
Nam się śniło w śnie ślepoty,
Że car blizki — Bóg daleki —
I że naród śpi na wieki!
Więc już tylko — wśród niewoli,
Do przemysłu — handlu — roli —
Do dróg bitych — do farbiarni;
By utuczyć — co zostało
To — bez ducha — nasze ciało!
O my biedni — ślamazarni!

Głos w górze.

I wam daję pokój pański,
 Pokój święty — chrześcijański; —
 Lecz słuchajcie — azaż wiecie?
 Zanim wynieśmiertelniałam,
 Polską żyłam na tym świecie —
 Wtedy wami pogardzałam!
 I to wraca mi wspomnienie,
 Gdy wam głoszę — przebaczenie!...

Chór.

Odrodzeni — świeży — nowi —
 Czy męczeństwem — czy żelazem,
 Wszyscy walczyć my gotowi —
 Przebacz wszystkim — równo — razem!

Głos w górze.

Przez was myśl swą Pan zeżniwi!
 I będziecie żywi;
 Lecz bądźcie cnotliwi!
 Po kryształach — światło Boże! —
 Sam Wszechmocny kłaść nie może
 W pierś nieczystą — wieków zorzę!

Chór.

Ach! z rozpaczy — nasze błędy —
 Nim dokoła rozwiośniały
 Nim promienie twojej chwały
 Okolała nas śmierć wszędy!
 Prawem władnem — po nad nami
 Wiek ten uznał — wszechbezprawie;
 W europejskich państw ustawie
 Nam kazano — żyć zbrodniami, —
 Nam kazano — być szpiegami; —
 Nam kazano — wydać syna,
 Wydać ojca — wydać brata,
 Gdy syn — ojciec — brat przeklina
 Niechrześcijańskość tego świata. —

Kto z nas wyznał świętą Matkę,
 Kto czyn poniósł jej w ofierze,
 Ten jak dzikie ścigan zwierze
 Od mórz włoskich — po Kamczatkę!
 Ach! okrutnie — ach! nieznośno —
 W Bożej nawet już świątnicy
 Imię Polski — rzeczą sprośną; —
 Tylko imię to rzec głośno
 Wolno było — z szubienicy!
 Sprzysiężona ludzkość cała
 Cześć i życie wziąć nam chciała!

Głos w górze.

Jej zapłaćcie — jak Syn Boży
 Jej zapłacił przed wiekami; —
 Za krzyż — wszechdobrodziejstwami —
 Niech wasz przykład — ją przetworzy! —

Chór.

Już nam widno — już nam wiedno —
 Tak do Polski — jak do Pana
 Iść się musi — drogą jedną,
 Tą, co nigdy — nieskalana!

Głos w górze.

Wszechświęty Ojcze, Synu, Duchu — Boże!
 Twej łaski, Panie, potrójnej nad niemi!
 Niech im zrozumieć w tym dniu dopomoże
 Jak sam ich wiodłeś ścieżki tajemnymi. —
 Łaski Twej — łaski — miłości Twej, Panie!
 Oto już dawnych wyrzekli się kłótni —
 Oto już drgają — na Twej pieśni granie
 Jak struny różne — a tej samej lutni;
 O! przyspiesz czasy! niech przez tych strun dźwięki
 Wieku przejściowe zakończą się męki;
 By świat ten poznał — że sąd i zadrata
 Na wieki mieszka w każdej zbrodni świata, —
 By świat ten poznał — że Twoja uroda
 Zejść i na planet potrafi niziny —

By świat ten poznał -- że w końcu nagroda
 Uwieńcza tylko poświęcenia czyny. —
 Bo kiedy próba minęła znikoma,
 Znów chwale Twojej w Twojej Polsce — doma!
 A teraz, bracie mój dawny, jedyny,
 Musisz ty, musisz w nieznane krainy, —
 Zdawna już twoja wciąż bije godzina,
 I moja tylko do Nieba przyczyna
 Wstrzymuje dotąd ciebie w dnia promieniach. —
 Lecz już i we mnie mdleje wstrzymań siła —
 Mówże więc do nich, com ci objawiła
 Kiedyś mnie ujrzał w pierwszych zgonu cieniach. —
 A jako chciałeś — będę ci świadczyła; —
 I pocałunku śmierci na twej głowie
 Nie złożę, póki co było w mem słowie,
 Raz im ostatni twój głos nie wypowie!

Chór.

Srebrnem go skrzydeł obwiązała kołem —
 Wzrok jej gdzieś w górze — lecz rąk jej promienie
 Spuszczone k'niemu — i spływając dołem
 Na skroń mu kładą niebieskie natchnienie.

Głos umiერającego.

Ona mi świadczy — uderzcie w proch czołem —
 Ja wam zwiastuję — że Polska nie będzie
 Królestwem tylko lub rzeczpospolitą —
 Lecz nad państw świeckich skończenne krawędzie
 Prawem miłości rozlewałnem wszędzie —
 Niedziela wieków na jaw wydobyta!

Nagle jak poseł ukaże się Ona —
 I pośród mocarstw spodłonego grona
 Przezwą ją ludzie: — Mocarstwem-Aniołem! —
 Ja wam zwiastuję, iż Polska kościołem
 Będzie na ziemi widomego czynu!
 Przed nią pobledną potępione społec
 Królów uciski i wściekłości gminu!
 I będzie — będzie — w tej Polsce i chwała,

O którą szlachta w dziejach harcowała —
I będzie — będzie — i wolność ludowa
Ludziom romańskim i germańskim nowa,
Bo krwią rusztowań ni rzezi nie błotna,
A w wyższą dolę codzień wstępniej lotna,
Aż w ruch bezprzerwny — wraz i w spokój wielki
Rozstrój i rozbrat pobratan już wszelki —
Aż religijnym stało się obrzędem
W Bogu ojczyzny polskiej sprawowanie —
I ludzkość poszła natchnień polskich pędem —
Panu się wszystka dała na mieszkanie
I toć ludzkości pierwsze zmartwychwstanie!

A wszystko sprawia to, sprawia — Duch święty,
Duch Chrysta z Nieba nazad w ziemię wzięty,
O którym wasi marzyli ojcowie,
Gdy doń wznosili cochwilne modlitwy,
By się wprzysięgał czy w sejmy, czy w bitwy;
Lecz trud ich przerwan klęskami w połowie,
I do otchłani wy zejść musieliście,
By cel ten wieczny dopełnił się iście; —
Duszę tam waszą od ciała rozjęto —
Dusza zapadła w czyścową tęsknicę —
Ciało przez zgonu przeszło tajemnicę —
Lecz duch żył mocą świata niepojętą!
I duch ten wstanie z promienniejszem ciałem; —
Patrzcie tam — patrzcie — europejskie święto
Zbliża się — zbliża, — gromowym nawałem
Spieszą wypadki. — Już na dół się chyli
Złe, co was gniotło — złe ze złem w tej chwili!
Ten, co z serc waszych pasował się wiarą
Dotknął już zwątpień i rozpaczy karą;
Na czole jemu — ciężka Pana ręka, —
Jego się wszczyna — wasza kończy męka!
Przemarni żywot — kto piekła kapłanem!
Pan jeden wielki — Pan jeden jest Panem!
• Czy nie słyszycie tych głosów tam w dali?
Wszystkie na czasu już stworzonej fali

Płyną tu, płyną i krzyczą w podziwie:
 „Śmierć sama zmarła — a zabity żywie!”
 Zaprawdę, bracia — tęsknijcie cierpliwie —
 Żli oszaleją zaślepienia szaleń —
 Olśnią im oczy — przed Boga oczyma —
 Dziś są — a jutro, spojrzycie — ich niema!

O! ja was żegnam — ja was tak kochałem,
 A odejść muszę — ach! nie będę z wami,
 Gdy w on dzień zabrzmi pierś wasza hymnami; —
 Gdy to co Judzkie śpiewały proroki
 Zstąpią wam z góry tęczane obłoki,
 Spłyną wam w dole — miodowe potoki,
 I starych bólów zrzucicie zewłoki!
 — Nie będę z wami... ledwom już na jawie...
 Za mgłą mi czarną wy znikli już prawie, —
 Czy mnie słyszycie? chciałbym was do łona
 Przycisnąć wszystkich, nim ten kształt mój skona!
 Sercem i myślą ja wam błogosławię —
 Ja błogosławię wam, ach! całym sobą —
 Wolnością woli i losem istoty —
 Wszystkiemi memi w wszechświecie żywoty —
 Kolei ziemskich przebyta żalobą —
 Prochem tych trumnie przeznaczonych kości —
 Pokutą — którą za grzechy odbędę —
 Całą wiecznością mej nieśmiertelności
 I Niebem — jeśli ja w Niebie zasięde!
 Wszystkiem czem byłem — czem jestem — czem będę
 Wam błogosławię. — O! bądźcie mi czyści,
 O! bądźcie święci! a com rzekł, wam ziści
 Sprawiedliwy Bóg...

Głos w górze.

— Już wszystko spełnione —
 Za mną, idź za mną — nowonarodzone
 Ty grobu dziecię! w jedną idziem stronę. --

Chór.

Coraz wyżej — wyżej w górze

Jak w dwóch głosów zgodnym wtórze
Jeszcze nuta brzmi pieśniana!...

Głosy gdzieści.

Będzie Polska, w imię Pana!

Chór.

Jak kapiące dźwięku rosy
Tają — mdleją — nikną głosy —
Pieśń już ledwo dosłyszana. —

Głosy gdzieści.

Będzie Polska, w imię Pana!

K O N I E C.

OSTATNĚ.



Z gór, gdzie dźwigali strasznych krzyżów brzemię
Widzieli zdala obiecaną ziemię! .
Widzieli światło niebieskich promieni,
Ku którym, w dole, ciągnęło się plemię —
A sami do tych nie wejdą przestrzeni!
Do godów życia nigdy nie zasięda,
I nawet może — zapomniani będą!

BEZIMIENNY.

Życiam wiek cały przemarnił w więzieniu,
W nędzy — w chorobie — w ciemności — w milczeniu!
Pamięci ziomków coraz niewidomszy,
Tym co mnie znali coraz nieznajomszy,
Od kochających coraz mniej kochany,
Aż teraz pewno całkiem zapomniany!
Za to pod czarnem pogrzeban sklepieniem
Żem jak syn światła niegdyś ziemi śpiewał
I pieśń jak ziarno w ludzkie serca wsiewał,
By równem memu odkwitła natchnieniem!

Byłem ja dumny — lecz dumny z dumnymi!
To niepopłaca na murawach ziemi.
Kto pogiębiony — w tego bij — a wygrasz;
Lecz jeźli pysznie z pychą władców igrasz,
Jeźli w nich patrzysz jak w dzikie zwierzęta,
Po nad któremi dan ci wzrok człowieka,
Straszna cię zemsta od tych zwierząt czeka,
I będziesz nosił — ty człowiek — ich pęta!

* * *

Dni moje pierwsze to u losu wzięły,
Że skorym biegiem prędko przeminęły,
Jak bystre łodzie — jak orły lecące. —
Lecz biedne — biedne — same nie wiedziały
Dokąd tak lekko i chyżo leciały,
Gdy jeszcze w górze świeciło im słońce,
I każda chwila była wiosny kwiatem,

I człowiek kaźden — siostrą albo bratem —
I świat dziś głuchy — młodości mej światem!

* *

Gdzie jest ten Anioł, co groby odwala,
Po męki próbach i skonu godzinie,
Gdy ranek trzeci zmartwychwstań nadpłynie?
— On bogów tylko — nie ludzi ocala!
Gdzie jest ten drugi Anioł, który zdziera
Z bram Mamertyńskich, wśród nocy, zawiasy
I Święte Pańskie z rąk katów wydziera?
— Lecz ja nie Święty — i dziś inne czasy! —
Twardsza dłoń wrogów niżli śmierć — bo ima
Żywego jeszcze — i w trumnie go trzyma,
Z której dla ducha zmartwychwstania nie ma!

* *

Duch twój albowiem — lotny gość wszechświata,
On co wprzód marzył pół-boże koleje,
Wśród ścian więzienia tak osierocieję,
Że będzie szukał — ot! w pajaku — brata!
I o dźwięk mowy ludzkiej błagał — kata —
Aż miną chwile — dni — miesiące — lata —
Żadne do ciebie nie zajrzą nadzieje
I duch twój w końcu na nic znikczemnieje!

* *

Ileż ja razy sam z sobą walczyłem
I mrące myśli tchem woli cucilem,
By się nie poddać umysłowej śmierci!
Lecz gdy raz rozpacz w dno mózgu się wwierci,
Strach, po tym gwoździu, jaka krew się leje,
— Jak mózg stopniami zsycha i więdnije!
Serce też — serce do zgonu się skłania —
Nie pęka zaraz — kostnieje powoli —
Aż zbezsilnieją w nim wszystkie kochania —
I z wszystkich bólów ten najbardziej boli! —

* *

Jak olbrzym rwałem się za pas z nicością!
 Z osamotnieniem — z brakiem życia — z czczością!
 Krat się pytałem: mówcie czy nie wiecie,
 Co tam się dzieje na żyjących świecie?
 Lampę tu smętną brałem w sine ręce
 I długom liczył popiołki jej knota,
 By czemś odmiennym rozerwać się w męce!
 Nic nie pomogło — jakaś mgła i śłota
 Codzień mi ciemniej duszę zalewały!
 — I świat wewnętrzny mój zagasł mi cały!
 I samem został — bez natchnień — bez ducha —
 Skuty na zawsze do tego łańcucha,
 Który te wrosłe w kość moją kajdany
 Spaja z tym hakiem wkutym do tej ściany!

* * *

O dawniej — dawniej — starce ostrzegali.
 „Pójdiesz ty z harfą twą brzmiącą, młodzieńcze,
 W głuche przepaści, pod rygle ze stali,
 Pieśń twa tam umrze i ty z nią, szaleńcze;
 Ludziom nic dzisiaj po dumkach wolności! —
 Darmo się zżymasz — im tylko potrzeba
 Nienaruszonej handlu spokojności.
 U nas mordują takich jak ty gości! —
 Zginie, kto świata nosi wieści z Nieba!“
 — Jam ich nie słuchał, lub waśnił się z nimi.
 Ha! — ja żyć chciałem a nie gnić na ziemi!
 Więc gnić mi przyszło pod ziemią bez końca.
 — Światłość mi wzięta wszystkim jaśniejąca!
 I odczłowieczon ja spadł tak głęboko,
 A Bóg na Niebie został tak wysoko,
 Że mnie i Boga nie dojrzy już oko!

* * *

— Tak ja w najniższym twierdzy tej więzieniu,
 Gdzie wszelkie życie zmiera w znicestwieniu!
 Lecz tam nademną piętrzą się sklepienia

W inne świetlejsze, wolniejsze więzienia.
 I w nich szczęśliwsi mieszkają zbrodniarze,
 Których łaskawiej rząd cesarski karze!
 Boć matkę tylko, — lub ojca, — lub brata
 Zamordowali, — więc lepsza ich krata!
 Wolno im z okien patrzeć w bezmiar świata!
 Wolno na wiosnę pić wichry krzepiące,
 Gdy na te śniegi powraca tu słońce!
 — Im wszystko wolno — lecz mnie — co innego!
 — Jam od nich gorszy, na Chrystusa rany!
 — Jam człowiek — Polak — jam duch zbuntowany!
 Więc ze mnie szatan w tem Państwie Dobrego!

* * *

Prawda! — jam wskrzeszał prochy ojców stare,
 By miękkie serca twardą pieśnią trumny
 Przerzucić z podłej w wyższą życia wiarę!
 — Prawda! — ja byłem szalony i dumny!
 Jam się nie rodził synem czasu mego,
 Bo wiek mój wiekiem był przejścia i złego. —
 A w tem złem przejściu osadzić go chcieli
 Ci, którzy sądów Bożych nie pojęli,
 Książęta ziemi i ziemi handlarze! —
 — I jak świątynia niegdyś Salomona,
 Nim gniew Chrystusa wygnał z niej kramarze,
 Cała kupiectwem żydów obluźniona —
 Tak za dni moich stał gmach świata stary,
 Blizki upadku — pełny win — bez wiary!
 A w nim dwa tylko dusz kupieckich stany
 Igrząc walczyły o prym na przemiany. —
 Raz zysku chciwość, — to znów wojen trwoga —
 — I świat ten cały był giełdą — bez Boga!
 A jako szatan Archanielskiej mocy,
 Po nad tą giełdą, od lodów północy
 Wzrastał już wtedy cień tego olbrzyma,
 Który mnie dotąd w tych okowach trzyma!
 A oni wszyscy — miasto dziarsko — razem,

Uderzyć w wroga ogniem i żelazem,
 Z żelaza tylko kuli dróg koleje,
 I w parach wodnych pokładli nadzieję! —
 Bo się nie bali — ni Boga — ni sromu,
 Lecz śmiertelnego pola bitew gromu —
 I dobrze było mieszczanom tym w domu!

* * *

Zostalić oni gdzie bruks, gdzie kramy,
 I tryumfalne nad targami bramy!
 — A ja przepadłem wśród moich szkaradnie;
 Tak jak śmierć nagła, — wróg mnie pojmał, zdradnie!
 — Myślím ostatniej nie zwierzył nikomu!
 Ja z kochanymi się nie pożegnałem!
 Nocą — bez śladu — cicho pokryjomu —
 Kibitek wściekłym uwieźli mnie cwałem!
 I polskie tylko pamiętają gwiazdy
 Te pierwsze, tajne, me pośmiertne jazdy!

* * *

U władz bezecnych stawili mnie sądu!
 Sąd ze mnie szydził — żem mógł i na chwilę,
 Polak bezsilny, zapomnieć o sile
 Zgon lub zbawienie dającego rządu!
 Więc car wraz z Bogiem na mnie za bezwiarę
 Słusznie i święcie zesyłają karę!
 I pójde pieszko — aż za świat — w te lody —
 Rzeczpospolitej wnuk ja i swobody —
 Pośród złodziejów skajdanionych trzody!

* * *

I takem poszedł do strasznych guberni,
 Pośród moskiewskiej podłych zbójców czerni!
 A kat — pamiętam — wiódł konia przed rzeszą —
 Ni siadł nań kiedy — wciąż szedł jak my pieszko —
 Na siodle tylko leżał knut rzemienny,
 I kat powtarzał: „Instrument kazienny“

I głowom ludzkim bić kazał pokłony,
 Jakby krzyż z siodła sterczał poświęcony!
 — Tak mnie to carskiej wszechprzynomne godło
 Na wskroś przez państwa bezmiernego strony
 Ku północnemu biegunowi wiodło.
 A owi łotrzy, fałszerze, złodzieje,
 Wszyscy na lepsze odeszli koleje!
 Zdjęto z nich okuć żelaznych pierścienie
 I rozlecieli się na *posielenie*!
 Lecz jam się dalej włókł pustyni bloniem,
 A gdy na nogach i rękach kajdany
 Coraz mi głębsze wyżerały rany,
 Bywa czasami do kata się modłę:
 „Daj mi, człowieku, wytchnąć na tem siodle.“
 A Moskal: „umrzyj, przeklęty Polaku,
 Umrzyj a nie tknij praw cesarskich znaku!“
 Bodaj to umrzeć u wstępu męczeństwa!
 — Lecz nie umiera się, gdy śmierć zbawieniem.
 Wdniu szczęścia skonasz — zginiesz w dniu zwycięstwa,
 — Niezatracałnys, gdy żyjesz cierpieniem!

* * *

Ach! gdzie rodzinne majowe obszary?
 Gdzie zbóż mych łany — gdzie mych mąk moczary?
 Gdzie bory sosen szumiące nademną
 Jakby modlitwą dziwną i tajemną?
 Gdzie są skowronków powietrzne gadulstwa?
 Gdzie stary kościół, kędy śpią ojcowie?
 Gdzie katolickie litanie pospółstwa?
 Gdzie lud, co Maryą królową swą zowie?

* * *

Boże! gdzież jestem? — Boże! cóż się stało?
 Toć w duszy mojej jest jeszcze zakątek,
 Gdzie nie zagasła gromnica pamiątek?
 Coś we mnie jeszcze ludzkiego zostało?
 Lat już dwadzieścia — nie wiem — Ty wiesz, Boże

Jak martwy padłem na to śmierci łożu!
Wszystko co było — co jest — i co minie —
W jednej się dla mnie ściemniło godzinie!
Lecz teraz nagle pobladły ciemności,
I stróż mój Anioł znów ze mną tu gości!
Łzy mi się cisną — dawno nie płakałem —
Dawnom nie marzył i nic nie kochałem.
Daj mi wspominać — daj kochać, Aniele!
Co każdy człowiek wziął na wieki w dziele,
O to cię proszę — na chwilę znikomą! —
— Duszę mą własną zostaw mi widomą!

* *

O myśli moje! czy wy dotąd wiecie,
Przed zgonem waszym co już dniało w świecie?
Jakiem przecuciem pierś ludzkości cała,
Gdyście konały — o biedne — już drżała!
Wszak głos niczyi, a głos brzącały wszędzie,
Zwiastował ziemi — co na ziemi będzie:
„Ludy przyklęką — króle oniemieją —
Wskrzeszoną wiarą, miłością, nadzieją
Znów się w poczętych ozwie Niepoczęty!
Wieki przyszłości z czarnych mgieł wschodzące
W jednym błękiecie roztopi Duch święty.
Kaze by jedno świeciło im słońce!
Bo wstanie wreszcie plemion Wybawiciel,
Odojczyznionych ojczyzn przywrócićiel,
Wszystkich krzywd ludzkich natchnion z Nieba Mściciel.
Z sprawiedliwością On dzieje zeswata,
Odeń już inne zaczną czuć się lata,
Trzecia planety rozemknie się pora —
Odeń już ludzkość na państwa nie chora,
Które dla zysku lub dla marnej chwały
Ciała narodów rozćwiertowywały,
A kładły dusze ich pod grobu gładem —
Na Bożej ziemi, za Bożym rozkazem
Dusze i ciała narodów już razem!“ —

Takie naonczas zewsząd biegły wieści
 Po świecie pełnym gwałtu i boleści —
 Lecz my Polacy, my dobrze wiedzieli,
 Że tą postacią, co pokój Mesyasza
 Na zdarzeń świeckich wzburzonej topieli
 Narodowościom, w tym wieku, przynasza,
 Nikt inny, jedno święta Polska nasza!
 Bo z mąk jej krzyża tyle krwi wyciekło,
 Że ta krew ziemskie odkupiła piekło!
 O! ja tak wierzył, że duch mego ludu
 Po trudach śmierci znów do życia trudu
 Już wznosi skrzydła i chwyta miecz cudu!

*

*

*

Ileż to razy — ach! może zawczasie —
 Boga zmartwychwstań widziałem ja we śnie!
 Bez krwi na rękę i bez krwi na łonie
 Ten sam a inny wiekom Chrystus płonie!
 Twarz jako słońce, a bielsze od śniegu,
 Szaty go niosą w nadpowietrznym biegu —
 I macza w światów wschodzących jutrzence
 Odkrzyżowane — wniebowstępne ręce. —

*

*

*

A zwolna, zwolna — za człowiekiem Bogiem,
 Cudna pięknoscią i bez śladów zgonu,
 Idzie ma Polska i staje nad progiem.
 Oręż Cherubów w Jej rękę się pali,
 A tam gdzieś w dole — gdzieś w głębi — gdzieś w dal
 Innych narodów zgromadzone koła —
 I głos Jej do nich z wyżyn świętych woła:
 „O! do mnie, do mnie — wy, plemiona bratnie,
 Skończona walka ostatniego boju —
 Zdrad i kłamstw ziemskich rozerwane matnie,
 Wstępujcie za mną w królestwo pokoju.“
 A wtedy śpiewa narodów chór z dołu:
 „Błogosławieństwo Ci, Polsko, i chwała!

Bo, choć my wszyscy cierpieli posporu,
 Tyś najwielmożniej z nas wszystkich cierpiała —
 Ty niebotycznej Twojej krzywdy ogromem
 Wrogów trzymałaś wciąż pod Bożym gromem —
 Ty, wśród mąk, sercem, co kochało wiele,
 Potężniej żyłaś niż ujarzmiciele
 I życiem Twojem Tyś nam życie dała —
 Błogosławieństwo Ci, Polsko, i chwała!“

Ach! pomnę, nieraz w noc jesienną, ciemną,
 Głos matki zmarłej czy jakiego dziada
 Z grobu się zerwie, wzbije się nademną,
 I przyszłość myślom moim rozpowiada!
 A z jego szmerem przed oczyma memi
 Snują się tłumem obrazy, widzenia,
 Ciągłą zwycięscy wieńcami długimi,
 Słyszę milionów tryumfalne pienia!
 Przechodzą białe — świetlane postaci
 Sióstr wyjarzmionych — wyjarzmionych braci —
 Skra nieśmiertelna na ich twarzach płonie,
 Choć są bez skrzydeł, płyną jak skrzydlaci,
 Choć są bez koron, błyszczą jak w koronie —
 I wśród nich stąkam i czuję sam siebie
 W nieznanem jakimś, przedgrobowym Niebie!

* * *

— A kto wie! — może nad Polski mogiłą
 Już się proroctwo snów mych dopełniło! —
 Mnie tam, ach! tylko — mnie, trupa nie było
 Wśród żywych duchów. — Ha! za temi kraty,
 W czas — w przestrzeń sięgam — głęboko — daleko,
 Wskrósł przez te mury jak przez trumny wieko
 Czuję. — Tam wszędzie gwiazdy, wszędzie kwiaty —
 Świat już z wolnością w wieczne pobran swaty!
 Nad Alp wierzchołkiem i nad Tatrów szczytem,
 Jednym się Niebo rozpromienia świtem!

Tam ludów zlanych jedno błyszczy morze,
 I nad niem świeci Sławian Słowo Boże!
 Wiem — imię święte mej polskiej Ojczyzny
 Dziś już imieniem całej sławiańszczyzny!
 — Tak duch zmartwychwstał z rozbiorów puścizny!

*

*

*

Dreszcz w moich piersiach dziwny nieskończenie,
 W każdej mi żyłe drga, jak luteń drgnienie!
 Krew moją słyszę, jakby się już cała
 W dźwięk idealny jakiś przedźwiewała;
 Lekko mi — lekko — prawie mi bez ciała —
 Już mi te ciężkie nie ciężą kajdany —
 We mnie — przedemną — jakaś światłość błoga,
 Wynieśmiertelniam się z pod ręki wroga,
 Ot! lochu mego przejrzystnieją ściany! —

*

*

*

Wszech mi obecność dana magnetyczna!
 Widna mi przestrzeń cała okoliczna,
 I widno — jasno, coraz szerzej — dalej!
 Co tych przestworów! — jak fala po fali
 Tak uciekają. — Precz Niebo za Niebem
 Zwija się — niknie za chmur tych pogrzebem,
 Co tak trumniano się tam w górze cieni.
 Błękit! — Ot! błękit! — wiosna od zachodu!
 Precz za tem piekłem z moskiewskiego lodu,
 Oto zieloność mojej polskiej ziemi!
 I tłum tam wielki polskiego narodu!
 Powietrze barwne chorągwi tysiącem!
 Wieca zebrana — jak niegdyś — pod słońcem.
 Wszyscy tam moi na polach bez końca
 Szczęśliwi — złoci — w złotem świetle słońca!
 Widzę ich — widzę — dotykam ich wzrokiem —
 Zda się — ach! jednym tylko stąpić krokiem

A ręką dotknę! — Nic, nic już nie boli —
Niech się napatrzę — napatrzę do woli!

* * *

Czy sejm się jaki walny rozpoczyna?
Ta cała żywa głów ludzkich równina
Zadrżała jednym olbrzymiem wzruszeniem,
Jak drżą zbóż fale pod wiatru powieniem.
Nad głów rzędami podnoszą się wszędy
Rąk niezliczone i powiewne rzędy.
Ku tej północnej pokazują stronie, —
Ku tej tu mojej — i od razu — razem
Jakimś w powietrzu skinęły rozkazem
Te stutysiąców wyciągnięte dłonie.
O jakżeż dziarskie te hufce — te konne,
Co się na północ jak skrzydlatą zgrają
Od jasnych onych tłumów odrywają!
To jeźdźce moje litewskie — koronne.
Tłum gdzieś zostaje z tyłu — już go nie ma —
Bezmiar i oni tylko — przed oczyma!
O jakżeż pędzą! — Wciąż jak błyskawice
Sadzą przez wzgórza, — mijają padoły,
Na północ pędzą — za wszystkie granice.
Zbawienia mego witajcie anioły!
Od bieli lśnicie i od karmazynu, —
Skrzą wam z rąk szable jak pioruny czynu!
I tak leciecie, o wy ptaki Boże,
Moskiewskim stepem, zwycięsko i dumnie!
— Car ni czart żaden już dziś nie pomoże!
O ptaki moje, wy leciecie ku mnie!

* * *

Co na tej wielkiej, bezbożnej przestrzeni
Ohydnych świątyń na cześć cara-boga!
Co twierdz z krwi ludzkiej wapna i kamieni!
W ileż to więzień wam się jeży droga!
Widzę, przed każdym stajecie więzieniem,

I zeskakując na chwilę ze siodła,
Straży anielskiem każecie skinieniem,
By was w podziemne te groby powiodła.
Słysząc krzyk życia w umarłych mogile;
Mar nazad z wami — ach! powraca tyle!
I znów was pędzi dech Bożej wszechmocy
Dalej i dalej...

Jak chwilki — dni — nocy!
Czy nocą czarną, czy o słońc rozświcie,
Rączo — bez folgi — widzę was — pędzicie!
Dobrze — ach! — dobrze — jużście wlecieli
Ze czarnoziemia do śniegów mych bieli!
Prawdaż? — Widnokrąg świata odmieniony?
Mgła — mróz — śmierć wieczna — same lody — szrony. —
Lecz Bóg mi świadkiem, coś z czoła im tryska,
Co rozpromienia pustyni mgławiska.
A żwawo, moi! — a prędzej! — a do mnie!
Jezu ty Chryste! — jakżeż jadą gromnie!
Jakżeż im w barwach narodowych pięknie!
Ratuj mnie, Boże! — bo mi serce pęknie!

*

*

Wszak gród moskiewski wy ten już widzicie?
Widzą — ach! widzą — skreśli się w biegu!
— Lecą piorunem — do rowów tych brzegu,
Wkrótce dopadną na bram tych rozbicie!
Chwili brak jeszcze — jednej chwili mgnienia,
A Polska wejdzie do mego więzienia
Oddać mi dla Niej stracone me życie!
O bądź pochwalon, wiekuisty Boże,
Że też się w końcu i złe skończyć może!
O! ja nie będę umierał w rozpaczyl
O bądź pochwalon...

Hej! bracia, co znaczy,
 Że tak wśród pędu osadzacie konie?
 Dzicz koczującą na pustyni łonie
 Wyście dostrzegli — wy z nią mówić chcecie!
 — Ruszajcież z miejsca — krok jeden już przecie!
 Z ciemnym tym czasu nie traćcie narodem!
 Wyszli mchu trochę uzbierać pod lodem;
 O niczem więcej nie słyszeli w świecie. —
 Czasem i Moskal w ich hordeę się wbierze, —
 Lecz nie ufajcie — gorsze od nich zwierzę.
 Im się przynajmniej szczerłość w sercu plemi. —
 Czemuż tak długo mitrężycie z niemi? —
 O bracia — bracia!...

* * *

Przez powietrza ciszę

Każde tam słowo wymówione słyszę. —
 Pytają moi: „Czy męczą się jacy
 W tych murach czarnych skazani Polacy,
 Za to, że niegdyś im polska ich wiara
 Nie dozwoliła uczcić boga-cara?“
 A głos wśród ludu jakiś odpowiada:
 „Tu jęczy tylko sprośny mord i zdrada!
 Innych tam więźniów nie ma jeno tacy,
 Co matkę — ojca zabili lub brata!“
 Kłamstwo! ach! kłamstwo — nie wierzcie, rodacy!
 — I znów głos moich po nad śnieg ten wzłata:
 „Nie takich szukać my przyszli w te kraje; —
 Polska jest świętą — świętym żywot daje!
 Lecz matki — ojca lub brata morderca
 Niech tu w moskiewskim dognije pogrzebie —
 Bóg może zbawić takiego — lecz w Niebie —
 Polska na ziemi nie skłoni doń serca!“

* * *

Bracia! o bracia! — zaczekajcie chwilę!
 Ach! nie ściągajcie tak cugli ze wstrętem,
 By gród przeklęstwa bocznym minąć skrętem.

O! ja czekałem na was wieków tyle!
 Męczarniom wszystkim sprostało me życie!
 I pękł nad ziemią hart moskiewskiej stali!
 I wieki przeszły — i wy nadjechali —
 I wy tak blisko — a mnie nie słyszycie!
 Jam ojca — matki nie zabił — ni brata!
 Jam nie kat żaden — jam wróg był wszechkata!
 Patrzcie — ja do was wyciągam ramiona!
 Tędy — a do mnie — tu mych lochów strona —
 Nie mogę pobiedz do was w mej bezsile —
 Ten łańcuch trzyma — stójcie jeszcze chwilę!
 Oto spróbuję — zwiędłe ręce moje
 Sił mych ostatkiem w żelaza te wpoję, —
 Będę ja targał i kruszył po trosze. —
 Tylko wy stójcie — na Boga was proszę!
 Błagam o chwilę — błagam o pół chwili!
 Stójcie! — Ach biada! — już w bok się zwrócili
 I spięli konie; — czy nie posłyszycie?
 Obywatele! — ziomki! — dobrodzieje!
 Ja tu — tu jestem pod ziemią — tu skrycie!
 Zawróćcie nazad! — Boże, co się dzieje?
 Mgłą mi już wszystko — wzrok mój już nie może
 Tych ścian przebijać.....

*

*

*

O Boże! o Boże!

Znów tam po śniegu szorują kopyta —
 Coraz to ciszej śnieg szumi, lód zgrzyta,
 Odgłos tętentów głośniejsze w oddali —
 — Nic już nie słyszać — już mnie odjechali!
 Wszak ja nie marzę? — ach! czy to być może?
 Oni tu byli — moi własni byli —
 Oni tu byli — i mnie zostawili
 Wśród ojcobójców — o zmartwychwstań porze!

*

*

*

Czy mnie słuch zmylił? — Nie koniż to rzenie? —
 — Może czas jeszcze — a ja skępowany!

Ha! czy nie wyrwę cię haku ze ściany?
Czy was, ogniwa, nie rozodpierścienię?
Naprzód, wy piersi — naprzód, wy ramiona —
Tak! — ot! tak, dobrze — lej się krwi czerwona!
— Może czas jeszcze! naprzód! — ach daremno —
Coraz mi słabiej — w oczach już tak ciemno —
A nikt — nikt w świecie — nikt nie dopomoże!
I znów tak cicho — przestrzeń milczy wściekle!
Wszędzie spokojność w widnokreżnem piekle.
Gdzie wy jesteście? gdzie? — ach! czy to być może?
Oni tu byli — moi własni byli —
Moi tu byli — i mnie zostawili
Wśród ojcobójców — o zmartwychwstań porze!
Wy bracia niby — nieprawda! wy katy!
Wy życia mego mi wzięli ostatki.
— Ach! czy ja ojca, albo własnej matki
Nie zamordował, gdzie, kiedy, przed laty —
I zapomniałem? — lecz wiedzieli oni!
I zostawili mnie w zatracen toni.
Nie! — ach! to nie to — co innego jeszcze
Wynajdź, o myśli! — w mózgu gdyby kleszcze —
Gdyby sztylety; — chyba po tych głazach
Tarzać się będę w tych zgrzytnych żelazach —
Sam zgrzytający. — Co się ze mną dzieje?
Wiem — znam rozumiem — czuję — ja szaleję!

* * *

Gdzież ja znów jestem? — Znów ta lampa tłąca,
Znów za tą lampą noc lochów bez końca,
Znów to moskiewskie obrzydliwe łoże,
I nic — nic więcej — a Ty, -- gdzieś Ty, Boże!
— Nie wiem. — Wiem tylko, że tu głowę złożę; —
Jak pies sam skończę -- gorzej niż pies może.
Za co w wszechświecie mi być wdzięcznym komu?
W Cara mieszkalem — umrę w Cara domu!
Innej jam w życiu nie doznał opieki! —

Ach! znienawidzam wszystko w co ufałem!
A już ma wola nie włada mem ciałem,
I oczom moim tak ciężą powieki!

*

*

*

Na dalszą mękę — z tych ziemskich katuszy —
Żywiej nie pragnę żadnej wynieść duszy.
Miłości nie mam w świecie — ni za światem,
Wszędzie szyderstwo, w którą pójdziesz stronę,
Jak nieskończoność takie nieskończone.
Ni Bóg gdzie ojcem — ni Anioł gdzie bratem,
Niebieskie — ziemskie — jeden zawód — włości; ~
Ja się wyrzekam mej nieśmiertelności!
Ona ból tylko w ból drugi przemienia —
Mnie dość już złego — mnie dość już cierpienia —
Ja chcę nicości — bo chcę wybawienia.
Zapomnij o mnie, o Ty, Stworzycielu!
Z przepiekielnionych lat życia mych wielu
Tę jedną prośbę wnoszę Ci przy zgonie:
Niechaj nie będę — tam gdzie żywot płonie.
Duch mój w wieczności niech bez śladu zginie
Jak pamięć moja w mej polskiej krainie;
Ach! nawet w Polsce nie będą wiedzieli,
Na jakiej konam śmiertelnej pościeli —
Nie będą nawet — że mi raz ostatni
Ręki nie ścisnął żaden uścisk bratni!
Polska! co? Polska! — prawda, zmartwychwstała.
Wszak prawda, Panie? — dziś już Polska cała,
Już na śmierć w pętach — jak ja tu nie czeka!
— Daruj więc, Ojczy, rozpaczy człowieka!
Dzikim uniesion bluźniłem ja szaleńcem —
Przebacz mi, Panie, ja Polskę kochałem —
I Ciebie, Panie! nie siebie — nie siebie —
Ona na ziemi żywa — a Tyś w Niebie —
A więc umieram błogosławiąc Tobie
Na zawsze — wszędzie — pod grobem i w grobie. —
Z Twojem i Polski umieram imieniem.

Na tych mych ustach, co będą kamieniem
 Za chwil już kilka. — Święta twoja wola!
 Święta moskiewska ma długa niewola,
 Święta okropność mej samotnej śmierci,
 Gdy nierozdarta już więcej na ćwierci
 Ziemia mych ojców!.....

*

Dzięki, żeś w widzeniu

Oczom ja moim pokazał na jawie; —
 Dzięki Ci, Panie, że choć w tem więzieniu
 Jam tych oglądał, co służą w jej sprawie; —
 Dzięki Ci, Panie! — Otoś mi dał w darze,
 Że ludu mego ja zamknę cmentarze.
 Polskim ostatni trup w carskiej pieczarze!
 Dzięki Ci, Panie! — ach! sił już tak mało —
 Klęknąć nie zdoła sterane to ciało.
 W krzyż składam ręce — gdzież już strona Nieba?
 Tak czarno wszędzie — a po sercu jeszcze
 Krząta się — czuję — jakieś tchnienie wieszczę!
 Modlić się — modlić — modlić mi się trzeba
 O Polskę moją!.....

*

O Panie! o Panie!

Gdyś męczennicy Twej dał panowanie,
 Niech na tej ziemi — po raz pierwszy, ona
 Niepokonalne na ziemi — pokona!
 Czego nie mogły żadne świata pany,
 Szlachta — ni króle — ni lud — ni mieszczy —
 Przemienne tylko — a równe — tyrany,
 Skoro tryumfu im błysły mamidła; —
 Niech po nad czasu w dół rwące otchłanie
 Wyżej niż pokus i pych wszystkich siidła,
 Wyżej niż ślepe fal losu igranie
 Utrzyma w górze anielskie swe skrzydła!
 Daj jej na wieki wszechmiłości siłę!

A jak zdeptała ciemności mogiłę,
Zwycięży żyjąc — nietrwanie żywota!
Nie — nie rozsypie się jak z krwi i błota
Bryły państw wszystkich — bo w niej będzie cnota
I mądrość Twoja — a toć są okręgi
Arcy-zwycięstwa i arcy-potęgi.
Niech u narodów wszystkich się nazywa:
Ta, która szczęściem narodów szczęśliwa,
Więc nieśmiertelnie i władna i żywa! —
Niech lśnią jej czołu sławiańskie korony,
Niech w niej Twój Chrystus będzie uwielbiony
Przez czyn na ziemi — przez Królestwo Boże!
— Coraz im ciszej — toż i śmierć już może —
I owszem, Panie....

*

*

*

Coś się miga — bieli,
W pierś mi się ulga nieskończenna leje; —
Smętne w pamięci tają życia dzieje —
Harfy! — gdzieś harfy widzę — ach! Anieli!
Harf takich ludzie nigdy nie słyszeli —
O dobrej — dobrej mówię tylko wieści!
Coraz mniej smutku, coraz mniej boleści —
O Polsko! — dusza już moja nie ranna
Gdzieś odpływa — Hosanna! — Hosanna!

K O N I E C.

P O E Z Y E.



Bóg mi odmówił tej anielskiej miary,
Bez której ludziom nie zda się poeta;
Gdybym ją posiadał, świat ubrałbym w czary,
A że jej nie mam, jestem wierszokleta.

Ach! w sercu mojem są niebiańskie wdzięki,
Lecz nim ust dojdą, łamią się na dwoje,
Ludzie usłyszają tylko twarde szczęki,
Ja, dniem i nocą, słyszę serce moje!

Ono tak bije na krwi mojej falach,
Jak gwiazda brzmiącą na wirach błękitu,
Ludzie nie słyszą jej w godowych salach,
Choć ją Bóg słyszy od zmroku do świtu.

Kissingen 7 lipca 1836.

O biedna! czegoż ja mam życzyć tobie,
Co wzbudzić w potęg czarnoksiężskim kole,
By świeżość wiosny w posępnej żałobie
Nie marła jeszcze na twem drogiem czole?

Jak odbić czasu niewstrzymane fale,
Które płasają koło twego czoła;
Aż wreszcie z chwały i szczęścia anioła
Zostaną tylko nędzne, ludzkie żale?

Każda mi chwila, która w przeszłość goni,
Cięży na sercu przeczuciem goryczy,
Bo ona lecąc drogę swoją liczy
Na róże spadłe z wieńca twoich skroni.

.

Gdzie oczy zmienne, co, kiedy zawrzały
Ukryte w piersiach czary uniesienia,
Z błękitnych nagle w czarne przeiskrzały,
Aż znów wróciły lazury cierpienia?

Gdzie czoło, kędy ożywione myśli
Snwały się jedne po drugich jak cienie,
Które na wodach mgła przelotna kreśli
I maże wiatru wiosenne powienie?

O biedna! czegóż ja mam życzyć tobie,
Co wzbudzić w potęg czarnoksiężskim kole,
By świeżość wiosny w posępnej żałobie
Nie marła jeszcze na twem drogiem czole?

* * *

Jeśli mi kiedy przewodniczyć miały
Na drodze ziemskiej szczęście albo chwała;
Zrzekam się szczęścia i nie chcę tej chwały,
Byś tylko dłużej piękną mi została.

Za każdy uśmiech, co na twojej twarzy
Zostawi, mdlejąc, drobny ślad radości,
Los niech mi w zamian długi smutek zdarzy,
Niech mi dni życia wytrąci z przyszłości.

Bo życie moje przeplatałem twojem,
Jak dwie złączone, niezmieszane rzeki,
Co płyną zgodnie różnofarbnym zdrojem: —
I, gdy ty zwieśniesz, ja zgasnę na wieki.

Kissingen 7 lipca 1836.

Mogłem być z tobą na ziemi szczęśliwy,
Mogłem uwierzyć, że tu czasem wiosna,
Spływając z niebios na śmiertelne niwy,
Bywa jak w Niebie świeża i radosna.

Lecz teraz konam w próżniach ducha mego,
Teraz sam jestem wśród nieskończonego

Okręgu cieniów, i stróża anioła
 Śpiew, co mnie dawniej obwiewał dokoła,
 Choć dotąd jeszcze gdzieś w górze ulata,
 Zda mi się ginać na kończynach świata!
 Niegdyś świat duchów zdawał się otworem
 Stać duszy mojej i zstępować ku mnie;
 Wśród cieniów nocą, wśród zmierzchów wieczorem
 Z braćmi na chmurach witałem się dumnie,
 Wlepiałem oczy w jasne ich źrenice.
 Tam błękitniała spokojność wieczności
 I, zagubiony w tchnieniach ich miłości,
 Kładłem me dłonie w ich rąk błyskawice,
 Aż ogniem zewsząd i światłem oblany,
 Rąk nieśmiertelnych spalony uściskiem,
 Znow opadałem na podniebne łany
 Z sercem szczęśliwem, bo skonania blizkiem.

.....
 Chciałbym Anioła widzieć na tym grobie,
 Kędy sny nasze leżą pogrzebane,
 Coby mi czasem zaśpiewał o tobie,
 Jak śpiewa tułacz pamiątki kochane;
 Coby na chwilę pochodnię schyloną
 W tę noc okropną i nierozgarnioną
 Rzucił skier kilka na przyszłości fale,
 I blaskiem chwały ozłocił me żale.
 Ach! głos twój gdyby ponad mojem czołem
 Ozwał się, lecąc od dalekiej strony,
 Choć raz się ozwał wiatrami niesiony,
 Ten głos twój byłby mi takim aniołem!

.....
 Przed nocą wieczną niech głos twój usłyszę,
 Jak pieśń nadziei w godzinie konania,
 A może wtedy ponad progu cisze
 Wejdzie mi blady księżyc zmartwychwstania.
 A jeśli, płacząc, na zgasłych źrenicach
 Złożysz jak kwiaty twoje ciche ręce,

Grób spłonie ogniem i w stu błyskawicach
Słońc nieśmiertelnych obleją mnie wieńce.

Wiedeń 20 listopada 1836.

Serce mi pęka, światło się umyka
Z przed oczu moich. Wszystko, co kochałem,
Jak Bóg dalekie, lub jak chmura znika:
Piers jednak żyje i oddycha — szaleń,
Choć ręka śmierci przytknięta do serca.
Chyba czas przyjdzie, czas, uczuć morderca,
Co wszystko zjedna, pogodzi, zabije,
Na starych gruzach z róż świeżych uwije
Nową koronę, lub nauczy szydzić
Z ułud młodości, i młodość pochowa;
A pierś ma wtedy, dawnych marzeń wdowa,
Co czciła dawniej — będzie nienawidzić!

.
Iskra geniuszu na cóż mi się zdała?
Tliła się tylko w głębiach mojej duszy.
Dziś niedojrzana, już tak wątła, mała,
Że może jutro wśród ducha katuszy
Wymrze jak perła długo nienoszona,
Zniknie jak kropla w południowym skwarze,
Jako kwiat w pączku nierozwity skona,
I sam zostanę jak stare ołtarze,
Na których leżą węgle i popioły,
Lecz bogów nie ma, ni ofiar, ni woni.
Przechodząc obok, szydzi lud wesół,
Starzec lub dziecię chyba lżę uroni!
Gdybym nie kochał śmiertelnej piękności,
I ust nie złożył na widomem czole,
Byłbym tą iskrą, spadłą mi z wieczności,
Pożar rozniecił na ziemskim padole,
I duszę moją pozaludniał tłumem
Żyjących myśli, z nich skleił postaci
Wspaniałe, wielkie, boskich skrzydeł szumem

Byłbym się wyniósł nad głowy współbraci!
Dziś już zapóźno! Dusza jest jak ciało:
Gdy się raz psuje, a nadpsutej części
Od zdrowych siłą nie oderwiesz całą,
Złe się rozbiegnie i wszędzie zagęści.
Lecz ciało tylko szczęśliwe umiera,
Ciała przebrane tylko cichną jęki;
Duch nieśmiertelny sam siebie rozdziera,
Nie ma dla niego ostatecznej męki!
Ból, co w nim rośnie, rość musi jak życie,
Krzewić się, bujać, szumieć i rozlegać,
Wciskać się gwałtem, lub wdzierać się skrycie
I jak krew żyły, tak myśli obiegać!

.
Duch na dwie tonie ciągle się rozkłada:
Z szczytów otchłani sam woła na siebie,
I sam z jej głębi smutno odpowiada
Rozdarty wiecznie, myślą siedzi w Niebie,
A sercem w piekło coraz niżej spada
Z pochodnią w rękę na własnym pogrzebie!
Bo złać się w jedno i zgodzić nie zdoła,
Ani też całkiem rozpaść się na dwoje.
Do wskazanego raz wepchnięty koła,
Sam z sobą toczy nieśmiertelne boje,
Nie mogąc skonać, a co chwila kona
Podwójnym bólem. Jedna jego strona
Niszczy się jadem śmiertelnych miłości,
A druga żalem niebieskiej litości!
Rozum, co w górze, choć, sądząc, przeklina,
Równie samotny jak przekłute serce;
Wszędzie nieznośnie, bo wyrok i wina
W każdej się życia zmieszwały iskierce!
Ach! życie wtedy szyderstwem się zdaje.
Ręce wznosimy ku widmu nicości;
Ach! tam wśród nocy, tam gdzieś leżą raje
Zwane grobami, kędy nasze kości
Wraz z duchem zasną! Nam się tylko marzy

Nieznana dotąd wiecznej ciszy niwa:
 Sen nieprzespany i pokój cmentarzy
 Równe to fałsze, jak dola szczęśliwa!
 Świat, jako wielki, jest przegranej polem!
 Świat, jako wielki, jest rozbita skałą!
 Trudem bez końca, wiekuistym bolem
 Wszystko się dzieje i wszystko się stało!

Wiedeń 9 listopada 1837.

Jak anioł spadły, leżący w piękności,
 Lecz z kary Bożej popiołem na czole,
 Italia drzemie wśród naddziadów kości,
 A lud spodlony, w czarodziejskiem kole
 Mórz zwierciadlanych i sklepień światłości,
 Jak proch pokuty leży na jej czole.
 W kształtach już nie ma dawnej treści ducha
 I rzymska hardość i chrześcijańska skrucha,
 Tą samą obie purpurą odziane,
 Skonały obie — a kształty strzaskane,
 Gdy słońce wschodzi z błękitnych mórz łona,
 Szemrzą na brzegach westchnieniem Memnona
 Skargę nieszczęścia, hymn dzikiej żałoby,
 Co wyszedł z grobów i powraca w groby,
 Bo mu serc dzielnych nie wtorują bicia,
 I w ziemi bogów, — duch ludzki bez życia!

W Kampanii rzymskiej taki spokój wielki,
 Że człowiek każdy i że anioł wszelki,
 Przechodząc, duma nad dniami przeszłości!
 Tu żywych nie patrz — tu umarłych włości:
 Pałace dumnych w żółty piasek wryte,
 Kościoły bogów na szczątki rozbite,
 Zielonym bluszczu całunem obwite!
 Czas poćwiertował posągi cesarów,
 Czas zmienił Forum na błotnisty parów,
 Gdzie zaspy gruzów piętrzą się warstwami,

Gdzie odkopane korynckie kolumny,
Jak dusze na wpół wychylone z trumny,
Sterczą wysmukłe nad Rzymu lochami!

etc. etc. etc.

— świątyn prochami.

WRAŻENIE Z KAMPANII.

Dla ciebiem wszystko straciła na ziemi,
Dla ciebiem drobne porzuciła dzieci,
Choć Bóg przykazał pozostać się z niemi —
Teraz w ich stronę moje serce leci!
Gdzie ich kolebka? gdzie śliczne wejście?
Gdzie jasne pukle moich biednych dzieci?
Choć głos twój dźwięczny i Boskie natchnienie,
On tyle szczęścia w sercu mi nie wznieci,
Co sen ich niemy lub jedno westchnienie!
Patrz! Ja być mogła tak czysta, tak święta!
A teraz będę na wieki przeklęta!
I dzieciom moim ojciec nie odpowie,
Gdy się spytają: „jak się matka zowie?“
Tak gorzko, zimno, tak ciemno mi w duszy,
Że czasem myślę, iż płacz mój poruszy
Serce aniołów. Lecz nie — już godzina
Śmierci nadciąga i wkrótce uderzy,
Już ból konania w tych piersiach się wszczyna,
Już palec Boga na tem czole leży!
Czy i ty zdradzisz tę, którą kochałeś,
Tę, której nigdy żoną nie nazwałeś,
A która była ci więcej niż żona,
Siostra, kochanka, niż wszystkie imiona,
Którymi ludzie kochanie przezwali?
Bo ludzie nigdy kochania nie znali.
Ja wiem, co miłość, co długa tęsknota,
Co bój zacięty z myślą o kochanym,
Co szczęście niebios, co piekiel zgryzota
I brak łzy cichej w oku wypłakanem.

Daj mi twą rękę, niech czuję, żeś bliski;
Tyś wielki, piękny, ty masz wzrok Anioła,
Gdy plama pychy nie kazi ci czoła,
A same prawdy zdobią go połyski!
Daj mi twą rękę! Słuchaj! w tych dolinach
Ty mnie pochowasz przy Rzymu ruinach,
A grób mój będzie otoczony wzgórzami,
Zakryty zewsząd bluszczem i głogami;
I ty wyryjesz na białym kamieniu
Prośbę do Boga — by w cyprysów cieniu
Ten kamień za mnie modlił się w milczeniu!

Rzym, 10 grudnia 1840.

Ledwom cię poznał, już cię żegnać muszę!
A żegnam ciebie, jak gdybym przez wieki
Żył z tobą razem i kochał twą duszę,
A teraz jechał w jakiś kraj daleki
I nie miał nigdy już zobaczyć ciebie,
Chyba gdzieś, kiedyś, po śmierci tam w Niebie!
Gdybym przynajmniej zostawił cię żywą,
Nie strutą jadem, nie śpiącą w żałobie,
Jak senna Julia sama jedna w grobie!
Gdybym mógł marzyć, że będziesz szczęśliwą,
Że choć raz jeszcze oczyma czarnemi
Spojrzysz radośnie na błonia tej ziemi
I rzekniesz z cicha: „Świat ten piękny, Boże!“
Płakałbym jeszcze, lecz mniej gorzko może!!
A teraz płaczę, choć suche me oko,
Płaczę łzą serca, co skryta głęboko,
Jak szloch dziecinny nie łni u powieki,
Lecz serce pali i truje na wieki!
Nikt jej nie widzi, nikt jej nie obaczy,
Bóg tylko jeden wie, co ona znaczy!
Bóg tylko jeden — bo On jeden zdoła
Policzyć ciernie w wieńcu twego czoła.
Ja ich nie liczę, ja tylko je czuję,

Bom wziął je wszystkie w głębię mojej duszy,
Jak gdyby moje; każdy z nich mi pruje
Serce kolcami, i twoich katuszy
Odbite widmo tak stoi nade mną
W dzień każdy biały i w każdą noc ciemną,
Żem, twoją całkiem okryty żałobą,
Przelał się w ciebie i przestał być sobą!
Temu, co czuję, nie szukaj imienia:
Na co słowami kazić świętość myśli!
Co nikt nie dozna i nikt nie określi,
To żyje we mnie wiecznością cierpienia!
Daj mi twą rękę w tej chwili rozstania —
Ta chwila nigdy już dla mnie nie minie,
Ten dzień w mej duszy nigdy nie upłynie,
Bo w świecie ducha — nie ma „pożegnania“...

Neapol, 14 lutego 1839.

Znasz, co namiętność? czy ty wiesz, co piekło?
Gdy myśl jak skorpion w ogniu się przewraca,
Gdy serce kipi żądzą szczęścia wściekłą,
I życie życiem co chwila się skraca!

Czy wiesz, co próżnia? czy znasz świat nicości,
Gdzie wszystko zmarło, a żyć jeszcze trzeba,
Żyć bez nadziei i żyć bez miłości,
Patrząc się w Niebo, nie wrócić do Nieba!

Serce się moje w perzynę rozwiało!
Byłem tak smutny, jak nocy milczenie —
Byłem tak zimny, jak umarłych ciało —
I tak samotny, jak umarłych cienie.

Na ustach moich drgał śmiech żartobliwy,
Ludzie go mieli za radości znamię —
Ludzie mówili: „Jaki on szczęśliwy!“
Jam tylko wiedział, że ten śmiech mój kłamie.

Jak długom błdził na życia pogrzebie,
Nie znałem duszy, coby mnie pojęła —

Anim jej szukał, aż spotkałem ciebie,
 Równie samotną, i żądza mnie zdjęła
 Jeszcze raz w życiu spojrzeć w twarz anioła:
 Jeszcze raz w życiu, nim zamknę powieki,
 Nim darń cmentarzy dotknie mego czoła,
 Wyrzec do ciebie: „Teraz i na wieki.“
 Znów czuję węza, który mnie oplata
 Znów czuję Boga, który mnie porywa —
 Sen śmierci znika, a w obszarach świata,
 Hymn wniebowstąpień zewsząd się odzywa!

.

Jakaż ta przestrzeń zielona podemną,
 Jakież sklepienie błękitu nademną?
 Wszystkimi marzeń zasiane tęczami,
 Wszystkich aniołów zasute skrzydłami...
 Słońc, gwiazd, księżyców okryte rojami?

.

.

Znów serce bije, to wiosna nadchodzi —
 Słyszę śpiew ptaków i czuję woń róży —
 Bujam po morzu — gdzieś w skrzydlatej łodzi;
 Wody tak ciche, ach, nie będzie burzy.

Żagiel mój biały jak sztandar powija,
 Przewróć lazuru ciągnie się przedemną,
 Ta, którą kocham może płynie zemną,
 Może w jej duchu mój duch się odbija!

Może gdy patrzy na te śliczne fale,
 Głos tajemniczy szepce jej do ucha
 Spowiedź mej duszy i wszystkie me żale?
 — Tylko czyż ona tego głosu słucha?

A może teraz gdy oczy zwróciła
 A jam me czoło pochylił w cierpieniu,
 Mówić coś chciała — lecz nic nie mówiła —
 Rękę jej tylko ścisnąłem w milczeniu. —

Czy to nie widmo, które ja stworzyłem?
I w chwili natchnień sam wywiodłem z siebie?
Nie! tej postaci ja nie wymarzyłem!
Ona przez Boga wymarzona w Niebie!

I tu na chwilę tak krótką zleciała,
Jak anioł siadła przy mej łódki sterze;
Ach, gdyby tutaj na wieki została!
Śmieście się, wiatry, że ja w szczęście wierzę!

Śmieście się, fale, lecz płyńcie powoli,
Żaglu mój biały, nie pędź tak do brzegu.
Ten dzień mi jeszcze nie jest dniem niedoli,
I chciałbym wstrzymać jego chwile w biegu!

Gdy lądu dotkniesz, ona zaraz wstanie
I powie: „Żegnaj, bo wracam wśród ludzi!“
Cóż mi na świecie w tej chwili zostanie?
Niech więc mnie jeszcze ta chwila nie budzi!...

Niech jeszcze marzę, że mi ten dzień bogi
Na zawsze dali — że na wód kryształe
Zlały się razem losów naszych drogi,
By płynąć w wieczność razem, jak te fale!

.
Jutro dopiero niech będę przeklęty!
Niech gwóźdź jej dłonią z piersi mi wyjęty
Padnie znów ostrzem i piersi przebije!
Niech jędza nudy, która we mnie żyje,
Mózg mój wydraży na otchłań piekielną,
Jak śmierć wystygłą — jak czas nieśmiertelną. —

Lecz jutro — jutro, a nie teraz, Boże!
Tej reszty życia będę bronił wściekle —
Rozpacz mnie jutro czeka w mojem piekle,
Zostaw mi dzisiaj to błękitne morze!

Neapol, 1839.

Czyż z tobą wtedy raz ostatni byłem?
Smutnem przecuciem dusza mi się zali,

Bo na tym świecie wszystko, co marzyłem,
Przeszło jak chmura i znikło w oddali!

I dla mnie rozdział jest godłem kochania,
Bom ile razy w życiu nienawidził,
Los ze mnie wtedy połączeniem szydził,
I gdzieś przeklinał, nie było rozstania!

Tych tylko wiecznie ze łzami żegnałem,
Których me serce czciło lub kochało,
I teraz, patrzaj, podobnie się stało —
Znać, gdzieś została, tam kochać musiałem.

Gdzież jesteś teraz? czy sama w komnacie
Dumas nad dniami ubiegłych radości?
Gorzko ci w duszy po anielskiej stracie
I rozpacz matki na twem czole gości.

A możesz poszła chodzić po nad brzegiem
Wód zwierciadlanych, gdzie fala spieniona,
Konając, stopy głaskała ci śniegiem —
Ja byłem wtedy przy tobie — jak ona!

Jak ona, dzisiaj rozbity, daleki,
Nie wiem, gdzie jestem, przed ludźmi się kryję —
Ona gdzieś w morzu przepadła na wieki —
W Twojej pamięci czy ja dotąd żyję?

Ona szczęśliwa, bo poszła w głębiny,
Nie czując żalu, nie znając miłości,
Dla niej nie było uroku godziny
I dla niej nie ma rozstania wieczności!

Ona śpi teraz na koralu łożach —
Żaden jej wicher rozbicia nie wróży —
A ja się błąkam po życia bezdrożach,
Miota mną burza i skonam wśród burzy!

Neapol, 1839.

Mnie smutek zabił, mnie gorzkie koleje,
Mnie gwałt namiętnych, nieskończonych marzeń,

Mnie krok leniwy ognuśniałych zdarzeń,
Co wyrwał z serca nadziei nadzieję!
Jam pił zanadto z krynic mętnych łzami,
Za dużo trumien przeszło mi przed wzrokiem.
„Czekaj“ świat wołał. Rok ciągnąc za rokiem
Świeżemi codzień witał mnie trumnami!
Wszystko, com marzył, w ziemi pogrzebałem,
Snów moich krzyże sterczą tam na błoniach,
Gdzie blade jeźdźce śpią przy śpiących koniach,
Z orłem na piersiach, sennym, krwawym, białym!
Gdzie leżą w popiół rozsypane chaty,
A w bagnach rosną niezabudek kwiaty,
I czajka woła jak wprzód na dzieci,
I słońce cicho nad równiną świeci!
O pójdźcie, pójdźcie przez rodzinne sioła,
Przez łąk moczary i przez zbożów łany,
Tam w kłosie każdym szemrzą ziemi żale,
Tam lilia polna o zemstę zawoła.

Zimny rozsądek w tobie się opiera,
Wierzę, że w sobie karmię solitera,
I mnie zarzucasz na kształt jakiej kaźni,
Że noszę w mózgu tęczę wyobraźni.
Mówisz: tam w mózgu robak twój prawdziwy,
Złudzenie, mara, co ci na przemiany
W białe kamelie przetwarza pokrzywy,
Wiejskie w chór duchów przemienia organy.
Ale też znowu, gdy się pchła urodzi,
Na ogrom słonia ci tę pchłę rozwodzi,
I dniem i nocą wiecznie ściga ciebie
Piekłem na ziemi i piekłem na Niebie!
A zatem twierdzisz, że imaginacya
Dobra — lecz tylko w poezyi waryacya,
Co, jak się tylko tu w życiu rozplemi,
Choć piękna w Niebie, jest śmieszną na ziemi!
O nie rozdzielaj tak ziemi od Nieba!
Jeden Duch tylko wszędzie wre i żyje,

Chmura jak gołąb rosę ziemi pije,
I pić deszcz chmury, ziemi też potrzeba!
Kto jedną tylko zna życia połowę,
Ten mi wygląda na odludną sowę,
Co wiecznie siedzi w wyłącznej ruinie,
Czeka, by wzlecieć, aż światło przeminie.
U tego tylko nieśmiertelność w mocy,
Kto pojął równie blask dnia i mrok nocy,
A oba w jednym zspoliwszy natchnieniu,
Promień gwiazd przejrzał w czarnych zmierzchów cieniu,
I siedm barw cienia w słonecznym promieniu;
A wszystko zgodził, i nazwał pięknością,
A wszystko uczuł, i nazwał miłością,
I nędzę życia pochłonał w otchłanie,
Z których dna kiedyś prawda życia wstanie!
Bo życie dzisiaj, to kłamsto, to mara —
Natchnienie wieszczów, to życie przyszłości,
Co dotąd tylko w sercu luteń gości,
Lecz przyjdą czasy i wcieli się wiara!
Rzym, 18 maja 1840.

I.

Od łez moich się zaduszę,
Ja ci dałem całą duszę,
A dziś w drogę jechać muszę!
Ja tak cię kochałem!
Ach! rozdział śmiercią — tak jak śmierć rozdziałem!
Wczora jeszcze tak radośnie!
A dziś, patrzaj! tak nieznośnie!
Coraz gorzej żal mój rośnie —
Ja tak cię kochałem!
Ach! rozdział śmiercią — tak jak śmierć rozdziałem!
Tam, gdzie jadę — pustki, ciemno,
Bo nie będzie ciebie zemną,

Ty aniele mój nademną!

Ja tak cię kochałem!

Ach! rozdział śmiercią — tak jak śmierć rozdziałem!

Lecz na Boga! ja powrócę,

Dni żałoby wolą skrócę

I pieśń szczęścia znów zanucę

Nowem natchnień szalem:

Ni rozdział śmiercią — ni śmierć jest rozdziałem!

II.

Rankiem, wieczorem na wyspy bezdroże

Patrzę samotna — w skały — w Niebo — w morze,

I co dzień mówię „on dziś wróci może!“

Taki mój los!

Dni kilka tylko — lecz już cierpień wieki

Odkąd tak czuwam z płaczem u powieki,

A on co chwila bardziej mi daleki.

Taki mnie przebił cios!

Czyż ptak się jaki nie wróci z oddali?

Lub żagiel jaki nie błysnie na fali?

O nim doniesie i mnie się užali?

Już czuję zgon!

Kiedyż on wróci? czyż jeszcze dni wiele

Tak patrzeć będę na smutne topiele?

O szepnij — szepnij mi, strózu aniele:

„Wkrótce wróci on!“

Neapol, 3 lipca 1840.

O ziemio włoska! dziś mi nie żal ciebie

Za to, że wieczną ty się maisz wiosną,

Że po twych drogach święte mirty rosną,

Że jak Archanioł twe słońce na Niebie —

I że jak Anioł bladawszego lica

Święci twój księżyc, niebios twych dziewica —

Że z każdej w zmierzchu tkniętej mórz twych fali
Bryzgnięta piana, jak dyament się pali —
Ze po twych brzegach lecące luciole
Tańczą noc całą w sennych kwiatów kole,
Świecąc w powietrzu skrzydełek iskrami —
Aniołki — stróże na twych łąk różami!

O ziemio włoska! dziś mi żal jest ciebie
Za to, żeś smętną przeszłości królową,
Nieszczęsną duchów nieśmiertelnych wdową,
Żyjącą dzisiaj o żebraczym chlebie —
Że z twoich wzgórzów, jak bogi żałoby,
Płaczą nad tobą mężów twoich groby!
Bo myślą tylko a nie sercem całym
Jam pojął odbłask zmarłych twych wielkości
A wyższą piękność od twojej piękności
Jam sercem poznał — i odtąd kochałem!

Nie kuta z głazu, ani malowana
Choćby nadziemskim pędzlem Rafaela —
Lecz dusza żywa, z pośród duchów wielu
W twarz Anielicy od Boga ubrana
I cierpieć — kochać na świat ten posłana!

O ziemio włoska, gdy w serca żalobie
Rzucam twe błonia, nie płaczę po tobie,
Lecz za tą płaczę, którą zostawiłem
Tam, na tych brzegach, gdzie z nią razem żyłem,
Gdzie w każdej chwili, przez dni błogich wiele,
Jam jej powtarzał: „Kocham cię, Aniele!“

O ziemio włoska, strzeż tego Anioła —
Gdy, wysp łańcuchem zamknięta dokoła,
Patrzy z skał twoich na błękitne fale
I może na mnie łąz tęsknoty woła —
Mów jej północnym wiatrów twych powiewem,
Żeś na ostatniej granic twoich skale
Słyszała także mej rozpaczyny żale —
I żem cię żegnał miłości westchnieniem!

Splügen, 11 lipca 1840.

DO D. P.

W starożytnym tym kościele
U stóp smętnych tych ołtarzy,
Ach! pamiętam, o aniele!
Tyś klęczała z łzą na twarzy!

I w tym domku wiejskim, małym,
Kiedy nocna cisza była,
Tyś, konając, sercem całem
Gorzko także się skarżyła!

I tam później na wyżynach
Uwieńczonych ruinami,
Ty, siadając na ruinach,
Hymn śpiewałaś — westchnieniami!

Dziś na brzegu mórz bez końca,
Gdzie świat w wiecznym kwitnie maju,
Tobie jednej nie ma słońca!
Ty samotna w wiosen raju!

Nad twą duszą jest potęga
Niewidzialna, która truje!
W przeszłość, w przyszłość po jad sięga,
Teraźniejszość jadem psuje!

W każdym miejscu, w każdej dobie,
Pośród krzyżów świętych, święty
Nad twem sercem — jak na grobie —
Krzyż nieszczęścia — ach! zatknęty!

Boś z niebieskich gwiazd zasłona!
Więc na ziemi, gdzie, aniele,
Nie świat Boga — lecz szatana,
Łzy masz tylko, łzy w podziele!

Jeśli kochasz, nieszczęśliwa
Wiecznie będziesz — bo kochanie
Wszystkie związki z ludźmi zrywa,
Bólem tylko płaci za nie!

Ale jeśli kochasz święcie,
Choć ci serce w proch się skruszy —
Ty uczujesz — wniebowzięcie —
W każdym bólu twojej duszy!

I ja także już znękany —
Świat ten u mnie w poniewierce,
Odkąd hańbę wziąłem w serce,
I wróg okuł mnie w kajdany!

Gdzie niewola — tam w rozpaczy
Człowiek żyje na swej niwie,
Ciąg dni krótkich buntem znaczy
I umiera nieszczęśliwie!

Mnie się marzy wśród wspomnienia
Snów przedziemskich, że gdzieś w Niebie,
Wśród mar błędnych przedstawienia,
Jam cię widział, jam znał ciebie!

Mnie się marzy — żeś w koronie
Z meteorów tam siedziała,
W sukni srebrnej, na chmur tronie,
I żeś harfę w ręku miała.

Mnie się marzy — że księżyce
Pod twą stopą się tam lśniły,
I że wszystkie anielice
Nie tak piękne, jak ty, były!

Mnie się marzy — żeś twym śpiewem
Gwiazdy w biegu wstrzymywała
I, umilkłszy, znów zalewem
W noc błękitną je rzucała!

Mnie się marzy — że w tem Niebie
Tyś mnie zwała bratem, droga!
Dziś powraca brat do ciebie —
Znów cię woła w imię Boga!

Daj mi rękę, pójdziem razem
W puszczę wielkie, precz od ludzi,

Gdzie nas jednym śmierci głazem
Bóg przywali — nikt nie zbudzi!

Chyba słowik siądzie wiosną
I konwalie tam porosną —
Chyba w nocy, jak gromnica,
Grób omignie błyskawica!

I znów potem cicho będzie
Nam obojgu — po nad czołem!
Kwiaty — błękit — wieczność wszędzie
Nad człowiekiem i aniołem!

Splügen, 26 sierpnia 1840.

To miasto wiecznem: w tych grobach jest życie,
Które pod ziemią spokojnie i skrycie
Kraży krwią wieków i serce spokoj,
A może czoło w laur wieków ustroi.
Może kto kiedyś na jednym z tych wzgórzów,
Wśród prochu bogów i gruzu podmurzów,
Gdzie róż i bluszczu powiązane zwoje,
Bluszcz gdy odchyli, znajdzie imię moje!

Sorrento, 29 września 1840.

Ja was wzywam, duchy i anieli,
Co na błękitu gwiazdach królujecie —
Coście na wieki z czoła smutek zdjęli:
Bom dziś szczęśliwszy na tym smutnym świecie,

Niż wy w niebiesiech. — Nie lękam się wzroków
Waszych tęczanych i skrzydeł z płomienia —
Jak wy, dziś płynę wśród światła potoków —
Jak wy, wznieść mogę nieśmiertelne pienia!

Tę, którą kocham, płaczącą widziałem —
Łzę rozrzewnienia powrót mój witała —
Odtąd sam cały na zawsze skończyłem!
Bom zlał się z duszą tej, która płakała.

Mówcie wy teraz, duchy i anieli,
Czy w nierozłącznej z jej sercem jedności
Duch mój niebiaństwa waszego nie dzieli?
Choć pije z ziemskiej trucizny miłości?

Wyście spokojni — trwałem wasze szczęście —
Na ziemi radość — choć nie z ziemi rodem —
Dwa serca spaja w wznioślejsze zamęście —
Bo zagrożone boleści rozwodem!

Są chwile ludzkie, o! wam niedościgłe,
Wy od nas górniej i piękniej mieszkacie;
Lecz serca wasze wśród niebios wystygłe!
Co piorun szczęścia w nieszczęściu — nie znacie!

Co kropla rosy wśród piekielnej spieki,
Co twarz kochana po długim rozdziele!
Co zmartwychwstanie po śmierci na wieki!
Co kwiat w pustyni — co iskra w popiele!

Co wzrok łez pełen — co ściśnienie ręki!
Co wspólna bojaźń — co boleść dzielona!
Nie — wy nie wiecie, co na krzyżu męki.
Rozkwitająca cierniowa korona!

I ten kwiat głogów na tej smutnej ziemi
Wszystkie wytrzyma słoty, wichry, burze —
On z trosk wyrasta — on z smutków się plemi —
Świeży i piękny, jak edeńskie róże!

Stokroć rozdarty, rozszarpany, zmięty,
Na czas upadnie w głąb duszy człowieka,
Tam, niewidzialny, ale równie święty
Znów listki puszcza, pory słońca czeka!

Takiego kwiatu, duchy i anieli,
Wy nie znajdziecie po waszych błękitach,
Bo się odświeża tylko w łez kąpieli,
Bo rośnie w głębi, a nigdy na szczytach!

Patrzcie na wieniec, co krwawi mi skronie —
To znak mój ludzki, ta z purpury wstęga!

To kwiat męczarni, co wre w mojem łonie —
I duch mój cierpi — lecz do was dosięga!

A kiedy nagle rozwidni się wkoło,
Gdy blask uniesień uderzy mi czoło,
Gdy noc tak jasna, cicha, nieskończona
Tę krew osrebrzy, co płynie mi z łona —

Wtedy ja silniej od was wszystkich czuję!
Wtędym wprawdzie syn nieskończoności —
I wdzięczniej Bogu za chwilę dziękuję,
Niż wy, gwiazd pany — za szczęście wieczności!

Wrzesień 1840.

DO BEATRYCZY.

Darmo świat ziemski płasem mnie otoczy,
Motylem skrzydłem chce udać anioła,
Pcha kwiaty w ręce, ciska iskry w oczy,
On wiary mojej przetworzyć nie zdoła.

Przebyłem drogę szczęścia i cierpienia,
I nią doszedłem do tych ducha włości,
Gdzie się ideał serca już nie zmienia,
Bo zna go serce — pięknością piękności!

Do dziś dnia kocham, jak dawniej kochałem
Tę samą postać, którąm ścigał szaleńcem,
Tę samą duszę, którąm wielbił szczerze;

Obie mi widmem — jednym, świętem, białem!
Tylko w kochaniu wieczniejszym się stałem,
Bo w wieczność mego ideału wierzę!...

Monachium 1840 r.

PO ŚMIERCI.

Gdy wkrótce, droga! śmierć wiatrom rozrzuci
Serce me w popiół, ogniem mąk spalone,
Niech twój głos o mnie jeszcze pieśń zanuci,
Niech wzrok twój spojrzy w grobu mego stronę,

Gdy się rozwieję i zniknę ci z oczu,
Grób mój nie tutaj, mój grób — tam na Niebie!
Szukaj mnie w nocy miesięcznych przezroczu,
O chwili, w której jam tu szukał ciebie!

Gdy ty piętrami ciemnego ogrodu,
Modląc się, zejdziesz i staniesz w żałobie!
Jak posąg biały u chłodnika wchodu,
Może ja wrócę, lub przyśnię się tobie!

Gdy spojrzysz w wulkan, w księżyc i na morze,
Duch mój tam będzie w tej srebra przestrzeni
Gwiazdeczką, falą, albo listkiem może,
Listkiem tak błędnym, jak liście jesieni!

Bo ja, na zmiany, i gwiazdą i listkiem,
Gdym żył, błdziłem po tej smutnej ziemi!
Dla ciebie byłem gwiazdą, pieśnią, wszystkim!
Dla ludzi niczem — bom ja gardził nimi!

Nigdy nie zasiadł do biesiad ich stołów!
Co świat ten cieszy, mnie tylko hydziło —
Żyłem w twych oczach, i w oczach aniołów —
Ty i Bóg wiecie, co mi w sercu biło!

Jam bardzo kochał — zanadto — za wiele!
Jam bardzo kochał — aż, znękan rozdziałem,
Duszęm wypłakał; jam nie mógł w rozdziale
Życ z tobą tutaj — więc tutaj skonałem.

Jam się stał teraz dźwiękiem, szumem, tchnieniem,
Do harfy twojej dziś mój duch przylega,
I pod twą ręką drży strun twoich drzeniem,
Aż znów ucicha, omdlewa, odbiega!

Jam się stał iskrą, sinym błyskiem, mgnieniem,
Gdy chmura pędząc czarną pierś roztworzy
I krwi się twojej obleje promieniem —
To duch mój błyska w tej piorunnej zorzy!

Gdy księżyc wznijdzie, cały rozmieszany
Z powietrzem, płynę, rozślacam się w koło;
A gdy cię ujrzę, zbliżam się stroskany
I, milcząc, światłem całuję cię w czoło!

Ty mnie nie słyszysz, choć jestem przy tobie;
Ty mnie nie widzisz, gdy zrywam ci kwiaty
Z łąk, wzgórzów, lasów i rzucam na szaty, —
Ty je otrząsas i depcesz w żalobie!

Proszę się duchów, archaniołów, Boga,
Bym mógł raz jeden objawić się tobie,
Gdzie chłodnik, wschody, gaj i w gaju droga,
Stanąć widzialny o wieczoru dobie!

Lecz darmo proszę — tylko pozwolono
Mi skroń twą pieścić wietrzyka powiewem,
I, bladych iskier wieńcząc cię koroną,
Niedosłyszanem zegnać cię westchnieniem!

Próżno mnie wabią gwiazdy i lazury!
Ja zbiegam ciągle na dół, tam ku tobie!
I smętny wracam w niebieskie tortury!
W nieskończoności pusto mi, jak w grobie!

Nieszczęsny jestem, choć gwiazdy i słońca
Przy mnie się kręcą w pierścieniach z promieni,
Cierpię bez miary i tęsknię bez końca
Do niższych, ziemskich, do twoich przestrzeni.

Samotny jestem wśród toni wszechświata!
Co mi po nurtach tej elektryczności,
Która dziś wieńcem siły mnie oplata?
Co mi po sile, która we mnie gości?

Co mi, że latam i wieję i płynę?
Że mnie witają po drodze komety?
Że, gdy na tęczę ciało me rozwinę,
W łuku mych ramion przechodzą planety?

Jedno mi tylko pociecha się stało —
Twarz gdzieś anielską raz jeden spotkałem —
Co mi twą piękność jak snem przypomniało,
I to mi było, w Niebie, szczęściem całem!

O! płacz nademną gorzką łzą pamiątek;
Płacz nad nieszczęsnym, coby wołał z tobą
Dzielić łzy, bóle i ziemski zakątek,
Niż, światel marną spętany żalobą,

Wśród tych ogromów tak rozbłękitnionych,
 Tak dniem i nocą Bogiem oświeconych,
 Latać i błdzić, tęsknić i narzekać,
 I ciebie wiecznie — tylko ciebie czekać!

Neapol 1840 r.

Listku dziś suchy, przypomnij mi strony,
 Gdzie nad błękitnem Albano jeziorem
 Tłum drzew jesiennych zawieszał się wzorem
 Szczęścia zwiedłego uwiedłej korony!
 A w głębi cisza, w dole śliczne wody,
 Wiecznie te same — niebiańskiej pogody!

Choć na ich brzegach zwiedły kwiaty Boga
 I płaszczył się rozdarł zielonej natury,
 I ludzkich zamków zapadły się mury,
 I liściem żółkłym pokryła się droga —
 One powietrza światło odbijały,
 I w nich był znajom — obraz Nieba cały!
 Tak w głębi serca, tak w przepaściach duszy
 Drga jakieś Boga przeczyste odbicie,
 Choć wewnątrz pełno mąk, trosk, łez, katuszy,
 Choć serce żółkło — tam w sercu trwa życie,
 I niewidzialnym, ukrytym błękitem
 Głęb wód i serca — związany z niebios szczytem!

Albano 1840.

Tak więc ciągle z burz na burze
 Wśród błyskawic po otchłani —
 Bez wytchnięcia, bez przystani —
 Aż się wreszcie w głębi zanurzę!

Ilem razy wśród zawiei
 Oczy smutne wzniosł do góry
 I gdzieś szukał gwiazd nadziei —
 Cóżem ujrzał? — tylko chmury!

„Oto cisza, wiatr już kona“
Ile razy rzekłem sobie,
Głos mi odgrzmiał z burzy łona:
„Ciszy nie ma, jedno w grobie.“

I tak dalej i tak wszędzie,
Od kolebki urodzenia,
Aż do trumny zapomnienia,
Wir trosk sercem miotać będzie!

Aż przepadnie wszystko razem,
Wszystko zginie — a na skale
Drżymać będą tylko fale
Wieczności obrazem!

Rzym, listopad 1840.

ADAMOWI SOŁTANOWI.

Co u Ciebie długo spało,*)
Ze snu tutaj zmartwychwstało!
Duch tej pieśni przybrał ciało!
Niech więc cały, dopełniony
Dziś powróci w Twoje strony
I znów mieszka w dawnym domu —
W sercu Twojem pokryjomu...
Choć wciąż smętnym szumi jękiem,
Aż z łez wielu śmierć wyjęczy,
Jednak strunnym wreszcie dźwiękiem
Woła w Niebo: „zmartwychwstaną!“
Niech tym dźwiękiem Ci odwdzięczy
Za gościnność niegdyś daną...
I niech powie z cicha Tobie,
Że my dotąd żyjemy w grobie!...
Choć po serce w grób wkopani

*) Rękopism »Nocy Letniej«, zostawiony był przez Krasińskiego u Adama Sołtana w Wiedniu, gdy autor do kraju wyjeżdżał, i kilka lat rękopism ten u przyjaciela poety przeleżał,

Koło ciała naszej Pani,
 Co umarłym jest aniołem,
 Dotąd patrzym w Niebo czołem,
 Dotąd śpiew nasz wrogów rani...
 I nam w sercu śmierci nie ma —
 Pieśnią buntu pierś się wzdyma!
 I pieśń buntu posyłamy
 Od naszego równie zgonu,
 Aż pod stopy Boga tronu!...
 I tak żyjem — tak czekamy!...

Münich, 29 listopada 184...

Na pierwszej kartce oprawnego egzemplarza »Noc Letnia«, przesła-
 nego Adamowi Sołtanowi z Monachium.

NAD MORZEM NA SKALE.

O Boże! Boże, rozemknę ramiona,
 Jak gdyby skrzydła — i skrzydłami temi
 Polecę na dół, w głąb błękitów łona —
 Polecę w morze — w to niebo na ziemi!
 Bo wznieść się w górę nie wolno — nie dano —
 W dół tylko cięży me ludzkie kolano.
 A chcę odepchnąć ten ład taki szary,
 Chcę się przerzucić w jakiebądź bezmiary!
 Duch mój rad ujrzeć niewidzialnych gości,
 Dobro i piękno, w blaskach wszechmiłości!
 Dobro i piękno, ze złem nie złęczone —
 Coś wszechstronnego — w czymby się nie kryła
 Przy mocy Bożej i piekielna siła!
 Coś, coby płaczem nie było zroszone!
 Bo za dni naszych i najświętsze cele
 Brzydota bólu, nędzy mają wiele!
 Mrok zawsze blizki czystego błękitu
 I łza krwi pełna, blizka łzy zachwytu!

.

 nożem

O! tak marzyłem na wzgórzu, nad morzem!
I chciałem, chciałem rozemknać ramiona,
Jak gdyby skrzydła — i skrzydłami temi
Na dół się zepchnąć w głęb błękitów łona —
Polecieć w morze — w to niebo na ziemi!
Tak dobrze lecieć — tak ciągnie planeta,
Radby do serca przytulił człowieka —
Tak otchłań wabi i ludzi zdaleka —
W nerwach tak dziwna budzi się podnieta!
Zdaje się w dole przepłyenne kryształy!
Tak miękko będzie — tak lubo — tak miło —
Człowiek na falach rozciągnie się cały,
I coś Boskiego będzie mi się śniło,
Aż w nieskończoność poniosą te wały,
I księżyc wejdzie i w srebrnych promieniach
Kochane wejdą przywitać mnie duchy,
Zewsząd owieją niebiańskie poddmuchy;
Wesprę się, płynąc, na wysmukłych cieniach —
I coraz dalej — ach, dalej od ziemi,
Już w wieczność będę po morzach wraz z niemi!
Jako szedł Chrystus przez niegrząskie fale
Do źródła ziemi, nie ciężki już wcale,
W wewnętrznej duchów lekkości i chwale!

A jednak, jednak ja tu się zostanę!
Choć wszystko smutne, choć wszystko stroskane!
Dopóki żyją moi ukochani,
Duch mój ich nagłem odejściem nie zrani!
Wiem, że ty lepsza, błękitna otchłani,
Niż zgotowana przyszłość, co mnie czeka —
W tych falach spokój — a tam są tortury —
Lecz precz ode mnie! kuszące lazury —
— Przez ból hartują się piersi człowieka —
Ja ból obieram — w każdej chwili ranę
Do piersi przyjmę! Ach! ja tu zostanę!

ZAWSZE I WSZĘDZIE.

O nie mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Że ciebie tylko goryczą zraniłem,
Bo ja goryczy kielich także piłem
Zawsze i wszędzie.

O nie mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Że tobie tylko los życia popsulem,
Bo własną dolę ja także zatrulem
Zawsze i wszędzie.

Ale mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Że Bóg jest dobry, że mnie schował w grobie,
Bo byłem sobie nieszczęsny i tobie
Zawsze i wszędzie.

Ale mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Żem żył na świecie dzikim serca szaleł,
Bo z serca ciebie, choć gorzko kochałem
Zawsze i wszędzie.

DO KOBIETY.

Choć serca znęcisz skrawych ocz krysztalem,
Lub je podeptasz częściej myśli suchością —
Nie będziesz jeszcze żywym ideałem,
Nie będziesz jeszcze niewieścią pięknoscią. —

Skromność bez wiedzy, lub rumiane lice,
Również się dzisiaj na mało przydały —
Nie być — lecz wyrósć musisz na dziewicę,
Przechodząc zwolna świat ten bolu cały. —

A gdy z twych natchnień, i mąk i łez mnóstwa
Wybłyśnie w końcu święty promień bóstwa
I twarz ci zleje światłem wiecznotrwałem;
Gdy na twem bladym, marmurowym czole
W wieniec się mocy spleta życia bole:
Wtedyś pięknoscią, wtedyś ideałem!

NADGROBEK.

O Lindo moja! jeśli zginąć trzeba,
Niech dusza moja nie pójdzie do Nieba,
Niech się na ziemi przy tobie zostanie,
Już tem, że z tobą, już tem zmartwychwstanie!

Nie żądam, Lindo, gdy zamknę powieki,
Ni żalu ludzi, ni świętych opieki —
Niech zapomniany będę pod mogiłą;
Tylko po śmierci, jak za życia było,
Chcę być kochanym i chcę kochać ciebie.

Grób łóżem mojem, póki dzień na Niebie,
Lecz skoro tylko pierwsze zmierzchy padną,
Ja grób porzucam i płynę do ciebie —
Oni już wtedy, gdzie jestem, nie zgadną.

Oni już wtedy nie będą wiedzieli,
Że wstałem z zimnej cmentarzów pościeli,
By głuchą nocą, udając anioła,
Składać me usta na smęt twego czoła.

I póki zorza wschodu nie rozploni,
Póki skowronek pieśni nie zadzwoni,
Szczęśliwszy stokroć niż anieli w Niebie,
Będę cię widział — będę kochał ciebie.

1840 r.

Myślałem nieraz — przez znak dotykalny
Wyrazić tobie ten świat idealny,
Cudowny, skryty, własny twego ducha,
Skąd życie twoje co chwila wybucha —
W którym twa dusza, łamiąc się na dwoje,
Jakiemś podziemnem i wewnętrznem okiem
Patrzy przed sobą w własne myśli swoje,
Wiecznym z jej głębi rwące się potokiem!
A choć się w przepaść sama rozstępuje,
Zawsze się jedną, zawsze całą czuje.

Jak Eter niebios, choć tylko promieniem
 Gwiazd swoich widny — gwiazdy owe rodzi,
 Przedziela, łączy i wszystkie obwodzi,
 Rozbłękitniony wieczności pierścieniem!
 Każda w nim żyje, kołuje, umiera —
 One są jego myślami na Niebie —
 On ich rodzicem, a jednak sam siebie
 W ich barwy stroi, w ich ognie ubiera —
 Dopiero, niemi roziskrzony cały,
 Zowie się Niebem i drży w blaskach chwały!

Jak Eter w świecie, tak jest w twojej duszy
 Błękit odwieczny, niebieski, kryjomy;
 Co wtedy tylko staje się widomy,
 Gdy się na poprzek rozedrze i wzruszy —
 Gdy się w wir myśli rozbije, rozłamie,
 I w myślach własnych, jakby w gwiazd szeregu
 Ujrzy odwieczne światła swego znamię,
 Sam siebie porwie do życia i biegu!
 Lecz twój ten błękit, co wszystko kojarzy,
 Co raz jest źródłem — to znowu łańcuchem,
 Co razem z tobą i nad tobą marzy,
 Wieszli, ten błękit jak się zowie? Duchem!
 Duch twój na wieki Boskiego odnoga
 Dzieli się w Trójcę, jak wielki Duch Boga,
 Nawzajem patrzy, i sam jest patrzony
 I w każdej chwili życia ma trzy strony,
 Z których się jedna na myśli rozkłada,
 A druga patrzy — trzecia wszystko spaja!
 Lecz ciebie godząc połączeń miłością
 I myśli twoje odnosząc do ciebie,
 Czyż duch ten trzeci nie jest Twą całością?
 Gwiazd i błękitu zlanie się na Niebie!

.

1 stycznia 1841.

NA SPROWADZENIE ZWŁOK NAPOLEONA.

· · · · ·
Lecz wszystko świeckie dziś pełne podłości...
Ludzie, zagrzązłszy na wygod mieliźnie,
Gorzej umarli, niż umarłych kości,
Świecą dusz próchnem po życiu płaszczyźnie...
Świat dziś kałużą rozmięklego błota,
W której się wala — bóg ich — cielec złota!
Wszędzie stek kupców, wszędzie ród kramarzy,
Ze wszystkich plemion najnędzniejsze plemię...
Z czołem pogodnem, gdy je hańby brzemię
Tłoczy; z natchnieniem, gdy o zysku marzy —
A wtedy tylko z rozpacz wyrazem,
Gdy w giełdach wszystkich spadną ceny razem...
Żaden z nich w świętej miłości lub dumie
Za miecz nie chwyci — bo walczyć nie umie!
Żaden umierać już nie jest gotowy —
Więc umrą wszyscy i o złej godzinie,
Bo gdy myśl zgasła, świat tej myśli zginie —
I na ruinach powstanie świat nowy!...
Darmo jest mowa kwiecista i szumna —
Czas ich — za nimi! — Jedno tylko ciało
Ocalunione dni ubiegłych chwałą —
O Boże wielki!... jedna tylko trumna,
Co weszła z morza nad świat, jak wschodzące
W ostatni świata dzień sądny gasnące,
Zaćmione, zmarłe u stóp Boga słońce!...
Ha! — jedna trumna — jedno zimne ciało
Na całej ziemi — jednym pozostało
Ducha ludzkiego godłem ocalonem!...
Bo w dzień pogrzebu ponad głów milionem,
Gdy weszła ta trumna cała, zachowana
W srebrnej kadzidel palących się chmurze,
Z mieczem zwycięstwa — w cesarskiej purpurze —
Koroną świata ukoronowana!
— Taka z jej głębi zmartwychwstania siła

W skrzepłą pierś ludu gromem uderzyła,
Że ta pierś ludu na chwilę ożyła, —
I milion kolan przypadło do ziemi,
I wszystkie razem wzniosły się ramiona
W stronę tej trumny, co szła po nad niemi —
Jakby z niej wstawał duch Napoleona!
I głos tysięcy, jak piorun, gdy bije —
Grzmiał umarłemu: „Niechaj cesarz żyje!“
Lecz trumna przeszła — życia błyskawica!
A już do śmierci powrócił świat cały,
I ten rok skończył — tak, jak żył — bez chwały,
Zgasł, jak zdmuchnięta pogrzebu gromnica...

1841 r. (Z listów do Sołtana.)

Gdybym dziś, jutro, lub z dnia z tych jakiego
Nagle miał przenieść się do snu wiecznego,
Chciałbym spokojnie, lekko bez boleści
Rozsnuć do świata wiążące mnie nicie,
Zniknąć bez śladu i przepaść bez wieści,
Jak łza w potoku, jak mgła na błękanie!
Lecz nim spór chwili wyroczonej przeminie,
Nim, skądem wyszedł, powrócę do Boga,
Chciałbym być z tobą w ostatniej godzinie
I cicho konać na twym ręku, droga!
A gdy już zrzucę wszelkiej troski brzemię
I ty me ciało będziesz kładła w ziemię,
Proszę cię, nie chcę dusznego sklepienia
Klasztornych murów mieć nad mojem czołem!
Dość mi już było na świecie więzienia!
Śmierć niech łąk wolnych otoczy mnie kołem!
Gdzie na zielonym i otwartym polu,
Pod niebios wiecznie błękitnym pierścieniem
Złóż moją głowę senną, pełną bólu,
I marmurowym przykryj ją kamieniem;
A marmur ochłódź wonnych krzewów cieniem.
Zasiej tam, zasadź bluszcze, rozchodniki,

Stulistne róże, podwójne goździki,
Niezapominajki i nieśmiertelniki,
Italskie mirty, podalpejskie dalie,
I borów naszych pamiątkę — konwalie!
Wszystkie, co kochasz i com ci przynosił
Za życia, kwiaty oddaj umarłemu!
Pomnij, żem o nie, zasypiając, prosił,
I rzuć je wieńcem na głowę śpiącemu!
Niech przytłoczony tym ostatnim darem,
Pchan coraz niżej tym kwieciami ciężarem,
W wieczność zapadam — aż w niej się przetworzę
Na drobne listki, gałązki, kielichy,
I z głębi grobu wyrosnę — kwiat cichy,
I serce wonne przed tobą roztworzę!
Tak każdej wiosny, ócz wonnych tysiącem
Będę wyzierał za śmierci okręgi,
I rósł tam jeszcze przy tobie, pod słońcem,
Stopy ci w miękkie obwiązując wstęgi.

Roma, 26 maja 1841 r.

Niech moja dusza będzie cicha — czysta,
Jak ta noc letnia — spokojna — przejrzysta!
Niech gwiazd tych złotych oblany pokojem
Idę w świat — z światem walczyć wstępnym bojem;
Choć w głębi serca żar się palić będzie,
Niechaj powagi oblecze mnie szata!
Niechaj się stanę na zawsze i wszędzie
Niezwruszon w ruchu — jak ten krąg wszechświata!
Niechaj podobny będę do tej nocy,
W której śpią wrzкомо ciała — duchy — mocy —
I każda skała na ziemi jest cieniem,
I każda fala na wodach milczeniem,
A jednak wszystko skrytych sił tysiącem
Rwie się ku zorzy i stąpa za słońcem! —
Takim być pragnę — lecz nie na to, Panie,
Bym świat uwodził i władał bliźnimi!

Niech rządź dusz ludzkich innym się dostanie!
Ja jedną tylko chcę zbawić na ziemi —
Tę jedną tylko — co gdy skonam — skona,
A gdy żyć będę, ze mną zmartwychwstanie —
Bo mi na wieki dana, powierzona,
Boś ty mą siostrą uczynił ją Panie!
Więc mnie wysłuchaj, miłosierny Boże!
Idę w świat straszny, gdzie miłości nie ma —
Daj mi spokojność i siłę olbrzyma
A duch mój wtedy tej duszy pomoże!
Niech wśród męczarni stanę się aniołem,
By cień mych skrzydeł pływał nad jej czołem —
I wiecznie — wszędzie ochładzał jej skronie!
I niósł ją lekko ponad życia tonie!
Choć sam z nadziei i z szczęścia wyzuty,
Choć sam rozdarty — przebity, przekłuty —
Niech będę dla niej, jak żywa opieka,
Czemiś na ziemi — z blizka czy daleka —
Jak duch świętego i serce człowieka!
Wszelkiego bólu pociechą, osłodą!
Nadzieją przyszłą i przeszłym wspomnieniem!
Gdy zechce płakać — ach! płaczu swobodą!
Gdy śpiewać zechce — ach jej duszy pieniem!
Na to niech żyję — na to mi daj siłę,
Boby inaczej prosił o mogiłę!

24 czerwca 1841 r. (bez miejsca.)

DO MOSKALI.

Wiem, dla mnie Sybir, — powróż zgotowany,
Jeśli przed wami nie uniżę czoła,
Gdy duch mój krnąbrny kornie nie zawoła:
„Nie Bóg mi panem — lecz wyście mi pany.“
Lecz dajcie pokój — bo ze mnie nie będzie
Sługa pokorny. Z ojców mych się rodzę —
War krwi nie hańbą, lecz śmiercią ochłodzę,
I sześć stóp ziemi znajdę sobie wszędzie!

Tam dom mój ciasny — lecz pełen wolności,
Lepszy niż zamki, w których królujecie —
Żaden z was, do mnie nie przyjdzie tam w gości —
Pierwszy raz będę bez was na tym świecie! —

Wolno wam mówić żem dziwak — żem dumny —
Prawda, trzymają się mnie dziwne smaki:
Od słońca z wami — wolę ciemność trumny —
Od twarzy waszych — szkieletów robaki!...

Jest iskra we mnie, — której nikt nie zdusi —
Jest duma we mnie, — której nikt nie skusi,
By pokłon panom widomym oddała —
Niechaj więc ginie nietknięta i cała!...

Gdybym was zdusić mógł w jednym objęciu
I stracić wszystkich do jednej otchłani —
Chciałbym po waszym zostać w piekłowzięciu
I żyć na ziemi — dla mej drogiej Pani!

Lecz Pani moja już na marach kona,
Próchna światelkiem tli jej oko śniade —
Krucyfiks wzięła w ręce bardzo blade,
A trzy sztylety tkwią w głębi jej łona!...

Ja nad tem łonem — ja trzymam gromnicę,
Ostatnim błyskiem oświecam Jej lice —
I liczę chwile, gdy umrze ma droga —
I ja z nią pójdę gdzieś tam szukać Boga!...

Nie myślcie o mnie — proszę was, o wrogi!
Daremną praca! Oszczędźcie jej sobie —
Bo hańby nie chcę — a nie umiem trwogi!
Na mnie pokusę — trzeba znaleźć w grobie!...

A gdy umarłych wy kusić zdołacie,
I podlić serca pod krzyżem cmentarzy —
Wtedy dopiero w mej podziemnej chacie —
Ujrzycie podłość na mej trupiej twarzy!..

Na was więc czekam — tak — gdy serce pęknie,
Ale nie wprzód — bo z mlekiem wyssałem,
Że was niecierpieć — jest święcie i pięknie —
I ta nienawiść mojem dobrem całem!

Chyba ją sprzedam za polską koronę!
Za nic innego — nawet za zasłonę,
Co kryje posąg Boga nieznanego —
Wszechwiedzę dobra i wszechwiedzę złego!

Nie chciałbym zostać błękitów aniołem,
I skrzydłem światu panować z oddali —
Gdybym miał wprzódę bić przed wami czołem,
A wy nademną z biczem pańskim stali!...

Tak żyłem — żyjąc; tak, konając, zginę —
Wiem, że ufacie w wielką przyszłość, w siłę —
Niech i tak będzie. — Wam los, gdy przeminę,
Da świat ten cały — mnie, jedną mogiłę!...

1847 r.

Czas ma nadzwyczaj coś gorzkiego w sobie!
Ileż go razy zatrzymać ja chciałem,
Gdym dni szczęśliwe przepędzał przy Tobie!
Na klęczkach każdą chwileczkę błagałem,
Mówiąc: „chwileczko, o zostań na chwilę!
Tak mi niebiesko — tak domowo mile!
Lecz niech raz czuję, że nie znikniesz lotem,
Niech raz się dotknę ciebie — znikniesz potem!“
I nigdy, nigdy żadne z godzin tyla
Wysłuchać prośby nie chciała serleczej!
Żadna mi w ręce nie dała się chwila —
Żadnej godziny nie miałem ja wiecznej!
O czas jest straszny — o czas jest przeklęty!
O czas sam z siebie już jest nieszczęśliwy!
Nigdy nie spełnion, nigdy nie dopęty,
Przez przeszłe chwile sam wciąż tupa żywy!
A jaki pyszny — jaki pan — ja! świeży!
Taka wiośnianność na skrzydłach tu leży —
W niej skonać pragniesz, — w nie chcesz ukojenia —
Wtem znów się wszystko w mgnieiu chwili zmienia,
Nie mogłeś umrzeć, odetchnąć — am zostać,
Gdzie śmierć ci życiem — życie, o ci zgonem,

Rwie się już dalej w inną świata postać —
I tyś jak dzieckiem znów osieroconem!
I płaczesz — płaczesz szlochami krwawemi,
Żeś nie mógł chwili przytulić do siebie,
Żeś nie mógł w chwilkę zmienić się na ziemi,
Żeś widział Niebo, — lecz nie poczuł w Niebie!
Ach! czas jest gorzki — ach! czas jest okrutny!
I człowiek, w czasie żyjąc, — żyje smutny.

1841 r. (?)

Im dalej idę, tem się okolica
Młodości mojej bardziej rozsmętniwa!
Z jej pogrzebnego wyczytam już lica,
Jaki się koniec w losach mych ukrywa!
A zewsząd tłoczy się stek ludzi, zdarzeń,
Co rwie mnie silnie w dalszą przestrzeń bytu!
Lecz we mnie samym wymiera świat marzeń!
Schną łąy miłości, gasną skry zachwytu.
Bo gdzie tknę ręką, płazy napotykam
Ruchome, chłodne — moich bliźnich dłonie;
Gdzie wzrokiem sięgnę, głęb dusz ich przenikam—
A tam fałsz czycha, lub żar złości płonie!
Wszyscy szlachetni! tak brzydzą się złotem!
Tacy gotowi poledz w świętej walce —
A każdy miota na drugiego błotem
I każdy równy wiotką duszą — lalce!
Myślą, że maskę wdziawszy karnawału,
Miedziane czoło cofną mi z przed oka —
O! jest szal święty, co pada z wysoka —
Lecz wyście tylko arlekiny szału!
Nos bohatyrski z papieru lepiony,
Głos grzmiący męstwem, dopóki w przyłbicy,
Płaszcz wzorem togi przez pierś przerzucony,
Oczy jarzące z dwóch dziur jak knot świecy!

Lub bladość smętna pędzłem bielmowana,
Niewieścia słodycz na lepkiem kartonie —
Myśl jakaś wzniosła — szkoda, że udana —
O cierniach ziemi i o wczesnym zgonie!

Skrzydła anielskie z dwóch złotych arkuszy,
Do ramion spięte szpilkami — wiszące —
Wszystko to, pany i panie, mnie wzruszy
Tyle, co mucha brzęcząca na łące!

O znam się na was! wiem, co komu siedzi
Pod lewą piersią, gdy o czuciu gada!
Lub nad ojczyzną umarłą łzy cedzi,
I z swych przedemną spisków się spowiada!

Gdyby w tej chwili, w tym samym pokoju,
Gdzie tak rozprawiasz, drzwi się otworzyły,
I wszedł duch: „powstań, wołając, do boju!“
Padłbyś na krzesło blady i bez siły!
Lub też z nienacka, gdyby straż więzienia
Przyszła cię pojmać i okuć w kajdany,
Tybyś przysięgał na Chrystusa rany —
Żeś syn niewoli — dziedzic poniżenia —
I, w stotysięczne gnąc się tłumaczenia,
Sto razy wrogów nazwał twymi pany!
— I nie to jeszcze — gdyby tylko trzeba
Dla grobu twego, nad którym tak płaczesz,
Zżywasz się, krzyczysz, sejmikujesz, skaczesz,
Mniej łez umarłym, tylko trochę chleba
Dać ich sierotom, by porośszy w siłę,
W gmach życia ojców zmienili mogiłę
I nad nią sztandar zmartwychwstań zatknęli —
Ja ci powiadam, ty, z Bergamu rodem,
Żebyś ty zemknął w łóżko do pościeli,
Okrył się cały malowanym wrzodem,
Jęczał bez zmysłów, a trzos pełen srebra
Złożył tymczasem pod poduszką, w głowach
I strzegł go lepiej, niż strzegł Adam żebra,

Bobyś w malignie wciąż śpiewał o wdowach,
Dzieciach, kalekach — a sam Bóg wszechmocny
Nie mógłby spuścić na ciebie sen nocny
Tak twardy, głuchy, by ktokolwiek z świata
Z pod głów ci wyjął dla wdów tych dukata!
Choćbyś i skonał — to jeszcze twa mara
Trzosby ten z sobą uniosła do trumny,
Polsce jednego nie dawszy talara!
Widzisz — znam ciebie — tyś człowiek rozumny —
Napis ci nawet wyryją na grobie:
„Cny obywatel — dobry mąż — nie sobie,
Co mógł z dóbr zebrać, poświęcał krajowi —
Choćby swój nawet ostatni grosz wdowi!
Po nim Ojczyzna i rodzina płaczą —
Niech tu przechodnie pacierz zmówić raczą!“
— Zwódź ich za życia i zwódź ich po śmierci —
Lecz mnie nie przychodź omamiać kłamstwami —
Jam twoją duszę rozebrał na ćwierci —
Nikt nas nie słyszy — jesteśmy tu sami —
Słuchaj więc mojej o tobie spowiedzi,
Gdyś mnie tak długo spowiadał się z siebie —
Możesz być cudem — dla głupiej gawiedzi —
Możesz być gwiazdą na studentów niebie —
Lecz ty nie złudzisz równego mi ducha,
Gdziekolwiek ciebie spotka i wysłucha —
Bo z twoich oczu dla mnie podłość bucha
I poetyckich odgadnień spojrzeniem,
Strasznem przeczuciem — z gwiazd spadłem natchnieniem —
Kiedy się wdzieram w jamę twego serca,
Widzę, żeś skąpiec, matacz i oszczerca!
— Zedrzyć twej maski nie myślę przed światem,
Bom się nie rodził mordercą, ni katem!
Wolno cię puszczam, lecz na mojej drodze
Ile cię razy spotkam — zbledniesz w trwodze!
A twojej pustej, samochwalnej mowy
Oszczędź mym uszom — bo mnie twój fałsz parzy —
Bo mnie twe oko rani wzrokiem sowy!

I gardzę ogniem kłamanym twej twarzy!
 Nie taki płomień idzie z serca ludzi,
 Gdy ich myśl wielka do czynu pobudzi!
 Inny koloryt wdziewa dumne czoło,
 Gdy miłość w sercu — a śmierć naokoło!
 Spójrzysz w zwierciadło — samo szkło ci powie,
 Że wawrzyn takiej nie przychylny głowie!
 Komikiem jesteś — wróć cicho do domu.
 Ja mej pogardy nie powiem nikomu!
 Chybabyś dusze ufne, mdłe, dziecinne
 Chciał wieść do zguby przez chętkę próżności,
 I, na łup wrogom wydawszy niewinne,
 Po nich wziąć w zysku blask popularności!
 Chybabyś znowu ze strachu sprosnego,
 Z trwogi o pieniądź, lub z bojaźni kary,
 Gdy długo skryte dojrzeją zamiary,
 Gdy zaczniesz wołać głos grzmotu Boskiego,
 I blisko będzie już tej wielkiej chwili,
 W której grób pęknie a złe się przesili —
 Chciał wstrzymać fale rwące się potoku —
 Jednych przerazić — drugim w krzyż spleść dłonie,
 Jak duch doradczy stanąć przy ich boku —
 Zawrócić w lochy puszczone na błonie,
 Hasła wpół łamać i szable odbierać —
 I nigdy — nigdy w polu nie umierać!...
 Wtedy cię znajdę i takim imieniem
 Przywitam w obec zgromadzonych ludzi,
 Że mi się staniesz pyłem, mgłą, tchem, cieniem —
 I jak trup padniesz i nikt cię nie zbudzi!
 . . . Teraz cię żegnam, bo mi inne mary
 W rzeczywistego życia okrąg wchodzą —
 Innego kroju upiory, poczwary
 Na drodze mojej tłumami się rodzą!

KOLOSEUM.

Tam, gdzie spokój i grób pychy,
 A nad grobem złota, drżąca
 Wśród szafiru twarz miesiąca,
 I chrześcijański krzyż ten cichy,
 Krzyż zwycięski! czemuż smętno,
 I już na nim wieków piętno?
 I gdy w okół fiołki rosną,
 Maj powraca, gruz zieleni,
 On — nie kwitnie z ruin wiosną?
 Stoi czarno sam w przestrzeni!
 Lecz nadchodzi czasu fala,
 Co mu stopy pocałuje
 I jak płomień, co przepala,
 Z więzów stopy te rozkuje!
 Głos na cyrku słyszan będzie!
 I drzeć będą piane z trwogi
 Starożytnych ścian krawędzie!
 W błyskawicach krzyż ten cały
 Nagle wstanie jasnobiały!
 Pan wierzącym — a złowrogi
 Tym, co sercem w miłość skąpi;
 Z marmurowych stopni zstąpi
 I w anielskich gwiazd koronie
 Wyjdzie z cyrku. — Idzie — płonie,
 Idzie — dawnej torem drogi
 Deptać w Rzymie Rzymu bogi!

I znów wzniesie się jęk bolu —
 W Watykanie — w Kapitolu!
 Lecz przebrzmi jęk
 Na hymnu dźwięk!

.

1842 r.

DO CEZAREGO PLATERA.

Jeślim ci kiedy był przykro przeciwny
 I miał twe zdanie w dziwnej poniewierce,
 To żem nie wiedział, żeś taki przedziwny,
 Że tak szerokie bije w tobie serce!
 Przebacz, bo teraz blizki czy daleki,
 Już znam twą duszę — i znam ją na wieki.
 Dnie smętne bolu ten kwiat mi wysnuły,
 Żem poznał ciebie — Tyś dobry i czuły.
 Dam ci więc rękę — w uścisku tej ręki
 Nie fałsz, lecz prawda — i raz jeszcze dzięki!
 Bądź szczęśny w życiu i wspomnij czasami,
 Że twoje szczęście chwilę szczęścia da mi.

Monachium 1842 r.

FRYBURG.

Troje nas było w tym gockim kościele;
 Zdało się losom, że jest nas zawiele!
 Więc z trojga jeden losem naznaczony
 Odszedł z tej ziemi w zagrobowe strony!
 Dwoje nas tylko na świecie zostało
 I czujem dzisiaj, że nas jest za mało!
 My nie wiedzieli, pod tych wieżyc cieniem,
 Okien tych barwnych wieńczemi tęczami,
 Że lat trzy minie — a będziemy sami,
 I on nam w sercu już tylko wspomnieniem!
 Nie przeczuwali, ani pomyśleli,
 Że lat trzy minie — a grób nas przedzieli!
 Że czoło jego, to śnieżne, to dumne,
 W myśl tak promienne, pójdzie spocząć w trumnę
 A gdy grał z tobą tę pieśń Mozartową,
 Pieśń nieśmiertelną śmierci, pieśń królową!
 On sam nie wiedział, że samemu sobie
 Kładzie akordy — jak napis na grobie!

Czy ty pamiętasz tę szlachetną postać?
 Ten wzrok tak pełen ukrytej katuszy?

Te słowa mądre, co musiały zostać —
 Raz usłyszane — w słuchającej duszy,
 I te przepiękne, blade, smętne lica,
 Z których wewnętrzna biła tajemnica?
 Ten chód, tak lekki. jak nie z tego świata,
 Ten ruch łagodny, a razem wspaniały?
 Czy ty pamiętasz postać mego brata,
 Kształt ten, co w trumnie dziś zanurzon cały?
 O! zniknął — zniknął — my dotąd pod słońcem
 Z tej strony grobu, przed łez, trosk, mąk końcem,
 Boga się pytaj, czy nie przeznaczeni,
 Jak żagle w burzy, zdzierać się w przestrzeni,
 I bez spoczynku na zawsze skazani
 Płynąć po falach — nie znaleźć przystani!

Patrz na ten kościół, on spokojnie stoi!
 Tam z wami żyłem, wy drodzy, wy moi!
 Dzień schodził w górach po winnic zieleni,
 Gdzie bory szumią i potok się pieni!
 A w wieczór razem, w cichym razem domu,
 Razem we troje... tak zawsze i wszędzie
 Kiedyś być miało... już nigdy nie będzie!
 Bo weń uderzył Bożego cios gromu!
 Nie piorun burzy, co łamie hart głazu
 I serce ludzkie rozrywa od razu!
 Lecz cichy, zdraadny, zwolna zmijowaty,
 Grom, co się wciska po pod samo serce,
 Aż wyssie z lica wszystkie lica kwiaty,
 I zgasi życie w ostatniej isierce!
 Oczy otworzył po wielu dniach męki,
 A nie mógł ścisnąć mi, konając, ręki!
 I choć przytomny — zeszedł bezprzytomnie,
 Bo spojrzał tylko — a nie rzekł nic do mnie!
 Wzrok jeden rzucił w górę, w Niebo, w Boga!
 I czoło schylił. Zmartwiał wzrok rzucony
 Raz stąd ostatni w ponadziemskie strony!
 Skrzepł wzrok ostatni — i wszczęła się droga,
 Co duszę jego porywając z ziemi,

Złączy śmiertelną tam z nieśmiertelnemi,
Tam — w tych przestworach bez miary, bez końca,
Kędy szlak każdy po gwiaździstem Niebie
Wiedzie, o Panie! w blask Twojego słońca,
I ma na końcu, Ojcze, tylko Ciebie!
A ciało martwe zostało mi w rękę,
I padłem obok bez łyzy i bez jęku!
I takem leżał przy tem ciele długo,
Jakby sam zdjęty przy niem śmiercią drugą!
A gdym się ocknął i spojrzał w te zwłoki,
Tlał na tem czole wyraz tak wysoki,
Że, kląklszy znowu przed trupem w pokorze,
Krzyknąłem pewny: — On Twój, Panie Boże!
Wtedy zapłakał — nie nad nim — nad sobą!
Bo, samolubną ogarnion żalobą,
Pustynię życia ujrzałem do koła!
Twój obraz tylko podniósł się z oddali,
Jak kształt drugiego losów mych anioła,
I płynął ku mnie na dni moich fali!
Zresztą głos żaden już na mnie nie woła
I żadne czucie wzruszyć mnie nie zdoła!
Czy kwiaty kw tną, czy świat w proch się wali,
Wszystko mi jećno... i jedno na wieki!
Bo duch mej duszy odemnie daleki!
On, co miał wspierać mnie wśród nawałnicy
I dźwigać ze mną z grobowej ciemnicy
Cień zmarłej Matki — by, Chrystusa wzorem,
Bóg nasz pogrzeban wstał tryumfATOREM! —
On, co miał ze mną... ach, serce marzyło!
Lecz o tem wszystkim już dzisiaj nie marzy!
Przybyło więcej tą jedną mogiłą
Do mogił naszych bezdzietnych cmentarzy!
Mniej coraz duchów na Matki obronę!
Wszystkie precz idą — a w tę samą stronę,
Za świat, za Polskę, w niewidzialność grobu!
I nam tu walczyć już nie ma sposobu!
Serca podniosłe pękły — i myśl wszelka,

Byleby tylko wolna, silna, wielka,
Żegna się z nami. Wszystko, co jest, Boże,
Tu nas opuszcza — i o złej godzinie
Przepada w jakieś zagubienia morze,
W oczach się naszych rozplywa i ginie!

Los mi przeciwny! — Życia mego chwała
Śpi w jego grobie: bez niego ja niczem!
On był mi siłą, co mi rozum dała,
Bo mnie gnał naprzód wiecznej prawdy biczem!
On serce moje umiał wyżej męki
Stroić jak lutnię w mąk zwycięskie dźwięki!
On jednym słowem tłómaczył mi wiele!
Milczeniem nawet mówił życia cele!
I gdym posłuchał głosu jego chwilę,
Czułem, żem w duchu odrodzon na sile!
Wtedy mi w piersiach dzikie biło męstwo!
Świat mi wyglądał jako pole czynu!
Już mi w oddali jaśniało zwycięstwo
I kwitł na skroni przyszły liść wawrzynu!
A teraz?... w czarze nad brzeg już trucizna!
On w grobie jednym — a w drugim Ojczyzna!
I na tych grobach ja, miotany szaleń,
Z tobą się jedną, o siostró, zostałem,
Z tobą już tylko!

Aniele niewieści,
Tyś przy mnie dotąd, nie odeszłaś jeszcze!
Ja w twych spojrzeniach rozpacz moją pieszczę!
Lecz w twoich ręku, ach! miecz się nie zmieści!
Tyś Anioł piękna! Tyś Seraf pokoju!
Dłoń twa ze śniegu nie krwawi się w boju!
W dzień sądny zemsty, ty wśród twego ludu
Nie staniesz przy mnie — i kiedy w noc ciemną
Grom śmierci spotkam, miasto zwycięstw cudu,
Padnę sam jeden — ty nie padniesz ze mną!
I na tym krwawym żołnierza pogrzebie
Przy bracie twoim — ach! nie będzie ciebie!

Lecz nim ta chwila nadejdzie — a może
 Nie przyjdzie nigdy — tyś mojem zbawieniem!
 Tęczę jedyną w zaćmionym przestworze!
 Miłości mojej tyś ostatniem pieniem!
 Niech głos twój słyszę, niech dotknie się dłoni!
 Ta dłoń mnie może od zguby obroni!
 A głos twój jeszcze może w tchnienia wieszczę
 Piersź tę samotną zaludni, rozzwoni!
 Chodź płakać razem po nad grobów gładem,
 A z łez tam naszych wzrosną smętne, duże,
 Jako krew spiekła z smutku — czarne róże!
 Z nich wieniec rzucim na Polski mogiłę!
 A drugi jemu złożymy w ofierze!
 On wtedy z niebios ześle tu nam siłę,
 Byśmy żyć mogli i umierać w wierze!
 O siostro moja! w wierze, że ta święta,
 Co śpi w więzieniu, zerwie w końcu pęta,
 I że Bóg świata — to Pan miłosierny,
 Na pyszne pyszny — ale wiernym wierny!

(Wiersz napisany po śmierci Konstantego Danielewicza, zmarłego
 w Monachium 27 marca 1842 r.)

F A L A

zwrotki do muzyki.

Czy ty nie słyszysz, jak na morskiej skale
 Fala się męczy i skarży i kona?
 Tak serce polskie wśród polskiego łona
 W wieczne rozpaczy męczenni się żale
 Rozbite jak ona.

Patrz! u stóp skały nazad fala cała
 Znów błyszczy, wraca i szumi w zawiei!
 Tak serce stokroć rozdarte się klei!
 Tak znowu w piersiach krwią promienną pała
 Wiary i nadziei.

1842 r. (?)

TESKNOTA

zwrotki do muzyki.

Gdziekolwiek pójdę, coś mnie boli, rani,
 Widmem mnie ściga stracona Ojczyzna,
 Nie mogę spocząć pośród obcych ludzi,
 W czarach ich świata wre dla mnie trucizna.

Tak zawsze i wszędzie!
 Choćby nawet w Niebie!
 O Polsko, bez ciebie }
 Mnie źle i źle będzie. } bis.

Jeśli usiądę na znikomą chwilę,
 Wnet mnie coś zrywa i pędzi i goni,
 Zda się, gdzieś płaczą w ojczystej mogile,
 Gdzieś słyszę jęki — to znowu dźwięk broni.

Tak zawsze i wszędzie!
 Choćby nawet w Niebie!
 O Polsko, bez ciebie }
 Mnie źle i źle będzie. } bis.

Nawet gdym z tobą, o siostro mej duszy!
 Leżę grobowym u stóp twych kamieniem!
 Ty chcesz uśmiechem wyrwać mnie z katuszy,
 Ja odpowiadam — rozpaczę milczeniem!

Tak zawsze i wszędzie!
 Choćby nawet w Niebie!
 O Polsko, bez ciebie }
 Mnie źle i źle będzie. } bis.

1842 r. (?)

ZWROTKI

do muzyki Konstantego Danielewicz.

Łzę rozpaczę roń,
 Oto blada skroń

W biały strojna kwiat,
 W koło trumny kir
 I gotowy żwir —
 I cmentarzów świat!

Błyśnie światła dzień,
 Nie uderzy weń —
 Pryśnie złego świat,
 Lecz nie pryśnie ten
 Nieprzespany sen,
 Którym zasnął brat.

Choć ze wszystkich stron
 Do nas wróci maj
 Na ludzkości raj
 Już nie wróci on —
 Nam zwycięstwo z prób,
 Jemu tylko grób.

Syt trosk, łez i mąk
 Zstąpił z życia łąk
 W tę grobową cieśń —
 Znikł, jak znika dźwięk
 Przełamany w jęk —
 Jak przerwana pieśń.

1842 r.

DLA ELIZY.

Dopełnienie jej żądania.

Nieraz żądałaś, bym złożył Ci wiersze!
 Może ostatnie to — choć razem pierwsze —
 Otoczon śmierci skrzydły ponuremi,
 Dziękuję Bogu, żem Cię znał na ziemi,
 I idę śmieiej w zagrobowe koła —
 Bo jeśliś spotkał w Tobie tu Anioła,
 Znać, że Bóg dobry, znać, że Bóg na Niebie —
 Ufam w moc Jego i miłość — przez Ciebie!
 Darnj mi wszystkie oh! doznane bole,

Któremim duszę Twą szarpał na ćwierci!
Odprowadź wiernie aż na bójki pole
I weź me dzięki aż z westchnieniem śmierci!
Kochaj, Cię proszę, tych, których kochałem,
I myśl mą kochaj, gdy upadnę ciałem;
I ciało moje zniknie w ciemnej głębi —
Bo myśli mojej i zgon nie wyziębi —
Trup się rozwieje — a ona zostanie!
Jej dotrwać może wiernem Twe kochanie!
Bo nic w niej nigdy szpetnego nie było!
Przed żadną nigdy nie klęczała siłą!
Przed Bogiem tylko i Polską w pokorze
Szła niespodlona przez podłości morze,
I ludziom brudnym proroczo wołała:
Że w cnocie tylko szlachetnej jest chwała!
A teraz Amen — błogosławię Tobie —
Smutnem jest życie — może jaśniej w grobie!

1843 r.

W ALBUMIE

Konstantego Gaszyńskiego.

Może ja umrę daleki od Ciebie,
Nie będziesz nawet na moim pogrzebie —
Gdzieś na sybirskim potępienia polu
Złożę mą głowę — pełną smutku, bolu!
Moskiewskie pęta przed zgonem mi ręce
Zwiążą — i skonam u stóp kata w męce!
Gdy serce moje w trumnie się spopiela,
O zmarłem sercu pamiętaj niezłomnie!
I morzom włoskim mów też czasem o mnie,
Powtarzaj falom: „Miałem przyjaciela!”

Aquae Sextiae 30 marca 1843 r.

DO K. B.

Ty wiesz, żeś piękna, Ty czujesz, żeś młoda;
Jak dwa skrzydełka młodość i uroda

Unoszą Ciebie po ziemskim błękanie,
 I wiosną Tobie, co nam męką — życie.
 Lecz Ty nie dziękuj latom Twojej młodości,
 Że wszystko w duszy śni się Tobie majem,
 Lub że wdzięk kwiatu na Twem czole gości;
 Bo innym, wyższym obdarzą Cię rajem,
 Innym, o innym Twe młodzieńcze lata
 Dadzą Ci ujrzeć przemienienie świata:
 Przyjdzie do Ciebie, potargawszy pęta,
 Ta, której płaczesz, Twa Polska, Twa święta,
 W nieznane Tobie barwy przystrojona,
 Bo na jej czole nie z cierniów korona
 Lecz wieniec z światła wiecznego już będzie
 I przed nią ludy na twarz padną wszędzie,
 I świat jej duchem wyrwany z otchłani,
 Zawoła do niej: „Zbawicielko! Pani!“
 A wszystkich Ojców Twoich wstaną kości,
 Ubrane w szaty z promieni i w kwiecie:
 Za to więc, za to dziękuj Twojej młodości.
 Że takiej chwili doczekasz na świecie.

Rzym, kwiecień 1843 r.

PRZY BRANSOTETCE.

W dzień św. Katarzyny.

Łzy wiecznej pragniesz! a wiesz na co łyza ta?
 By przerdzawiła żelazne kajdany!
 By przerdzawiła na wskroś topór kata
 I nią był Polski kraj twój odzyskany.
 Łzą więc jej wieczną nie nazywaj wcale,
 Lecz łzą doczesną — co płynąć przestanie,
 Gdy Bóg rozbije złych na kary skale,
 A da nam zmarłym swoim — zmartwychwstanie.

1843 r.

DO A. P.

Choć pierś Twa żywych synów nie porodzi.
 Niech czyny żywe zostawi po sobie!
 — Oto synowie wieczną wiosną młodzi,
 Co kochać będą Ciebie i w Twym grobie!
 O wiedz Ty o tem! o tej świata porze
 Powołam w Polsce choćby duch niewieści
 Do arcy-trudu i arcy-bolesci —
 Lecz nieśmiertelność nagrodą wziąć może!
 Bo gdy się losów zdrada na nas wściekła,
 Gdy szatan piekłem osaczył nas wszędzie,
 Wszelki czyn święty, dokonan wśród piekła,
 Na wieki wieków pamiętany będzie!

1843 r.

POD CHRYSTUSEM

w niebo-wstępującym.

Nie tak jak dawniej — w cierniowej koronie!
 Nie tak jak dawniej — z gwoździami u ręki
 Pan bólu tylko i Bóg tylko męki!

Innym już wiekom inny Chrystus płonie,
 Od ramion krzyża na zawsze odpięty,
 Jak duch świetlany, wyzwolony święty,
 Zawisł na Ojca wszechbłękitnem łonie
 I w światów nowych wschodzącej jutrzence
 Macza wzniesione — wniebowstępnę ręce!

1843 r.

POETA.

Wierzę w nadzieję, w miłość nieskończoną,
 W dobroć i piękność — w straż duchów nademną —
 W światło niebieskie i w wiosnę zieloną —
 Lecz wieżę razem w potęgę podziemną,
 Co morzem truczyn na świat ten wylana —
 W żart losów wierzę i śmiechy szatana!

W nędzę, w ubóstwo i w ból i w chorobę,
 W męczeństwo ciała i ducha żalobę,
 W rozdział na wieki i samotne zgony!
 Świat złego także bywa nieskończony! —

Darmo się żżymać—czy później czy wcześniej
 W jęk się przełamia marzonych snów pieśni!
 Bo los nas skazał z odwiecznej rachuby
 Życiu, co wiedzie — przez mękę — do zguby!
 Miecz temu pęknać, lutnia prysnąć musi,
 Kto się o chwałę lub o cześć gokusi!
 Bo do wiecznego wtrącony więzienia,
 Skąd nie zawrócą na świat jego pienia,
 Mrzeć w więzach będzie, aż w tej czarnej nocy
 Przeklnie sam siebie i padnie bez mocy!
 Lub jeśli zdoła rozerwać kajdany,
 To pójdzie błdzić ubogi — wygnany —
 Po cudzych krajach, samotny wśród świata,
 Aż kiedyś wróci na rodzinną ziemię
 Z wielkiej tęsknoty — i sam w ręce kata
 Odda swą głowę jak nieznośne brzemie.
 Bo na granicy moich zbóż i borów,
 Moich chat wiejskich, mych szlacheckich dworów,
 Moich rzek wartkich i stawów mych szklistych,
 Wdzięcznych mych wzgórzów i łąk mych kwiecistych!
 Z czaszek mych braci, co polegli w boju,
 Lub w czarnych lochach poschli na szkielety,
 Wzniesiona brama wiecznego pokoju
 Błyszczący z daleka skrzącemi bagnety,
 Orłów rozdartych powiewa skrzydłami,
 Pnie się w arkady głów trupich słupami,
 A w górze kości pod słońcem tające,
 Sączą z jej szczytów krwi krople kapiące.

A po jej środku stanął kat z toporem
 I czeka wiecznie — nuż wróci wygnaniec —
 I strzeże wiecznie nuż smugiem lub borem
 Uciekać będzie za bramę tę braniec —
 By tych nie puścić do ojczyzny raju

A tych odegnąć od wolności kraju —
W miarę jak biegną z tej lub owej strony,
On ich zatrzyma i, skuwszy ich pęta,
Piers im rozedrze żelaznemi szpony,
I głowę ścina. — Każda głowa ścięta
Nie idzie zasnąć pod ziemię, do trumny,
Lecz węglem nowej stanie się kolumny
Lub cegłą więcej na arkad sklepienie!
Codzień przybywa tych żywych kamieni,
Piętro po piętrze wyrasta w przestrzenie
I wśród błękitu zdala się czerwieni —
Trupie filary coraz wyżej lecą,
Błyski bagnetów coraz górniej świecą,
I tak się w Niebo brama ta podnosi,
Co krwią mych braci moją ziemię rosi. —
A na jej czole z suchych ludzkich kości
Wyryty napis co dzień ogromnieje,
Co dzień się groźniej nad światem czernieje
Przestroga świata: „Tu próg spokojności“. —

Śpiewajże teraz, o poeto młody!
Ty synu światła — kochanku swobody!
Ty gwiazdą ducha na czoleznaczony.
Powstańże teraz i bądź mi natchniony!

Patrz na tę bramę — czy wiesz co ci wróży!
Tam cel twej drogi, tam koniec podróży!
Bo jeśli w piersiach myśli tej nie zdusisz,
Co wiecznych skrzydeł od ciebie wygląda
I śpiewną prośbą twojej zguby żąda,
W tej bramie kiedyś ty gardło dać musisz!
A gdybyś z podłej przed losem bojaźni
Stłumił tę iskrę, co w duszy ci płonie,
Nie ręka śmierci, ale piętno kaźni
Jak robak stoczy twe wywiedle skronie!
W przepaści serca pieśni twe wstrzymane
Zeżrą ci serce, jak jady rozlane,
I choć żyć będziesz pośród żywych ludzi,
Choć nieść otwarte przed słońcem powieki,

Zaprawdęś umarł, tyś umarł na wieki!
Już imię twoje nigdy się nie zbudzi!
A za toś umarł, żeś w otchłań wieczności
Rzucić się nie śmiał w całej życia sile;
Tyś się wycofnął od nieśmiertelności,
Boś nie chciał głowy w grób złożyć na chwilę!
I złękły, drżący, nad przepaści progiem,
Tyśmniejniż człowiek — choć mogłeś być Bogiem!

Teraz pójdź z lutnią na rękach uśpioną,
W całun zapomnień obleczony cały,
Po nad ocean wieków, kędy płoną
Lampy wspomnienia na grobowcach chwały —
A z morza z tego i z onych cmentarzy
Głos wielkich zmarłych wstanie i zawoła:
„Czemuż tak zwiedłej i nikczemnej twarzy,
Ty, coś miał niegdyś wdzięczną twarz anioła.“
A ty to słysząc, padniesz jak rzecz błada,
Ostatniem tchnieniem całując ich kości —
A głos powtórzy: „Biada temu, biada,
Kto z strachu upadł w pustynię nicości.“
Hańby więc takiej czeka na cię dola,
A jeśli nie chcesz — to śmierć lub niewola!

Strój ty więc lutnię — lecz na pieśń pogrzebu
I miecza chwytaj — na walkę daremną —
Bo skoro serce roztworzysz ku Niebu
I z serca wyjmiesz ową pieśń tajemną,
Posłaną w skargę na ziemi twej wroga,
Z braci twych grobu do ojców twych Boga,
Wnet, patrzaj! zewszęd światło słońca znika,
Nad głową twoją cień chmur się przemyka —
Widnokrąg blednie i Niebo trupiye,
W górze sto wichrów zrywa się i śmieje,
Wśród cieniów krwawe z ziemi larwy wstają,
O zdradę ciebie przed sąd pozywają,
I brzękiem kajdan twojej głowie łąją!
Aż oczy twoje taka noc obrośnie,
Aż koło ciebie stanie się tak czarno

A w sercu twojem tak gorzko — tak marno —
Że choć ty niegdyś śpiewałeś o wiosnie,
Że choć ty kochał, nie wspomnisz miłości —
Że choć ty wierzył, nie pojmiesz ty wiary,
I w tan porwany piekielnemi mary
Ty zwątpisz nawet o bogach piękności!
Obaczysz tylko twoich braci zwłoki,
Silne ich miecze i krwi ich potoki
Płynące zwolna — a na wzgórzach świata,
Patrz! tam samotna stoi postać kata!
Patrz! wzniosła topór wśród wichrów zawiei
I tym toporem wskazała na Niebie
Gasnące gwiazdy ostatnie nadziei!
I schodząc stąpa jak olbrzym do ciebie!

Lecz ty nie klękiesz, nie zadrżysz w tej chwili
Bracia ją twoi przed tobą przeżyli —
I wszyscy rzędem pogrzebowym, długim,
W krew własną jeden opadli po drugim;
A gdy padali, nie znali, co trwoga
I z wzgardą dумы patrzyli na wroga!

Ból śmierci mija — ta chwila przepłynie,
Dopiero teraz, na zawsze mi dzielny,
Ty z grobu wstaniesz młody, nieśmiertelny —
A proch twój tylko w grobie tym zaginie!
I wdzięczność ludzi postawi twe imię
W ducha ludzkiego ponadziemskim Rzymie,
Gdzie tym, co legli z namiętnej miłości
Dla chwały świata, dla dobra ludzkości
Posągi stawiają od pory do pory
Na szczyblach wieków, jasne, widne z dala,
By czasu nigdzie niewstrzymana fala
Tam się wstrzymała, gdzie tryumfatory!
I czas tam staje, niby patrzy słucha —
I dziwną pieśnią, wieczności westchnieniem
Oblewa, płacząc, te posągi ducha
Nie marmurowym wykute kamieniem!

Śpiewaj więc teraz, o poeto młody!
Ty synu światła, kochanku swobody!
Choć znakiem śmierci na czoleznaczony,
Powstańże teraz i bądź mi natchniony!

DO PANI D. P.

Módl Ty się za mnie — gdy z rozpaczy zgine
Za winę ojców, i za własną winę.
Módl Ty się za mnie, by mnie w moim grobie
Nie opiekielnił żal wieczny po Tobie!
Módl Ty się za mnie, bym u Boga w Niebie,
Po wiekach wieków, kiedyś spotkał Ciebie!
I tam przynajmniej odetchnął wraz z Tobą,
Bo mnie już wszystko trudem i żałobą!
Módl Ty się za mnie, jam żył nadaremnie,
Bo serce Twoje odpada odemnie!
Módl Ty się za mnie, jam Cię kochał wiernie,
I tak jak bezmiar bezmierny, bezmiernie!
Módl Ty się za mnie, bom ja nieszczęśliwy;
Serce me proste, ale los mój krzywy!
Módl Ty się za mnie, nie mów do mnie ostro,
Boś Ty mi tylko na tym świecie siostrą!
Módl Ty się za mnie, bo od żadnej duszy
Modlitwa o mnie serca mi nie wzruszy,
Tylko podwoi gorycz mej katuszy!
Módl Ty się za mnie, ja Ciebie się trzymam,
Bo na tej ziemi prócz Ciebie nic nie mam.
I nic prócz Ciebie nie marzę za światem,
Tylko to marzę, by z mą duszą biedną
Twoja spłynęła w nieśmiertelność jedną;
Więc módl się za mną, bo ja Twoim bratem!

1843 ..

Ziemskości cień
To ducha noc!
Skrą Bożych tchnień

To ducha moc!
I natchnienie
Jak zbawienie
Zsyła Pan!
Niem ochrzcon duch
Świat wprawia ruch,
W niebieski tan!
Sam się łączy
Z Wiecznym w Niebie —
Światło sączy
Niebo z siebie;
Kto z natchnienia
Śpiewa, szłocha,
Ziemię kocha,
Ziemię zmienia!

Siostro moja, coś w żalobie
Niechaj serce twoje słucha!
Błogosławię Tobie
Zwiastowaniem ducha!

Niech twa dusza smutek zmoże!
Niech ci w piersiach wznijdzie zorze,
Którem życia męty
Otęcza Duch święty!

Wszystko dotąd, co westchnieniem,
Płaczem, męką i żalobą,
Stań się w Tobie pieniem,
A to pienie — Tobą!

Tworzyć będziesz — kochaj tylko
Idealu święte włości!
Wszystko nikłą chwilką
Prócz wiecznej miłości!

A gdzie ona — tam i siła,
Co świat z Boga wydobyła
Ta sama w iskerce
Spadnie ci w serce!

Krańce światów się odcieśnią
Znieskończeni się głąb duszy —
I z życia katuszy
Ty wypłyniesz pieśnią!

Jak w przestrzeni nieskończonej
Nowe słońca — nowe światy,
W piersi przepieśnionej
Błyszczą natchnień kwiaty.

I ty sypać będziesz niemi,
Ty, coś tyle tu bolała,
Zbolałym na ziemi
Sama zmartwychwstała!

Nizza na wiosnę 1845 r.

POD OBRAZEM SCHEFFERA.

Francesca de Rimini.

I w piekle nie jest bez Boga opieki,
Kto z ukochaną, choć w piekle, na wieki!
Bo wyższym szczęściem, niżli samo szczęście
Dla kochających wieczne dusz zamęcie!

Niech lud szatanów nad niemi się sroży,
Gdy kochać mogą, w nich żyje Duch Boży!
Patrz, w tym burzliwym potępienia lesie
Wszyscy na dole jęczą obaleni;
Tych jednych dwoje w powietrza przestrzeni
Powiew miłości nieśmiertelnej niesie —
Mimo łez gorzkich, mimo krwawych znamion,
Coś zbawionego wygląda z ich twarzy,
Tak że myśl twoja w około ich ramion
Skrzydła anielskie — których brak im marzy! —

1845 r.

NA SYBIR.

Z przed ócz Wam zniknę — jak fala z przed łodzi —
Z przed ócz Wam zniknę — jak ptak co odlata,
Z przed ócz Wam zniknę — jak sen, co odchodzi —
Odejdę od Was w nieskończoność świata!
Odejdę od Was cicho, niespodzianie,
Odejdę od Was pewnie nocą ciemną;
Nikt mi nie ścisnie ręk na pożegnanie,
I jak z umarłym, nikt nie pójdzie za mną!

Napróżno składać będziecie narady,
Pytać się, płacząc: „Kędy jego droga?“
Bo wam ukryte zostaną me ślady,
Jak ślad dusz z trumny lecących do Boga.

Lecz nie odejdę ku wiecznej krainie,
Lecz nie odlecę ku kwiecistym brzegom:
Kat mnie popędzi ku Sybiru brzegom,
I pamięć moja z serc Waszych upłynie!

Heidelberg, 1845 r.

DO PRZYJACIELA.

Gdy czychał na mnie północy morderca
Gdym nad przepaścią już się chylił dołem,
Tyś mnie wielkością swego zbawił serca,
Ty byłeś dla mnie widowym aniołem!
Nie onym w marzeń wyśnionym godzinie,
Co blichirem skrzydeł błyska — aż przeminie —
Ale aniołem w duchu, w prawdzie, w czynie —
Tym, co nie łudzi, ani się przymila
Lecz strzeże wiecznie, i zbawia co chwila —
Opieką Bożą — w człowieka postaci,
Bratem niebieskim — pośród ziemskich braci —
Tarczą, obroną — czemsić nienazwanem —
Za co dziękując — przyklękam przed Panem
I proszę Pana: niech tobie zapłaci!

Bo sam tę wieczną czuję w sercu trwogę,
 Że nic ci oddać ach! za to nie mogę,
 Chyba to jedno, że z wiarą wciąż wołam:
 Strzeż mię i kochaj! — nic więcej nie zdołam.

15 października 1847 r.

PRZESTROGA.

Jak kawał lodu skrzepło serce moje,
 W oczach mi wyschły dawnych płaczów zdroje,
 Żadnych już ułud nie zapragniam nowych,
 Spokój mój wielki, jak głązów grobowych.
 Wszystko marnością — i tem słowem koję
 Duszę, gdy jeszcze wpada w niepokoje.
 Co miłość — nie wiem, z przyjaźni się śmieję,
 Wiarem straciła, straciłam nadzieję,
 I tak przed ludzi jak Boga obliczem
 Nic mi jest *wszystkiem* — i wszystko mi *niczem*!

Choć ziemia jęknie, niebo się zachmurzy,
 Choć świat się wzruszy, jak morze wśród burzy,
 Wszystek rozpienion kłesk i wścieklizn zlewem,
 A z góry przykryt czarnym, Bożym gniewem —
 Zimną zostanę — ni będzie powodu,
 Coby odmłodził mą istotę z lodu;
 Zimną zostanę, jak owi umarli,
 Co z siebie całkiem człowieczeństwo zdarli,
 I bez współczucia patrzą z wichrów gdzieści,
 Z mgły, z za chmur, z czyśca, na ludzkie boleści,
 Sami męczarnią bez życia tak zdjęci,
 Że tylko życia ten brak im w pamięci!
 Ja taka sama umarła, jak oni:
 Nic już ziemskiego w mego serca toni,
 I tak przed ludzi jak Boga obliczem
 Nic mi jest *wszystkiem* — i wszystko mi *niczem*!

Choćby krzyknęła nagle w okół tłuszcza:
 „Oto na chmurach sam Chrystus się spuszcza,
 Oto już trąbią na sąd aniołowie!“ —

Duch mój i na to już nic nie odpowie.
W ciemnym pokoju moim pozostanę,
Ani wybiegnę na próg, spojrzeć w górę
W Niebo rozdarte, w zachwianą naturę,
I na dół — w tłumy strachem rozdeptane,
Choćbym i chciała ręce w modlitwiany
Krzyż jaki złożyć — zeschłe serca rany
Nie dadzą rękom. Chyba jak kolumna
Ścięta upadnę — i tak się potoczę
Bezuczuciowa, trupia, bezrozumna,
Bo duszy we mnie zagasło przeźrocze,
I tak przed ludzi jak Boga obliczem
Nic mi jest *wszystkiem* — i wszystko mi *niczem*!

Nic — nic — niestety! oto słowo moje!
Oto ma wiara, moja tajemnica;
Przez nią niczego w świecie się nie boję,
Przez nią mnie w świecie już nic nie zachwyca!
Ach! jakże dawniej lękać się umiałam,
Ach! jakież dawniej rwały mnie zachwyty:
Kochałam morze, ląd, gwiazdy, błękity,
Cała z strun drżących — a dziś z głazu całam!
Ach! bo jednego człowieka kochałam,
I świat mi wszystek wyglądał od niego
Rajem dóbr świętych — dziś pustynią złego,
Złego i nudy — ciemnością, milczeniem,
Wszechzmartwiałością, a nie wszechstworzeniem.
Trumna bezdenna mnie się wydrażyła
W tem sercu, kędy nie mieszka już siła
Dawnych przywiązań — i najgorzej rani
Mnie, że ran dawnych nie ma w tej otchłani!
Póki ból — póty duch się jeszcze pieści,
Lecz bezbolesność — to piekło boleści!
Ach! za łzę jedną, z tych oczu mych lejną,
Dziesięć lat życia! bo bez tej łzy jednej
Jam potępioną już i beznadziejną
Na wieki wieków — i chleb mój powszedny
Będzie: śmierć wieczna. O! ja biedna, biedna!

Boże mój, Boże! gdzie jest ta łza jedna,
 Niech mi ją anioł jaki tam wyjedna,
 By mi przed ludzi i Twojem obliczem
 Wszystko nie było — tak jak jest — ach! *niczem*.

Jesień, 1848 r.

WINDOBONA.

Nad miastem chmury apokaliptyczne,
 W mieście waśń, ogień, gwałt, mordy uliczne,
 Wiedeń się trzęsie, i tarza i zżyma,
 Woła ratunku! bo biada mi, biada!
 A grzmot Wiedniowi z Nieba odpowiada:
 Na dziś, o Wiedniu! Sobieskiego nie ma.

I noc się wzmaga; — nie będzie już rana,
 Wiedeń zbladł, krzyknął i padł na kolana,
 Z nałogu patrzy oblędu oczyma
 W stronę łask Pańskich, w Kalenbergu stronę;
 Lecz w wichrach tylko słyszy powtórzone:
 Na dziś, o Wiedniu! Sobieskiego nie ma.

Tłum, strach; ludu pienia się bałwany;
 Węgrzy, Włochowie, Sławianie, Ormiany;
 Wewnątrz i zewnątrz murów, stronnictw parcie,
 Spójni tych plemion, sądów wszechrozdarcie,
 Szklane bagnetów pryskające dźwięki,
 Gwizd bomb, brzęk siekier, świst kos, dzwonów jęki,
 Druga odmętą ginąca Solyma,
 Za mord proroków, za oblud swych grzechy,
 I wciąż wichrowe śpiewają oddechy:
 Na dziś, o Wiedniu! Sobieskiego nie ma.

Krew, krew, krew, płomień, płomień tylko,
 I z każdą coraz pewniejszy zgon chwilką,
 Zgon bez zmartwychwstań, ten, co wiecznie wnika
 Po niewdzięczności dniach w pierś niewdzięcznika.
 Perzyn zasłoną na okół się wzdyma,
 Dzieci i starce, męże i niewiasty

Pospołem leżą jak skoszone chwasty;
Na dziś, o Wiedniu! Sobieskiego nie ma.

Co innych zbawia, znieść tego nie może
Ta, bez ojczyzny, niemiecka Sodomą:
Wolność, jak pożar, w jej wnętrznościach gorze,
I od wolności pójdzie dym, jak słoma,
W gruz dom po domie, wśród min i dział huk,
Pałaców głązy sypią się po bruku,
Gdzie tan był skoczny, fletów jęk wesóły,
Jutro pustynia i czarne popioły.
Skończonych dziejów jutro będzie zima!
Lody wieczności, Bożych gniewów znamię!
Żadnych już zbawców nie zbawi cię ramię.
Na dziś, o Wiedniu! Sobieskiego nie ma.

Październik, 1848 r.

O wiem, że Polska bój zwycięski toczy,
Że nie zginęła i nigdy nie zginie!
Lecz my czy ujrzym ją w chwały godzinie?
Nim słońce wejdzie — rosa wyżre oczy.

I będzie wielka i będzie wspaniała;
Lecz robak trumien wprzód może nas stoczy!
Nie jedna w świecie tkwi rozbicia skała:
Nim słońce wejdzie — rosa wyżre oczy.

Ach! płyną lata, ach! płyną i wieki,
Nim się myśl Boża w ciało przeistoczy!
Zguba wciąż blizka, a tryumf daleki:
Nim słońce wejdzie — rosa wyżre oczy.

My tak kochali! a pili truciznę!
My tak żyć chcieli! a żyli w zamroczu!
Inni ach! będą oglądać Ojczyznę:
Nim słońce wejdzie — rosa wyżre oczy.

1848 r.

Pytasz się, czemu ucichły me pieśni
I jęk się często z mych piersi odzywa?

Bo w snach się moich nic dobrego nie śni.
I słowik tylko po święty Wit śpiewa.

Straszne się w duszy naradza przeczucie,
Wszystko się łamie, rozstraja, rozrywa:
Nie każ mi śpiewać na rozpaczny nucie!
I słowik tylko po święty Wit śpiewa.

Po nad krwią laną mordami — nie bojem —
Nie umie harfa zabrzmieć nieszczęśliwa!
Wtedy milczenie jedynym jej strojem:
I słowik tylko po święty Wit śpiewa.

1848 r.

WIERSZ WYRYTY NA FORTEPIANIE D. P.

. *)
Burzy grom, zwalisk łom,
Waśni szczęk i krzyk i ryk
I stęk i jęk, to ziemi dźwięk!
W sercu tkwi z łez i krwi
Bolu pieśń, smutku głos
Rzucił los w każdą pieśń!
Lecz inny ton, ducha wiew,
Rytm i śpiew z niebieskich stron
Na stronach lat: klawiszem — świat!
Przestrzeń, czas, słońce wszystkich chór
I komet wtór, miliony nót
W hymnu rzut dźwięczą wraz!
Wzdłuż — wszerek — wskrós wir i ruch
A jeden głos, bo jeden duch!
O Boże mój! tym stronom, tym
I pieśniom mym daj taki strój!
Daj miarę miar, harmonii dar!
Dźwięków bój zmień w dźwięków cud,
W akkord zgód. O Boże mój!
Tchu święty zstąp w grobową głąb,

*) Pierwsze cztery wiersze wykropkowane.

W serca cieśń! Zstąp i wioń —
A zagra-ć dłoń anielską pieśń!

1850.

R O M A.

O Piękna moja! bądź błogosławiona,
Że od piekielnych wrogów wciąż kuszona,
Wciąż tyś deptała po ich kłamstw pokusie.
O Piękna moja! bądź błogosławiona,
Że na twem czole nie pychy korona
Lecz cierń mąk polskich i myśl o Chrystusie.
O Polko moja! bądź błogosławiona,
Żeś nie wstąpiła do przeklętych grona,
Żeś pozostała na Ojców twych grobie
W nietkniętej żadną pociechą żałobie!
O Polko moja! bądź błogosławiona,
Żeś miecz boleści przyjęła do łona,
I odtąd idziesz pogrzebowym chodem
Z twoim pogrzebnie idącym narodem!
O Polko moja! bądź błogosławiona,
Że gdy świat ginie i ojczyzna kona,
Tyś uwierzyła wśród czasów zawiei
W nadzieję — przeciw samejże nadziei.
O Polko moja! bądź błogosławiona,
Bo gdy się czasów rozedrze zasłona,
Co dotąd kryje myśl Bożą w przestrzeni,
Nie ci przegrali, co dziś zwyciężeni;
Nie ci nieszczęśni, co lży dzisiaj leją;
Lecz onym biada, co karmni weselem,
Pijani pychy codzienną nadzieją,
Mord ojczyzn głoszą życia swego celem.
O Polko moja! bądź błogosławiona,
Bo wszystkim biada! co wznieśli ramiona
Przeciw twej Matce rozbitej na krzyżu;
Czy zwą się czarni, czy zwą się czerwoni,
Czy zaufali w nożach, czy w dział spiżu,

Czy w carów wierzą, czy republikanie —
Biada im wszystkim, ludziom krawej dłoni,
Bo Bóg piorunem z świata ich wygoni
I śladu po nich w świecie nie zostanie

Patrz! w okół Ciebie, na rzymskiej równinie
Co zostało z dumy?
Pośród pustyni mętny Tyber płynie,
Wkoło zwalisk rумы.
I tu chadzały w purpurze i złocie
Niesprawiedliwości!
A dziś ich świątyń marmury śpią w błocie,
Nad prochem ich kości!
I tu mawiali: „Wytracim narody,
Roma jedna będzie.“
Patrz! po ich cyrkach jak pasą się trzody
I bluszcz pełza wszędzie,
A tchnęli jednak tą siłą bez granic,
Co światu przykładem!
Ale przepadli, bo struli się na nic
Własnych zbrodni jadem.
Wyczytaj z gruzów tej kampanii Rzymu,
Że Polska nie zginie!
Moc bez miłości podobna do dymu.
Nie my — ona minie.
Jak z tych katakomb, co leżą pod spodem,
Krzyż wzbił się zwycięsko,
Zwycięskim z grobu wyjdziemy pochodem
Nieśmiertelni klęką!
Niechaj mi świadczy ten Forum ludowy,
W pusty zmienion parów,
Niech mi to świadczą pościnane głowy
Korynckich filarów;
Niechaj mi świadczą te bogów posągi
Pryśnięte w kawały,
Te wieże, termy, łuki, wodociągi
Przedziczałe w skały,

Niech mi te świadczą grobowce bez końca
Ze wzgórza na wzgórze;
Niech mi krąg świadczy italskiego słońca
Nad niemi w lazurze;
Niech wszystko świadczy tu zdala czy z blizka:
W górze czy w nizinie,
Światło niebieskie i ludzie, zwaliska,
Ze Polska nie zginie!
Że jest duch mściciel, co z Bożej zasady
Tkwi w dziejów głębinie:
Że giną fałsze, wiarołomstwa, zdrady,
Lecz Polska nie zginie!
Ze ujarzmiciel, choć dziki i śmiały,
Przeznaczon ruinie:
Że giną rzymskie tryumfy i chwały,
Lecz Polska nie zginie!
Że grom zwycięski wbije w ziemię koły
O sądu godzinie,
Że giną grzeszne i wieki i światy,
Lecz Polska nie ginie.

Roma, 1852 r.

DO KAJETANA KOŹMIANA.

Czemu, Mistrzu? masz siwiznę
Stokroć młodszą mej młodości,
Boś za młodu miał ojczyznę,
A ja tylko proch jej kości.

Czemu, Mistrzu, dotąd tleje
Zar ci w piersiach niezrównany,
Boś za młodu znał nadzieje,
A ja tylko zwątpień rany.

Z grobuś nieraz wyjrzał w górę,
Czuł już dreszcze zmartwychwstania,
Jam wciąż patrzył tylko w chmurę,
Która Boga mi przesłania.

Młodość, Mistrzu, jest rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot cały,
Choć przeminie sama szparko,
Cios jej dłuta wiecznotrwały.

Więc już zwiądłem — gdyś ty dzielny!
Gdyś żyw jeszcze, mrę nikczemnie,
I nie będę nieśmiertelny.
Ach szczęśliwszy Ty odemnie!

1855.

W DZIEŃ ŚW. ELŻBIETY.

Choć lód serc ludzkich świat pod mrozem trzyma
I wszędzie w świecie bezkwietniana zima,
W duszy mi kwiaty wciąż ku tobie rosna,
Wśród zim boleści, boś Ty moją wiosną,
Boś życia mego Ty ostatniem słońcem:
Wszystko mnie zwiodło przed dni moich końcem

Wierzyłem w ludzi — a byli bez ducha,
Wierzyłem w ludzkość — patrzę na zgniliznę,
Wierzyłem przyszłość — a dotąd łańcucha
Sploty nie pękły, co gniotą ojczyznę.
Ziemia ta cała tak potwornie podła,
Lecz Ty mnie jedna na ziemi niez wiodła.

Kształt Twój nie kłamie patrzącym do koła,
Gdy ócz Twych światłem, blaskiem Twego czoła,
Im wewnętrzznego zwiastuje Anioła.
Wszystko, com widział, to był sen, wiew, para,
Tyś rzeczywista, Tyś jedna nie mara
A jednak w Tobie ideału piękno.

Niech więc kolana me przed Tobą klękna,
Niech Ci me ręce podadzą te kwiaty

I niech me usta zbolale wyjękną,
Szukając kornie brzegu Twojej szaty:
„Tyś piękną.“

19 listopada 1856 r.

H Y M N.

Królowo polska, Królowo aniołów!
Ty, coś na świecie przeboleła tyle,
Gdy syn Twój zstąpił do ziemskich padołów,
Skróć umęczonej Polsce Twej mąk chwile!
Królowo polska, Królowo aniołów,
Roztocz ponad nią tęczę Twej opieki,
Odwiąż jej ręce od katowskich kołów;
Bądź jej aniołem teraz i na wieki!

Królowo polska, Królowo aniołów!
Lecz wiesz zarówno, jakim blaskiem płonie
Ukrzyżowany — wniebowzięt po zgonie,
Nie daj nas sieciom piekielnym na połów —
Nieśmiertelnemi na śmierć zbrojna leki,
Wykaż znów śmierci na nas, że jest niczem,
Wskrześ nas, o Pani, przed świata obliczem,
Bądź nam aniołem teraz i na wieki!

Królowo polska, Królowo aniołów!
Ten świat się rozpadł i rozdziera siebie —
Lecz żadna z jego rozerwanych połów
Już się nie modli, o Maryo, do Ciebie!
My jedni tylko, paląc się na stosie,
Wciąż ślemy modły w Twój bezmiar daleki —
Poznasz, Królowo, poddanych po głosie;
Bądź nam aniołem teraz i na wieki!

Królowo Polski, Królowo aniołów!
Lilio bez zmazy, ty Gwiazdo poranna,
Mieczem boleści siedmiokrotnie ranna,
Wiecz, co rozpaczy wrzące w sercu ołów,

Co krzyż i gwoździe i rany i ciernie,
 Wiesz, co krwi ziemskiej i łez ziemskich cieką
 I jak konania ból boli niezmiernie,
 Bądź nam Królową teraz i na wieki!
 1857.

Cokolwiek będzie, cokolwiek się stanie,
 Czy strach i popłoch zdejmie ziemię wszędzie,
 Aż świat od osi zadrży po krawędzie;
 Czy mądrość święta w pokoju zasiędzie
 I pod nią ziemia ta odetchnie biedna —
 A ona wszystko zgodzi i pojedna;
 Cokolwiek będzie, cokolwiek się stanie,
 Jedno wiem tylko: sprawiedliwość będzie,
 Jedno wiem tylko: Polska zmartwychwstanie,
 Jedno wiem tylko: na dziejów przestrzeni
 Grób nasz nam w życia gmach się przepromieni.
 Jedno wiem tylko: krzykniemy serdecznie:
 „Bądź Ty pochwalon, święty Boże, wiecznie!“
 14 maja 1857 r.

DO ELIZY.

Jam marzył niegdyś, żem na potęg szczycie,
 Jam czuł się w natchnień nieskończonych Niebie;
 A jednak w niwecz przemarniłem życie
 Dla tego tylko, żem nie kochał Ciebie.

O! biada sercom, którym się wydaje,
 Że grzechu żary, młodości płomieniem —
 Bo sperzynięją ich Nieba i raje
 I gorycz wieczna będzie im istnieniem!

O! biada sercom przenamiętym — zginą!
 Bo choć i anioł zstąpi do ich doli,
 Przyszłość ich struta, przeszłość ich jest winą
 I samo szczęście anielskie — je boli!

O! biada sercu mojemu, że żyło
O cierpkim, szalu łą zroszonym, chlebie!
Mów mi, jedyna, dziś duszy mej siło,
Czemu ja dawniej nie kochałem Ciebie?

Od Twej urody szły jakby promienie —
Czemściś w postaci już wyanielałem
Świeciłaś oczom, jak świeci widzenie!
Czemuż ja dawniej Ciebie nie kochałem!

Wyższy od ziemskich mętów nawałnicy
Spokój przeczysty na Twem czole białem
I przenajśłodsza rzewność w Twej źrenicy!
Czemuż ja dawniej Ciebie nie kochałem!

Lecz kiedy słyszysz ujarzmionych dzieje,
Wnet błyskawica mknie z ócz twych kryształów,
Każden rys twarzy Twej bohaterścieje —
Czemuż ja dawniej Ciebie nie kochałem!

Znać, duch twój bolem nieskończonym ranny;
Znać, dłońby twoja z świętym jęła szalem
Za miecz rycerskiej z Orleanu panny —
Czemuż ja dawniej Ciebie nie kochałem!

Hełm jej by przypadł do kręgu Twych skroni;
Oko Twe błysło jej ócz światłem całem,
Głos Twój jej głosem by wołał: „do broni“
Czemuż ja dawniej Ciebie nie kochałem!

I tak jak ona szłabyś aż do końca,
Szlabyś pod oszczerstw i krzywd ludzkich zwałem
Wciąż czysta, śmiała, ofiarna, milcząca.
Czemuż ja dawniej Ciebie nie kochałem.

O! bądź mi odtąd przewodniczką bytu!
O! bądź mi odtąd piękna ideałem!
Truciznym życia napił się do sytu
A za to tylko, że Cię nie kochałem!

Skarb moich potęg mi się rozpadł na nic,
Myśl się rozwiódła z natchnionym zapalem,
Jam zgasł i przewiał od smętków bez granic
A za to tylko, że Cię nie kochałem!

I nieraz patrzę rozpaczy oczyma
W mą przeszłość, trupim leżącą powałem,
Z której mi czynów nieśmiertelnych nie ma
A za to tylko, że Cię nie kochałem!

O! spojrzij na mnie — Tyś w górze — ja w dole;
Niech śmierć nie będzie na zawsze mym działem,
Dłonią mi z czoła zdejm żywota bole,
Bo już na wieki ja Cię ukochałem!

Za to, żeś duszą z światłości uwiana,
Żeś całą sercem prawdą zamieszkałem,
Żeś przenadobną i niepokalaną,
Ach! już na wieki ja cię ukochałem!

Za to, żeś wżgardą na pyszne orężna,
A smętne kochasz czuciem wiecznotrwałem,
Żeś przeciw wrogom tchnień Bożych ty mężna,
Ach! już na wieki ja Cię ukochałem!

W dzień św. Elżbiety, 19 listopada 1857.

PROZA.



MODLITWA.*)

Panie, co czuwasz nad światem, który jest pięknością piękności, a stroną nocy ni złego ku Twym obliczom obróconym nie jest, wyrwij nas z cieniów, które spadły na nas, obudź nas ze snu, w którym marzym, że zbrodnie i podłość przechadzają się w przestrzeniach jak blade widma, jak dzieci nicości, jak ponure kłamstwa. Daj nam siłę szczęścia, daj nam szczęście siły. Pozwól, abyśmy się całkiem stali na podobieństwo Twoje i byli dziećmi Twemi w prawdzie, silni potęgą ducha, który nieskończenie tworzy, bo wiekuiście kocha. Amen.

*) Improwizowana przez Zygmunta Krasińskiego w zatoce Neapolitańskiej r. 1839.

O KRYTYCE W OGÓLNOŚCI.

(Kilka słów o Juliuszu Słowackim.)

Krytyka jest siłą o dwóch kierunkach: jeden nazwać można dodatnim, a drugi ujemnym, pierwszy bowiem uznaje i podziwia piękność, drugi przeczy ją, czyli jej brak wytyka. Taka wyłącznie ujemna krytyka musi niedołązną zostać na wieki, bo wytyka tylko próżnie niezapełnione życiem, a od życia twarz odchyła, bo zapatrzona jest ciągle w brak piękności, tak jak ślepy człowiek w brak światła.

Coś pięknego ujrzyć, ocenić i uznać, jest jedną z najwyższych ducha rozkoszy, lecz takowej zabraniają sobie zwykle krytycy. Zajądłe pogańskie serce wre im w piersiach, miłością chrześcian nie przepoili się dotąd, kochają się wściekle w ujemnym siły swojej kierunku. Ten wyłączny kierunek nie za część, za środek, ale za całość, za cel uważają; — gnani tej pomyłki wiatrem, gdy wysuną się z portu, gdy rozpuszczą żagle, płyną wprawdzie, ale po wielkiej nicości. Otóż w niniejszej rozprawce postanowiliśmy, na przekór im a na pociechę nam samym, trzymać się dodatniego kierunku. Postaramy się, mówiąc o wielkim duchu poetyckim, któremu na imię Juliusz Słowacki, raczej wytknąć, w czym zasłużył się piękności, niż czem przeciwko niej zgrzeszył.

Nie masz na tej ziemi ani życia bez grzechu, ani dzieła sztuki bez pewnej niedoskonałości, lecz nam się zdaje, że w dziełach Słowackiego, mimo wszelkie przeciw niemu ujemne krytyki, jest taka wiara prawdy i piękności, że przez nią ich wady zbawionemi i od-

kupionemi są, a gdzie zbawienie i odkupienie, tam życia zwycięstwo! Lecz oddzielnie pojąć i ocenić Słowackiego niepodobna: Słowackiego rozumieć tylko można w logicznem następstwie po Mickiewiczu, tem ogromnem *fiat lux* literatury polskiej, a zatem zaczniemy od początku (*ab origine rerum*.)

Przed Mickiewiczem, daj Boże, abyśmy tu popelnili omyłkę, przed Mickiewiczem, o ile nam widno i wiadomo, nie było poezyi w Polsce. Leżały tylko nagromadzone materyały, mające się do niej w takim stosunku, w jakim kroniki, biografie i pamiętniki mają się do prawdziwej historii. Polska, póki jej sił stało, hasała na zewnętrznem polu życia: czy w domu gospodarząc i biesiadując, czy na sejmach radząc i deklarując, czy na pobożowiskach walcząc i zwyciężając, w czynie nagłym, widomym zawsze się kochała; dopiero na ścieżce do grobu, poezya się przed nią jak kwiat wykluwać zaczęła, na samym zaś grobie z pączka przemieniła się w stulistną a czarną różę, dziwną i ponurą wśród wszystkich róż. W tym kwiecie śmierci i życia zarazem, posępna barwa świadczy, że on z prochów wyrósł, że na gruzach rośnie; a coraz bujniejszy wzrost objawia, że żałoba nie jest nicością, że ból nie jest ostatecznym końcem, i że z bólu zmartwychwstaje duch.

Czyn, którym się nasz duch objawił po rozebraniu się z ciała politycznego, zowie się Mickiewiczem. On pierwszy oblekł w kształt organiczny polską ideę piękności; potrzeba mu było na to tego, co jest treścią i zasadą w każdym tworzeniu, potrzeba mu było olbrzymiej wewnętrznej, rodzimej siły czyli energii. Tylko siłą skupiań, siłą dośrodkową, można zamienić niewidome na widome, to co jest, ale bez ciała, zmusić na obleczenie się w ciało, a tem samem do objawienia się. Stąd to wyobrażenia w średnich wiekach o potędze nadziemskiej czarnoksiężników, tych praktycznych poetów, których zaklęciemi kuło duchy niewi-

działne w kajdany kształtów widomych. Otóż podobnie Mickiewicz zaklął polskiego ducha poezyi, i jak Tytan skupił go objęciem ramion, ścisnął go w żelazny pierścień natchnienia, i duch stał się dotykálną pięknoscią. Wszystko, co wprzód rozlane lub rozbite pływało niesfornie lub opadało prochem, zeszło się w kształt sforny i rozumny. Stańał grunt poezyi naszej i opoka wewnętrzna tego intelektualnego planety wychyliła się na jaw. Czem Alp ogromny, czem piramidy pustyni, czem wszystko, co zasadnicze i wzniosłe, a zarazem nieporuszone i wieczne, tem Mickiewicza dzieła. W nich nade wszystko przemaga siła dośrodkowa, siła wcielań i twierdzeń, wola i czucie i wiara, one są gruntownem jądrem literatury naszej.

Lecz świat nie na jednej tylko sile stoi, nie jednym tylko wcieleniem się żyje. Gdyby poprzestał na tym jednym wyłącznie kierunku, stałby się nierozdzielnością, siły odśrodkowej nie miałby także w sobie. Jako pierwsza z łona niewidzialności go wywiodła, przybiła do przestrzeni, uczyniła wielką, poważną rzeczywistością; tak owa druga przypomina mu, że z nieskończoności jest i w nieskończoność powrócić ma, rozdziela to, co płynne i lotne od tego, co zsiadłe i twarde, przemienia go w połowie w atmosferę rozszerzalną, górną, niebieską. W każdej żywej wielkiej całości te dwa kierunki razem istnieć muszą, ich harmonia zowie się życiem, ich sprzeczności są tylko złudzeniem. Mogą wprowadzić czasem w pewnym miejscu przybrać pozór walki, ale to zawsze doczesnem nie wiecznem jest zjawiskiem. Całość albowiem jest zgodą nie bójką, pojednaniem nie rozdziałem, dobrem i prawdą, nie złem i fałszem, i to, co walczy z sobą na tym padole, tam, ponad wszystkiemi padolami, w górze, w Niebie ducha, wiąże się i zlewa razem w wielkie światło i pokój serdeczny.

Zdaje się nam, jakobyśmy czuli, gdy czytamy dzieła Słowackiego, że w nich objawiła się ta druga

konieczna odśrodkowa siła: siła odwcielań i zaprzeczań, a której pęd, poczęty z dołu a bijący ku górze, stara się wyrazić westchnienia wszystkich ciał natury i rwania się wszystkich myśli ducha ku niewidzialnemu światu nieskończoności!

Zaprawdę, w kierunku tej siły coś panteistycznego przebija: onaby chciała, gdyby przemódz mogła i jedyną stać się panią świata, wszystko we wszystkim stopić, samaby się rozwiała własnymi skrzydłami, wszelkie stworzenie zatraciłaby w Bogu jak w otchłani. To, co ona ukochała, nigdy przy niej, nigdy z nią nie przebywa, ale coraz wyżej i błędniej i dalej ciągnie ją za sobą. Każde stanowisko ona musi przekroczyć, każdą formę podnurtować i do poświęcenia przymusić, i jej samej ostateczną formą jest jej treść własna, jest to, co stanowi formę oceanu lub rozszerzalności światła, więc żądza wieczna, ruch nieskończony. Czem tedy w naturze płynność, czem tęczy około wodospadów umizgi; czem chmury co chwila zmienne, płynące na to, by przepaść gdzieś w Niebie; czem szmery rozmarzonych strumieni a szum daleki morza; czem owe melodye śpiewu, które gasną, oddalając się coraz wyżej, coraz szerzej, jakby życie z piersi ludzkich uwolnione już w Niebo zstępowało: tem się nam marzy, że jest poezya Słowackiego w literaturze naszej. Każda jej cząsteczka misternej, filigranowej roboty, jak drobny kwiateczek, jej ogół zaś, właśnie dla tego, że jest odwcielań formą, przedstawia ciągle pojedynczych cząstek stawianie i znoszenie, tworzenie i niszczenie, utrzymuje się raczej ruchem ciągłym niż postacią, zupełnie tak, jak muzyka. Stąd wypływa ów ciągły pozór ironii i kaprysu, stąd pęd niewstrzymany ale lekki, przejrzysty, na wskroś idealny. Któż np., czytając Szwajcaryę i Anhellego, nie dozna mistycznej tęsknoty? Komuż te dwa arcydzieła wewnętrznej melodyi ducha nie zostawiają po sobie jakby uczucia, że wszystko przeminęło, że co

światłem było, już nie jaśniej, co róża, już się nie czerwieni, co łą, już nie płynie, co chwała, już nie połyska tutaj na ziemi, ale objawionem jest głębiom ducha i znać, że te wszystkie groby i kwiaty i lutnie i szable popłynęły wyżej, ot! ot! tam gdzieś uleciały, roztopiły się, wsiąkły tam, dokąd ostatecznie każdej harfy rwa się dźwięki i dokąd snią każdej trumny marzenia.

Balladyna innego gatunku jest utworem: w niej poeta chciał wskrzesić pierwszą zorzę tego życia, którego koniec opisał w Anhellim. Łatwiej jednak śmiertelnemu o śmierci, niż o rodzeniu się śpiewać. Śmierć przynależy się z prawa człowiekowi, tak jak życie Bogu; przecież i Danemu bardziej domem było w piekle, niż w niebieskich podniosłościach! Mimo tę trudność, już w samym pojęciu rzeczy będącej, wydaje nam się, o ile czucia i myśli nam starczy, że Balladyna odziana szatą niepowszedniej piękności; nowy to zupełnie utwór na winokresie polskim, a każda nowość razi, zanim się da rozpoznać, to też i Balladynę dotąd ujemne tylko obarczały krytyki.

Wszystko, co się w sam czas, w porę zdarza, bywa zawsze wielkiem, prawdziwem; co przed czasem, nosi zwykle znamię szalu, a co po czasie, niestety! komiczności. Niepodobna odwlec rzecz o tysiąc lat, żądać po niej, by zupełnie w rodzinnych barwach, w pierwotnej świeżości na jaw wystąpiła. Wszak nie winą Słowackiego, że nie żył za dni Popiela, raczej winą Popielowych czasów, że zamiast szczurów i myszy nie wydały wielkiego gęślarza-wieszczą, któryby, wiążąc plemiona słowiańskie jak struny w olbrzymią harfę epopei, był uwiecznił kolebkę naszą tak, jak Homer Grecyi kolebkę, tak jak *Divina Comedia* katolicyzmu wiarę.

Dziwny, bardzo dziwny los dostał się nam w udziale: umarli dopiero ściągnęliśmy rękę do harfy, wprzód miecz nam był jedyną harfą, a dziś harfa stała się mieczem jedy-

nym. Oto skarżmy się na nas samych, lub na bogi, ale nie na poetę, bo on urodził się w innych czasach, on, gdy śpiewa o Popielu, choć się staje Popielem, nie może być li tylko Popielem. Dodajcie dziesięć wieków cywilizacyi do dawnego Popiela, a z tej summy dopiero powstanie barwa Popielowa, można w duchu Słowackiego. A kiedy wśród tej łuny światła zupełnie różnego, wstawszy z grobu nad Gopłem, przechadza się Popiel, niepodobna, by kolor jego właściwy nie gryzł się i nie ujadał z barwą otaczającej atmosfery, z duszą oblewającą go poety. Tu sprzeczność wyradza się w ironię, bo poeta sam wskrzesza zapomnianego, a gdy go wskrzesi, czuje, że ma nad nim władzę życia i śmierci bez końca, że go może podług fantazyi sto razy z mogiły wywołać i nazad sto razy do mogiły zamknąć. Z Achillesem niepodobna sobie tak wszechwładnie postąpić, bo Homer stoi tam nad nim i świadczy mu i strzeże go na wieki. O Achillesie każde dziecko wie, że wyrósł na półboga, a o transfiguracyi Popiela kto słyszał? Więc obejście się Słowackiego z majestatem nadgłopańskim nie tylko pochodzi z dążeń samego mistrza, ale głębiej jeszcze zapuszcza korzenie w konieczności igraszkowania z tem, co przeszło, a przechodząc nie zostawiło posągu po sobie. Humor, czyli ciągła mieszanina tragiczności i komiczności, wystąpić tu musi jako siła tworząca. Wszystkie wady i błędy, zawarte w nierozpuszczalnej jeszcze i nierozwiniętej postaci Popiela przed dziesięciu wiekami, a ciągiem tych wieków rozwinięte i dziś przeświadczone o sobie samych, zamieniają się w dyabliki, wciela się w groteski, przychodzące płasnąć koło tegoż Popiela. Wszystko to musi zewnętrznie stanąć przy jego boku w widomej formie, tak jak się potem w historii uwidomiło; ale nie w poetyckiej formie, lecz w formie rzeczywistej intuicyi i wypadków. Wyjdzie zatem na scenę pośmiertną król Popiel zarazem tak, jak był wtedy,

i jakim się stał później, jakim go wie poeta. Co tu mówim o Popielu, rozumie się oczywiście o całej treści tych czasów pierwiastkowych, których nikt nie schwytał i nie uwiecznił pod ściśle odrąbaną formą, kiedy przelatywały, a z których, wiemy jednak, żeśmy wyszli my i wszystko nasze, i to, co nam życiem, i to, co nam śmiercią, i to, co nam chlubą, i to, co nam katem, i to, co nam wielkością, i to, co nam próżnym blichtrzem jest.

W Balladynie dwa światy, pierwotny słowiański i dzisiejszy krytyczny, płaczą się i spajają nieustannie. Gdzie ciągle dwie sprzeczne siły działają, tam nie kształt epopejowy posągowy, ale dramatyczny ruchomy pozostanie. Dla tego też Balladyna jest dramatem, ale takim, w którym nie tak osoby z sobą walczą, jak raczej dwie epoki, z których dawniejsza ciągle pragnie się objawiać majestatycznie a późniejsza zrywa jej koronę z czoła i sądzi ją sądem potomnych. Typy jej wszystkie są szczerze polskie. Któż nie uczuje, że ustami znikomego Kirkora przemówił wieczny szlachcic w tym wierszu:

„Czemu nie było mnie tam na Golgocie
Na czarnym koniu z uzbrojoną świtą,
Zbawiłbym Zbawcę!“

Kto, patrząc na samą Balladynę, nie przypomni sobie jakby echem wiekowem, słów Żółkiewskiego o nieszcześliwej Marynie.

„Nadewszystko chce się babie carować“

Ale co w Balladynie wygląda nam na głęboką genialność, na wewnętrzną energię sztuki, to jej wysnucie i wyprowadzenie z kilku wierszy pieśni gminnej. Jak najbujniejszy kwiat z marnego nasienia, tak ona z jednej zwrotki wykluwa się, rozrasta i płonie, aż znów ją ogień niebieski pożre, aż wyszła z niewidzialności, wróci w niewidzialność.

Ze wszystkich poematów Słowackiego najdoskonalej wcielony, najściślej obrobiony jest *Ojciec zadżumionych*, choć mu tylko granicą obszar pustyni, a formą ciągła śmierć. Jeżeliś widział rysy Laokoona, czytając to poemat, przypomnisz je sobie; jeżeli ci kiedy włosy powstały przed Ugolinem pożerającym czaszkę Arcybiskupa w piekle, tu po raz drugi rość i drzeć zaczną ci na głowie. A jednak ani u rzeźbiarza greckiego, ani u Gibellina toskańskiego, w niczem się nie zapożyczył polski poeta; oni ból nad wszystkie bóle wydali plastycznie, Słowacki zaś, jak zwykle, raczej następstwem muzykalnem niż kamienną posągowością; a wśród tych poetyckich akordów odzywają się tak mądre, tak głębokie, że musisz rad nie-rad po każdej łzie wylanej krzyknąć: wielki poeta.

Potęga Słowackiego najbardziej w stylu zawarta. Styl jest najogólniejszą formą każdego utworu sztuki: nim jak przedzą, i z niego jak z materiału snuje pasmo swoje całe poeta. Styl Słowackiego to on sam, to ducha jego kierunek, roztopianie się nieustanne na wszystkie strony. Stylem tym bije ciągle jakby falami o granicę wszechrzeczy, ciągle je podmywa i stara się odsunąć. Nikt jeszcze tak smukle, gibko, fantastycznie, po polsku nie pisał. Pokora, z którą wiersz staje się jego niewolnikiem, przechodzi wszelkie prawdopodobieństwo; na króla nam wygląda, kiedy zacznie mówić polskiej rozkazywać. Biegną ku niemu tłumem miary, rymy, obrazy, a on despotycznym kaprysem posyła, gdzie chce, każe im płynąć a płyną, więc się powoli a pełzną, wzlecieć a wzlatują i lecą jak orły. Co to krzyków dzikich i niewinnych śmiechów, co łez kapiących i śpiewów radości, co grzmotów rozłożystych i nikłych szmerów, w każdej chwili tam rodzi się, przemija i umiera, aż prosi się język o folgi nieco, ale napróżno, mistrz go ujął i nie puści. Musi się on pod jego twórczem technieniem rozrabiać i przerabiać bez końca, musi

przybrać wszystkie kształty: od prozy, nad którą poetyczniejszej w żadnym języku nie znamy, aż do wiersza krótkiego, doraźnego, co jak nóż ostry pada i utyka w sercu, wszystkie możne dyssonanse on przeprowadzi i rozwiąże, nie mu pod tym względem niedostępnego, przed czemby cofać się myślał, i nigdy w tem nie znać ni pracy ni wymusu. W czarno-księstwie stylu Słowacki stanął tak wysoko, że nikt wyższym nad niego, a równym mało kto.

Oceniliśmy tedy dodatnim sposobem dążność i formę tego precudnego, choć nie we wszystkim, pisarza. Gdyby kto tę dodatnią krytykę naszą zlał w harmonię z mnóstwem ujemnych, możeby z tego prawdę całą wyprowadził. Zarzucają najczęściej Słowackiemu brak całości, mówią, że ducha swego nie ściska dość w karby, że mu żelaznych, rozpoznalnych nie stawia granic. Ależ właśnie to wypada z tego, czem on jest, z jego natury; on nie rzeźbiarzem ale muzykiem się urodził, a w tej jego muzyce płyną farby Coreggia, farby Rafaela, niesione nutami Beethowena.

Jeśli wam Michała Anioła potrzeba, czemuż go żądacie? czemuż go wyglądacie wy, wśród których on się już objawił? Nie patrzcie naprzód, nie zazierajcie w przyszłość, ale owszem odwróćcie się ku dniom, co ubiegły, a wasz Michał Anioł ukaże się wam: jeden z rąk jego spoczywa na posągu Litawora, a druga zawieszona w górze nad ciągiem postaci umarłych, narodowych, przekutych już także w posągi wiecznego wspomnienia. Tym uwiecznionym na imię: „*Pan Tadeusz*“ imię drobne samo z siebie, ale wyrażające dla nas prawdziwą epopeję. Na równie ogromną żaden z nowożytnych narodów dotąd się nie zdobył. Genialność Homera i dowcip Cervanta w niej stopiły się razem.

Nie żądajcie zatem, by to, co się już stało, dopiero teraz zaczynało się stawać. Słowacki nie mógł

być tem, co się przed nim odbyło. W logicznem rozwijaniu się sztuki polskiej on jest drugim momentem, a zatem różnym od pierwszego. Tylko idea żywa i mająca się dalej rozwijać zawiera w wnętrzu swoim rozmaitość i tę objawia zewnętrznie różnicą form. Niechże więc z przypatrywania się i uznawania tej rozmaitości spadnie nam do serca pociecha, bo ona jest znakiem, że pęd jakiś konieczny niesie nas naprzód, ona jest objawieniem tej prawdy, żeście nie martwe ciała, ale żyjące duchy, i że idąc po smętnej drodze świata, w lepszą zasuwasie się przyszłość.

O TRÓJCY I SŁOWIE WCIELONEM.

W tem łaska Boża, że nas stworzył, że nam udzielił bytu, że w nas podobną Swojej osobistość tchnął. W tem rozum i logika Boża, że nas nie odrazu doskonałymi i niebiańskimi stworzył, ale poczynającymi od początku, kształcącymi się postępowo, zmuszonymi się zasługiwać, czyli siebie samych do-
twarzać i rósć ku Niemu. W tem nareszcie miłość Boża, że nas ostatecznie zbawi i opatrzenie doprowadzi do żywota wiecznego, który jest niebieską harmonią, bez końca wznoszącą i dostrajającą się coraz wyżej i pełniej, czyli postępowo nieprzerwanym już śmiercią, przemienianiem się następnem przy wszelkiej świadomości i z własnej woli! Z łaski więc Bożej osiągnę byt czyli ciało! z rozumu Bożego osiągnę świadomość tego bytu, wiedzę jego niezbędnych warunków i celu — czyli duszę! Z miłości Bożej, wreszcie, dochodzimy do najwyższego zlania się bytu z myślą, ciała z duszą, czyli stajemy się Duchami żywymi, nieśmiertelnymi, przeznaczonymi do anielstwa, archanielstwa, i wszystkich innych przemienień się duchowych w nieskończoności żywota, tu i tam i wszędzie! Z tego trojakiemu stosunku Boga do nas i nas do Boga, Trójca i Jej osoby wynikają — Osoba łaski to Jehowa, który jest, bo jest, który stwarza nas, bo stwarza — łaska albowiem to to, co danem dla niczego, tylko dla tego, że danem. Jest ona, bo jest, Osoba rozumu, inteligencji,

przyczynowatość, osoba nakazująca nam pracę i zasługę, czyli kształcenie się i postęp, jako drogę logiczną, konieczną, jedyną do niebios, to Słowo (Logos), a wcielona, to Chrystus, który właśnie objawił rodowi ludzkiemu prawo wieczne jego zasługi i postępu, by mógł ród ten dojść do anielstwa; — wreszcie Osoba miłości kojarząca dwie poprzednie, równo z jednej jak z drugiej wynikająca, spójnia łaski bez przyczyny z świadomością i rozumem przyczynę w sobie zawierającym, połączenie wolności w Bogu Stworzycielu, z koniecznością w Bogu Objawicielu, to osoba Ducha, to Duch święty, który w stosunku do nas wyraża najprzedziwniejsze zlanie się w jedno żywota danego z łaski z prawem koniecznem zasługi i postępu, czyli zbawienie, czyli harmonię ostateczną, cel ostatni nasz, żywot nasz wieczny, uzupełnioną miłość Bożą ku nam i w nas! I oczywiście, że takim sposobem zarówno z Ojca i z Syna pochodzi — z Jehowy i z Słowa wcielonego, bo jest ich zlewem, ich przepojeniem się — ich jednią — tak jak zbawienie nasze ostateczne będzie zlaniem się w jedno w nas łaski Bożej i własnej zasługi!

Zatem na początku łaska — a w końcu miłość. — Łaska tylko być może dla niebędących jeszcze — miłość być tylko może dla będących już ale jej godnych, ale na nią zasłużonych — pośrodku zatem i jako przejście od łaski do miłości, rozum! W stosunku do nas rozum Boży znaczy logikę życia, znaczy trud, krwawą pracę, suchy niewczas, męczeństwo, słowem zasługę! I oczywiście, by stworzonych z łaski przeprowadzić stopniowo do godności niebiańskiej, do Anielstwa, do żywota wiecznego Duchów, trzeba koniecznie było ich zasługi — czyli trzeba było, żeby im jej koniecznie rozum Boży objawił i nakazał, bo inaczej łaska byłaby bezrozumna i miłość w końcu też ślepa, bezrozumna też,

a zatem nie żadną miłością, tylko znowu łaską; — więc nie byłoby żadnego rozwoju od pierwszej do ostatniej, żadnego biegu życia, dziejów żadnych ludzkich byłoby nie mogło — na początku i na końcu to samo — jedna ogromna martwość, jeden stan, jeden raj nieprzemienny, głuchy, niewinny, ale też nieżywy i zwierzęcy. Przejście więc czyli życie nastąpić musiało, bo Bóg jest Bogiem nie umarłych ale żywych. Pośrednikiem więc w istocie w tem przejściu, między łaską i miłością, łącznikiem i usprawiedliwicielem ich obu, musiał być rozum Boży, który wcielony i objawiony, w rodzie ludzkim rozum ludzki obudził. Stąd Chrystus jest Zbawcą, Odkupicielem, Pośrednikiem, i tylko przechodząc przez Niego można dojść do zbawienia. Jest prawdą, światłem na ziemi i w najwyższem znaczeniu Drogą, jak sam wyrzekł o Sobie — i tylko tą drogą dojść można do miłości ostatecznej! A że w stosunku do nas ta droga jest trudem, pracą, zasługą, zatem Chrystus wcielony musiał ją życiem i śmiercią odbić, wyrazić, uczynić; — wszystek trud przejścia od łaski do miłości w nim przedstawiony; dla tego żył ciągle jak ofiara paląca się i skonał krzyżowo. Lecz że wskazywał i objawiał, do czego wiedzie przejście przez rozumu drogę, że objawiał miłość ostateczną za cel tej drogi, że wskazywał Niebo i żywot wieczny za wynik jej konieczny, musiał też i cel ten czyli Niebo wyrazić i ukazać w poczęciu się niepokalanem, w przemienieniu na Taborze, w Zmartwychstaniu i Wniebowstąpieniu, w tych nadludzkich cudach a rzeczywistościach anielskich. Kiedyś pokaże się, i już w nim objawionem jest, że prawem rządzącem naturą Ducha — jest cud. *)

*) Odpisano z autografu znajdującego się między listami do Stanisława Małachowskiego pisanymi, bez tytułu i daty. Przy liście do Adama Sołtana z dnia 9 sierpnia 1840 roku dołączony

ten sam artykuł z tytułem na wstępie położonym i zakończeniem następnem: to cud, skoro Duch dostępuje pewnej miary wykształcenia, wywyższenia, świętości, wolnej woli, słowem skoro dochodzi do położenia dostatecznej zasługi, wola jego przez niego wyrobiona i wiedza też wstępują w zgodę z wiedzą i wolą Boga, a wtedy czyn takiej wiedzy i woli podobnym się staje w pewnej mierze do Bożych czynów, to jest staje się tem, co my dotąd zowiemy c u d e m.

O ŻYWOCIE WIECZNYM.

Zawsze się tak dzieje, że zmysłowa część ducha ludzkiego upatruje Niebo w przeszłości i zowie je Rajem, bo Raj był Niebem dla ciała ludzkiego. Umysłowa zaś część ducha upatruje Raj w przyszłości i zowie go Niebem. Niebo chrześcijańskiej epoki, kończące się na kontemplacyi i wiecznym spokoju, jest tem Rajem pojętym przez myśl człowieczą. Duch zaś wszystek, jaźń cała powinna się starać, by ten ideał przeszłości i ten przyszłości zlały się w jedno wiecznie teraźniejsze życie! Owa teraźniejszość zarazem raj-ska i niebieska, cielesna i myślna, zacznie się przy ciał zmartwychwstaniu. To to, co zowiemy Anielstwem. Raj czyli doskonałość ciała zlać należy z Niebem czyli doskonałością myśli, a wypadnie doskonałość ducha człowieczego czyli przeanielenie! stan, w którym każda chwila teraźniejszości ma być już wielką, świętą, wielmożną! Raj był apoteozą ciał — Niebo dusz, Duchów zaś przebóstwieniem będzie żywot wieczny, nieskończony, przemieniający się jeszcze, ale świadomie i wolnie, co chwila wyższy, miłośniejszy, piękniejszy, głębiej uczuty, mądrzej pomyślany, w urodziwszych kształtach upostaciowany. — Raj był Niebem na ziemi — Niebo Rajem za ziemią, za światem, gdzieś. Żywot wieczny Rajem jest i Niebem zarazem, wszędzie gdziekolwiek wszechświat, gdziekolwiek Duch Pański w rzeczywistej nieskończoności podzielonej na skończone chwile; byty, stany, które przelewają się w siebie coraz wyżej, chyżej, bez

granicy, bez miary, bez końca — a to przy zachowaniu nigdy nieprzerwanej świadomości. Żywot wieczny jest tworzeniem ciąglem, postępowem samych siebie w Bogu, przez własną twórczość i łaskę Boga — jest miłością rozwijającą się coraz wyżej naszą ku Bogu i Boga przez to samo ku nam! bo historia i rozwój wszystkich światów, to rozwój ich miłości ku Bogu! Coraz goręcej zakochują się w Tym, który przedwiecznym i zawiecznym i nadwiecznym zarazem. Im Go lepiej znają, tem więcej kochają; im więcej kochają, tem znają lepiej; im głębiej znają, im mocniej kochają, tem dzielniej stają się twórczymi na podobieństwo Jego, czyli tem bardziej czynią — z miłości swej do niego wciąż przeradzają się, rodzą się na nowo, idą w górę sami, kształcą, budują, tworzą siebie samych doskonalej i wyżej. I jak posągi Boże rosną w Bogu in aeternum. Oto ślub nieskończoności, oto niepokalane poczęcia powtarzające się wciąż, oto rodzące się syny Boże, postępowo z siebie samych. — Oto Aniołów, Archaniołów, Serafinów, wszystkich Duchów coraz wyższych, rodowód i rodociąg. Do grobu nie schodzą ich kształty, ni też ich kształty ze zgniłości wschodzą — ale wiją się i rozwijają i przetwarzają się w mocy wewnętrznej, z ducha własnego, który się już posiadł i opanował całkiem wewnątrz, więc na zewnątrz przytomnie i zgodnie z wolą Bożą i rozumem Bożym działa i cudami żyje. Cud ich sposobem bycia. Natura nasza ziemską raczej jest cudem niesforności i gmatwaniny, a to, co zowiem cudem, raczej naturą naszą wewnętrzną, ostateczną, prawdziwą. Kto z Boga, ten do Boga; i ten musi być po Bosku — „a będziecie jako bogi“ rzekł wąż. Biedny wąż może myślał, że kłamie ludziom, a on im przepowiedział rzeczywisty ich cel! I wyszli z Raju ludzie — i wyszli — i poszli — i dojdą! *)

*) Odpisane z autografu znajdującego się między listami, do Stanisława hr. Małachowskiego pisanemi, bez tytułu i daty. Toż

samo znajduje się w listach do Soltana, obok poprzedniego artykułu, opatrzone tytułem »O Żywocie wiecznym.« Ostatni tylko ustęp po wyrazach *in aeternum* zmieniony w ten sposób:

Niedorosną go nigdy, bo tu gonitwa za nieskończonym nieskończoną jest, na tem ich nieśmiertelność zależy; inaczejby się złączyli z Nim i zatracili się jak kropla w morzu, lub dorównali Mu, i wielu byłoby bogów takich, jak Bóg jeden, co jest nonsensem w samem nawet wyrażeniu. Ale możnaby powiedzieć, że będą jako bogowie w Bogu, jako wielu zwanych bogami w Tym jednym, który się nazywa Bóg. I to zaraz na początku wąż im obiecał; tylko oni myśleli, że odrazu bez pracy, bez zasługi, bez przejścia można tego dostąpić. Lecz wyjście z raju było skąd inną, jak sam św. Augustyn mówi, *felicissima culpa*, bo było zaczęciem drogi dziejów ludzkich, pierwszym krokiem ku Anielstwu, walką i pasowaniem się i nędzą mającą kiedyś skończyć się tryumfem! I wyszli — i poszli — i dojdą! Amen.

MYŚLI.

Pismo św., to księga ksiąg, rozszerzająca się w miarę jak duch człowieczy się rozwija; zawierająca w sobie wszystko, co było, co jest i będzie na ziemi, aż do ostatecznego rozwiązania się ludzkości, wszystkie nadzieje myśli człowieczej! Księga ta żywą jest wciąż — bo jej litera coraz innym, wyższym, a jednak tym samym napełnia się duchem! Wszystkie proroctwa, choć już się spełniły, jednak znów spełnić się mają i muszą — bo one są wyrazem jednego i tego samego prawa Bożego. Ale to prawo coraz szerszych okręgów dotyka, coraz większe przestrzenie zachwytuje pod siebie — od jednej rodziny patryarchalnej do jednego narodu, od tego narodu do jednego Kościoła, od tego Kościoła do Wszechkościoła, czyli całej ludzkości! To prawo mądrości i miłości Bożej przechodzi ciągiem wieków — a za tem jego przelewaniem się, przemienienie się rzeczy ludzkich następuje. Jedność prawa a różnaitość objawów coraz wyższa, doskonalsza, dopełniają się tym sposobem. Stąd Pismo to jest alfą i omegą, księgą ksiąg — byleby zawsze pamiętać na słowa Chrystusa: „Duch ożywia, a litera zabija.“

* * *

„Młodość jest Boską rzeczywiście sferą — jest zapowiedzią tego, co ludzkości kiedyś danem być ma; jest rajskim marzeniem, ale marzeniem dopiero. Młodość jeszcze się nie rozbiła o rzeczywistość, jeszcze jest pełna nadziei i wiary; ale nadzieja i wiara są

płonne, dopóki ich rzeczywistość nie sprawdzi. Wiara i nadzieja są lekkimi cnotami, pki przebywają w marzeniu — ale ciężką cnotą jest miłość!“

Tak Konstanty gdzieś napisał: „ciężką cnotą jest miłość.“ Nic piękniejszego o miłości nie powiedziano nigdy: — ona dopiero sprawdza w rzeczywistości to, co wiara i nadzieja apowiadały; ona dopiero żąda od nas tego, co tańte obiecywały nam. Jeżeli młodość nie rozbiła się jeczce o rzeczywistość, to też z drugiej strony nie dała eszce o sobie w rzeczywistości świadectwa; jest to piękny poranek, ale sąd dnia wyrzec się może dopiero u schyłku jego. Nie ubliżajmy młodości, niech wie, że w ręku swoim posiada skarby społeczeństwa, niech wie, że jest jego nadzieją; ale niech nie zapomini też o tem, że życie jej powinno być miłością tego, czego się spodziewała, że koniec jej powinien oddać przyszłym pokoleniom wiarę, którą w początku tchnęła. Biada człowiekowi, narodowi, ludzkości, jeżeli młodość w nich umiera; ale biada im także, jeśli wiecznie jednostronnie żyją jako młodość, to jest, jako zapowiedź, nadzieja, marzenie! W istocie, za dni naszych świat nadewszystko młodość wynosił pod obłoki, śpiewał o niej, mocą ją uznawał pierwszą, a starością pogardzał; ale nadejdzie czas, w którym może najpiękniejszym wiekiem stanie się starość — właśnie starość taka, co nietylko że nie straciła wiary młodości, ale tę ze stanu błędnego nadziei przeprowadziła do stanu widomego rzeczywistości. Ale też starość się przeobrazi, nie będzie tem samem co dotąd, gderaniem i niepojęciem żywota; owszem warunkiem jej stanie się zachować w piersiach to wszystko, co piękne i szlachetne w młodości, a prócz tego jeszcze doskonale rozumieć dalsze losy świata, od których grób ją przedzielić ma. Taka a nie inna stanie się jakby młodością powtórna, pełną mądrości, nad brzegiem śmiertelnego dołu. Wszystko zależy od idei panującej w człowieku i w jego epoce: organa

same ciała służą takowej idei. Tam, gdzie duch wierny i silny, ani ciało, ani dusza nie słabieją. O' Connell ma lat 70 a mówi, że jeszcze ze 20 lat walczyć będzie. Czyż on starym w powszechnem słowa tego znaczeniu? nie — ani ciało, ani dusza mu służby nie wypowiadają, bo on ani ciałem ani duszą nie jest, ale duchem — panem wolnym ciała swego i duszy swojej. Kto przez całe życie od kolebki takim się być nauczy, ten nie wstąpi dzieckiem do trumny, ten wyrobi w sobie potęgę, która go odprowadzi, jak sługa wierny, aż do bram grobu; on wtedy jeszcze każe jej pójść za sobą — i ona pójdzie za nim i stanie się częścią, zasługą, punktem podparcia, z którego on nowy zawód rozpocznie według dalszej woli Bożej o sobie.

To jeszcze powiem, że bez wielkiej energii i wielkiej miłości nie ma — „bo miłość jest ciężką cnotą“ — więc dla przeprowadzenia jej przez życie całe, nie lada energii potrzeba. Ona wymaga ofiar bez liczby i końca, wcześniej czy później ona zażąda największych poświęceń: a jakżeż poświęcić się, jeśli marmurowych posągów hartu i blasku zarazem nie ma się w duszy swojej. Taka miłość na ziemi jedyną podporą, jedynem życiem wśród podłości i zbrodni, wśród mąk i trwóg, wśród niepewności i szarów świata. Tylko na Bogu się oprzeć, tylko na ukochanych — a zresztą na niczem; bo wszystko zdradzi, wszystko się usunie, wszystko się odwróci, wszystko sztydzić będzie i odmówi pomocy, ratunku, sprawiedliwości. Ale kto kocha, ten silny, komu serce nie umrze w piersiach, ten czoło nadstawi gromom losu spokojne i dziarskie — bo w nim pała iskra życia. A nędzną byłaby miłość, któraby nie przetrwała wszelkich boleści: nie sztuka kochać, gdy za kochanie co chwila wzrok przytomny i słowo obecne nagradzają; ale kiedy czas, przestrzeń, ból, niesprawiedliwość, gorzka ironia dzielą — wtedy kto kocha, ten kocha, a wcześniej czy później, muszą mu oddać sprawiedliwość. Nie inaczej się dzieje i w historii

ludzkości z tymi, którzy ludzkość nad wszystko ukochali. Płacono im zrazu gwoździami, cierniami, octem, żółcią, a później nieskończoną miłością. I oni też, w danej chwili, wiele bólu obecnej ludzkości sprawili, i oni też ją przywodzili do rozpacz, przymuszali ją płakać, pościć, bić się w piersi, najśłodszych ułud ją pozbawiali — a sami, jakżeż nieszczęśliwi byli! Tylko Ojciec, który jest w niebiesiech, wiedział, do czego to wszystko prowadzi... To, co nie przeszło przez żadną próbę, choćby najśliczniejszymi tęczami pryskało, nie wie samo o sobie, czy żyje; to, co dotknęło się próby a nie wytrzymało jej, tem samem umarło; to tylko prawdziwie żyje, co próbę odbyło i z niej pod wyższą jeszcze postacią się wydostało. I ta prawda tyczy się wszelkiego uczucia, wszelkiej idei, wszelkiej powszechności, wszelkiego indywiduum; jednym tylko prawem wszechświat rządzony; — lecz wszechświat z wielu części i części się składa, a każda według właściwości swojej podlega temu samemu i jednemu prawu. Niechajże więc ukochani błogosławieni będą i za szczęście dane i za sprawiony czasem bój: — jedno i drugie wspólnem życiem jest, jedno i drugie miłością; miłość albowiem ma się do szczęścia i nieszczęścia, jak duch do ciała i duszy: — jest wyższą od obojga, a oboje wiecznie są jej członkami, narzędziami, częstkami składowymi. Biada tym, co z jednej strony ciało za całego człowieka, a z drugiej szczęście za całą miłość poczytują; częstkę oni za całość biorą i prędko też życie ich wymiera — bo tylko całość nieśmiertelną jest i być może.

*

*

*

Pamiętki są jedynym rajem nie do wydarcia człowiekowi. W tem przeszłość świętą, potężną jest, w tem Boską, że nikt jej zmienić nie zdoła; prawdziwie każda przeszłość jest na wieki. Życie zaś na tym planecie dziwnym jest pojawem: tak prędko

upływa wszystkiemi falami, a tak niezdolnie męczy każdą z osobna. Spójrzysz na dziesięć lat ubiegłych — lśnią ci się i migają jak dzień jeden; spójrzysz naprzód — rok jeden wydaje ci się równym nie wiem wielu dniom długim: a tymczasem te dni długie przeminają, jak owe przeszłe krótkie lata przeleciały. Jeszcze dzień jeden lub dwa życia pozostało nam — czegoż się tak frasujem, męczym, rozdzieramy, jak gdybyśmy tu wiecznie przebywać mieli. Już urodził się proch, już skłębiła się glina, która nas kiedyś okryje na cmentarzu; już wyrosło drzewo, co nad grobem naszym cień rzucać będzie, szumieć przy wietrze jesiennym. Darmo, choć wiemy o tem, nie przestaniemy się troszczyć. Ach! smętne to życie, nade wszystko smętne; jedyną w niem podporą wiara bez granic, ufność wewnętrzna, duchowa bez miary: — ona jedna tylko zdoła odsmętniać los ludzki na ziemi, jedna przeobrazić wszystkie cierpienia w coś pełnego godności i lepszej otuchy. Trzeba wierzyć w Boga i w serce czyjeś — w pierwszego na Niebie, w drugie na ziemi; inaczej życie jest tylko snem smutnym, ironicznym szyderstwem tylko...

Samotność dobrem mi jest nieocenionem. Gdy to piszę, z okiem widzę wielki widnokrąg już nagi, już szary, lasy zdaleka już płowe; pogoda cicha, światło słońca blade żegnające się z tą ziemią, bo za dni kilka chmury śnieżne roztoczą się na długi czas między nią a nim. Jesienny to dzień prawdziwie smętny i spokojny; jakieś umieranie rozlane wszędzie — ale chrześcijańskie, pełne wiary i zdania się na wolę odchodzącego słońca, tego zbawiciela i pana natury. Taką śmiercią chciałbym kiedyś skonać, w taki dzień jesienny, podobny dzisiejszemu; ale ukryte są ścieżki Pańskie, co wiedzą człowieka od modlitwy do jej urzeczywistnienia.

Chodziłem wczoraj po ogrodzie i przypatrywałem się, jak wszystko widnokreźnie zagasa i kona, począwszy od drzew, które sypią liście żółkle, aż do słońca coraz mniej krążącego na Niebie. I widziałem, że wszystko w naturze umiera z instynktem zmartwychwstania; słońce wie, że wróci na wiosnę przyszłą; drzewa cicho płaczą i szumią, lecz nie było w nich rozpacz; lekko zewsząd podnosiły się mgły i błękit niebios otulały, jakby chciały zachować go do pory odbłękitnienia. Wrony tylko czasem przelatujące krakały obrzydłe, w ich krzykach nie znalazłem nadziei, one jedne wątpią zupełnie; to są filozofy przemądre, poważne, flegmatyczne a szpetne, lubiące się zbierać tam, gdzie leży zgnilizna — i karmić się pozorami śmierci w świetle. Ale prócz wron, wszystko wiedziało, że życie powszechne nie ustanie, i że znów będzie na wiosnę tym polom, tym wodom i Niebu temu. Dziwne uczucie, w najwyższym znaczeniu religijne mnie ogarnęło: byłbym w tej chwili zapragnął spowiednika, któremubym się mógł wypowiadać ze wszystkich bólów żywota mego... Święta, błogosławiona samotność!

* * *

Lzy mi się zakręciły w oczach, gdy ujrzałem cesarza w trumnie z butami spleśniałymi, z pod których nagie palce nóg już świecą, z zamkniętymi oczyma, z pół otwartymi ustami, ale nie oddechem, jedną ręką śmierci. Doskonały to rysunek. Wyraz snu wiecznego, wyraz zdrętwiałości i bezczucia leży w całym swym nicestwie na tych wielkich rysach, które tyle razy się na innych obrazach przed nami przesunęły, ożywione wszystkimi życia, to tryumfu, to upadku, to siły, to bólu piętnami — a tu, te same rysy; ale już na nich ni tryumfu znak, ni cierpienia znamię, ni młodości kwiat, ni starości zwiędłość. Na nich tylko nic, straszne, niewzruszone, wieczne nic przebija i leży, kształt tylko ducha się został, czara pró-

zna, której nektar wsiąkł w Niebo. — „Come Anelli senza gemme!“ Kto na ten obraz spojrzy a nie krzyknie z przerażenia: Boże! i nie rozplacze się z żalu, ten serca nie ma ni myśli! Mało rzeczy równie silnie a gorzko w duszę mnie uderzyło na świecie. Zdało mi się, że ujrzałem coś tak wielkiego pod ziemią, jak pierścień Herszela nad nią!

1841.

*

*

*

Kto pod tym względem prozaiczniejszy? czy ten, który szczęście i piękno za wieczności przymiot trwały mając, tu je błyskawicami i gromami być mieni, czy też ten, który sądzi, że podobieństwem jest na najwyższym szczeblu wyteżenia zatrzymać wciąż siebie, całą roślinę w kwiat przemienić, czyli z kwiatu łodygę zrobić — z najdzielniejszych uczuć, z egzaltacyi, z ekstazy, z natchnienia, codzienność i potoczność. Nie życie prozy całe zdoła się przemienić w punkt szczęścia, ale ten punkt się rozlezie na długą wstęgę prozy. Piękno każde, o ile na ziemi jest cząstką z królestw Bożych spadłą w czas, błyskającą, znikomą, a zarazem wieczną, bo stamtąd rodem i przez to, że wieczną, tak porywającą, musi trwać krócej niż reszta zjawisk życia — musi, jako z innej sfery wyższej, tu gościć tylko, a nie mieszkać; żeby zamieszkało, dostałoby prawo miejskie tutejsze, przywilejem, z arystokratycznej swej natury przeszłoby w chłopską. Patrzymy w historii, kto dłużej trwa? czy Chiny, proza prozy, czy Rzym retorski, prawniczy, praktyczny, czy Grecya, kwiat prawdziwy, piękność jedyna, poezya precudna starożytnej epoki.. lat, ten kwiat kwitł i przeminął, jednak dotąd kwitnie w nas. Co dłużej trwa? czy Francyi Boskie natchnione chwile i chwały, czy zimny rozsądek i przewaga angielska. Co dłużej trwa? czy masa demokratyczna, ślepa, zwierzęca, czy taki kwiat ludzkości jak Aleksander Wielki lub Na-

oleon. W naturze kto dłużej trwa? czy ropucha i polip, czy cud człowieczy z Boskiem piętnem na czole? I to koniecznem jest, bo kto ziemski bardziej, ten dłużej się ziemi trzyma, kto niebieskim bardziej, tem króciej na niej żyje; króciej co do czasu matematycznego, w duchu zaś dłużej nieskończenie, bo człowiek, co umrze choćby w 25-ciu latach, pewno dłużej żył niż ropucha, co od 4,000 lat siedzi w kamieniu, niż skała, co od 7,000 stoi nieporuszona. Dla tego też to, co wieczne, wcale z tutejszym czasem nie zachowuje rachunku i miary; tem, że wieczne nad wszelki czas wyższem jest, i dla tego, że wyższem, w nim utrzymać się, żyć w jego konwenansach, żyć jako czas żyje, nie może. Musi więc, jako objawienie, objawiać się w czasie, jako wieczność, nie potrafi płynąć z czasem jednemi falami, więc musi błyskać dla tego, że jest tem, czem ono nie jest, dla tego, że anielskiem jest — nie z ziemi ale z Nieba, nie prozą ale poezją, nie głazem ale wdziękiem, nieskończonością, która się rozwija, ale nieskończonością w sobie już dopełnioną, wieczną. Kto wierzy w inne szczęście na ziemi, ten nie w szczęście wierzy, ale zupełnie w co innego, temu wygody raczej, spokoju pewnego, ciszy nie trudu, wypoczynku, braku trwogi i tęsknoty, lecz i zarazem braku zapału i natchnień się chce. To zupełnie inna sfera. Skołatane dusze, serca, co wiele cierpiały, mają prawo żądać tego, ale niech nie myślą, że żądają szczęścia lub poezyi lub ideału. Rozbiły się na wszystkich ostrzach rzeczywistości, na skałach granitowych stojących w czasie, na ziemi, w świecie ludzkim. Krew życia wylały, ludzkie ją im sztylety wytoczyły z serca, lub trucizny przepaliły. Ból serc takowych okropny, straszny, niepocieszalny niczem. One już wiary nie mają ani nadziei, więc już tylko pragną mniej cierpieć, ukołysać nieco gorzkość wrzącą wewnątrz ducha.

Luty 1842.

Odpowiadam dziś na frazes, któren jest zasadą dzieła „De la Création et progression des Etres.“ Ja to tak pojmuję: Duch Bóg, Bóg tylko jest na wszechpoczątku, bo Bóg wszytkiem przez miłość nieskończoną do niestworzonych, pragnie by byli stworzeni, to jest takie istoty, któreby równie jak On, poczuły się do siebie, że są, to jest Boskiego daru życia używały. On chce być w wielu i chce, by wielu było w Nim. Lecz skąd się wezmą, jeśli nie z Niego? Wypadają więc z wieczności Jego, z absolutnej istni Jego, w czas. Czas jest następstwem, zaczem kształceniem się, zaczem postępem coraz wyższym; postęp, który ma skończyć się na najwyższym szczeblu harmonii i życia w Bogu, musi się zacząć od najniższego szczebla. Tym najniższym jest bezwiedza o sobie samym. Duch w letargu, natura cała takim duchem, ale wyrabiającym się, dążącym do świadomości o sobie i do woli wolnej. W człowieku już i wola i wiedza o sobie słonecznią się, lecz przerwany sposobem, bo śmierć przerywa żywoty rozmaite jego, dzieli je, przegradza. Człowiek dąży do tego, by dostał stan ciągłej wiedzy i woli nieustannej, to jest nieśmiertelności zgonami już nieszarpanej, by nie przemieniał się bezwiednie i niewolnie jak dotąd, ale wiednie i wolno, w każdej przemianie wolę własną do woli Bożej i poznanej harmonii wszechświata stosując. Stan taki pocnie się w chwili zmartwychwstania ciał i sądu Chrystusowego. Ludzkość w on dzień stanie się anielskością. Ale we wszystkich tych trzech stanach ducha, w pierwszym bezwiednym, letargowym, kształcącym się sennie, w drugim wiednym i wolnym, kształcącym się na jawie, lecz przerywanym następstwami zgonami i przetworzeniami koniecznymi po zgonie, i w trzecim nieśmiertelnym, idącym coraz wyżej, za pomocą doskonałej zgody woli osobistej anielskiej, z wolą świętą Boga, wszędzie duch objawia się dwoma kształtami zlanymi w jedno, ciałem i duszą. W ka-

mieniu, w roślinie, w zwierzęciu, w człowieku, w aniele, jest jedno i drugie, a oboje nieodstępne siebie. Duch, co wypadł z Boga na początku, bez wiedzy jeszcze własnej, już objawia i wypracowuje swoją duszę i swoje ciało szeregiem następnych przemian, aż ta dusza i to ciało dojdą do stopnia człowieczeństwa. Tu nagle inna praca się zaczyna. Te dwie formy ducha już wyrobione, już wiedzą o sobie, i wołają odziane zaczynają poznawać siebie, wgłębiać się w siebie, walczyć z sobą; wyszły z raju samego natury, z królestwa planetarnych tworów, i idą na rozdarcie, na pracę, na mękę, szarpią się i biją z sobą jak wrogowie. Przez całą starożytność ciało panuje, dusza jęczy; później dusza zwycięża, ciało się buntuje, na cóż to wszystko? Na to, by powstała harmonia, by te dzieci ducha sennego, co je wyrobił, znów same temu duchowi się odplaciły, jego samego wyrobiły, z wiedzą o sobie i potęgą, jakie same mają. Trzecia era ludzkości będzie ducha epoką! Ciało i dusza razem pojednane, staną się duchem, lecz nie letargowym, jak przed człowieka stworzeniem, owszem wiednym i potężnym i harmonijnym. Człowiek będzie na podobieństwo Chrystusa ludzki i boski zarazem, jednak trwać zawsze będzie ślad letargiczności pierwszego stanu rzeczy planetarnych. Każdy będzie musiał na jakiś czas zapadać w śmierć, w odpoczynek w wyczerpieniu, i znów potem występować na scenę. Kamień wiecznie sypiał, zwierzęciu się śniwało, człowiek czasem zasypia. „*And what dreams. May come in that sleep of death.*” Po rozwiązaniu losów planety, Anioł już nie zaśnie nigdy, będzie szedł coraz dalej z wiedzą przeszłości doskonałą, jakiej my pozbawieni, i sam tworząc przyszłość swoją, sam z woli swojej przemieniając się w coraz wyższe kształty, z m a r t w y c h wstawając, ale bez śmierci, czyli żyjąc pełnią życia! W takim rozumieniu pojmuję ten frazes „*l'Être fait lui-même sa forme.*” Bo widzisz, że w samym początku

i na końcu tak się dzieje, w środku tylko w stanie naszym człowieczym takie następuje złudzenie, że zdawałoby się, że obie te formy, ciało i dusza, pracują na wyrobienie ducha swego, a to tylko złudzenie; bo skąd te formy? z Ducha, i czem one? Duchem, a duch każdego z nas, to my sami, my cali, my pełni; to nasze Ja do najwyższej swej potęgi podniesione, a wszystkie te kształcenia się, wyroby, prace, zasługi, to jedyny sposób, którym my z niczego powstałi, możemy stać się czemsić. My z Boga wyszli bez wiedzy o sobie, możemy powrócić do Boga z wiedzą o sobie i mieć prawo zasiąść w Jego łonie, i przed Jego obliczem jako żywi sami przez się, choć On jeden tylko takim żywym jest. Będziecie jako bogi, rzekł wąż, i zaprawdę tak się stanie, tylko że nie po zjedzeniu jabłka, lecz po przejściu wszystkich losów naszych. A może tyle ich, co gwiazd na niebie!

* * *

Wymawiasz mi dość sprawiedliwie, iż kosztem zdrowia pracuję. Ale i ja mam prawdę także moją w piersiach, i tej dopełnić muszę, lub przystać na nicość! Zasługą jest walczyć, choćby przeciw ciału swemu: jeśli ascetycy chrześcijańskiej epoki przeszłości zabijali ciało, by wewnętrzną duszę swą ukształcić i zbawić, czyż teraz my, nowych wieków chrześcianie, nie mamy prawa ciało nasze nękać, by z ducha naszego wyszło coś dobrego lub jawnego, dla polepszenia losu lub oświecenia braci naszych? W końcu, skończy się zawsze na przegranej ciała! Lepiej zatem, by duch z tej przegranej cokolwiek skorzystał, niż żeby, pilnując tylko ciała swego, sam zmarniał i zaginął. A potem wiesz co to żądza nieskończona, ogień, który pierś pali, bodziec, który serce rozrywa...

Nie! nie! Bóg nie rzekł nikomu: „Ty nie pójdziesz dalej.“ Ale rzekł: „Znajdź drogę światłu a wzbijesz się w nieskończoność; i to szukanie przed

znalezieniem stanowi zasługę człowieka, pracę osobników i trud wieków wszystkich. Lecz Bóg czuwa i nad każdym osobnikiem i nad wiekami wszystkimi. O! Bóg nie da ni nam, ni Matce naszej marnie przepaść. Czuję melancholię w duszy i zanękanie w ciele, wierzę jednak, wierzę, że jeszcze czegoś będę narzędziem, i że z ducha mego jeszcze błysną iskry! Wiesz, wierzyć, w tem więcej jest miłości niż pychy!...

1843.

* * *

W strasznem, okropnem usposobieniu duszy się czuję — jutro wyjeżdżam... gdzieindziej żyję, a tam mój trup tylko powraca!.. Odczytuj w Ewangelii wersety, w których Chrystus mówi, że wróci jak złodziej lub jak błyskawica; wersety, któremi się karmili wszyscy pierwsi chrześciane, a których znacznie dopiero wtedy miało być dopełnionem, gdy wiek ten przeminie lub raczej nim wiek ten przeminie. Przeminie. Przeczytaj w świętym Janie, jak żegnając się z uczniami, obiecuje im parakleta (Consuelo po hiszpańsku) i mówi: „Gdybym ja nie odszedł, onby przyjsć nie mógł“, przeczytaj i rozmarz się nad tem i westchnij do Nieba: powiedz naiwnie, jak ów na Patmos piszący: „I owszem rychło przyjdź, Panie“ bo to przyjdzie i w tem jedyna nadzieja moja, niechże i twoja w tem będzie! Odczytuj te miejsca, tylekroć razem czytane, i pojmij je i rozpoznaj bliskość czasów po oznakach przepowiedzianych, podobieństwo wiosny wracającej. Gdy figowe drzewa listki puszcza, tedy wiosna ma przyjsć, a gdy ujrzye: obrzydłość spustoszenia na świętym miejscu, wtedy nowa wiosna świata, nie roku już! Nie widzieliżemy dość spustoszeń i obrzydłości na świętych miejscach? Wszystko, co święte, obrzydliwie spustoszałe stoi! Czytaj i odczytuj tę księgę — księgę ksiąg. Módl się,

lecz nie tylko ustami: módl się myślą, sercem, duchem całym, a może spokojniej ci będzie i dzień nasz radosny, dzień spotkania, pojednania, dzień zmartwychwstania się zbliży!..

* * *

... Nie dusza wyrabia sobie ciało, jak twierdzi B. de Perthe, ale duch właśnie wyrabia sobie i duszę swą i ciało swoje. Ciało jest organem ducha do rzeczy widomych, dotykalnych; dusza takim samem narzędziem, ale do rzeczy niedotykalnych i niewidzialnych. Rzeczy zaś niedotykalne i niewidzialne to przeszłe lub przyszłe, widzialne zaś i dotykalne to obecne, teraźniejsze. Zatem ciało do teraźniejszego czasu, dusza do przeszłości lub przyszłości. Im więcej ciało przepaja się duszą, im bardziej zlewają się oboje do jedni, do harmonii, im jaśniej pojmują, miasto walki dotychczasowej, że ich celem jest zgoda i wspólna jedność, słowem, im bardziej się stają duchem wolnym, wiednym o sobie, tem oczywiście bardziej przeszłość, teraźniejszość i przyszłość także się zlewają, spajają, zbliżają do siebie, stają się niejako wiecznością, w miarę jak dusza i ciało stają się duchem. I duch jest do rzeczy wiecznych, jak ciało było do teraźniejszych a dusza do przeszłych i przyszłych. Naturalnie, nie o wieczności takiej jak w Bogu, absolutną, tu mowa, ale o dążeniu coraz prędszem czasu, o zbliżaniu się przeszłości, teraźniejszości i przyszłości do wieczności. Stąd to siłą zewnętrzną ducha jest magnetyzm, bo magnetyzm skupia do jedni, wszędzie gdzieindziej rozerwane czasu żywioły, jak przez oko widzenia stawia w teraźniejszości żywej, wszystkie przeszłości i wszystkie przyszłości. Nie ciało już ni dusza widzi przezeń lub myśli, lecz każda myśl duszy jest cieleśnie widzianą; każde ciała czucie jest idealnie przemysłone, i to razem, w jednej chwili. Duch cały, pełny, działa magnetycznie, kiedy ciało

tylko działało fizycznie a dusza tylko idealnie. Im duch dzielniej wschodzić i dopełniać się będzie, tem magnetyczna siła, która niczem innem, tylko prostym jego objawem, także wzrastać i dopełniać się musi. Przyszła epoka pozna ją, odtajemniczy, i wszystkie stosunki ludzkie, zarazem cudownymi i naturalnymi będą.

...O! gdybym był już duchem pełnym! O! gdybym już rządził magnetyczną mocą, która śpi wemnie, o! gdybym już ją był zamienił na służebnicę świętej, czystej i energicznej woli mojej, nie pisałbym w tej chwili, widziałbym. Myśl moją czułaby osoba ukochana w sobie, i pomimo rozdziału byłoby się razem. Ale nie zasłużył ani ja ani ludzkość cała jeszcze na taką ducha potęgę i serca wesele. Ludzie przyszli kiedyś nie zrozumieją bólów serc naszych, bo dla nich nie będzie już rozdziału, nie będą wiedzieli, jaką silną my kochać mogli miłością. Oni będą szczęśliwi, a my byli silni!..

...Nikogom nie widział żywego temi dniami oprócz W., którego śmiało rachuj do umarłych. Sam to powiada i często powtarza, że już tylko o śmierć prosi! Ach! to musi być męczarnia okrutna, zawsze, ciągle, wiecznie być miernym, nie mieć nigdy chwili potęgi i znosić życie! Ja, który zawsze nim jestem, a jednak mam błyski potęgi, czuję, że bez nich oddawna byłbym zginął. Zowie zaś potęgą czy serce czy myśl podniesioną, rozbitą, wyrwaną w świat cudu ze świata potoczności!..

* * *

...Nakazać sobie miłość nie sposób, lecz można sobie nakazać dopełnienie wszystkiego, co tylko dobrem być może dla drugich, a przez takowe dopełnienie przywiąże się wreszcie i serce. Serce bowiem, by kochać, ma dwa sposoby: albo z natchnienia zaraz, od razu; albo przez świadczenie dobra drugim. W pierwszym razie kocha przed dobrem przez się

wyświadczonem; w drugim, po wyświadczeniu jego. Pierwsze łatwiejszem, drugie zasługi ma nierównie więcej; pierwsze jest rozkoszą, drugie jest cnotą. W pierwszym razie czynisz lekko, bo kochasz namiętnie; w drugim kochasz poważnie, boć wiele uczyniła. Pierwsze zdarza się na wiosnę życia, drugie powinno zdarzać się później. Pierwsze jest Rajem, drugie jest przedśmionkiem Nieba.

Są pory, w których szczęście znaleźć można jeszcze na ziemi, to jest: czyniąc sobie samemu dobrze; ale później, niesposób go już gdzieindziej szukać jak w Niebie, to jest: czyniąc drugim dobrze. Taka jest teoria szczęścia, taka różnica między wiosną a późniejszymi porami żywota.

* *

... Wątpiące dusze na tej ziemi, wyglądają mi zawsze na dusze bez woli, bo kto chce, ten o tem, czego chce, nie wątpi; chyba że nie namiętnie chce, a zatem prawie nie chce. Nicość a zwątpienie to jedno. Gehennę także tłómaczono przez nicość, bo też zwątpienie i ból nieskończony sprawia; więc nicość żywym piekłem jest. Stan ducha bez wiary takim właśnie, bo duch na to żyje, by chwycił w siebie myśli Boże, ogrom cały Bożego ducha, i wyprowadzał na jaw takie myśli czynem. Jeśli zaś już nie wierzy w nie, nie oddycha niemi, nie przerabia ich w sobie, słowem nie karmi się i nie tworzy, czemże jest? Oto żyjącą istotą bez żadnej treści życia, szkieletem, którego kości trą się o siebie, bo między niemi nastąpiła próżnia. Duch nie może przestać żyć, ale może przestać żyć w świecie Bożym, według woli Bożej, a wtedy żyje bo wyszedł z Boga i nie do zabicia jest; lecz żyje nie już w Bogu, tylko w Gehennie czyli w braku wszelkiego zapełnienia uczucia, wiary, nadziei, miłości, myśli, a to nicością jest. Każdy w stosunku do swego położenia, do swego wieku i do swojej wiary, wpaść

może w taką Gehennę, którą jeszcze Ewangelia nazywa ciemnościami zewnętrznymi. A to dla czego? Bo właśnie w takim duchu wnętrza już nie znaleźć, zewnętrzny tylko pozostał byt, zewnętrzne istnienie; jak balon, skąd powietrze wyszło, zmięty i sfałdowany, z kuli stał się płaszczyzną rzuconą na ziemię, leżącą pod nogami! widać jeszcze jego zewnętrzność, ale wewnętrznej siły jego istoty w nim już nie patrzeć.

* * *

Gdyby Bóg nie był cierpliwym, to byśmy wszyscy codzień padać musieli pod piorunem jego sprawiedliwości. Cierpliwość jego daje nam czas do nawrócenia się, do żalu, do skruchy i tem samem jest naszym zbawieniem. Jakżeż teraz żądać, by był z jednymi cierpliwym a z drugimi nie. Co zaś do wieczności, to przecież i my wszyscy nieśmiertelnością naszą w niej udział mamy. Sądy i ścieżki Pańskie są pełne tajemnic i miłosierdzia, niepojęte a dziwne i przedziwne — a czas, w którym żyjem, zdaje się ze wszystkiego, że będzie czasem dojścia ich do celu, czasem dopełnień ich, przeto na wielu miejscach czasem będzie strasznym też.

* * *

Ile straconych myśli!... Ile przedmiotów do wyrobienia, które choroba lub osłabienie w nas przytłumiają! Jenak te myśli, te żądze, gdzieś i kiedyś odnajdą swój byt i cel! Czy tu, tam, czy teraz, czy później!...

* * *

...Zatem i ja nie na różach! a sił coraz mniej, pracy zaś i trudu i niepokoju i trosk coraz więcej. Lecz żywot ludzki takim jest; gdyby był innym, nie byłby drogą ku końcowi wyższemu wiodącą, byłby sam tym końcem. O tyleśmy więc nieśmiertelni i przegna-

czeni chwale, o ileśmy tu nigdy ni spokojni, ni ukojeni, ni zaspokojeni. Nasz ból, nędza nasza wskazówkami nam, że idziem dalej, że wznosim się, że na nas czeka inna dopełń żywota. Rady nie masz, tak jest. Ale w każdej chwili łaska Ojca, która jest w niebiesiech, nachyla się ku nam, dźwiga nas, ratuje, nie dopuszcza, by klęski nas obalające miały moc roztraktowania nas, by ból nas szarpiący był bez przestanków, a takie przestanki są szczęściem ogromnem. Gdy ból jaki cielesny lub duchowy zaczyna wolnieć, istotnie w tej chwili doznajem olbrzymiej radości, nadzwyczajnego ukoju. Wierz mi, że doskonale czuję, ileś w życiu z dni blasku, w smętne, mglane dni zdarzeniami strącona, i o ile życie stało ci się nudą nud i ciąglem cierpieniem. ... Módl się z całego serca, z całej duszy, upokornij się i uniź przed Ojcem niebieskim, proś o moc ducha, o wolę, płacz łzami dziecka, a będzie ci lepiej — a potem pomyśl, żeś Polką, i staraj się nitki życia powiązać ściślej z przędzą Ojczyźnianego żywota.

* * *

Znękany i schorzałym i smutnym nad miarę. Życie jak szkło pękło mi w dłoniach, a odłamki wciśnęły się w serce. Ah! to nielada przeprawa ten byt ziemski! ileż znieść trzeba! a najwięcej, że nie ma za kogo zginać, toż i nie warto żyć!...

Z autografu w albumie Ewuni (Ankwiczówniej).

w. r. 1834.

„Ostatni raz się zwarli a komu pobłogosławiło szczęście, ten legł przeszyty kulą, czucony pod końskie kopyta.“

„Dla tych, którzy się zostali, zaczęło się długie męczeństwo, krwawa praca bez sławy — cierpienie bez nadziei. — Jedni po drugich wstąpią do grobu a po sobie zostawiają milczenie. — Za te ich boleści, za tę niepamięć o nich ich potomki będą sławni i szczęśliwi.“

„W tej ciężkiej pokucie za winy ojców czyż wielu dotrzyma na drodze pokuty? Niejedno serce rozniemoże się w ciężkim żalu i zapragnie wesela — a więc popiół z czoła otrząsną i na piersiach rozedrą włosienicę i miasto jej ubiorą się w drogie szaty i klęką przed obliczem ziemskiej piękności lub ziemskiej potęgi a taki bałwochwalca niech przeklętym będzie!“

„A ten, który dotrwa, nie usłyszy nigdy odgłosu trąb i wrzawy bratniego zapалу, ani pieśni lubej i tkliwej, ani słowa dobrego i zwiędnie przed czasem. — Droga jego wytknięta na ziemi mogił i krzyżów; wszystko, co dla innych świętością i rozkoszą, świętokradztwem dla niego. — Ani pojmie niewiasty i wprowadzi w dom ojca, ani dziatkami się nie otoczy przy domowym ognisku. Lecz raz porzuciwszy strzechę, musi stąpać dalej w udręczeniu i nędzy, bez przyjaciela, bez odpoczynku, chyba że w ostatnich chwilach, gdzie na błoniu jałowem znajdzie kamień, na którym

głowę złoży i skona, — takim jak on nawet marzyć nie wolno, bo od dnia, w którym się poświęcili, weszli do państwa ducha — ich ciała są tylko marnem złudzeniem. Marzenie jest nektarem dla duszy i porywa duszę do mieszkania bogów; kroplę jedną tej rosy wylać na piasek a pustynie się w ogród rozzielenią; ale kto marzy, ten rozwieje się jak tęcza nad pianą potoku!“

„Idźcie więc cierpieć jak olbrzymy a jako dzieci przerzucać w dłoniach ziarnka piasku przez całe życie, z tych może kiedyś zrosną się bryły a jeszcze później opoka się wzniesie. — Ale ci, którzy zasiądą na niej i stamtąd będą rozkazywać światu, waszych imion nie będą umieli wymówić. Ciemność jest matką waszą i będzie grobem waszym.“ —

„A zatem słońce zostawcie za sobą, im mniej jego promieni, tem pewniejszy znak, że tu wasza droga. Gmin — bohaterzy, które jaśnieją i są nieśmiertelne na ziemi, wybrani świata, którzy jaśnieją i są szczęśliwi na ziemi, zwykle biegną, kędy woła ich światło i ludzą błękity — zawady w proch idą przed nimi a kiedy spojrzą w górę, mówią: patrzcie, tam jest gwiazda nasza. — Puszczajcie ich mimo siebie i nie patrzcie na ich chwałę, bo ona kiedyś zniknie, jako wy znikniecie, jedno że trochę dłużej, gdyby pył wielkiego wichru, latać będzie przed oczyma ludzi, ale idźcie w przeciwną stronę i nie odwracajcie głowy. — Nim zacznie się pielgrzymka, nim zawrą się usta, nim pełni sił i drżący namiętnością umrzemy dla świata, raz jeszcze wzniesmy pieśń pożegnania ku tym, którzy żyją i których zraliśmy kiedyś —

PIEŚŃ.

„Róże moje — dzieci Edenu, zostawiam was opiece Aniołów. Wąż przyczołgał się do mnie, spał się do piersi i w samem sercu zaszczepił jad poświę-

cenia. — Wam nie umniejszą się połysków i rosy, dlatego, że od was odchodzę na wieki.“ —

„O bądźcie mi piękne i świeże, wieczną oddychajcie wiosną. Ręka od dłoni, usta od ust waszych na zawsze — na zawsze! — Ja o was zapomnieć muszę i odtąd karmić się jadłem, jakem dawniej karmił się waszemi woniami, — od głuchego zwiru stopy moje pokrwawione będą. Wy wśród harf i fletów szalone, porwane tańczycie na kwiatach, czoła wiosennym ustroiwszy majem.“ —

„Róże moje — dzieci Edenu, powierzam was opiece Aniołów! — Wszyscy, którzy tam stali, słuchali brata i słowa Jego powtarzali chórem.“ —

„Teraz pustelnicy rozejść się muszą, każdy w osobną stronę, by się już nie spotkać więcej, lecz jeden z nich, czy mniej cierpliwy czy więcej udręczony bólem, dał znak, że mówić chce i zatrzymał ich. „I ja nim zginę dla świata, nim powiem duszy mojej: „młecz, nieboga, na zawsze“ ostatnią wolę moją wyrzec, ostatnie słowo moje wam wypowiedzieć chcę. — Posłuchajcie brata, który jako wy umiera i słowa jego powtarzajcie za nimi.“

„Biada tym, którzy panują, biada olbrzymom złości i szyderstwa, podstawa ich błoto, gmach ich kurzawa! biada im, że mnie odepchnęli od bitej drogi, którą stąpa ród człowieczy i przymusili iść po ścieżkach, kędym obleczon jest ciemnością.“ —

„To, co innym narodom życie dawa, niechaj mi przyniesie zgubę. — Cień, który pada z drzewa wiadomości, owionie ich szaleństwem, wolność stanie między nimi jako widmo krwią zbroszone i przechadzać się będzie wśród łuny pożarów — a po jej przejściu ród ich niech przepada, język niech zatracon będzie. — Ale niech sława o nich żyje w późne wieki — niech powieść o zbrodniach, ucisku i podłości będzie nadgrobkim tego plemienia, iżby go ludzie potomni

czytając, przeklinali po wszystkie dnie swoje aż do końca świata.“

„Wszyscy, którzy tam byli, słuchali brata i pieśń jego powtarzali chórem a potem jest ich rozejście i każdy udał się w stronę powołania swego.

Z. K.

(Autor własnoręcznie dodał: »Pisane w wilię wyjazdu z miasta św. Piotra — 1833 w marcu).

UŁOMEK

Z DAWNEGO RĘKOPISU SŁOWIAŃSKIEGO.

U Ł O M E K

z dawnego rękopisu słowiańskiego.

Czy pamiętasz jeszcze ten wieczór tak cichy i uroczysty, zdobny złotem gwiazd tyłu, wonią kwiatów miły, nad jeziorem oblewającym brzegi dalekie od mojej ojczyzny? Pamiętasz dotąd, jakieś mi się pytała, wiedząc dobrze, że nas los rozłączy na ziemi, czy kiedy spotkamy się w Niebie? Jam wtenczas drżącym głosem i z niepewnem sercem odpowiedział: Nie wątp o tem. — Zobaczymy się znowu w piękniejszym świecie. — Lecz pewnośc i wiara dalekimi były od mojej duszy. Trwogi twej zaspokojenie i pociechę twego umysłu jedynie miałem na celu. Spojrzałaś wtedy na mnie promiennym wzrokiem, z uśmiechem na ustach, i dziękowałaś mi czule za słodką obietnicę; — od dnia tego moje myśli nie raz błąkały się po krainie marzenia, szukając prawdy w każdym jej zakątku. — Głos twój: „Czy spotkamy się w Niebie“ ciągle brzmiał w moich uszach, i ścigając mnie wszędzie, nigdy nie dał pokoju. Wśród nocy słyszałem dźwięk jego tkliwy, unoszący się nad mojem łóżem; wśród zatrudnień i spraw świata nawiedzała mnie twoja postać, i zdawało mi się, że czytał wyraz wyrzutu na jej licach, za to że niewinnie pytającej zwodniczą dał odpowiedź, lub przynajmniej kłamanem odparł uczuciem: i wszczeła się we mnie chęć poznania bliżej tajemnic wieczności i dojścia, jeśli podobnem było dostatecznemi na ziemi sposobami, do pojęcia przyszłego stanu duszy w Niebie. Zapragnąłem silnie i nieodbicie przejrzeć

aż do Boskiej chwały, i lot mojej myśli posłać między nieznane, święte i błędne przestrzenie, bo w nich tylko dowiedzieć się mogłem, co nas, mnie i ciebie, czeka po zgonie: w niej tylko upatrywać cel, wielki, piękny i niematerialny, nieodzownie mojej i twojej duszy potrzebny, gdyż bliższego nie mieliśmy, do którego byśmy ramiona nasze wyciągnęli i wspólne obrócili działania; — a wreszcie mojemu sumieniu ciążyło, żem na chwilę udawał przed tobą, i chciałem błąd popełniony nagrodzić długiem dumaniem, przeczuwając, że odpowiedź na los dana sprawdzi się i ustali nasze nadzieje; a tak te nadzieje z początku mdłe i niepewne, wód fale i skrzydło wiatrów za podstawę mające, nabrały później rzeczywistej posady, i niewzruszone już teraz w mojem przekonaniem sercu, zleją się do twojego, kiedy przeczytasz te słowa.

* *

Jest w duszy pamięć niezgasła uczuć i namiętności. Można zapomnieć o zdarzeniu, o sobie, o miejscu, zaciera się w naszym umyśle po czasie skała stercząca nad równiną, łąka umajona kwieciami, liście drzew jedne po drugich padają uniesione wiatrem niepamięci, szum fal jeziora słabieje i ucisza się w końcu; śpiew ginie rozproszony po szerokich błoniach wyobraźni, rysy omdlewają po długiem niewidzeniu, oko żywe blask swój traci stopniowo, uśmiech ust coraz mniej wyraźnym się staje. Wszystko, co uderzyło naszą żrenicę, przeznaczone jest mniej więcej zapomnieniu. Wszystkie obrazy zdobne w początkach tęczy, farbami podobnie jak tęcza rozplywają się wśród przestrzeni i giną. Lecz uczucia, które duszy nieśmiertelnej wzrok ściągnęły, namiętności, które przymieszały się do jej bytu i ściśle z nią się połączyły, nigdy już zamrzeć nie mogą, bo się stały częścią istoty mającej przetrwać czasu koleje, i samego czasu koniec obaczyć,

kiedy zniknie na wieki w łonie wieczności. Pamięć tych uczuć stanie się naszą karą lub nagrodą i złote gwiazd promienie, które przyświecały ich urodzeniu w naszym sercu, nie ujrzą już ich zgonu, bo same zagasną w chwili, kiedy tamtych wieczna chwała lub sromota zaczynać się będzie.

*

Jest w duszy człowieka wola wybujała nad kajdany, któremi dłonie mu krępują, i nad przysionki więzienia, pod którym jego czoło więdnije na ziemi. Ta wola niczem niewstrzymana, ze skrzydłem zwyciężskim po przestrzeniach nieśmiertelności, nie odpadnie od nas jak łza od powieki, kiedy odrzućwszy świata tego postać, świetniejszą przybierzem. W niej czuję zapewnienie, że spotkamy się po śmierci, bo cóż będzie mogło stanąć nam na zawadzie? Czyż lot myśli nie może przebyć obszarów i zbliżyć pamięcią serc oddalonych od siebie, — a kiedy już na ziemi błyskawicy się równa, cóż mu przeszkodzi tam, gdzie nierównie prędszym być powinien? O! nie staną przelatującej myśli na drodze te kołujące sfery, żywe teraz niebieskim ogniem, nie będą jej przeszkodą te słońca, z których łańcuch nieskończony uwił Stwórcą wokoło błękitów, nie wstrzymają jej biegnące gwiazdy więzami z światła lub zawieją z płomieni, nie porwą za sobą w kręcącym się wirze i na dalekie nie zanoszą przestworza — bo ich już wtedy nie będzie, lub jeśli jeszcze mdłym blaskiem błyszczec będą, posłużą tylko duszy za schody z jasności, po których promiennie się przesuwając, dojdzie pożądanego celu, a ten cel, silną natchnięty wola i żywą obudzony pamięcią, będzie spotkanie tych, którzy miłymi byli za życia, których wspomnienie może nieco prochem ziemi zatarte, ale odświeżone wróconą młodością po zgonie, silnym popędem rzuci duszę pomiędzy przestrzenie, gdzie je znajdzie i znowu ukocha.

A gdyby dusze nasze, ulegając ważniejszej przewadze i we własnej powściągniętej woli, drogi, naznaczone sobie aż do pewnego czasu, od Stwórcy dostały; gdyby wzorem gwiazd płynących po błękitie i one pewne biegi odbyć musiały po przestrzeni wskazanej od Boga, dla czegoż by jeszcze i w tem przypuszczeniu spotkać się nie miały?

Oh! lubo i miło mi jest wystawić sobie dwie myśli skierowane do siebie za życia i schodzące się razem u krańców wieczności. Choć różne ich stany i przeznaczenia, w chwili, w której się zejdą, równemi się staną, równem natchnięte uczuciem. Wspomnienia rozwiną się między niemi i przyciągną jedną do drugiej, a jeśli rozdział nastąpi, jeśli jednej droga w przeciwną udaje się stronę, pożegnają się i zanurzą w głębiach, które im zwiedzić potrzeba, lecz z nadzieją że znowu się spotkają i że kołujące ich kręgi przetną się w punkcie jakim zjednoczenia.

A potem jest związek ogólny, pewny, niczem nie naruszony między wszystkimi częściami świata materyalnego, i moralnego. Jedyne i toż samo prawo rządzi wszystkim i rozliczne swe skutki podobnie wywiera na ciałach i duszach. Puszczone w nieskończoność istoty muszą się zejść kiedyś jak dwa ułomy, które na ziemi wprzód odległe z następstwem wieków przylegają do siebie, tem bardziej, że w pierwszych jest chęć namiętna i wola, a w drugich samo tylko dążenie materyalne. W odmianach ziemi muszla z odległych oceanów przypływa do skał Helweckich i z niemi się spaja. Dla czegoż w nieskończonych duszy nieśmiertelnej biegach, nie miałyby rozdzielane skupić się myśli, i oddarte od siebie znów zjednoczyć się uczucia? Wszystkie stworzenia składają łańcuch, w którym ogniwa nieustannie miejsce swe odmieniając, to się oddalają, to się zbliżają; a więc kiedyś te, które na obu końcach przeciwnych świetniały, obok siebie błyszcząć i blaski swe mieszać będą, i może

doszedłszy wtenczas ostatecznego kresu i stanu, już nie odbiegną od siebie.

* * *

Ale nietylko domysłem w błędne gonią krainy, wierzę w spotkanie się dusz; na ziemi, gdzie tylko spojrzę, widzę tego dowody. Matka piastująca dziecko na łonie, syn płaczący nad grobem rodzica, młodzieniec wiodący do ołtarza w kwiaty strojną oblubienicę, zdają mi się patrzeć wzajemnie na siebie wzrokiem zapewnienia, i te spojrzenia skupiając się w około mnie, oświecają przedemną przestrzeń daleko za trumną. I miałyżby napróżno westchnienia ze smętnych wychodzić piersi, by marnie w powietrzu się rozprószyć? I miałyżby łzy boleści i miłości raz spadłszy z oczu, wyschnąć napróżno na zimnym kamieniu, i jedynie wichru stać się napojem? O nie: jest w każdym westchnieniu, w łzie każdej myśl jakaś, która raz puszczone w przestrzeń, już ani się wrócić ani w nicosć obrócić nie zdoła. Te wszystkie uczucia stają się węzłem między duszami, a policzmy teraz, ile podczas życia przybywa ogniw do tego węzła. Śmierć sama nie ma dosyć siły, by je rozprysnąć i połamać: panowanie jej jest wszechwładne nad ciałem, ale żadne nad nami samymi, nad tem co żyje w naszych piersiach. Wolno jej kruszyć twarde materji pęta, ale nie rozerwie słodkiej uczuć taśmy.

Wieczności nikt nie podzielił na lata, lecz można ją podzielić na stany: życie ziemskie jest jednym z tych stanów i jedną jej częścią. Miałyżby więc wszystkie jego najwznioślejsze myśli pójść w rozsypkę i uleść zagubie?

Dziecko w rodzinnym domu, w wejściu do świata uczy się wymawiać imię matki, później to imię okraża jego serce niezłomnym talizmanem — wzrasta później i nowe odkrywa widoki, lecz słowo, które pierwszy raz z ust bliźnich przejął w kolebce, urok zachowuje

wszechmocny dla niego. Pośród spraw i zatrudnień, różnych kolei losu, uśmiechów szczęścia i zmarszczeków przeciwności, to słowo odbija się ciągle w jego duszy, i czyż można wątpić, by ono już tam wiecznym nie brzmiało dźwiękiem? Czyż podobnem do wiary, że Niebo zniszczy, co było najpiękniejszym na ziemi. O nie! owszem ta piękność ziemską nabierze wyższego blasku. To, co było gwiazdą tutaj, tam słońcem się stanie.

* * *

Gdyby nie było wrodzonej pewności, przyniesionej z sobą w zarodzie na świat ten, a rozwiniętej później uczuciem pewności, że śmierć nie stanie się przedziałem między nami na zawsze, jakżeby nam smutnie przeszły dni na ziemi, nieumilone ani przyjaźnią, ani miłością. Celu nam zawsze i ciągle potrzeba dalszego nad materyalne granice. Lecz gdybyśmy go dzielić wspólnie nie mieli z tymi, których ukochało nasze serce, straciłby on większą część nieśmiertelnego blasku. I na cóż zdałoby się nam wyciągnąć ramię młodzieńcze ku dłoni przyjaciela, gdyby uścisk poczęty na tym świecie miał skrzepnąć i nie trwać dłużej od niego. I pocóż byśmy się stroili w skrzydła miłości i czoło lubej wieńczyli nieba promieniami, gdyby one miały skonać w marmurze nagrobka, lub rozproszyć się między kwiatami mogiły? Na krótką podróż towarzyszków nie trzeba nam wcale. Możemy sami ją odbyć, i jeśli w dalszych, pozostałych krainach nie ma odkwitnąć to, co powiodło na ziemi, mało, nic prawie nie skorzystamy z woni i połysku róży, świetnej rosą poranną, a wyschłej pod cieniem wieczoru.

Tak jak czuję, że zginać nie mogę, tak równie czuję, że połączę się z osobami mnie drogiemi. Bez tego uczucia, ziemia by większą część wdzięków swoich straciła — i tak już smętno, kiedy pomyślimy, że

massa, która złoci świat w około, upłynie, że srebrny strumień wyschnie, i że śnieżnej jego fali, która ciągnie za sobą zakochane oko, już nigdy nie ujrzemy. Jakież dopiero smutek rozlałby się po naszej piersi, gdybyśmy duszy ulubionej już uczuć przy sobie nie mieli?

Wieczorem w cmentarzu cichym i spokojnym, niedowierzającemu dumać potrzeba nad grobem straconej osoby. Za każdą łzą wylaną nabędzie większej pewności, im smętność większa w jego sercu, tem wiara wzrośnie mocniejsza. — I na cóżby Stwórca wlał miłość w duszę, i z miłością razem myśli o Niebie, gdyby się one sprawdzić nie miały. To, co snem się wydaje na zimnym świecie, może być rzeczywistością w piękniejszym. To, co było, jest i trwa ciągle, bo uczucia są nieśmiertelnemi, i jeśli popioły, które leżą pod nami, w wonne kwiaty przejść i rozrosnąć się mogą, nasze myśli i przywiązanie równie piękniejszą i wyższą postać przybiorą. Uczucie raz wlane w dusze zaprzestać swych postępów nie zdoła, i to, co Bóg raz dozwolił, dozwolone jest na zawsze, co raz urządził, czemu raz nie gniewem przypatrywał się okiem, to co chwila wznosić i wzbijać się musi, aż dojdzie ostatecznego doskonałości stopnia.

Zdarza się nieraz, że wpadamy w stan błędnej niespokojności, że marzymy nieziemskim sposobem. Przeczuwamy przyszłe zdarzenia — zdaje się nam, żeśmy niewidomem otoczeni pasmem z żywych niepojętych istot, wśród jasności i milczenia zlewają się w nasze serce dziwne uczucia, podobne do wywartego wpływu nieznaney przyczyny. Wtenczas najmniejszy szelest ściąga naszą uwagę. Liść wiatrem kołysany, kamyk zsuwający się z brzegu natęża nasze ucho. Dla tego, że się co chwila spodziewamy jakiegoś głosu, bo w łonie czujemy myśli nie nasze, przeczucia cudzą

siłą w okrąg działań naszego umysłu popchnięte, a zwyczajem świata nauczani, łączymy wyobrażenie dźwięku z wyobrażeniem myśli. Lecz istoty, wywierające wtenczas wpływ niepojęty na nas, nie mają już głosu. Samemi już tylko stały się myślami. Działanie ich jest dla wielu serc oczywistem. Podnieść się tylko trzeba aż do nich, a odpowiedzą. Jeśli zatem dusze osób, które zostawiły nas daleko za sobą i wzbiły się nad materję, zachowują związki z nami, związki trudne do rozerwania, lecz nieraz dotkliwe naszemu sercu, jakże wątpić, by się te związki silniej nie ścisnęły, kiedy zrównamy się z niemi? Może ulatują te duchy w około naszych skroni, i z radością patrzą, jak się posuwamy po drodze życia, by wkrótce, doszedłszy trumny, zmartwychwstać z pod jej pokrycia, a wtenczas bratnie ku nam wyciągną ramiona i porwą z sobą w świetne krainy. Tak jak przyjaciele czekają niemowlęcia u wejścia do kolebki, tak one może czekają na duszę u przejścia z grobu do nieśmiertelności.

* *

W różnych czasach Nieba używały świętego natchnienia niektórym ludziom na ziemi, lecz to natchnienie zachowane pamięcią wieków, pod głęboką nieraz zasłoną zawiera obietnicę połączenia się dusz po śmierci. Wiara w to połączenie jest wiarą wszystkich ludów i czasów, potrzebą serca i najmilszym ostatecznym celem. Mędracy dumający nad brzegami Eufratu przy dźwięku harf, przelotnym wiatrem trąconych, uznawali tę prawdę. Grecy, lubiący stroić w ziemskie róże puhary wina, i piękność rozkoszy przenoszący nad wszystko, czuli, że kiedyś ujrzą w innym świecie drżące w ich uściskach kochanki i przyjaciół za nich się poświęcających. Zdradzona królowa milczeniem odpowiedziała w gajach nieśmiertelnej zieloności słowom Troi wygnańca, a ten, który dla pomsty przyjaciela rozbijał w perzynę państwo najswie-

tniejsze Wschodu, cieszył się, idąc do walki, że straconego znowu zobaczy, lecz już nie na tej ziemi.

Męczennicy, którzy z nieustraszonem sercem biegli na rzeź i zagubę, czuli w głębi serca zapewnienie połączenia się z tymi, których widokiem nie mieli czasu nacieszyć się na ziemi, i chrześcijańska dziewica z cieriowym wieńcem wstępująca na stos płomienisty, wzdychając do Boga, nieraz umilała ostatnie chwile nadzieją, że na wieki zjednoczy się z kochankiem, ginącym w tej samej sprawie.

Tak zawsze i wszędzie ludzie, którzy wylatywali nad granice materialnego życia, doszedłszy dozwolonej wysokości, na długość krępujących ich kajdan, przeczuwali, że w obiecanych przez własne serce i Boga przestrzeniach, ujrzą na nowo miłość swojej młodości lub przywiązanie lat dojrzałych.

* * *

A więc bądź spokojnej i radosnej myśli. Mój wzrok teraz dosięgnąć cię nie może, lecz myśl ciągle ulatuje w około twojej duszy, jak gwiazda przyciągnięta siłą słońca swego. Wzrok mój zgaśnie kiedyś, lecz myśl nie zaprzestanie kolistego biegu, i nic jej od obranego raz środka oderwać nie zdoła.

Wtenczas, kiedy cienie mroku w około nas się roztaczały, i kiedyśmy nad jeziorem patrzyli w odbitą świetność niebios, gdzieśmy tylko spojrzeli, tośmy gwiazdy widzieli; podobnie i twoja dusza, gdzie tylko się zwróci, moje myśli obaczy w około niej krążące. Wtedy zapytaniu twemu dałem drżącą, niepewną odpowiedź, i przestawałem na tem, że twój wzrok się zaiskrzył blaskiem nieśmiertelności, kiedyś z moich ust usłyszała obietnicę spotkania się nad ziemią. Lecz teraz wierz całą duszą i sercem mojej wierze, wierz, że cię już nie zwodzę, że prawdziwy, prawdziwy ogłaszam ci świętą. Wierz, że to słońce rozprysknie się w odłamki, ta ziemia w proch się rozsypie, potoki

głos swój a wichry skrzydła swe potracą, a my nad burzą, przestrzeń zalegającą, unosić się będziemy przy sobie, i nierozdzielni, otoczeni wieczności powagą i blaskiem Nieba złożonego z uczuć dusz naszych własnych.

Do tego Ułomku.

Sans doute puor que l'amour puisse être invoqué, pour que les liens se maintiennent, se renouent encore, pour que l'affection ne soit plus un vain mot, il faut que la séparation ne soit pas absolue, il faut qu'il y ait simplement absence: il faut que les âmes puissent encore se dire dans un langage mystérieux mais certain: „nous nous reverrons“ et comprendre toute la profondeur de cette parole... Certes, cet avenir est bien à nous. Cette autre patrie est notre vraie patrie.

De Gérando, Systèmes de Philosophie, Livre II.

WYGNANIEC.



W Y G N A N I E C. *)

We Florencyi, w pałacu księcia S***, jest obraz Galearo Pesquieri, sławnego w średnich wiekach przywiązaniem do Rzeczypospolitej Florenckiej i wieloma nieszczęściami. Nieustraszony w boju i w burzliwych radach owych czasów, naraził się nieraz nieprzyjaciółom i musiał kryć się i uciekać; aż znowu za wzmocnieniem się własnego stronnictwa mógł się ukazać i działać. Żarliwy obrońca przywilejów ludu, choć sam był ze znakomitej rodziny, częste miewał zatargi z arystokracją i nieraz pokazał się nieubłaganym w zemście. Uległ wreszcie zwykłemu losowi tych, którzy w publicznych zamieszaniami stają na czele stronnictw, bo są w sile wieku: zginął od trucizny. Twarz jego odbiła ogień duszy niezgiętej, miłości wolności, i coś słodkiego w tajniach serca, które, zwiększając wyraz oczu, z ponurego na tęskny zamienia. Ubiór jest prosty i bez haftów, koloru ciemnego, z łańcuchem srebrnym na szyi; na głowie ma czapkę okrągłą bez piór z sprzączką stalową; na piersiach kolczugę i sztylet u boku. Prawą ręką opiera się na marmurowym stole, a drugą ciśnie czoło, jakby dla ulgi chciał boleść w głąb zatłoczyć. Pod obrazem, na filarze parteru, tabliczki z perłowej macicy, oprawne w ozdoby gotyckie ze złota, z początkowymi literami jego imienia; w ich środku zachowany jest dotąd długi napis, który starałem się wiernie przetłómaczyć.

*) Napisane w r. 1831, i ofiarowane Konstantemu Gaszyńskiemu na pamiątkę.

N A P I S.

Kiedy cię przekleństwo ojca wyruguje z domu, w którym wyrzekłeś z kolebki pierwsze wyrazy do matki; kiedy z przyjaciółmi przyjdzie do pożegnania, bez nadziei, żebyś ich kiedy powitał znowu; kiedy w progu raz ostatni mamkę płaczącą uściśniesz; z bram miasta znajomym się uklonisz na wieki; z drogi, którą się udajesz, znikną ci stopniami wieże i dzwonnice, podziwy twego dzieciństwa; nie jest to wygnanie. Jeśli, puściwszy się na morze, spotkasz wiatry przeciwne, i pędzony burzą po rozbiciu się okrętu sam jeden z towarzyszków tyłu ocalejesz na skale, by niełudnej wyspy jedynym zostawszy mieszkańcem, zdobywać trochę pokarmu na jej dziedzicach, lwie i gadzinie; jeżeli tygodnie, miesiące, lata tam pędząc, doznasz niepogód i nędzy; wylejesz dużo krwi, kalecząc się po żwirze na brzegach, dużo też wspominając o straconej na zawsze ojczyźnie i rozbitych majątkach: o wierz mi, nie jest to jeszcze wygnanie. Walcząc ze stronnictwem; któres obrał sobie, jeśli przegrasz, pojmany przez wrogów w głuchem więzieniu zapoznasz się z ich zemstą; a po mnogich torturach na światło wypuszczony, stawisz się w orszaku twoich katów, przed radą Rzeczypospolitej, która cię razem oskarży, osądzi i potępi; kiedy ci wtenczas oznajmią, że na zawsze trzeba rozbratać się z ziomkami i porzucić ziemię matkę; kiedy po wysłuchaniu wyroku pójdziesz raz jeszcze żonę uściskać i dzieci pobłogosławić w komnatach, gdzie wiszą przodków obrazy, a potem pod wieczór chłodny, w płaszczu rozdartym sztyletami w ostatniej potyczce, wyjdiesz, by nie wrócić więcej, choć czujesz, żeś nie przewinił; kiedy inkwizytor odprowadzi cię w milczeniu aż do granicy i tam puści, mówiąc: — „idź naprzód, ale się nie oglądaj;“ o wierz mi! jeśli zostawisz kraj w pokoju, swobodzie i szczęściu, jeśli oddalając się usłyszysz w około pieśni mieszkańców, nie lękasz

się, aby kara prześladowania spadła na prześladowców, nie nazywaj tego jeszcze wygnaniem. Lecz może w rozkosznej krainie, pod jasnym niebem bawiąc się wesoło, przy kochance cudzoziemce pędząc dni uniesienia i namiętności, z wieńcem kwiecica na skroniach a z jej ręką w dłoni, z ustami na ustach, posłyszysz, że twoja ziemia zrzuca jarzmo i rwie kajdany, które ją krępują: wtenczas, jeśli pożegnawszy wśród jęków i łez lubą na wieki, pobiegniesz tu szczękowi szabel na ojczyste błonia, lecz w pół drogi cię zatrzymają ludzie i okoliczności; jeśli słysząc codzień wieści o swoich, codzień napróżno ku nim wzdychasz, słysząc, że się biją, ty drzemiesz, słysząc, że zwyciężają, ty dzielić chwały nie możesz, słysząc, że giną, ty żyć musisz; jeśli się ani ucieczką, ani podstępem, ani zbrojną ręką przebić nie potrafisz; jeśli wylawszy moc całą na usiłowaniu, ujrzyś wreszcie, że daremne, i od obu kochanek daleki, ani jednej sławą pocieszyć, ani drugiej zgonem pomódz nie zdołasz: — o wierzaj mi, to jest wygnaniem, i takim wygnaniem, jakim Bóg tylko w największym gniewie karze grzesznika. Wtedy ci już godziny, w których obcy mówić będą o wieściach ojczyzny, dłuższymi od dni się wydadzą; nocy twoje przeniosą się na pola, gdzie uczujesz ostatnie uściśnienie konających braci, a kiedy się obudzisz, jak ich zemścisz? przecież już pomstę w snach obiecałeś? U łoża odtąd krew i jęki, na jawie wstyd i cierpienie zgotowane — tak, że przed kościołem nie będziesz śmiał się pożegnać, ani przed równym oczu podnieść, a jeśli wychodzisz, zakrywaj twarz dobrze, bierz się na tylne schody, na boczne ulice, kryj w sieniach, przemykaj przez rynki, by dzieci poznanego nie wytknęły: „on tutaj, czyż to tu jego miejsce!“

Będziesz patrzył na wschody i zachody słońca, na dnię pogodne i mgliste, na piękne położenia, dzikie wąwozy, bez ponęty ku jednemu, wstrętu ku drugiemu, choć będziesz pamiętał, żeś jeszcze niedawno lubił

czyste Niebo, przezroczyście strumienie, nie zrozumiesz tego, nic już w tobie miłego nie wzbudzi uczucia. Wygnańcze, coś marzył w snach od kolebki do młodości, ziściło się dla wszystkich, tylko nie dla ciebie; broń, którą ostrzyłeś, by nie zawiodła w dniu powstania, nie zdała ci się na nic, bo nie możesz w pośród bitew zawołać: „naprzód, towarzysze!” bo nie możesz wypaść w noc ciemną i sztylet kładąc na piersi ciemierzcom, krzyknąć: „koniec wam i waszym!” — Wygnańcze, twój hełm rdzą zachodzi, zgniją białe na nim pióra, rozejdzie się klinga od rękojeści, pierścienie kolczugi się rozprzegną, a serce, co miało pod nimi bić namiętnie do ciosów nieprzyjaciół, podobnie jak one wkrótce się rozpadnie. Wygnańcze, żyj bez wzmianki, grób bez napisu jest twoim udziałem, i bodajby on jeszcze był takim, wolny od pogardy i przekleństw bliźnich, dosyć już twoich nad nim było.

Nie do was, przyjaciele, z którymi dziecko biegałem w Apenińskie lasy, po nad brzegami Arno, teraz przemawiam, ani do was, którzyście umarli przedemną i w dziejach mojego kraju żyjecie, ani do tych, co po mnie zawód swój zaczną, ażeby mi dać naukę; do nikogo na tym szerokim świecie się nie odzywam — tylko do siebie, do siebie, do siebie, bo taki był mój los a nie czyj więcej.

Te myśli przychodziły mi do głowy w Weronie, kiedyś jeszcze w roku 1401 posłyszał o zamieszkach Florencyi, z przyczyn Walentego Stragoni. Zapewne bliskość grobu Julii i Romea tak czarnemi przecuciami mnie wtenczas natchnęła.

TEODORO,

KRÓL BORÓW.

POWIEŚĆ KORSYKAŃSKA.

... he lived a wanderer and a fugitive in his native land, and went down, like a lonely bark foundering amid darkness and tempest, without a pitying eye to weep his fall, or a friendly hand to record his struggle.

Washington Irving. — The Sketch book.

Korsyka jest wyspą najeżoną skałami i gęstemi krzewinami obrosłą; ciasne wąwozy i kręte jary, przecinając wszystkie jej części, służą za schronienie liczny-
nym rozbójnikom. Nie trzeba sądzić jednakże, aby rozbójnicy korsykańscy łupież lub kradzież mieli jedynie na celu, zawsze prawie chęć zemsty staje się przyczyną ich zbrodni; rzadko gwałtem na wieśniakach wymuszają pieniądze lub żywność, mieszkańcy dobrowolnie im dostarczają potrzebnych rzeczy, uważając to za winną należytość. Zemsta jest ogólną cechą charakteru Korsykanów: często z najlepszych przyjaciół stają się śmiertelnymi wrogami za jedno słowo, za żart niewinny. Kiedy jeden z nich przysięgnie zemstę komu, wtenczas oświadcza swojej przyszłej ofierze, że jest z nią *in vindicta* i że od tej chwili zabije ją, gdziekolwiek spotka. To słowo *vindicta*, wyraża nienawiść dwóch ludzi poróżnionych i zemstę przez obu upragnioną; lecz jeśli Korsykanin jaki, będący w nagłym niebezpieczeństwie, schroni się do chaty tego, z którym jest *in vindicta*, znajdzie u niego i pomoc i największe poświęcenie; nieprzyjaciół, czyhający przed chwilą na jego życie, dłoń mu ściśnie i na śmierć się narazi, żeby go obronić; lecz skoro niebezpieczeństwo oddalone, wraca nienawiść i zemsta

wre z nową siłą. Widziano przykłady ludzi żywionych przez trzy miesiące w chacie swoich nieprzyjaciół, podczas niebezpieczeństwa, a potem o kilka kroków od tej chaty przez tychże nieprzyjaciół zabijanych. Za przejściem progu mieszkania znowu *vinditta* się rozpoczyna. Dziwny ten zwyczaj, który każe wrogowi poświęcać często życie za wroga, dowodzi, do jakiego stopnia zemsta wznieść się może i wygórować w dzikich umysłach. Bronią oni do ostatniego tchnienia ludzi, z którymi są *in vinditta*, aby nikt inny nie wydarł im rozkoszy ich zabicia; uważają tych ludzi za swoją własność od chwili, w której się poróżnili, za ofiarę, której krew i jęki do nich należą. Walczą więc o prawo zamordowania ich, jakby walczyli o ziemię lub skarby swoje. Widziano raz dwóch Korsykańców będących *in vinditta*, wziętych do pułków francuskich — tam przez dwadzieścia lat ściśłą związani przyjaźnią, sypiali w jednym łóżu, jedli u jednego stołu, dzielili wszystkie niebezpieczeństwa i zabawy, smutki i radości i, przypominając sobie ojczyste skały, razem do nich wzdychali — po upłynieniu lat służby, jeszcze razem siadając na statek, razem płynęli do rodzinnej wyspy i z równem uniesieniem witali z ponad łona mórz szare jej góry w oddali; chwilę przed wylądowaniem jeszcze ich dłonie się ścisnęły i rozumiały się ich serca, lecz skoro dotknęli stopami ziemi, na której wieczną zaprzysięgli nienawiść, odskoczyli od siebie i okropnym zawołali głosem: Jesteś *in vinditta*, gdziekolwiek cię spotkam, przywitam cię ołowiem kuli lub żelazem sztyletu — i w kilka dni potem, pośród skał leżał trup jednego z nich, śmiertelnym ciosem przeszyty.

Kiedy stałem z pułkiem moim w Bastya w 1827 r. (mówił mi pan C... oficer francuski), szeroko słynał w okolicy rozbójnik *Teodoro*, królem borów przezwany, i w rzeczy samej godny był nabytej sławy nadzwyczajną siłą, dziwną zręcznością i nieustraszoną odwagą,

której prawie codzienne dawał dowody. Dziwaczne było często jego postępowanie i uważano, że ścigał wszędzie żandarmów francuskich, na żołnierzy innych oddziałów nigdy nie napadając. Następne o nim opowiadano szczegóły:

Urodził się i wychował w małej wiosce między górami, młodość całą spędził u rodziców, pomagając im w pracach, i nikt w słodkim jego wzroku i miękkich rysach nie mógł wyczytać burzliwych namietności i przyszłych zbrodni. Miernego był wzrostu, ale olbrzymiej siły i wielkiej zręczności, osobliwie w strzelaniu. W dwudziestym roku pokochał dziewczynę, mieszkającą w pobliżu rodzinnej chaty, i odtąd jej oko stało się gwiazdą jego przeznaczenia; całe dnie spędzał w niemem przypatrywaniu się jej wdziękowi, a całe noce w dumaniu przy bladym świetle księżyca, obwianego mgłą, właściwą głębokim parowom Korsyki. Zdarzyło się w tym samym czasie, że oddział francuskich żandarmów dostał rozkaz zajęcia kwaterą wsi rodzinnej młodego Teodora; dotąd wszystkie jego uczucia zwrócone ku pięknej istocie zachowały kształt młodzieńczej lekkości, i z drżącym sercem, z rumieńcem na twarzy, zbliżał się do ulubionej, lecz kiedy ujrzał ją codziennie otoczoną gromem wojskowych i rozdającą wszystkim jemu tylko należne spojrzenia, nagle się odmienił; z nieodłączną strzelbą na ramieniu i pistoletami u pasa, przychodził do kochanki i ponurym wzrokiem patrzył na cudzoziemców, goszczących w jej chacie. Dostatecznie długo trwało to nieprzyjemne dla niego położenie, nareszcie ze wszystkich żołnierzy, codziennie zalecających się do młodej góralki, jeden się tylko został, ale ten łączył niewzruszoną wolę z silnymi namietnościami. Milczał, spotykając go, Teodor, a milcząc, ścisnął nóż szeroki lub kolbą strzelby uderzał o ziemię; nareszcie żandarm francuski postanowił się go pozbyć na zawsze, i do tego łatwy sposób wynalazł.

Każdy Korsykanin odbiera trzy wezwania do służenia w wojsku francuskim; jeśli za trzeciem nie stawia się do pułku sobie przeznaczanego, ulega karze więzienia. Właśnie już Teodoro odebrał dwa wezwania, trzecie, przejęte przez żandarma, nie doszło go. Niewinnie więc posadzony o nieposłuszeństwo, musiał udać się w towarzystwie przysłanej straży do miasta Bastya i tam pomimo wszystkich próśb i oświadczeń, wejść pod ciemne sklepienia i wolne dotąd ręce kajdanami obciążyć. Podczas kilkotygodniowej niewoli, srogimi szarpany wspomnieniami, daleki od kochanki, zostawionej na łup nieprzyjaciela, pozbawiony błękitu niebios i widoku gór ojczystych, dumiał przy ponurem świetle małej lampy nad przyszłym losem; wszystkie namiętności, dotąd uszione w piersiach, ozwały się na głos straconej wolności i miłości zdradzonej.

Nikt nie widział stopniowych postępów namiętności na jego licach, nikt nie słyszał powtarzanych przysięg wśród wilgotnych ścian więzienia; lecz kiedy wypuszczono go na wolność, wszyscy dziwili się odmianie całej postawy Teodora, twarzy i poruszeń. Drżącym głosem zapewniał pułkownika, że za cztery dni wróci i zaciągnie się do wojska, i lotem strzały przebiegł odległość dzielącą Bastję od wsi rodzinnej. Z rozognionem okiem, z płomieniem na licach, z ściśniętymi pięściami, z pianą na ustach wleciał do chaty ojca i zapytał o imię tego, który wstrzymał trzecie wezwanie. Uradował się stary Korsykanin, widząc rękę syna skora do zemsty, i wyrzekł nazwisko żandarma.

— Przysięgam, że zginie on i towarzysze jego, — krzyknął Teodoro. Tego dnia jeszcze nad wieczorem odebrał żandarm francuski, list następujący: Psie przekłety! Oświadczam tobie, że jesteś ze mną *in vinditta*, gdziekolwiek cię spotkam, zabiję! — Roześmiał się żołnierz, czytając te wyrazy i przy kochance zapomniał o groźbie Teodora. W godzinę wyszedł z chaty

dziewczyny i poróżnił się z kilkoma towarzyszami broni, którzy włoskiem winem upojeni, rzucili się na niego z dobytym orężem. Nie mogąc sprostać przemagającej liczbie, żandarm ratował się ucieczką, ścigany, szybko schronił się do pierwszej chaty. Los zdarzył, że to było mieszkanie Teodora. Mściwy Korsykanin zbliżył się do przełękłego Francuza i rzekł z okropną powagą: Należysz do mnie, nikt nie ma prawa cię dotknąć i dopóki jesteś w tem miejscu, pewnym bądź życia, lecz skoro próg mój przestąpisz, bądź pewnym śmierci. Po tych słowach przymknął drzwi domu i porwawszy wiszącą strzelbę, otworzył okno i trzy razy wystrzelił i ranił trzech żołnierzy chcących sobie przywłaszczyć należącą mu ofiarę. Kiedy oddalili się wszyscy i droga wolną została „teraz możesz wyjść“, rzekł zimno Teodoro. Żandarm chciał mu podziękować, ale on z uśmiechem szyderstwa, wskazał mu palcem otwarte podwoje i wkrótce potem, wzięwszy pistolety i strzelbę, udał się pomiędzy góry.

Nazajutrz rano jechał żandarm francuski za rozkazem swego porucznika do Bastyja na silnym rumaku, a przejeżdżając ciasny wąwóz krzakami zarosły, skracał podróż miłosną piosenką — wtem świsnęła kula i nie dokończył zaczętej zwrotki, a Teodoro, wyszedłszy na otwartsze miejsce, przypatrywał się z dzikim uśmiechem jego skonaniu, a potem zniknął między jarami.

Od tego czasu, przez ciąg dwóch lat następnych często powtarzały się morderstwa wśród gór przyległych, lecz uważano, że zawsze na znalezionych ciałach błyszczał mundur żandarmów francuskich, a wieść powszechna głosiła, że ich zabójcą był mściwy Teodoro. I nareszcie do tego stopnia znikło bezpieczeństwo, iż żaden żandarm francuski nigdy nie poważył się bez kilku towarzyszków ukazać się za murami Bastyi. Ale i ta ostrożność nie wiele pomogła, Teodoro

nie lękał się przemagającej liczby i często ginęli od kul jego, nie mogąc ani go schwytać, ani ścigać po skałach i przepaściach jemu tylko znajomych, po których z szybkością, kozy leśnej umykał przed pogonią nieprzyjaciół. Już odtąd nie wracał nigdy do rodzinnego domu Teodoro i od mieszkańców tych okolic zyskał przezwisko *króla borów*. Nie zdarzyło się jednak, aby choć raz czyhał na życie innych żołnierzy, oprócz żandarmów francuskich — często nawet spotkawszy z innych pułków [żołnierza, wchodził z nim w poufałą rozmowę.

Takim sposobem, nigdy z oka nie spuszczać celu, któremu życie swoje poświęcił, w pośród tysiącznych niebezpieczeństw zawsze śmiały i odważny, pewną ręką i pewnem okiem zadawał zgubne ciosy swoim ofiarom. Nareszcie po wielu usiłowaniach daremnych schwytania go, kiedy już liczba zabitych ręką jego żandarmów, siedmdziesięciu dwóch przechodziła, rząd francuski ogłosił nagrodę piętnastu tysięcy franków i ozdobę krzyża legii honorowej temu, ktoby głowę Teodora przyniósł. Przez kilka miesięcy jeszcze umiał swoją odwagą i przytomnością obrócić w niwecz wszelkie starania i śledztwa — lecz nie spodziewając się podstępu, nie strzegł się zdrajcy, a już nadchodziła chwila, w której miał uleść zdradzie, nie uległszy nigdy ni sile, ni męstwu, ni przemagającej nieprzyjaciół liczbie. Po śmierci ojca, daleki od wszelkich związków ze społeczeństwem ludzkim, zachował je z przyjacielem lat młodych Lorellim, który, często widując się z nim w pośród borów, dostarczał mu kul, prochu i pożywienia.

Brygadyer żandarmów, zachęcony obietnicą nagrody, zapoznał się bliżej z Lorellim, a przyrzekając mu odstąpić ośm tysięcy franków, prosił, aby zaprowadził go na miejsce schadzek swoich ze strasznym Teodorem. Opierał się z początku Korsykanin, ale złoto przemogło i dał słowo Francuzowi, że ukaże mu

króla borów, ostrzegł jednak, aby wziął z sobą kilkunastu żołnierzy gotowych na wszystko i doświadczonej odwagi.

W dzień pogodny miesiąca sierpnia wyjechał ze wsi brygadyer na czele kilkunastu żandarmów i udał się w głąb górzystej i zarosłej okolicy. W największym milczeniu postępując, starali się zawsze ukrywać w gęstwinie krzaków, bo wzrok mściwego Korsykanina równał się orlemu, a strzelba łatwo dosięgała serca nieprzyjaciół. Przez kilka godzin z wielkim trudem przebywali jary, to wstępując w ciemne parowy, to się wdzierając na wyniosłe góry. Przewodnik drżał za zbliżaniem się chwili, w której miał wydać przyjaciela, i śmiertelną bladością okryty, stąpał niepewnie słabymi krokami. Stanęli nareszcie przy lesie tak gęstym i trudnym do przebycia, że wypadło zostawić konie na brzegu i pieszo w dalszą puścić się drogę. Czasem nawet musieli się czołgać pod gałęziami schylonych i obok siebie rosnących drzew i krzewin. Nad wieczorem doszli do małej łąki, a Lorelli rzekł tak cichym głosem, jakby mu sił brakło w piersiach: Teodoro od nas już tylko na strzał karabinowy. Rzucili się żołnierze na ziemię, ukryli głowy wśród zielonych krzewów i odwiedli kurki. Lorelli sam jeden przeszedł łąkę i o kilka kroków spotkał wśród lasu czekającego nań Teodora. Tymczasem obchodzili go dokoła żandarmy, czołgając się z ostrożnością węża, posuwającego się ku zdobyczy swojej.

Teodoro rzucił badawcze spojrzenie na Lorella i czy to poznawszy w twarzy jego zdradę, czy też usłyszawszy szelest uginających się gałęzi pod pierściami żołnierzy, dobył z za pasa pistolet i wymierzając go do dawnego przyjaciela: Zdradziłeś mnie, rzekł szyderskim głosem i wystrzeliwszy, odepchnął nogą trup zdrajcy.

W tej chwili świsnęły kule wokoło Teodora i jedna złamała mu kość pacierzową; upadł, lecz oko

jego nie straciło wyrazu zemsty, i żadnego nie wydawszy jęku, pochylił głowę ku ziemi i przymrużył powieki. Uradowani żołnierze wyskoczyli z ukrycia. Brygadyer pierwszy stanął przy ciele rozbójnika i kiedy z niejakiem zadowoleniem przypatrywał się rysom jego, on nieznacznie wyciągał drugi pistolet z zapasa, porwał się potem nagle, i niechybnym strzałem położył dowódcę u nóg swoich. Ale osłabłe siły nie dozwalały mu już utrzymać się na nogach, doczołgał się przecież najbliższego drzewa i dobywszy pałasza, długo się bronił, srogie zadając rany żołnierzom. Dopiero wtedy oręż opuścił, kiedy zimnem śmierci skrzepła prawica nie zdołała już władać.

Taki był koniec człowieka, którego namiętności zbrodniarzem uczyniły, lecz każdy przyzna, że skierowane na dobrą drogę, mogłyby go i bohaterem uczynić.

Trafnie możnaby zastosować do niego te słowa Washingtona Irvinga o jednym z wodzów Indyjskich:

„Żył, jak zbieg i wygnaniec na ojczystej ziemi, podobny do statku, który sam jeden walczy przeciw ciemnościom i burzy, i nie znalazł litościwego oka, któreby zapłakało nad jego upadkiem, ani przyjacielskiej ręki, któraby skrzepłe zawarła powieki.“

GASTOLD.

LEGENDA.



I.

Kobieto, puchu marny, ty wietrzna istoto!

Dziady.

Wśród boru, oparłszy się nogą o kamień, w myśliwskiej odzieży, stoi rycerz Gastold i rzecze: Giermku mój! nieś mojej dziewoi ten łeb z dzika, ten łeb z wilka, prędko się spraw: a wokoło drgają ciała pobitych zwierząt i ciecze z nich posoka po murawie. I dalej mówi jeszcze, odwołując giermka, który już jechał:

— Opisz, jakem się targał z dzikiem i wbił oszczepem o ziemię — a nadewszystko, jakem brał się w zapasy z wilkiem, jak dwa razy mnie obalił, a trzeci raz legł podemną: bo ten wilk znać był władzcą lasu i odważne miał serce, prawie jako człowiek szlachetnego rodu. Nieś odemnie słowo uszanowania i gotowość na dalsze rozkazy.

Został sam rycerz i poprawia kaftan zdarty pazurami; niedźwiedzią skórę przerzucił na drugie ramię i wsiadł na konia. — Jedzie otoczony psami, które wyją, przechodząc obok zabitego wilka. — Cóż wam się stało, zawołał rycerz, że tak wam smutno po zwycięstwie. — Doświadczyłem was nieraz, a dziś, kiedy przyszło do walki, spuściliście ogony i uszy, i z tyłu szłyście za mną, zamiast coby przodem pędzić i wskoczyć na zwierza; pognewamy się, psy moje, jeśli tak dalej będzie. A brytany idą za nim i wyją i wstydzą się.

Las był ciemny, jak zwyczajnie na Żmudzi o młodej jesieni, kiedy już dobrze na łowy, a jeszcze żaden liść nie opadł, — nie ścieżką kierował się rycerz, ale to błotami, to łąkami, a nigdy nie zbłądził; bo doświadczony myśliwy znał legowiska dzikich zwierząt i one były dla niego jako słupy na bitej drodze.

Było to już dobrze z południa, żadnego ptaka nie słyhać, — między bukami tu i owdzie brzmi strumień zielony; bo zielona trawa z stron obu, a gdzie dolina między wzgórzami, tam czasem rozwalone kamienie świątyni pogańskiej — a Gastold się żegna i patrzy z pogardą na ostatki czci niedawnej, którą wielki Jagiełło z ziemią zrównał po całej Litwie. — Jednak choć ma oszczep u boku, a na piersiach krzyż pod szatą, nie miło mu i niby się lęka; — bo słyszał, że czary w tych tu miejscach się schroniły i są bardzo mocne. — Owóż zmówi: Zdrowaś Maryo, poprawia się na koniu i zapuszcza się dalej i to powoli, bo z konia znój ciecze.

Taki bór wielki, że zda się bez końca. Co wzgórek się uniży, to drugi się podniesie, — co jar się przejedzie, to inny się zaczyna, — dęby się kończą, a sosny za niemi, piaski i sosny się kończą a trzęsawiska dalej i po nich gęszczyzna i wierzby. — Jakże też przyjmie posłańca Helena moja, Dowmunta dziewczeczka, myśli Gastold i modli się do św. Huberta, by go mile przyjęła. — A już od dwóch lat składam jej zdobycze z łowów i bojów, a ona przyjmuje, nic nie mówi, i coraz w nowe pędzi mnie trudy, uśmiecha się, kiedy je pokonam.

Lecz prócz uśmiechu nic nie mam. — Piękna dziewczica! a znam siebie, żem brzydki, z kresami po twarzy i rudym włosiem, — ale za to, że ona piękna, jam mężny, i co każe, to czynię.

Aż tu się bór rozwidnił, choć bliżej wieczora, i zewsząd bije światło zachodu pomiędzy drzewami. — Już znać zdala pole czyste, — i coraz bardziej zniżają

się sosny, — drobnieją dęby; tu już krzami tylko, trochę dalej i krzaków już nie ma, tylko pełzną po ziemi malutkie jałowce.

Chata z prostych belek, słomą pokryta, stoi na łące; psy wyprzedziły rycerza, i cisną się do drzwi. Rycerz zsiadł z konia i wprowadził go pod dach. Tu uwolnił od rzędu, nasypał jadła do żłobu i spuścił zasłone, która przedziela komnatę jego od rumaka.

Sam został w komorze, zrzucił zbroję, — w około lśnią się oszczepy i groty; w kącie leżą rogi jelenia; — i położył się na sianie zasłanem skórą rysią.

Marzy o swojej dziewczynie, a kiedy zmierzch nadszedł, zapalił ogień i znowu marzy. — Czas długim się mu wydaje, nalał więc sobie lipcu do drewnianej czary i wychylił, chleba zjadł i mięsiwa. — Tymczasem już noc i gwiazdy po niebie. — Trąba ozwała się na łące i koń znać, jak bieży po korzeniach. Skoczył Gastołd radosny, bo już giermek jedzie, a z nim słowa kochanki.

Weszło młode chłopię zmęczone, bo chciało zyskać względy rycerza, i stanęło u drzwi z uszanowaniem, lecz zaledwo słowo przemówi, tchu mu nie staje.

— Jakżeś ją zastał, czy w kaplicy, czy na krużganku? — Czy z kim, czy samą? czy wesołą, czy smutną?

— Panie mój miły, — oddałem łeb z dzika i łeb z wilka: a oba przyjęła i śmiejąc się, podziękowała, odprawę mi dała, lecz nic do picia i nic do jedzenia, i kazała cię prosić jutro do siebie.

— A był kto z nią, żwawy mój Dowryłło?

— Przezacny panie, stała na krużganku, patrząc na wody, choiny, z Świdrygałą, synem Rymunda, który patrzył na nią.

Rycerz zmarszczył brwi rude.

— A w żmudzkiej naszej ziemi piękniejszego młodźca nie ma, jak mówią i starzy i młodzi. — Lecz także mówią; ja boję się teraz o tem powiedzieć.

— Cóż takiego, mój giermku? przeżegnaj się trzy razy i mów bez bojaźni.

Przeżegnał się trzy razy giermek:

— Mówią, że on bardziej wierzy w Perkuna, niż w nowego Boga naszego, i że często w nocy, chodząc po lasach, rozmawia ze zwierzętami, gdyż wiadomo narodowi, że dawne bogi, pobite przez nowego, zamieniły się w wilki, tury i niedźwiedzie.

Wzdrygnął się Gastold i zbliżył do stołu, gdzie leżał miecz, i niby dla zabawy, wziął go w rękę, i niby nie z namysłu przypasał; a jak przypasał, lepiej mu na duszy było.

— Już o tem daj pokój, chłopcze, godzina nocna, bór przy nas, sami jesteśmy, a szatan nie śpi. Złe wybrałem miejsce dla tej chatki, choć prawda, że mi stąd dogodnie jechać na całe dnie w lasy, — a Helena czy patrzyła często na niego?

— Nie miałem czasu zważać, bom przyjechał i odjechał; i widziałem, że nie chcieli, bym się zatrzymał.

— Jutro o świcie rząd mój stalowy na konia. -- Zbroję z łusek na mnie, a żeś znużony, zostaniesz tu.

Położył się Gastold po odmówieniu pacierzy, a w nogach spał giermek. — Promienie ognia to prześlizną się po nich, to odbiegna; ciemno, aż potem znów ich oświecą na pół, i tak ciągle, aż póki do ostatniej iskry nie zagasły.

II.

Na całej Żmudzi nie znaleźć takiej wsi, jak Citowiany: bo stoi na górze nad przepaścią, w której huczą fale, choiny modre u spodu, a biała piana u wierzchu. Dziedziczką w nich jest kraśna Helena, jedna pozostała z rodziny po ojcu i matce.

Piękność jej w kruczym włosie i w czarnem oku; kiedy spojrzy, zda się, że ciska strzałę; kiedy się ruszy, porywa przytomnych za sobą; kiedy śpi, każdemu

by uklęknąć przed nią się chciało, i nie raz mówili włościanie: Mieksze u naszej pani włosy, niż serce.

Stała teraz przed domem swoim na górze i słała wzrok na drogę z niecierpliwości. Zapewne kogoś się spodziewa, a białą ręką igra sobie po piersiach, spiętych kosztowną klamrą, i nóżkami tupie po ziemi.

Chaty wsi dziedzicznej wokoło się podnoszą. Z jednej strony widok na łąki, lasy, i za nimi znów łąki, a z drugiej góra zdaje się wprost spuszcza się w głąb ostrym bokiem; a postąpiwszy, widne są w tajemnym dole choiny, woda, która skacze po kamieniach, unosi z sobą drzewa i pędzi w liczne zakręty.

Po drodze, gdzie błdził wzrok Heleny, ukazał się rycerz konno. Miga zdala stał na jego piersiach, kopię długą trzyma przed sobą i coraz się zbliża.

Poznała gościa dziewczica i roześmiała się serdecznie, nie było komu zważać, lecz w tym uśmiechu odbijało się nieco trwogi.

Wnet na zawołanie pani wyskoczyli słudzy i poszli witać rycerza; on odkrył przyłbicę i, wjechawszy w dziedziniec, zeskoczył na ziemię i stoi przed Heleną jakby przed sędzią.

A Helena była bardzo blada, kiedy Gastołd przysuwał się do niej i rzekła:

— Rycerzu! w nieszczęśliwym dniu polowałeś i giermka przysłałeś mi swego.

A Gastołdowi smutno, że ostrem przywitan słowem, i nic nie mówi.

Helena nie zaprosiła go w krużganek, ni w sień domu, lecz stoi przed nim blada i dalej rzecze: Znać, że ci Bóg nie sprzyja i Święci, bo złe duchy nad tobą moc wzięły, nie mam sił mówić więcej; ale zawołam kogoś, który dokończy.

Klasnęła w dłonie, a z sieni wybiegł człowiek i uklonem powitał ją. *)

*) Nigdy męczyzna w bardziej dziewiczych rysach się nie urodził; płeć miękka i prawie przezroczysta na jego licach, oczy

— Świdrygajle, synu Rymwida, mów za mnie, boś był świadkiem tej nocy.

Gastold sięgnął do przyłbicy, by ją spuścić; jakby do walki; lecz opadła mu ręka i czekał w milczeniu.

— Rycerzu — słodkim głosem zawołał młodzieniec, uśmiechając się złośliwie; — twój giermek wczoraj przyniósł tej dostojnej pani łeb z dzika, łeb z wilka. Dary twojego męstwa zawiesić kazała w przedsieniu; aż kiedy zmrok zapadł, łeb z wilka zawył i oczy umarłe błysnęły czerwono — i wył aż do rana; bo z rana zdjęto go z kółka i rzucono w choinę. Rycerzu! zabiłeś wilkołapą, i znać masz do czynienia z szatanem. Ja tego świadkiem byłem, bom tu, w gościnę przyjęty, noc przepędził.

— Przez Perkuna, — zawołał Gastold, lecz wnet się wstrzymał i przeżegnał dla bezbożnej przysięgi, i słowa nie mógł znaleźć dalej.

— A zatem nie mogę — rzekła Helena, — być twoją przy ołtarzu; bo wiedzą, że ze złemi duchami masz sprawę. Prawdziwie, że kochałam cię, rycerzu, ale teraz nie mogę być twoją, — i mówiąc, z boku pozierała na Świdrygajłę a on także rozkosznie spozierał na nią.

W tej chwili zdawało się zbolełemu rycerzowi, że topór wpadł mu w serce, krzyknął — oh! — i zawołał:

— Heleno! znam ja sztuki białogłowskie, jak bursztyny w rzędzie mego konia.

— Ty mnie nie kochasz, ale innego, a przecież on dla cię nic nie uczynił. Wspomnij sobie wszystkie moje prace.

lubieżne, rzucają błękitne płomienie. Miał czoło wysokie i białe włosy jakby z nici złożonych i brodę gładką jako kamień szlifowany, w bogatym nosił się stroju, skóry niedźwiedziej posrebrzane łapy krzyżują mu się na piersiach, z miecza rękojeść połyska złotem. (z kronik)

— Krzyżak potwarzał twoją cześć dziewiczą, posłałaś mnie, i Krzyżak już ust nie otworzył z pod kopyt mojego rumaka.

— Zażądałaś stu skór niedźwiedzych na jednej komnaty obicie, pójdź do komnaty i patrz, że jest ono obicie. Z kłów dzików zachciało ci się wiązania do kaplicy, przysłałem ci ich cztery wory, a wszystkie sam wyrwałem z zabitych przezemnie.

— Tatarskich jeńców ciekawą byłaś, pięciu wziąłem dla ciebie w niewolę.

— Heleno, nie opuszczaj mnie, bo żal ci będzie; raczej wskaż jeszcze raz, co mam wypełnić: mów, a wypełnię, lecz oddasz-że mi rękę w kościele przed kapłanem?

— Dziewiętnasty rok mi nadchodzi, i długo mogę być bez męża, — odparła dziewica i rozmyślała w milczeniu.

Tymczasem wasy jeżyły się nad ustami Gastolda z niecierpliwości, a Świdrygało przechadzał się pomiędzy sługami domu, jak gdyby pan; kiedy zaś Helena zabierała się do mówienia, mignął okiem i palcem wskazał ku przepaści, i rozśmiał się, lecz odwróciwszy się od rycerza, a zatem Helena rzekła do Gastolda:

— Rycerzu, że prośby ostatniej nie odmówisz mi, spodziewać się należy. Siądź na konia, rozpędź go i w biegu zbiegłszy z tej góry, nie zatrzymawszy się przed żadną rozpadliną, ni głazem, jednym rzutem przejdź rzekę u dołu po kładce, która leży nad nią. Niechże ci Pan Bóg dopomoże, a potem będę twoją żoną.

— Gastold nic nie odpowiedział, ale skoczy na siodło i pogłaskał konia po grzywie.

— Jedźmy, koniu, na ostatnią przeprawę.

Krok za krokiem dojechał aż do brzegu przepaści i zatrzymał się tutaj. Ręce wzniosłszy do Nieba, modlił się, potem kopię ułożył w toku jakby na wroga, i dawszy ostrogi, okrążył dwa razy cały dziedziniec w oczach kochanki. Za trzecią razą rzucił się z góry.

Pobiegli wszyscy, by patrzeć na rycerza, a Świdrygajło i Helena trzymali się za ręce, bo sądźli, że zginie. Po schyłku góry leciał Gastold, ujawszy silnie wędzidła, z kamienia na kamień skakał, dwa razy przewrócił się z koniem i przeraźliwie chrzęśla mu zbroja, dwa razy powstał i leciał w pośród tumanu kurzawy. Im dalej, tem kurzawa się wzmaczała w koło niego, znikł połysk pancerza i hełmu, w niej znikł sam rycerz zupełnie. Tylko słup pyłu coraz niżej zalatuje i zleciał aż w sam dół otchłani, i już kręcąc się wirysem, ulatuje nad kładką, upadł po połowie jej w rzekę, a sam rycerz pozostał na koniu i drugiego brzegu dotyka. Skrzywił się Świdrygajło, spojrziała luba nań Helena i odbiegł z nią aż do ganku i tam jej szeptał do ucha; i szeptał, aż okrążywszy górę, Gastold znów na dziedziniec wjechał.

— Tyś moja, tyś moja, — i już chce zarzucić ciężkie ramiona na Helenę wracający rycerz.

W oczy mu się rozśmiała dziewica.

— Ach! Gastoldzie, trzeba mi męża, żeby mnie pilnował i bronił, lecz nie takiego, który na lada rozkaz naraża życie. Żegnaj mi, rycerzu, ja nigdy nie będę twoją. I pyszna z urody, spoglądając dumnie na niego, ręką wskazała wrota.

Krzyknął Gastold, ściskając dłonie z gniewu; a oczy mu pały i z żądz miłosnej i z oburzenia.

— Nie, ja twoją nie będę, żegnaj mi, rycerzu, godny jesteś Laszki, one lubią takich urodziwych i barczystych. — Jęknął rycerz, aż mu zbroja na piersiach odpowiedziała i skoczył z wściekłością niedźwiedzia ku Helenie. Świdrygajłę obalił, dziewicę ujął ramieniem, drugą ręką dobywszy sztyletu, twarz jej białą końcem ostrza skaleczył od ucha do ucha.

— Przepadnij twa gładkość, kobieto, noś znak po mnie i pamiątkę dla kochanka, ile cię razy będzie całował. Po tych słowach zapamiętały w szale uciekł od Citowian.

III.

Na pograniczu Litwy z Prusami stał kopiec usypany, a wokoło kopca wierzby. Tuż przytem lasek brzozowy i rzeczułka od niego płynie. Z tyłu bory, z przodu równina, a tam i owdzie dzwonnica nad wsią lub miastem w oddali. Z brzozowego lasku wypadł cwałem człowiek w zbroi i pędził bez uwagi, aż koń jego przeląkł się kopca i stanął jak wryty. Za nim jechał giermek i wołał głośno ile mu w piersiach stało: panie przezacny, pędzisz od dwóch dni bez odpoczynku przez jary, wzgórze i lasy, otóż jest litewska granica, Krzyżaki, Niemcy z tamtej strony. — Przez Perkuna, przez Huberta, łeb wilczy wyje na kołku. Hej! czy słyszysz? Hej! czy widzisz? krew kroplami się sączy na twarzy, dalej koniu mój, przeskocz zaporę i dalej. Ale i ostroga nie pomogła, i rozkaz nic nie znaczył, koń nie usłuchał: czy się boi, czy że mu żal litewskich łąk i paszy.

Zatem giermek dognał pana i uchwycił za strzemie: i w nogi całując, prosił, by wrócił nazad, aż też zbłąkanemu rycerzowi krew odbiegła od głowy i wolniej myśleć zaczął.

— Panie kochany, twój siwy nie chce dalej jechać, posłuchaj go, bo koń przywiązany dobrze życzy panu swemu: karmisz go najlepszem ziarnem, on też wdzięczny ostrzega cię, że przeczuwa biedę.

— Giermku! ciebie nogi i serce wstecz niosą, bo masz dom i rodzica w Kiszolках. Ściśnij ostatni raz mi popręg i bądź zdrów na wieki!

Milczy giermek, gdyż grzech sprzeczać się z rycerzem: i rzęd poprawił u konia, a tymczasem Gastold wyszedł na kopiec i wokoło patrzy na pola.

— Dobrzem zrobił, że zamiast pięknej, syn Rymwida brzydką poślubi; ale żal mi miękkiej skóry, która tak łatwo rozdarła się pod moim sztyletem. O! kobieto, niewiernico! trudziłem się niemal dwa lata dla ciebie,

a tyś knuła mą zgubę, a że się nie udało, odrzuciłaś. I marzyłaś sobie, że tak łatwo odpędzisz rycerza, jak motyla, lecz teraz markotno mi i słabo. Czy też mogłoby być, żebym ją kochał jeszcze. Uciekajmy w świat, bym prędzej położył koniec temu życiu.

— Litwo! żegnam cię! i twoje bory i zwierza w nich. Smutno Żmudź porzucać, Panie Boże, dopomóż mnie i szabli mojej, a uczyni, by ją Świdrygajło męczył na to, by często wspomniała z żalem o Gastoldzie, a teraz dalej w niemiecki świat.

Przez chwilę jeszcze spoglądał na ojczyste błonia, a potem zestąpił z kopca i spytał giermka, czy gotowy koń?

— Jużci, jakieś rozkazał, panie mój.

A więc jednym skokiem rzucił się na siodło i kopię wziął z rąk sługi.

— Ostatni rozkaz wypełnisz, Dowrylko, pójdź na wesele Heleny, Dowmunta dziedziczki, i powiedz jej...

Tu się zatrzymał i nie wiedząc, jak zakończyć, to spuszczał, to podnosił przyłbicę, i głaskał ręką rude włosy i poprawiał pas i nie mówił nic.

Wtem jedną razą ściągnął wodze i dał ostrogi i zawołał: Bądź zdrów i karm wiernie mojego brytana. — Minał kopiec, goni po pruskiej równinie, aż go wzgórze zakryje a giermek stoi i patrzy jeszcze za nim.

Dwadzieścia lat po tym dniu szparko ubiegło — i w Litwie ani wieści o Gastoldzie.

IV.

W Citowianach stoi kaplica na górze, gdzie dom zamożnej Heleny stał niegdyś. Choina wre u stóp skały, jak od wieków, lecz już kładka, po której przejeżdżał rycerz, zgniła i w środku przerwała się; dwa jej końce sterczą dotąd, wbite w brzeg z każdej strony.

Wiosną lekkie powietrze, i lżej grzesznikom zrzucać ciężar z serca. U obrazu przeczystej Matki Chry-

stusa klęczy niewiasta w żałobnych szatach sama jedna, bije się w pierś i płacze.

Kaplica ciemna, lampa pali się przed ołtarzem, ołtarz z drzewa, na którym wyrobione rzeźby, a drzwiami wpada wiele rannego światła, bo pogoda na dworze.

— Nie przejadę tego miejsca, bym nie złożył hołdu Najświętszej Dziewicy! — rzekł rycerz, który tamtędy jechał, uwiązał konia u żelaznego haka i stanął przede drzwiami.

Zdziwiony zdał się, i spoglądał na wsze strony; znać, że sobie coś z trudnością przypomina, lub że czegoś zrozumieć nie może; niewielkiego był wzrostu, ciężko okuty w zbroi i średniego wieku.

Lecz nie z litewskiej ziemi, choć patrzy na Litwiną, bo pancerz miał po włosku nabijany, pióra niemieckim wzorem zatknięte u hełmu, i sztylet niemieckiego kształtu i łańcuch bogaty, obcej roboty; włosy rude, gdzieniegdzie zsiwiałe, wymykają mu się z pod przyłbicy, a na lewą nogę trochę kuleje. Zresztą był rzeźwy i znać, że podola biedom i trudom.

Ujrawszy kobietę, zachował się w poszanowaniu i zarazem ciekawie spoziera na nią, a ona w pierś się bije i szlocha:

„Matko Boga“, woła przecinającym głosem, „wielkie moje grzechy, Matko Panno, wielkie moje grzechy. Kochał mnie rycerz głośny w całej Litwie i jam go kochała. Lecz lubiłam przez próżność narażać go na niebezpieczeństwa, on we wszystkim mi był powolny, czy to Niemca wbić w ziemię, czy niedźwiedzia obalić, czy Tatara jeńcem stawić przedemną, i zawsze czegoś więcej żądałam. Matko Boska! wielkie moje grzechy; Matko Panno, wielkie moje grzechy.

„Lekkiego byłam serca i pychę nadełam się z mojej urody, bo też w Żmudzi całej gładszej nade mnie nie było dziewoi, i zdarzyło się, że w moje progi uczęszczał młodzieniec o śnieżnem licu, a byłam bez ojca i matki! I dałam się uwieść wymowie tego mło-

dzieńca, niewiarą odpłaciłam mojemu rycerzowi, i ostatni raz, kiedym go widziała, namówiona przez zdrajcę, chciałam zgubić kochanka u dołu tej przepaści.

„Matko Boska, Matko Panno, ciężkie moje grzechy! on też odjechał, ukarawszy mnie na mojej urodzie, a tamtemu dałam się poślubić, i bił mnie nieszczęśliwą i męczył czarami, dopóki nie umarł.

„Ledwie że jedną koszulę na mnie zostawił, a złote moje zausznicę i bursztynowe kanaki pozdzierał.

„Matko Boska, Matko Panno, wycierpiałam dużo, bo też ciężkie moje grzechy.

„Wystawiłam Ci tu kaplicę w miejscu domu mojego i codzień powtarzam przed tobą me winy. Oh! przebaczenie dla mnie uzyskaj od Syna.

„Matko Boska, Matko Panno, daj mi ujrzeć jeszcze mojego rycerza przed śmiercią. Już lat dziesięć upływa, jak się męczę przed Tobą i przed krzyżem Syna Twego.“

A rycerz słucha i drży cały, jakby litewską mowę zrozumiał i znał dawniej tę niewiastę. Kiedy skończyła, zabrzmiął ostrogą o podłogę kaplicy i wszedłszy, kląkł przed ołtarzem, całując ziemię. A grzesznica wstaje pomieszana i stoi u drzwi i patrzy na rycerza.

Rycerz też głośną modlitwą wzywał Nieba i to po litewsku:

„Matko Boska, Matko Panno, ciężkie moje grzechy: bom kochał przed laty dziewicę i szalem bezbożnym uniosłem się do niej, tak żem twarz jej śliczną skaleczył żelazem, odtąd też przez lat wiele nie szło mi po myśli i wiele krwi ze mnie upłynęło na obcej ziemi.

„Lecz teraz Matko Boska, Matko Panno, połóż koniec moim biedom. Wszakżem twoje święte imię głosił pomiędzy pogany, Maurów po Andaluzyi równinach ścigał, i na wieże darł się Grenady.

„Krzyżakom, którzy bluźnili tobie, miecz mój utkwiał w gardle i dwadzieścia lat biłem się jako rycerz, wołając wśród bitew: cześć Przenajświętszej Dzie-

wicy. Matko Boska, Matko Panno, dozwól mi ujrzeć tę, którąm ukochał za lat młodych, bo kocham ją dotąd jeszcze, równie jak wtenczas, kiedym jej posłał łeb z dzika i łeb z wilka.“

I to powiedziawszy powstał rycerz i obrócił się ku niewieście, ona niepewna stoi i piersiami dysze, zwolna podnosi zasłonę i ukazuje rysy białe, blizna ciągnie się po licu z stron obu, jako nić z ciemnego jedwabiu.

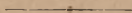
Rycerz oddarł przyłbicę od szyszaka i wyciągnął ręce. — Tyś Heleno moja.

— Tyś Gastold mój — i dawną kochankę przycisnął do łona.

Wesele w Citowianach! wesele! niemłoda już małżonka, niemłody mąż, a jednak miłość wiek i trudy ma za nic, przed ołtarzem ślubują sobie wierność i Wajdeloty pieśni składają; a gdy przy promieniach zachodzącego słońca wracają z kościoła do domu, patrzy na niego Helena, jak się nie zgarbił pod trudami, patrzy na nią Gastold, że hoża jeszcze, choć po smutkach tyłu.

Niedługo potem urodził się im syn do miecza, a w rok później córka do kądzieli.

ZAMEK WILCZKI.



ZAMEK WILCZKI.

Wskróś okien różnobarwnych powoju roślin,
Wdzierając się na głuche ściany i sklepienia,
Zajmuje dzieło ludzi w imię przyrodzenia,
I pisze Baltazara głoskami: „Ruina.“

Mickiewicz.

W dawnej ziemi Halickiej, tak płodnej w piękne położenia, jest wieś Złotnika, gniazdo rodziny Złotnickich. Niedaleko od niej, na drugim brzegu Strypy przy Złotnikach płynącej, wznosi się zamek Wilczki, niegdyś obronny, a teraz rozpadły w gruzy, świadczące jeszcze o potędze i dostatkach jego dawnych właścicieli. Otaczają go do koła na nizinie wybudowane chaty wsi Sokolema zwanej, i z daleka patrzącemu wydaje się, jak gdyby Złotniki jedną z nią składały całość. Rzadka trafia się w tej nadobnej krainie tak zachwycające ujrzenie położenie, choć ona jest nieprzerwanym ciągiem pięknych widoków i obrazów, strojnych w hojne dary przyrodzenia.

Przy blasku zachodzącego słońca, po letnim upale, najlepiej wydaje się okolica, w której leżą Złotniki i Sokolema. Wzgórza okryte murawą i krzakami wabiają oko, wszędzie coś nowego napotykać. Strumyki z pod ich stóp wytryskujące, szemrząc po dolinie, czołgają się powoli aż do Strypy, która, płynąc wśród jednej i drugiej wsi, odbija w swoich wodach i chaty Złotnika na pół rozpadłe wieże Wilczków. — Drzewa owocowe zielenią się po ogrodach włościańskich, oddzielonych od siebie żywymi płotami

z wierzby, do których mieszają się ziela polne i kwiaty krasnej barwy. — Rozłożyste lipy i cieniste buki rosną po brzegach Strypy, gdzieśniedzie błędzącem przeci-nanej czołnem. Skały i góry mieszają się zdala z lasami różnej farby.

Od wzgórza, na którem stoja rozwaliny zamku, ciągnie się starożytna ulica wysadzona lipami, dochodząca aż do niedalekiego lasu. Obok widać ostatki pięknego niegdyś ogrodu. Leżą tu i owdzie gruzы obmurowanego parkanu. Zarosłe ścieżki nie migają się już mialkim piaskiem. Chwast i oset zalegają miejsce, gdzie nieraz lekka piękności noga przesuwala się obok stopy zbrojnej w ciężkie żelazo.

Gaje od słowika opuszczone, służą puhaczom za schronienie, a pajęczyna obwija sklepienia z róż, najpiękniejszemi niegdyś jaśniejące farbami. — Staw wysechl na środku ogrodu a miejsce jego oznacza tylko rosnąca trzcina i gęsty szuwar. Zapuszczone szpalery rozrosły się szeroko. Mnóstwo dzikich ziół i krzewów zapełniło zostawione między gajami przerwy i ogród Wilczkowski codzień podobniejszym się staje do otaczających go lasów. Jedną tylko ulicę do zamku wiodącą można jeszcze od pobocznej rozróżnić murawy, bo dosyć często ciekawi gruzów Wilczkowskich po niej się przechadzają. Sam zamek stoi na wzgórzu dosyć wyniesionem, a wieże jego, sądząc po szczątkach, dochodziły kiedyś znacznej wysokości. — Był to budynek w szeroki czworogran ułożony i kilkoma obwarowany wałami, po których dzisiaj wiją się pokrzywy i rosną głogi. Architektura jego nigdy nie była zupełnie gotycką, zbywało jej albowiem na wysmukłości i lekkości, znamionującej dawne budowy południowych krajów. — Ozdoby Maurów hiszpańskich lub seniorów średnich wieków nie wabiły tu oka, ale za to grube mury mogły się długo nieprzyjaciołom opierać. Strzelnice w nich wyrobione przepuszczały pociski broniących się odważnie. Wieże

z basztami zdawały się ciężyc górze swoim ogromem, okna podługowate zajmowały całą długość ścian okrytych perskimi kobiercami lub skórami dzikich zwierząt i zbrojami wojowników. — Sklepienia zaginały się nad głową mieszkańców i znać jeszcze na nich haki żelazne, na których wisiały lampy oświetlające ciemne sale, gdzie nieraz brzmiała zbrojna stopa panów Wilczkowskich.

Teraźniejszy właściciel obrócił część zamku na mieszkanie rządzcy dóbr swoich, dach słomiany pokrywa część gmachu. Druga zaś strona, otwarta na burze i deszcze, codzień bardziej się rozpada i wali. Kamienie leżące na dziedzińcu nabrały czarnej barwy. Znać na niektórych z nich wyrżnięte róże nad hełmami, herb domu Wilczków.

Wchodzi się do części opuszczonej zamku ogromną sklepioną bramą, na której widać jeszcze posągi świętych, które dotąd uszły zniszczeniu burz i czasu. Długi kurytarz prowadzi w obszerne komnaty, na których ścianach pozostały jeszcze poszarpane szczątki obić, które każdy wiatru powiew w poruszenie wprawia. Na posadzkach już pogniłych leżą ramy dawnych obrazów, a ich pozłota w czerwoną zamieniła się barwę.

Zwiedzając tę starożytną dzielnej rodziny siedzibę, czułem cały wpływ, jaki pozostałe szczątki uszłych wieków wywierają na żyjącego w teraźniejszych. Przechodziłem w milczeniu pokoje i galerie często przerywane usunięciem się muru lub nawalonemi gruzami. Zwodziłem wszystkie zakątki i przejścia. Nareszcie doszedłem do małej komnaty, sklepieniem jeszcze nieprzerwanem obronionej od deszczu i zawiei.

Zdziwił mnie niezmiernie ogromny obraz wiszący na ścianie, bo jeszcze żywych jego farb czas zatrzeć nie zdołał, pilnie mu się przypatrywałem. Pędzel, który go skreślił, nie miał zapewne deli-

katności dzisiejszym utworom właściwej, lecz uważałem, że umiał oddać z uderzającą prawdą uczucia, odbijające się na twarzy osób obraz składających. Wystawiał on biesiadę, lecz w chwili, w której toasty i brzęk puharów przerwało jakieś nadzwyczajne zdarzenie. Na pierwszym miejscu siedziała niewiasta młoda jeszcze ze smutkiem głębokim i w weselnych szatach. Obok niej stał mężczyzna czarniawego lica i okropne wejrzenia ścisnął na pielgrzymu, który, wyciągając ręce ku młodzieńcowi z drugiej strony stołu siedzącemu, zdawał się omdlewać i opadać na siłach. Sztuka malarza najbardziej wysiliła się w oddaniu rysów tej ostatniej osoby. Surowość i duma panowały na jej wzniosłym czole; w oczach przyćmionych wyrażała się czułość. Blade lica, gdzieniegdzie sinością pokryte, zgon blizki oznaczały, a kiedy się bliżej przypatrywałem, ujrzałem kilka kropel krwi, spadających ze zbrojnych piersi nieco odsłoniionych w tem miejscu. Zresztą szata pielgrzyma pokrywała konającego, nad którego głowę wyczytałem gockimi literami napisane imię: „Starosta.“ W głębi obrazu stało wiele innych osób bogato ubranych, a na twarzach ich malował się przestrah i przerażenie; dało mi to wiele do myślenia. Tego samego wieczora zaspokoili moją ciekawość rządzca mieszkający po drugiej stronie zamku, opowiadając zdarzenie tkwiące w żywej pamięci mieszkańców Sokolema. Tę powieść, jakem słyszał, teraz nawzajem opowiem tym, którym nie brakuje na cierpliwości wysłuchania jej aż do końca.

STAROSTA HENRYK WILCZEK.

I.

Oczy jej, z nieśmiałością wznosząc się od ziemi,
Oczy zalane łzami, spotkały się z mojemu.

Starożytna rodzina Wilczków, herbu Poraj, w niejednej potrzebie zasłużyła się Rzeczypospolitej rycerskimi czynami. Henryk Wilczek, o którym mamy tu mówić, był synem Marcina, sędziego ziemi Halickiej. Od młodych lat ku usłudze ojczyzny sposobiąc się, w niejednej walce odniósł zwycięstwo, w niejednej bitwie dzielnie się odznaczył. Wysłany od ojca za granicę, zwiedził dwory Hiszpanii i Francji. Był we Włoszech i w Niemczech, a wszędzie utrzymując godnie sławę polskiego imienia, w wielu gonitwach i turniejach pierwsze odniósł wieńce i zdobył nagrody. Za powrotem do kraju zastał już trumnę rodzica w grobie ojców złożoną obok dawno zmarłej matki. Zatem objął zamek przodków i znaczne dobra, lecz przyszło mu często je opuszczać dla wojen prowadzonych przez cały ciąg panowania Zygmunta III. Służąc pod Żółkiewskim, przyłożył się do wielu wygranych. Moskwy zdobycie nie obyło się bez jego szabli; z Turkami po wielokroć się potykał, aż nareszcie krótka chwila pokoju dozwoliła mu wrócić do ojców mieszkania. Liczył wtenczas Starosta Henryk Wilczek lat trzydzieści, a pięknoscią rysów i ułożeniem przechodził wielu młodszych od siebie. Siła w tyłu trudach nabyta po całym rozlała się ciele. Wzrost wysoki, połączony z powagą, znamionował go wszędzie, odwaga mało równych licząca odbijała się w sokołom czarnych oczu spojrzeniu, a znamię surowości połączonej z godnością dodawało powabu do męskiej urody; uprzejmy dla innych, nikogo nigdy obelgą nie dotknął, lecz ten, który go obraził, darmoby szukał przebaczenia winy; krwią musiał ją przyplacić,

a mściwy oręż Henryka umiał sobie zawsze utorować drogę do serca nieprzyjaciela ojczyzny lub osobistego wroga. Namiętności Wilczka wybuchały z żywością, kiedy iskra pożar wiecznie tlejący w sercu zapaliła. Zresztą najgrzeczniejszym i najhojniejszym był z ludzi. — Niemale nazbierał wiadomości podczas swoich podróży, a w rozmowie umiał łączyć i godzić lekki dowcip południa z surowszą powagą północy.

Takim był Henryk Wilczek, kiedy poznał Jadwigę, córkę Jana ze Złotnik, obok jego zamku za Strypą mieszkającego. Nie napróżno spojrzenia starosty spotkały jej błękitne oczy i wkrótce potem siedemnastoletnia dziewczyna weszła w progi Wilczkowskiego zamku. Stary Złotnicki niezmiernie się uradował z tego połączenia, do czego i dary, któremi obsypał go starosta, wielce się przyłożyły. Nie był on jednak chciwym ani skąpym, ale lubił wszystkie próżniackiego życia wygody i, postanowiwszy sobie spocząć po trudach, postanowił zarazem niczego sobie nie odmawiać. Żył więc z kielichem w ręku, przy wesółych biesiadach, w gronie hucznych przyjaciół. W pięknym drewnianym domu w Złotnikach pędził dni pośród zabaw i wygod, na których wymyślanie tracił czas pozostający mu od stołu i szklanki. Pomimo tego Złotnicki dziarskim był kiedyś rycerzem, a serce jego było szlachetnych uczuć siedliskiem. Jadwiga przejęła je rodzinnym spadkiem, i one to połączone z rzadką urodą zwabiły ku niej serce Henryka.

Używając pierwszych chwil szczęścia po ślubie, stracił Wilczek na czas jakiś pamięć o wszystkim innem. Oczy Jadwigi były jego uczuć, kroków i całego życia skazówką; lecz właśnie, kiedy jeszcze oko niemowlęcia dobrze ojca rozeznac nie mogło, trąba wojny odbiła się o Wilczkowskie wieże i ich pan musiał, uściskawszy żonę, pobiedz na boje z Turkami. Rzucił się na rumaka Wilczek i starał się zagłuszyć boleść szczęką oręża. Pod Chocimem wtenczas walczyli

Polacy, a Chodkiewicz jeszcze z łoża śmierci zwycięstwami kierował.

We łzach tonąca Jadwiga odebrała dwa listy od męża wkrótce po jego odjeździe, lecz potem i tej już nie miała pociechy. Daremnie wypytywała się ciągle o niego, nikt podczas wrzącej wojny nie mógł jej dać o nim wiadomości. Błagała Boga o jego ocalenie, ale coraz cięższy smutek zalegał jej serce. Nareszcie skończyła się wojna, ale Starosty nie ujrano wracającego w podwoje naddziadów; uszedł miesiąc a jeszcze nie przybył. Wtenczas rozpacz już ogarnęła duszę Jadwigi, i nientulona w żalach, przebiega zamkowe komnaty we łzach i westchnieniach, choć jej ojciec pijąc małmazyę powtarzał:

— Nic mu nie będzie — wróci zdrów jak ryba. —

— A może jego kości bieleją na polach chocimskich — a może już jego prochy wiatry rozwiała — i nowemi jękami napełniała powietrze. Jedyłą jej pociechą był syn małoletni; starała się w dziecinnych rysach upatrywać podobieństwo do męża, a kiedy jej wyobraźnia zbliżyła rysy męskie Henryka z miękkimi i mdłymi jeszcze małego Zbigniewa, czuła na chwilę radość podobną do błyskawicy, oświecającej niknącym blaskiem drogę błędzącego wśród pustyni wędrowca. Rok mijał a zamek Wilczkowski był jeszcze bez pana. Wojownicy, którzy ocalili w bojach z poganami, mówili, że aż do ostatniej bitwy widzieli Wilczka siejącego postrach wśród tureckich szeregów; lecz później stracili go z oczu i nikt nie mógł wiedzieć, gdzie się podział. Promyk nadziei, rzadko nieszczęśliwych opuszczający, przebijał się jeszcze czasem wśród trosk Jadwigi, jak przemijające światło zimowego poranka.

Zajęła się wychowaniem syna troskliwa matka i z pociechą dla niej wzrastał mały Zbigniew. Zamek Wilczkowski, dawniej wesela i przepychu siedziba, stracił całą okazałość. Rzadko goście zawitali do

niego, bo mało jest ludzi lubiących koić troski lub lzy nieszczęścia podzielać.

Młody Wiesław z Podhorynia, dawny Starosta przyjaciel, jeden tylko Jadwigę odwiedzał; wspominać z nim lubiła o milszych, dawno utraconych już chwilach, a czasem ucieszył ją Wiesław nadziejami powrotu męża, nadziejami, którym sam nie ufał, i w rzeczy samej zdawało się, że los tajemniczy i okropny rozciągnął wieczną zasłonę nad przeznaczeniem Henryka. Żadnej wieści o nim powziąć nie można było, i niepewność coraz bardziej zbliżała się do okropnej pewności.

Pan Złotnik rzadko widywał córkę, choć tak blisko od niej mieszkał. Nie lubiła Jadwiga z sercem rozpaczą rozdartem odwiedzać mieszkanie wesołości, a biesiady, codziennie u starego Jana powtarzane, nieprzystojnem nawet były miejscem dla młodej kobiety.

Piątego roku po zniknięciu Wilczka zjawił się nowy gość w Złotnikach, który z początku jako gość, a potem jako stały mieszkaniec i towarzysz ojca Jadwigi w nich osiadł. Był to rycerz niemiecki Halbert von Glennaberg, który, jak sam powiadał, przymuszony uciec z wojska Cesarskiego po zabiciu w pojedynku swego pułkownika, schronił się do Polski. Niemcy wówczas wojną trzydziestoletnią pustoszone, wydały z swego łona mnóstwo ludzi nieznających ani czci, ani wiary, pędzących życie najemnicze wśród morderstw i rabunków, przechodzących na tę lub ową stronę podług upodobania lub nadziei większego zysku. Z ich liczby był Halbert von Glennaberg, łączący do dziwnej bezczelności nieustraszoną odwagę, która tem go niebezpieczniejszym czyniła, że jej zawsze w podłych celach używał za obronę swoich przestępstw i niegodziwości.

Powierzchowny jego charakter zgadzał się zupełnie ze sposobem życia Jana Złotnickiego. Halbert

nigdy kielicha tokaju nie odmówił i umiał mnóstwo pieśni wojskowych. Celował we wszystkim, co tylko Jana zabawić zdołało; stąd wynikło, że wkrótce po ich zapoznaniu osiadł Niemiec w domu szanownego przyjaciela i dniem i nocą z nim wychylał konwie węgrzyna i małmazyi. — Ojciec Jadwigi, uradowany z nowego sprzymierzenia, zapomniał zupełnie o córce. Glennaberg pozyskał całą jego ufność i przywiązanie, a żona Wilczka za nadto pogardzała rycerzem niemieckim, by kiedy miała przejść zamieszkane od niego progi. Jedynym węzłem łączącym jeszcze oba domy, był Bartold Wojnat, wojski lwowski, który czasem odwiedzał Wilczki, a często upijał się w Złotnikach; oddawna on patrzył na Jadwigę, jak lis czyhający na zdobycz. Dobra Wilczkowskie przypadły mu do smaku, lecz Jadwiga nienawidziła skąpca, gotowego na wszystkie przestępstwa dla osiągnięcia podłego zysku. Z tej więc strony upadły nadzieje Wojnata, lecz w Złotnikach jeszcze starał się o zwycięstwo. Łatwo było je otrzymać, byleby się zastósować do zwyczajów ich pana. Ścisłą przyjaźnią powiązał się Bartold z Glennabergiem, przyjaźnią utrzymywaną wprawdzie częstemi darami, które przyjmował rycerz, jakoby płacę monarchy, któremu służyć się zobowiązał. Śmierć Wilczka dla wszystkich pewna, niepewną jeszcze była dla serca Jadwigi. Pierwszą tę trudność zniósł Glennaberg, przebrawszy kilku najemnych ludzi za żołnierzy, i kazawszy im przysiądź w obec Jadwigi, że widzieli leżącego Starostę wśród trupów chocimskich. Druga większej była wagi, ale Niemiec przysiągł Wojskiemu, że potrafi pokonać nieprzyjaciela, byleby starczyło mu amunicyi i rynsztunków wojennych.

Nowy wór pełny złota, złożył Wojnat w komnacie Glennaberga, który obiecał, że zaraz nazajutrz rozpocznie oblężenie. Właśnie wtenczas dochodził 15-ty rok od zniknięcia Starosty Henryka Wilczka.

II.

Starych ojców wola zawsze ztrąszną
dla córek bywała.

Walter-Scott.

— Dobry dzień, mein Herr, mój Patronie, — rzekł Halbert von Glennaberg, wchodząc zrana do pokoju Jana ze Złotnik, leżącego jeszcze w łóżku z kilkoma pułharami w około siebie.

— Chwała Bogu, że przybywasz, mój Panie Halbercie, bo przedziwny węgrzyn, a ja lubię używać wygód i przyjemności w towarzystwie przyjaciół.

— Muszę go upoić, — pomyślał szlachetny rycerz, i zasiadł przy stoliku.

— Pokosztujesz także wina, którego dostałem wczoraj przypadkiem u kupca przejeżdżającego.

— Na Boga i St. Stanisława, nie znam lepszego i dzielniejszego rycerza nad Halberta z Glennaberg, — krzyknął stary pan Złotnik, i wyskoczywszy z łóżka, uściśnął towarzysza.

— A ja hojniejszego i lepiej żyjącego od Jana ze Złotnik, — odparł Halbert — a więc, Rudolfe, przynieś te dwie konwie stojące przy oknie w moim pokoju. Kiedy już przyprawne wino rycerza zaczęło wywierać dobroczynne wpływy na głowę Jana, tak się odezwał Halbert, który dotąd jeden dopiero pułhar wychylił.

— Saperment — nie przeniosę na siebie, bym miał zataić tak dobremu przyjacielowi wieści szarpiących jego sławę i roznoszących hańbę jego córki, dziedziczki chwały jego naddziadów.

— Kto śmie to mówić, — krzyknął starzec obudzony z długiego uspienia — kto Jadwigi sławę szarpie — per Deum omnipotentem, jeszcze mu potrafię zrzucić głowę z karku.

— Valga me dios — zapalasz się, mein Herr, jak proch żołnierzy Mansfelda — uspokój się — ja wezmę na siebie pomścić się.

— Dziękuję, per immaculatam Conceptionem — nie potrzebuję Niemców, krzyknął stary Polak, dla zmycia obelgi mej sławie zadanej, w krwi zadawającego.

— Widzę, że za mocne wino, — z zimną krwią rzekł rycerz. — Te słowa zwolniły natychmiast zapal Jana, bo mając miłość własną, że najmocniejszy trunek głowy mu zawrócić nie potrafi, starał się unikać dowodów przeciwnych temu ulubionemu twierdzeniu.

— Słucham więc, panie Glenda — Glensa — panie Glennaberg — słucham — cóż dalej — jak się zowie ten, który to mówił?

— Zowie się, szanowny patronie, zowie się *całym światem*. Tak wszyscy szepcą sobie do ucha, że za często Wiesław z Podhorodynia, dawny Wilczka przyjaciel, bywa u Starościny, córki twojej.

— Bodaj piekło pochłonęło i tego, który bywa i tych, którzy o tem mówią. Mogę zaręczyć, że Jadwiga...

— I jabym to samo pod utratą życia i sławy zaręczył, lecz trzeba światu usta zamknąć, a z każdym się rąbać niepodobna — inaczej zum Teufel, wkrótce bym im pokazał, że niebezpieczno oczerniać córkę przyjaciela Halberta von Glennaberg.

— Podaj mi więc jaką radę, panie Halbercie, ale pierwszej wypij ten roztruchan — vinum laetificat cor hominis.

— Prawdę mówisz, mein Herr — valga me dios — zdrowie twojej córki, a śmierć jej nieprzyjaciółom — a teraz trzeba ją wydać za drugiego męża.

— Jak — co — za mąż — oszalałeś — ona tak Wilczka żałuje — ja jej przymuszać nie mogę.

— A więc, — zawołał Halbert, udając najwyższe uniesienie, — patrz na hańbę swego domu, spijając spokojnie kielichy wina. — Pozwól całej ziemi Halickiej, by niegodnymi żartami spotwarzała twoją siwiznę. — Rodzina Złotnickich, żadną dawniej nie skalana plamą,

doczekała się dnia swojego upadku. Upór ostatniego jej potomka, a nierozważne jednej kobiety postępowanie położy koniec sławie szlchetnego domu, — Janie ze Złotnik, tarcza twoja już skażona — białe włosy szanbione — imię potwarzą okryte. — Ratuń się, ratuj i słuchaj rad moich, boś już nad brzegiem przepaści.

— Per Sanctum Stanislaum i przez szablę moją nie ścierpię tego, panie Halbercie, by dalej o tem mowy prowadzono. Zresztą rób, co chcesz — niech idzie za mąż — ale za kogo?

— Za Bartolda Wojnata, wojskiego lwowskiego — on już od dawna pragnie tego związku.

— Przystaję na wszystko, jeśli od tego zależy sława mojego rodu.

Jeszcze się ich rozmowa długo ciągnęła i Halbert tak umiał przekonać starca o potrzebie zameżcia Jadwigi i o przymiotach Bartolda, że przysięgł Jan, iż córka odda mu rękę. — Posłał jednak naprzód Halberta, by doniósł Staroście o konieczności jej ślubu z Wojnatem, bojąc się zapewne, by go lzy córki nie zmięczyły, kiedy szło o przywrócenie chwały starożytnego domu Złotnickich.

Nie ulękła się piękna Jadwiga długiego rapiera i pistoletów, bez których nigdy nie wychodził z domu dawny żołnierz trzydziestoletniej wojny. Nawet szesnastoletni Zbigniew, ubóstwiający pamięć ojca, chciał go na pojedynek wyzwać, ale wstrzymany prośbą matki przestał na wyrzutach i zakazie, którym bronił Halbertowi wejścia do domu matki. Zadługo byłoby tu opowiadać wszystkie usiłowania Wojnata i rycerza niemieckiego. — Nareszcie stary Złotnicki przekonany, że idzie o sławę własnego imienia, wdał się w tę sprawę. Lzy córki nie miały nań wpływu, a po jednej z swoich biesiad zagroził jej przekleństwem ojcowskiem. Już nie mogła się opierać Jadwiga. Zbigniew sam padł na kolana i prosił, by nie zważając na jego dobro, uwolniła się od ciężkich strapień. — Dzień 20

września wyznaczony został na ślub nieszczęśliwej ofiary. W nim miała oddać nienawidzonemu rękę starościna Wilczek. — Halbert dostał nowe dary od Wojnata i pyszne przygotowania zaczęto czynić do wesela, po którym niedługo już żyć miała Jadwiga.

III.

Zemsta jest rozkoszą bogów.

Stare przysłowie.

Zrana w dniu przeznaczonym na wesele Wojnata wyjechał na łowy Wiesław z Podhorodynia. — Nie mogąc się oprzeć nieszczęściu Jadwigi, jeden jej tylko z pomiędzy wszystkich prawdziwie życzliwy, nie chciał być przytomnym jej połączeniu z niecierpianym człowiekiem.

Domyślał on się po części o podstępach Halberta, lecz nie mogąc mu ich dowieść, stracił nadzieję oparcia się zamachom Jadwidze grożącym. — Pędząc konia w szeroką knieję, zagrzewał psy i towarzyszków swoich. — Ale wkrótce, wpadłszy w zamyślenie, oddzielił się od ich orszaku. — Odgłos trąbek i szczekanie ogarów długo jeszcze dochodziły do jego uszu, potem słabnąć zaczęły i nareszcie skonały. — Błądził Wiesław po lesie, myśląc to o dawnym przyjacielu, to o jego małżonce. — Dopiero nad wieczorem pojrzał na około siebie — a niebo i drzewa tylko zobaczył. — Spiąwszy konia na los szczęścia się puścił. — W kilka chwil dojechał do karczmy wśród lasu stojącej i poznał, że, wyjechawszy zrana z Podhorodynia, oddalił się o siedm mil od domu, gdyż karczma, przed którą zsiadł, była tylko o pół mili od Złotnik.

Znużony wszedł do gościnnej izby i zastał gospodarza rozmawiającego z osobą, której twarz natychmiast go uderzyła. — Był to człowiek do 45-ciu lat liczący, którego ani trudy, ani rany, których blizny

nosił na czole, osłabić nie zdołały. — Włosy dawniej kruczego koloru zbielewały — w oczach panował jeszcze ogień lat młodych. — Postawa oznaczała na pierwszy rzut oka dzielnego wojownika, choć go szata pielgrzyma obwijała. — Ręka, w której trzymał kij pustelniczy, zdawała się być zwyczajniejszą do żelaza niż do lekkiej laski — a głowa, na której spoczywał kapelusz czarny z obszernymi brzegami, nieraz pod ciężkim hełmem musiała się nieprzyjacielskim nadstawiać orężom. — Jakiś rodzaj obrażonej dumy i tajonego gniewu dodawał wielkości twarzy, zdobnej w bohater-skie rysy.

Wiesław stał u drzwi pokoju, jak gdyby przykuty nieznaną siłą, podczas kiedy nieznajomy rozmawiał z gospodarzem — a kiedy ten ostatni wyrzekł słowa:

— Kupili odemnie beczkę wina na wesele. — Dziś właśnie Pani Starościna za mąż idzie — rzucił się pielgrzym ze złości tajoną wściekłością i zabrząkło coś pod szeroką jego szatą, jak gdyby starło się żelazo z żelazem.

Nie zostało już wątpliwości w duszy Wiesława i skoczył ku przyjacielowi.

— Jedź zemną — ratuj Jadwigę.

— Wiesławie! — krzyknął pielgrzymi uściśnął zbłąkanego strzelca — czy to prawda, że moja... że Starościna idzie dziś za mąż.

— Prawda na Boga — ale koni — koni prędzej — gospodarzu, krzyknął Wiesław, rzucając dukaty na stół.

— Mój ustał pod tym domem i dla tego w nim się zatrzymałem — ostatnia mnie już odleciała nadzieja. — Czyżem kiedy mógł się spodziewać, że mi Jadwiga niewierną będzie!

— Siadajmy, przerwał Wiesław, a wszystko ci wytłumaczę — i już skoczyli na świeże rumaki i pę-

dzili drogą do Złotnik wiodącą. — Właśnie wtenczas zachodziło słońce.

— Godzina jej ślubu już blisko, — rzekł Wiesław, — ale może da Bóg, że przybędziem pierwiej — i opowiedział przyjacielowi podstępny Halberta i groźby Jana. — Mienił się na twarzy Starosta podczas słów Wiesława i nie mogąc już wstrzymać oburzenia, wyrwał z pod szaty turecką szablę i przysięgł, że ją w krwi zdrajcy zanurzy.

— Moje, — rzekł dalej, — nieszczęścia ciężkimi były — lecz umiałem je znosić, jako na człowieka i na rycerza przystoi. — Dostawszy się w niewolę, jęczałem w głębi Azyi lat dziesięć z okładem — później potrafiłem umknąć z więzienia i puszczony do Hierozolimy pod tym ubiorem zwiedziłem grób Zbawiciela — a nareszcie przez lat pięć tułając się po różnych pogańskich krajach, wróciłem do ojczyzny, gdzie zamiast upragnionej radości, zdradę całej mojej zemsty wymagającą na pierwszym napotykam miejscu. — Ale nie jestem Henryk Wilczek, jeśli Halbert von Glennaberg nie pożałuje swojej zbrodni. — O droga Jadwigo, może cię już innemu zaślubioną zastanę — mój syn już może teraz ma ojczyma.

Ostatnia ta myśl wzburzyła wszystkie namiętności nieszczęśliwego Starosty. — Dwie łzy spłynęły na długą jego brodę, a następnie zgrzytnął zębami — i koniowi rzuciwszy wędzidła na grzywę:

— Pospieszaj, koniu, — zawołał, — pospieszaj. — Ciesz się, bo lecisz na boje — bo po trupie tratować będziesz — bo w krwi swoje zanurzysz kopyta.

Nie ociągał się Wiesław i wkrótce po zachodzie słońca dostali się do Złotnik. — Strypę wpływ przepłynęli i jak tylko drugiego dotknęli się brzegu, znów się puścili pędem błyskawicy ulicą wysadzoną, do zamku wiodącą.

Nie zrównawszy się jeszcze z pierwszemi chatami Sokolema ujrzeli pędzącego jeźdźca od zamku. —

Zdała poznał Wiesław Halberta i ostrzegł o tem Starostę. — Z trudnością wstrzymał się na chwilę Henryk i bliżej rycerza przypuścił. — Wtenczas podniósł głos pan Podhorodynia i zapytał:

— Jakie nowiny?

— Valga me Dios — ciekawys, mein Herr — odparł Niemiec w szybkim biegu — już po ślubie. — Jadę o tem donieść panu Janowi, który nagle dziś zasiał i w domu został. — Dokończając hucznie się rozśmiał.

Wiesław zastąpił mu drogę i wskazując na towarzysza:

— Oto jest Starosta Henryk Wilczek, wracający z tureckiej niewoli, który żąda od ciebie chwilę rozmowy.

— Nie zatrzymuj mnie — krzyknął Halbert. — Saperment, ustąp — Valga me Dios — ustąp się — a więc giń — i wystrzelił z długiego pistoletu.

Ranioły koń Wiesława upadł i pana na ziemię powalił. — Skoczył Wilczek z namienną chęcią zemsty do Glennaberga. — Chybił go rycerz drugim wystrzałem a wtenczas dobył długiego rapieru i skrzyżował go z mieczem Polaka. — Uniesiony wściekłością Starosta nie zważał na zdradziecką broń Halberta, u rękojeści której osadzona była lufa pistoletu, zwyczajem używanym w Niemczech, pełnych wtenczas zaburzeń — i zaraz za pierwszym złożeniem się kula ugodziła w same piersi Henryka. — Szata się rozdarła, pancerz pękł a głęboko w ciało zaleciał morderczy ołów — lecz w tej samej chwili kiedy Glennaberg cieszył się już zwycięstwem, szabla dzielnego Wilczka spadając z góry, głowę mu na dwoje przecięła. — Upadł rycerz, a starosta tratował po jego ciele i kopyta konia w krwi jego nurzał. — Wiesław powstawszy z ziemi przypadł do przyjaciela i poznał z trwogą, że jego rana niebezpieczną była.

— To nic nie znaczy — rzekł spokojnie Wilczek. — Jużem dokonał, co mi pozostawało dokonać na tym

świecie. — Czuję, że jeszcze życia mi na kilka godzin wystarczy. — Zatamuj krew i opatrz ranę. — Ostatnią wolą wymagam od ciebie, Wiesławie z Podhorodynia, byś mnie przy wejściu do zamku nie wydał. — Kiedy zbliży się godzina śmierci, sam się odkryję.

IV.

Nieba! to był głos jego! To on, wielki Boże.

Izora. —

Jadwiga wyrzekła już słowa wiążące ją na całe życie z obmierzłym człowiekiem i mąż, podawszy jej rękę, zawiódł ją do biesiadniczej sali. — Milczenie grobowe zastąpiło zwykle przy takich uroczystościach okrzyki a młody Zbigniew nienawistnym patrzył wzrokiem na niecierpianego ojczyma. — Sługi obnosili potrawy, ale prawie nikt nie jadł. — Smutek nieszczęśliwej ofiary, poświęconej Bartoldowi, udzielał się wszystkim. — Dopiero po kilku daniach krążące kielichy wzbudzały pewien rodzaj wesołości. — Nowy pan Wilczkowskiego zamku, rzucając chciwe wejrzenia na otwarte przed sobą komnaty bogatemi kobiercami usłane, zachowywał milczenie ciągle odwrócony od Jadwigi, jak gdyby już nie dbał o żonę, kiedy posiadał jej bogactwa i majątki.

Wtem drzwi otworzyły się powoli i wszedł Wiesław, prowadząc pielgrzymą za rękę. — Wojnat brwi zmarszczył i krzyknął z gniewem.

— Skąd ten zaszczyt mój zamek spotyka, że w jego progi wchodzi Wiesław z Podhorodynia?

— Przejeżdżając blisko wałów Wilczkowskich, znalazłem biednego pielgrzymą umierającego z głodu i pragnienia; ośmieliłem się go przyprowadzić, słysząc szcęk puharów i widząc przez okno zastawione stoły, bo znałem gościnność i czułe serce Jadwigi Wilczek.

— Zapominasz — przerwał Bartold, — że innem już od dzisiaj szczyti się imieniem.

— Nigdy chlubniejszem szczyścić się nie będzie, — odparł Wiesław. — I nieproszony zasiadł do biesiady. — Pielgrzym padł na krzesło w końcu stołu i, nasunawszy kaptur na twarz ożywioną ostatnim życia i namiętności rumieńcem, w milczeniu wychylił puchar wina.

Wtem sproszeni goście wnieśli zdrowie pana młodego. — Kiedy kielich doszedł do ponurego pielgrzyma, uchwycił go w drżące ręce i silnie zawołał:

— Zdrowie Starosty Wilczka, pana tego zamku. — Uśmiech anielski zajaśniał na chwilę na ustach Jadwigi i na znak wdzięczności skłoniła głowę ku stronie, gdzie siedział pielgrzym. — Łza zaświeciła w jej oczach, a ta łza ukoїła na chwilę bóle rozdzierające piersi Starosty.

Bartold spojrzał wściekle na Henryka i chrapliwym głosem zawołał:

— Kto Wilczka śmie panem w mojej przytomności nazywać? Kto umarłych wskrzesza i w jakim zamyśle?

— Aby go Bóg wrócił stroskanej żonie i dziecięciu; przerwał Zbigniew, poglądając dumnie na Bartolda i gardząc całym jego gniewem.

Wyrazy te obudziły silne uczucia miłości rodzielskiej w duszy umierającego ojca w oczach niepoznaających go najdroższych istot. — Ostatnimi siłami wsparł rękę o stół dębowy i powstał. — Opadła zeń szata pielgrzyma. — Zbroja i szabla przy boku zajaśniały.

— Bóg ci go wraca, synu, krzyknął.

Ale dalszy głos boleści mu przerwały. — Krew wytrysnęła z rany. — Pożegnał jednym spojrzeniem Jadwigę, drugim syna, a trzecie wlepił w twarz Bartolda, który zadrżał, jak gdyby miecz zemsty wisiał nad jego głową. — Rękę jeszcze, konając, wyciągnął do Wiesława i upadł. — Lecz na twarzy umarłego malowała się nienawiść, ostatnie uczucie, którem oddychał.

Taki był koniec znakomitego męża. — Żona, pogrążona w rozpacz, młode lata w klasztorze zamknęła i wkrótce murawa zazieleniła się na jej mogile. — Bartold Wojnat uciekł do Warszawy przed Wiesławem, który chciał w jego krwi szukać zemsty, wskazanej mu ostatniem drogiego przyjaciela wejrzeniem. — Zbigniew wzrósł wśród trosk i smutnych wspomnień, lecz późniejsze jego lata obsypały Nieba błogosławieństwem i chwałą.

MŚCIWY KARZEŁ
I
MASŁAW KSIĄŻĘ MAZOWIECKI.
POWIEŚĆ NARODOWA.

MŚCIWY KARZEŁ

I

MASŁAW KSIĄŻĘ MAZOWIECKI.

I.

— Otwórz!...

— Daremnie dobijasza się do bram naszych — odparł żołnierz stojący z łukiem i kopią na straży, przy murach Gozdawskiego zamku, młodemu rycerzowi, który, całkowitą zbroją okryty, stał na wałach, zamek okrążających.

Promienie jesienno słońca odbijały się w ja-skrawym blasku od hełmu osłaniającego głowę rycerza. Stalowa przyłbica nie kryła pięknej twarzy smutkiem zawcześnie ocienionej, a oczy całym ogniem młodości iskrzące się rzucały spojrzenia, któreby wyobraźnia poety mogła przyrównać do promieni, przez połysk słońca pancerzowi wydartych. Usłyszawszy słowa strażnika, zmarszczył brwi młodzieniec i zaczerwienił się na licach. Sięgnął nawet ręką po długi pałasz, lecz niepodobieństwo skarcenia żołnierza o kilkadziesiąt łokci nad nim wyżej stojącego, wstrzymało zapal i gniewnym tylko zapytał się głosem:

— I czemużto nie wolno wchodzić w podwoje Joanny z Gozdawy?

— Bo się spodziewamy przybycia potężnego Masława — odrzekł żołnierz — i te bramy dla niego tylko dzisiaj się otworzą!

— Bogdajby przepadł Masław i w proch rozleciały się te mury — krzyknął młodzieniec, powolnym

odchodząc krokiem — i już siadł na konia, do drzewa w pobliżu przywiązanego, kiedy z za krzaków ukazał się człowiek dziwnej i odrażającej postaci. — Na pierwszy rzut oka można było rozpoznać w nim karła; twarz poorana zmarszczkami nie zgadzała się z dzieciennym wzrostem; nos spłaszczony nachylał się nad szerokimi jego ustami, dzikim uśmiechem ożywionymi, a oczy wyrodka ludzkości wyrażały nیکczemność, czarnym tylko duszom właściwą. Znać było, że go gniew jakiś dojmował, bo żyły na nizkiem ciągnące się czole wzduły się niezwykajnie a lica nabrzmiały. Ubiór dziwniejszym był jeszcze od postaci: miał na sobie lisie futro, czarnym aksamitem w czerwone paski powleczone; przy boku błyskał sztylet, który porównywując z wzrostem karła, za dość wielką szablę wzięćby można było. Nad głową wznosiła się żółta czapka, dzwonekami srebrnymi opatrzona, które donosiły wcześniej o jego przybyciu brzmieniem podobnem do dźwięku grzechotnika, w dzikich Afryki pustyniach zamieszkałego. Zjawienie się karła wstrzymało kroki rycerza i powitał go natychmiast, bo się oddawna już znali.

— Otóż znalazłem mściciela — krzyknął mały człowiek, ale zaraz przybrawszy poważną postawę, zapytał cichszym głosem: A cóż tu porabiasz, Jordanie z Bordan?

— Nie mam ci odpowiedzi, mój Gondo, na to zapytanie — rzekł rycerz. — Wiesz przecież, że w tych murach mieszka luba sercu mojemu Zbysława z Czernic.

— Ho! ho! ho! luba sercu twojemu nie wiem, gdzie dziś nocować już będzie, mój waleczny rycerzu!

— Co mówisz? przekłeta poczwaro! — zawołał Jordan, ściskając silną prawicą gardło Gondy; — ale wnet uczuł zatapiające się w ramionach ostre karła paznogcie i zdziwiony nadzwyczajną mocą tak małej istoty, puścił go natychmiast.

— Bądźmy raczej przyjaciółmi — rzekł Gonda — wczoraj możebym cię zabił tym sztyletem, dziś posłuszysz do moich celów.

— Do twoich celów -- przerwał Jordan ze wzgardą — za kogóżto mnie bierzesz? jestem wolnym Polakiem i rycerzem tarczy nieskalanej, niczym celom służyć nie będę, a cóż dopiero twoim, nikczemniku!

— A jednak tak się stanie, jakem powiedział, — założmy się o ten złoty łańcuch, wiszący na twoich piersiach.

— Najchętniej — odparł rycerz z uśmiechem — ale jeżeli przegrasz, porwę cię z ziemi i cisnę na Gozdawskie mury.

— Bardzo dobrze — rzekł karzeł — bardzo dobrze, jestem pewny wygranej. Zbysława dzisiaj zginie, jeżeli nie dopełnisz woli mojej.

Rycerz natychmiast zdjął złoty łańcuch z szyi i rzucił go pod nogi karła, a potem porywając za rękę miecza, groźnym zapytał głosem, coby jego słowa znaczyły i coby zamyslał wykonać.

— Skoro się zmoczy — odparł karzeł, — oczekuj mnie na tem wzgórzu pod sosną, a wtenczas wszystko ci wytłómaczę. Teraz poprzestań na tej wiadomości, żem przysiągł zemstę przeciw pani mojej Joannie z Gozdawy, i że zginąć musi. Ach! na to wspomnienie krew się we mnie burzy, ona dziś mi wyrzec ośmieliła się, że wyrodek ludzkości, że mnie podobna potwora niepotrzebna na jej dworze. Gdy świat mię cały opuścił, ziemia brzydziła się Gondą, znalazłem schronienie zakupione występkami i zbrodnią, dali mi dach do okrycia głowy i łoże do wypoczynienia za to, żem nie odmówił mojej pomocy niegodziwościom, żem się nie bał obarczyć sumienia, dogadując jej namiętnościom, a teraz mię z domu swego wyгнаła. O Joanno z Gozdawy! szerokie masz dobra, liczne włości, wielkie dostatki i bogactwa w skarbcach i skrzyniach, i niemalą potęgę w ręku;

mury otaczają twój zamek, zbrojni go strzegą żołnierze, a przecież musisz zginąć, bo ani dostatki, ani żołnierze, ani te mury nie potrafią cię zakryć przed zemstą Gondy, tego karła, tej poczwary, tego wyrodka ludzkości. Wyzwałaś mię do walki, będziesz ją miała, Gonda dotrzyma ci placu!..

To mówiąc, jak błyskawica znikł między drzewami i tylko głos jego dał się słyszeć: Rycerzu, pamiętaj na moje wezwanie! — Przerażony Jordan chciał go ścigać, wtem nowy zatrzymał go widok.

Na drodze ku zamkowi wiodącej, ukazał się orszak zbrojnych rycerzy, na których czele jechał mąż poważnej postaci, ale surowego lica. Stalowy szyszak błyszczał na jego głowie, a nad nim migająca się złota książęca korona; płaszcz purpurowy, białem futrem w czarne cętki podszyty, spływał około pancerza i siodła; a ciężki, obosieczny pałasz aż do stóp dochodził. Rzucając obojętne spojrzenie na okolicę i towarzyszków swoich, jechał powoli; ale łatwo w tych spojrzeniach można było rozpoznać okrucieństwa, które odznaczały Masława, niegdyś podczaszego na królewskim dworze, a teraz księcia płockiego i srogięgo łupieżcy ucieczką Ryxy zaburzonej Polski. Zuchwałość, połączona z chęcią panowania, strasznym go czyniła nawet odległym sąsiadom i może nie było wówczas w całym Mazowszu człowieka, któryby się poważył wszechwładnej woli jego oprzeć.

— Handzo z Budyszyna! — rzekł Masław do jednego z towarzyszków przy nim postępujących — wiesz, że już mię Joanna nudzić zaczyna. Przez pioruny i piekło, czas by się pozbyć tej rozmiłowanej wdowy. I cóżto ona tak powabnego w Masławie znajduje, czyż oczy krwią zaszłe, czyż długa broda i wąs gęsty, czyż serce dalekie od zniewieściałej czułości może być przedmiotem miłosnych zapalów. A przecież od śmierci męża swojego, Mirosława z Gozdawy, cała mną zajmować się zdaje. Ha! uśmiechasz się,

Handzo, przyszło ci na myśl, jakem go wówczas zręcznie sprzątnął ze świata, i te słowa już ciszej do ucha powiernika wymówił. Jednak to dziwna kobieta, pokochała mię jak szalona, ale słuchaj, mój Handzo, Zbysława z Czernic na dworze Joanny przebywająca, córka owego starego szlacheica, nierównie jest od niej piękniejszą.

— O zapewne, ksiązę i panie mój, Zbysława jest najpiękniejszą z dziewic całego Mazowsza.

— Przestań! — rzekł Masław — wjeżdżamy do zamku, musimy tu dni kilka zabawić, potem skarby złupimy a panią... a panią... Ha! znajdzie się pomysł, kiedy znagli konieczność.

— Hej panowie, zdwoić krok i popuścić koniom wodze!.. I wleciał rozpędzonym biegiem na wzgórza Gozdawskie. Cisnęli się za nim wojownicy, skórami dzikich zwierząt odziani, błyszczały ich zbroje, migaly się kopie, a nad każdym powiewała czerwona chorągiew, okrywając krwistemi zwojami najdzikszych może w całej Polsce wojowników.

Długo Jordan poglądał za nimi i dopiero wtenczas, gdy wjechali na podwórze zamkowe, w przeciwną oddalił się stronę.

II.

Słońce już zaszło, a czerwone chmury zapowiadały straszną burzę, ciemność zalegała obszary i żadnej gwiazdy nie mógłby dostrzedz wzrok nawet sokoli; ale natomiast okna zamkowe rześistym jaśniały ogniem, bo Joanna z Gozdawy miłego przyjmowała gościa. Tymczasem pod sosną, na małym wzgórzu, oczekiwał karzeł rycerza; jakoż przybył niedługo Jordan w lekką kolczugę i ciemną czapkę przybrany, z mieczem i sztyletem u boku.

— Zazwyczaj — rzekł karzeł, — oczy wierniejszemi są od uszu, bo to, co widzimy, więcej nas

uderza nad odgłosy i podszepty ludzkie. Chodź więc, a ukażę ci najokropniejsze widowisko; ale powiedz mi pierwej, czy zdołasz niebezpieczeństwu śmiało czoło postawić?

— Moje serce stalową, jak piersi, otoczone jest powłoką, kiedy godzina trwogi dla innych uderzy; a kiedy idzie o śmiałość, poszedłbym za szatanem i do ciemnic piekła.

— Jeżeli może być obraz piekła na ziemi, to go dziś ujrzysz, chodź a milcz, patrz a milcz, uderzaj a milcz, a kiedy ci powiem, otwórz usta, to mów i mów z całą odwagą, którą się teraz tak chlubisz.

I szli razem przez wały, przez podziemne przejścia i ciemne kurytarze, przez wąskie schody i długie komnaty: a wszędy panowała cichość, tylko odgłos ich stąpań od sklepień i murów się odbijał. Karzeł szedł przodem w milczeniu i otwierał drzwi wielkim kluczem u pasa zawieszonym, poglądając często na towarzysza z bezprzykładną stałością za nim postępującego. Nareszcie, kiedy przybyli do drzwi żelaznych, mocno na rygle zapartych, obrócił się Gonda i przybliżył pochodnię ku licom Jordana, jak gdyby z nich chciał uczucia duszy jego wyczytać.

— Jeszcze raz ci powtarzam — rzekł po niejakej chwili, — jeśli ci zbywa na odwadze i męstwie, jeśliś niepewny ręki i oręża, lekaj się próg ten przestąpić, i raczej powróćmy oba.

— Otwieraj te drzwi! — zawołał rycerz nieco przytłumionym głosem — otwieraj! nie słabiej trzymaj się męstwo mojej duszy, jak ta klinga rękojeści. To mówiąc, dobył miecza i potężnie uderzył w żelazny rygiel, który natychmiast upadł z łoskotem na ziemię. Karzeł zakręcił klucz w zamku, skrzypnęły zawiasy, rozwarły się podwoje i weszli do komnaty napelnionej trupami; jedne z nich leżały na ziemi, inne stały przy murach, niektóre już przegniłe, niektóre wyschłe i skościałe, a inne jeszcze świeże były. Wszystkie zaś

młodych dziewic; każdej z nich głęboka rana rozdzierała piersi. Ten straszliwy widok zatrwożył zrazu Jordana, lecz wnet odzyskał przytomność i, nagle odwracając się do karła: czego chcesz ode mnie? — zawołał — czyś tu mnie na śmierć przyprowadził?

— Ciszej, ciszej! — odparł karzeł — niepotrzebnie gniewem się unosisz, budzisz te trupy; są to nieszczęśliwe ofiary Joanny z Gozdawy; ale czas już położyć koniec okrucieństwom; dziś Joanna z rąk twoich śmierć zasłużoną odebrać powinna. Dowiedz się!.. że za kilka chwil, za godzinę może... Zbysława grób tu znajdzie dla siebie.

— Coś wyrzekł — krzyknął Jordan — przebóg! byćże to może?... lećmy... spieszmy na pomoc i pociągnął silnie za sobą karła.

— Wstrzymaj się, niebaczny! jeszcze dość czasu, wstrzymaj się! powtarzam, pod utratą życia przysięgam, że ocalisz Zbysławę, tylko się wstrzymaj! jeśli pragniesz jej życia, nie czas jeszcze spieszyć z pomocą; zostań tu raczej i słuchaj mojej powieści, niedługo trwać będzie.

Wahał się jeszcze Jordan, dręczony niepewnością, co miał przedsięwziąć, ale nareszcie zaufał przysięgom karła i postanowił czekać sposobnej chwili ocalenia Zbysławy.

I usiadł karzeł wśród trupów, a rycerz stał przed nim, zmuszony słuchać przewodnika, ale twarz jego i spojrzenie płonęły całym ogniem wewnętrznej niecierpliwości.

III.

Umarł Mirosław z Gozdawy — zaczął Gonda z szyderskim uśmiechem — a jego trumnę, okrytą napisami i ozdobami pychy światowej, wpuszczono do grobu naddziadów. Została po nim młoda Joanna, można i bogata pani, ale okrutne jej serce raczej

pod żelaznym pancerzem niżli pod rąbkiem niewieściego stroju bić by powinno. Świat nie miał zuchwalszej kobiety, czyny jej mnie samego często zadziwiały, nieraz nawet uwielbiać ją musiałem. Wzgardzony, lubiłem mścić się na rodzie ludzkim, to też wkrótce ofiary Joanny stały się mojami. Ale zbliża się już czas i dla niej, chwil kilka, a wzgarda Gondy pomszczoną zostanie.

Wdzięki pani tego zamku mało równych zapewne liczą na świecie, a przecież nie zdobyły one przed laty Joanny; nie zbywało jej zaprawdę na kształtności rysów i wspaniałości postawy, ale płeć twarzy nadzwyczaj śniada niweczyła całą piękność. Lubiała potężna pani zgromadzać do domu swojego młode dziewice. W gronie tych znajdowała się Elżbieta, osierocona córka po wsławionym orężem Czechrynie z Hadzian. Czarowne jej wdzięki wielbiła cała okolica; zazdrosem na to spoglądała okiem Joanna i przyszła jej myśl piekielna sprzątnąć ze świata Elżbietę. Ja wezwany byłem do spełnienia tych zamiarów. Ułożono daleką podróż, Elżbieta towarzyszyła swej pani. Na pierwszym noclegu związano dziewicę i sama Joanna męczyła ją różnemi sposobami. Wtem kropla krwi padła na jej twarz śniadą. Joanna, zbliżywszy się do srebrnego zwierciadła, obmywać ją zaczęła i zaraz potem postrzegłem dziwny rodzaj radości i zadowolenia w jej okrutnem spojrzeniu. Skinięła na mnie ręką, a zbliżywszy się, z niemałym zadumieniem ujrzałem, że miejsce, skąd krew otarła, bieliło się jak śnieg na górach. Joanna spojrzała na mój sztylet, lecz nim jeszcze słowo wyrzec mogła, już Elżbieta a nóg moich bez duszy leżała. Na ten widok całe wnętrze moje zadrżało, przecież wkrótce trwoga ustąpiła dzikiej radości. Przed chwilą z pogardą poglądała Elżbieta na obrzydłego karła, teraz martwa jej postać u nóg moich leżała. O! ty zapewne nie pojmujesz mojego uniesienia, ty nie jesteś

karłem, ciebie świat nie odepchnął, ciebie przyrodzenie z łona swojego nie odtrąciło. Skorom cios śmiertelny zadał Elżbiecie, Joanna rzuciła się na ciało dziewczyny i w ciepłej krwi twarz swoją myła. Trzeba było widzieć jej radość, gdy zbliżywszy się do zwierciadła, nadzwyczajną białość pści ujrziała, ścisnęła mię za rękę i odtąd złoto i łaski sypały się na karła.

Niedługo potem, Joanna namiętnie pokochała Masława, księcia na Mazowszu, a wtenczas często już trzeba było powtarzać zbrodnicze kąpiele. Ginęły dziewice jedna po drugiej, a dzisiaj Zbysława ma poledz!..

Na te słowa zadrżał młodzieniec, a karzeł porywając go za rękę: Teraz czas i godzina zemsty — rzekł złośliwym głosem; — wprowadzę cię, kiedy już twoją kochankę będą chcieli zamordować, szablą ją twoją uwolni; lecz przysięgnij mi wprzód, że natychmiast zaprowadzisz ją do sali biesiadniczej i rzecz całą Masławowi opowiesz. Wysłucha cię ochoczo, bo już oddawna pragnie zguby Joanny, aby jej państwem zawładnął.

— Przysięgam! — rzekł rycerz stłumionym głosem — bo zimno śmiertelne po żyłach się jego rozlało i siły osłabły. Otoczony śmiercią, zagrożony zgubą najdroższej sercu swemu istoty, musiał słuchać zbrodniarza i wolę jego wypełniać. Czuł całą okropność swojego położenia, ale pamięć Zbysławy przemagała wszystko i dobywszy miecza, poszedł za karłem.

— Wiem dobrze — rzekł ostatni, — że śmierć Joanny będzie zagubą i mojego życia, że z nią razem odbiorę zasłużoną karę, ale i ta myśl, straszliwa innym, mnie radością dojmuję, już mi świat obrzydł i życie obmierzło, nie potrafią sroższych wymyślić męczarni.

Wtem nagle zatrzymawszy się Gonda przy ścianie żadnego wejścia niemającej: — Teraz działajmy! — zawołał — i pchnął gwóźdź silnie, odsko-

czyły małe drzwiczki, schody się ukazały a Gonda wbiegając na nie:

— Wybijaj pierwsze drzwi, które napotkasz — rzekł do Jordana.

Już drzwi wybił Jordan i kilka trupów leżało u stóp jego, na ramieniu zemdlona opierała się Zbislawa. Ocalił ją w chwili, kiedy już miała upaść pod ciosem zbrodniczego sztyletu.

— A teraz, przysięga! — rzekł karzeł.

— Wypełnię ją! — odparł z wściekłością Jordan — i porwawszy kochankę, biegł przez długi ciąg komnat, aż nakoniec wszedł do sali, gdzie huczna odbywała się biesiada.

IV.

Książę Masław, otoczony rycerstwem, siedział obok Joanny z Gozdawy, a dokoła na niższych krzesłach siedziały panie i dziewice jej dworu, uśmiechając się z przymileniem do wojowników, biesiadając i ich oczami zajętych. Przepych naczyń i sprzętów, blask lamp i pochodni czarujący dawały obraz, i Joanna na łonie wesołego towarzystwa i najdzikszego w owych czasach księżęcia o swoich zapomniała zbrodniach. Na widok Zbislawy i Jordana poblady jej lica, a oczy wściekłością się zaiskrzyły. Wydała krzyk straszliwy, wtém młody rycerz, wiodąc za rękę dziewczę, postąpił do Masława, i oddawszy mu pokłon prosił o wysłuchanie i sprawiedliwość.

— Przez pioruny i piekło — odparł Masław — zwykliśmy ją wymierzać różnemi sposobami. Sztylet, trucizna, szubienica, więzienie i kajdany w naszej są mocy, i cóż ci z tego do smaku przypada?..

Poznał rycerz zimną obojętność księżęcia i natychmiast śmiałą przybrawszy postawę: Masławie — rzekł donośnym głosem — słuchaj a sam wyrok naznaczysz, — i opowiedział wszystko, nie zważając na

krzyk i mdłości Joanny. Masław mu też nie przerywał, cieszył się owszem w duchu, że wydarzyła się sposobność złupienia zamku Gozdawskiego.

— A teraz ogłoś wyrok! — zawołał Jordan.

— Przez szatana i koniec świata, wymierzę ci sprawiedliwość, ale nie wprzód, aż mi odstąpisz swoją dziewicę.

To mówiąc, powstał z miejsca Masław, i zbliżywszy się do przerażonej Zbislawy, zarzucił na jej szyję stałą okryte ramiona; lecz go natychmiast odepchnęła silna ręka Jordana i szlachetny kochanek, dobywszy tylekroć już doświadczonego oręża, wznosił go nad głowę księcia.

— Czy sądzisz, że do mojej sprawiedliwości należy pojedynek o dziewicę, między ksiązęciem i prostym rycerzem, między panującym i poddanym — zawołał Masław z hucznym i szyderczym śmiechem. — O! nie!... Lecz ci pokażę, że umiem sądzić i wymierzać sprawiedliwość. Odstępujesz mi tę dziewczynę?...

— Pierwej sępy paść się twojem cielskiem będą — krzyknął rycerz — pierwej się ziemia rozstąpi i ten gmach zapadnie!...

— Że gmach się zapadnie, to nieźleś zgadł, mój junaku! — odparł z zimną krwią Masław — lecz o sępach i ziemi źle ci się udało. Pomyśl jeszcze przez chwilę, może co lepszego powiesz!...

— Szabla ci moja za mnie odpowie — krzyknął przywiedziony do ostateczności Jordan — i uderzył silnie w pancerz księcia, lecz cięcie poszło płazem i Masław niewzruszony pozostał na miejscu.

— Uwięzić go! — zawołał do swoich — mieć na baczności tego zuchwalca, żeby się nie wymknął!

Na te słowa rzucili się na Jordana rycerze i odebrawszy oręż, otoczyli go dokoła.

— A ty, piękna dziewczyno — zapytał Masław — chceszli być moją? teraz jestem w niedostatku kochanki, bo ta — dodał, wskazując na Joannę, — za-

nadto krew lubi i kto wie, czyby kiedy nie zażądała i mojej...

— Kto?... ja! ja mam być twoją! — wołała przerywanym głosem Zbysława — nie!... nie!... ja pogardzam tobą! ja brzydzę się tobą!... precz!... precz odemnie.

— A więc dobrze! nikogo przymuszać nie lubię. Rycerze! żołnierze! nasz to jest zamek, rabunek i łupież dozwolona, pamiętać przecież, że mi jedna część należy jako wodzowi, druga jako księciu, trzecia jako waszemu panu i dobroczyńcy, a czwarta... czwartą wam daruję!

W mgnieniu oka zdarto kosztowne obicia i osłony okrywające komnaty; pozabierano drogie kobierce, naczynia, statki, pieniądze, klejnoty i wszystko, co było w Gozdawskich murach.

— Teraz — rzekł Masław — przywiązać przed przysionkiem do owych kamiennych słupów wszechwładną panią Gozdawy, tego rycerza, tę dziewicę, ha! i tego karła także, bo któżby usługiwał Joannie w podróży, w którą ją wysyłamy. Hej dzieci! żwawiej do łuczywa i pochodni! niech wszystko ogień ogarnie! tylkoż prędzej, prędzej! nie tak opieszale, bo i czwartą część zabiorę!...

— A teraz, Handzo z Budyszyna, i wy panowie — rzekł, obracając się do przybocznych wojowników — na konie! i za mną! Staniemy zdaleka, albo też lepiej zblizka, bobyśmy ich krzyków nie słyszeli.

Jordan nie utracił odwagi i szedł na śmierć z taką śmiałością, z jaką przed niedawnymi jeszcze czasy spotykał nieprzyjaciela. Bezbronny, otoczony siepaczami, prowadząc za rękę Zbysławę, zbliżał się do przeznaczonego sobie miejsca, kiedy książę siadał na konia, a uściskawszy czule kochankę: Masławie! — zawołał — przyjdzie czas i dla ciebie, i choć za późno, pożałujesz okrucieństw twoich!

Joanna i karzeł postępowali w milczeniu, ale na ich twarzach malowała się straszliwa bojaźń cierpień przyszłego żywota i godnych zbrodni swojej udręczeń.

Zawarto bramy zamku, podłożone ognie dokoła gmach ogarnęły, i płomień wzbił się do góry.

Lecz nim ofiary uległy swemu przeznaczeniu, jeszcze raz Jordan uściskał Zbysławę: Musimy umrzeć — dodając z wzruszeniem, nie bez stałości przecież, — ale duchy nasze złączą się w Niebie, a tam żadna przemoc ziemska rozdzielić nas nie potrafi! Żegnam cię, o luba! niedługo obaczymy się znowu! uściskała go nawzajem Zbysława, chciała także coś wyrzec, ale żołnierze rozstać się im kazali.

Gonda przywiązany do słupa z dzikością poglądał na Joannę z Gozdawy, a gdy już ogień przed-sionki obejmować zaczął: ha! ha! — zawołał piekielnym głosem — jak się świetnie pani moja w płomieniach wydaje. Na szatana! pleć jej od lilii bielsza! szkoda, że ją dym okopci!... krwi trochę! krwi trochę!... Te były ostatnie jego słowa. Już wszyscy stali się pastwą płomieni.

Gdy ta okropna scena w zamku się odbywała, Masław, Handza z Budyszyna i inni rycerze, stojąc u stóp wzgórza Gozdawskiego, przypatrywali się ogniewi. Aż nareszcie, gdy ogień przygasł: Przez pioruny i piekła — zawołał Masław, — czasby się przespać, jużesmy długo biesiadowali, a dobre miała wino Joanna... i to mówiąc, spał konia ostrogą i pojechał gościńcem ku wiosce prowadzącym — a za nim rycerze.

GRÓB RODZINY REICHSTALÓW.
POWIEŚĆ ORYGINALNA
Z DZIEJÓW WOJNY TRZYDZIESTOLETNIJ.

GRÓB RODZINY REICHSTALOW.

Jej twarz, jak róży blade zawoje
Skropione jutrzeńki łezką,
Jako mgła lekka, tak lekkie stroje,
Obwiałą postać niebieską.

A. Mickiewicz — Świtezianka.

Tydzień już był upłynął od bitwy wygranej pod Pragę 8-go listopada 1620 roku przez Maksymiliana księcia Bawarskiego nad Fryderykiem V., palatynem Renu. — Wojsko cesarskie zwycięskie i uradowane z nadziei odpocznienia po trudach wojennych rozgościło się po całych Czechach. — Rozmaite jego oddziały pod dowództwem Tillego ścigały broniących się jeszcze protestantów, inne zaś rabowały miasto, żadnego im niestawiające oporu. Niektóre pułki rozłożyły się po miasteczkach pobliskich Pragi; między tymi był pułk hr. Wallensteina, który stanął w Egrze. Najświetniej on swoją waleczność okazał w bitwie pod Pragę, a zachęcony przez młodego i męstwem pałającego dowódcę, najbardziej się do zwycięstwa przyłożył. Po wygranej dostał rozkaz zajęcia miasta Egry i tam w największej spokojności i porządku się zachował. Żeby dać poznać ówczesny stan rzeczy, przytoczymy tu rozmowę dwóch żołnierzy stojących przed domem, w którym mieszkał ich młody pułkownik hrabia Wallenstein.

— Do milion szatanów, Maksie — rzekł z nich jeden młody i żywy, — muszę lecieć teraz, kiedy już się ściemnia i deszcz padać zaczyna, do tego dyabła czyli uczonego, astrologa, czyli alchimisty, jak tu go

nazywają. Niech go czarny myśliwiec lub upiór porwie; nasz dowódzca upodobał go sobie, muszę lecieć.

— Nie masz czego tak narzekać — odparł drugi, nad którego ustami już się wąs siwy zakręcał; — ja muszę całą noc tu stać i znosić pod tym dziurawym płaszczem niepogody i słoty. Zniósłbym to jeszcze, wytrzymałbym i deszcze i śniegi, nie zważałbym na wodę lecącą z tych czarnych chmur, jakem i na kule nie zważał, gdyby pułkownik pozwolił nam, starym zwyczajem, porabować trochę. Ale od czasu, a już będzie tydzień, jak tu stoimy, ani zdobywszy, ani łupów nie widzę; nie ma nawet nadziei. Nie tak do pioruna zdarzało się dawniej. Pamiętam w wojnie z Turkami, pamiętam przeszłego roku kiedy służyłem pod Tillim, ah, to rozkosz była, to uciecha! Przybyliśmy do wsi lub miasta; prędko ognia, prędzej pochodni; zapaliliśmy, wywróciliśmy, zburzyliśmy, złupiliśmy i dalej na nieprzyjaciół. Tak bywało, a teraz pod tym Wallensteinem i bić się trzeba i nie można rabować. Prorokuję, nic z niego nie będzie; bo pierwsza cnota żołnierza jest nie przymrużać oczu, kiedy kula leci, a druga, dobrze rabować.

— Alboż to Wallenstein nigdy nie rabował? — rzekł młody — nie znasz go chyba; prawda, niedawno pod nim służysz, ale zaręczam ci, że przedtem większego nie było rabusia. Ale ten dyabeł, czy astrolog, ten czarownik zawrócił mu głowę gwiazdami i mnóstwem rzeczy, których nie rozumiem.

— Młodyś jeszcze, Walterze, nie znasz świata. Nie gwiazdy, choć dosyć w nie wierzy nasz pułkownik, tam go przyciągają, ale czarne oczy córki astrologa.

— Nie może być, to niepodobne do niego, taki dumny.

— Wierz, Walterze, słowom starca. Jeśli to miasto jeszcze nie spłonęło, dzięki powinniśmy złożyć jego mieszkańcy astrologowi lub raczej jego córce.

— Ale z czemże cię posyła pułkownik?

— Kazał powiedzieć, że dzisiaj, nawet niezadługo, przyjedzie odwiedzić astrologa.

— Czyli jego córkę? — dodał Maks z uśmiechem, pokazującym radość z docieczenia tajemnicy, — idź więc, spiesz się, bo Wallenstein nie lubi, kiedy nie spełniają żwawo jego rozkazów.

— Żegnam cię — rzekł młody żołnierz, i wśród lejącego deszczu wyleciał szybkim krokiem z dziedzińca. Szedł między dwoma rzędami wysokich domów, z których potoki wody spływały. Ale im mocniejszy był wicher, im gwałtowniejszy deszcz padał, z tem większą siłą opierał się Walter wzburzonym żywiołom i mężnie stawiał im czoło. W prędkim biegu rozmiękła ziemia, bo jeszcze wtenczas bruk nie zdobił miasta Egry, okrywała płaszczyznę i buty żołnierza, ale nie zważał na to i wśród błota pędził jak strzała do domu alchimisty. Przeszedł kilka ciasnych i krętych ulic i przybył do stóp wzgórka, na którym się wznosił dom niski, ale tak długi, że wziąć by go można z początku za obszerny pałac. Znikało jednak to złudzenie za zbliżeniem się do niego. Jedna część zupełnie była pusta, okna bez szyb a nieliczne kawałki szkła pod niemi leżące dowodziły, że już wiatr rozwiał inne na wszystkie strony. Belki niedobrze spojone uginały się pod wichrem, a deszcz rzęśisty dokonywał dzieła niedbałości i czasu. Druga jednak strona w lepszym była stanie, a nawet gdzieś tam postrzegano ozdoby. Ganek podpierały cztery kręcone kolumny na wzór świątyni Salomona, nad nim wznosiła się kula ziemską, miedzianemi zdobna kołami których płowy kolor już się był na ciemnozielony zamienił.

Wysoka wieża z cegieł rozmaicie pomalowanych dopełniła dziwaczного obrazu, który rozśmieszał Waltera, ile razy tamtędy przechodził. Wszedł więc do budynku środkowego i przez kilka kurytarzów do-

stał się do pokoju astrologa. Dwie lampy oświecały szeroką komnatę, ale ich światło z trudnością się przedzierało przez gęsty dym, który dopiero się zmniejszył, kiedy Walter drzwi otworzył. Ogromne szafy z półkami opierały się o ściany pokoju, na nich leżały szklanne banie i naczynia wszelkiego rodzaju, to z gliny, to z kruszcu wyrabiane. Nad szafami zaś wisiały, jakby trofea nauki, czaszki i kościotrupy zwierząt i ludzi obok różnokształtnych narzędzi. W głębi, pod zaginającym się sklepieniem, stały na wysokim kominie misy i miednice, piecyki i retorty, gdzieś gdzie porozrzucane żarzące się węgle, flaszki różnokolorowych płynów pełne, sztaby żelaza i miedzi. W środku obszernej komnaty był szeroki stół pokryty księgami rozmaitej wielkości. Na jego środku stały dwa globy ziemi. Na około nich przypatrzyć się można było rozłożonym cyrkłom, szkiełkom, medalom. Na obu końcach stołu dwie trupie głowy strzegły leżących na nim skarbów, a między nimi wznosił się mały szkielet z kości słoniowej, który trzymał srebrną lampę w oschłej prawicy. Bładowe jej promienie zlewały się na twarz starca siedzącego przy stole. Liczne zmarszczki na czole, śnieżne włosy i krótka biała broda, dowodziły wieku sędziwego. Wpatrując się w niego, znać jednak było żywość bystrego wzroku, zatopionego w tej chwili w księdze zamykającej dziwaczne obrazy i rozliczne systematy astronomów starożytnych. Ubiór jego składał się z szerokiej sukni podszytej połyskującym futrem, a mała aksamitna czapka okrywała mu głowę. W jednej ręce trzymał cyrkiel roztwarty, a drugą opierał się na długim teleskopie, który był daleki jeszcze od tegoczesnej doskonałości.

Blisko niego na krześle, dwoma sfinksami miedzianymi podpieranem, siedziała niewiasta wysokiej kibici i kształtnej postawy.

Zdawało się, że dopiero osiemnasta wiosna jej bladawe skronie uwieńcza, ogień młodości, ogień

do błyskawicy podobny, świecił w jej czarnych oczach, ukrytych pod długimi rzęsy, a smutek po nadobnych licach rozlany, bladość zamieniająca na lilie, róże kwitnące niegdyś na twarzy, wydawały uczucie zbolełego serca. — Jej włosy w wijących się splotach spadały naokoło szyi otoczonej pięknie wyszytą chustką. — Biała wstążka otaczała głowę. Lekka suknia w spływających fałdach zlewała się na ziemię, a niebieska przepaska ścisłała dziewczę. — Sprzączka złota, grzebień błyszczący się srebrem, dopełniały pięknego ubioru. — Trzymała w ręku małą książkę. — Jej piękne oczy szybko ją przebiegły, ale zadziwiłby się każdy, widząc, że dzieło czytane przez osiemnastoletnią dziewczę było rozprawą o śmierci, niedawno wydaną przez pewnego protestanta i dowodzącą, że nie jest zbrodnią zginąć z własnej ręki, żeby uniknąć hańby lub nieszczęścia. Za ukazaniem się Waltera podniósł się astrolog i znowu zagłębił się w myślach. — Dziewica opuściła na jego widok książkę, i jakby wryta czekała, aż żołnierz przemówi, tak jak obwiniony czeka na czytanie swego wyroku.

— Na wszystkich dyablów piekła, lub jeśli pani się bardziej podoba, na wszystkich aniołów Nieba — rzekł Walter, — słowo daję, że łatwiej się dostać do nieprzyjacielskiego zamku, niż do waszego domu. Słuchajże, mości, nie wiem szczerze, jak cię nazwać, mości astrologu czy alchimisto, czy też mości uczony, postaw kogo na warcie, żeby otwierał drzwi pukającym, ale dzisiejszej nocy nie potrzeba tego, bo bramy waszego pałacu wszystkie teraz stoją otworem.

— Jakto? — obudzając się jakby ze snu, krzyknął alchimista. — Jakto? co chcesz, cóż rozumiesz przez te słowa?

— Rozumiem to — odparł Walter, — że wybiłem drzwi tym mieczem, i uderzył z pewnym rodzajem dumy o rękojeść miecza.

— Ale niewielka szkoda, bo już były na pół zgniłe, a kiedy nowe sprawisz, wiatr nie tak łatwy będzie miał przystęp. — Zresztą hr. Wallenstein, nasz pułkownik, przysłał mnie z doniesieniem, że tu zaraz sam przybędzie.

Pułkownik Wallenstein — powtórzył alchimista, — dobrze, czekam na niego; otworem mu stoją te przybytki nauk, te skarby zebrane moją pracą, niezmordowanem przez czterdzieści lat staraniem. — Użyczę mu mojego światła, nauczę poznawać gwiazdy, słuch jego przyzwyczaję do harmonii sfer niebieskich, rozłożę przed jego oczyma promienie słońca, pokażę mu pierwiastki wszystkiego — nic mu nie utaję. — Wszystko, co wiem, jego będzie, wszystko, co mam, oddam jemu.

— Nie, nigdy to być nie może! — wyrzekła wtenczas głębokiego smutku głosem dziewczica. — Ojczy...

— Dobrze, dobrze, to są niedorzeczności, które, mam nadzieję że wyjdą ci z głowy, moja Minno.

Powstawszy, odchodziła dziewczica, kiedy ojciec kazał jej sięść przy sobie — a potem rzekł do Waltera: Powiedz pułkownikowi, że go czekam z radością w sercu.

II.

Nieszczęśliwy, kto próżno o wzajemność woła.

Adam Mickiewicz — Sonety.

— Kochane moje dziecko, ulubiona Minno, córko najdroższa — rzekł astrolog do dziewczicy po wyjściu Waltera, — już temu trzeci dzień upływa, jak księżę Lichtenstein, znając moją obszerną naukę, przysłał mi kamień, którego nazwiska nie wiedział, i prosił, bym doszedł przez moje wiadomości, z jakich części się składa i jakie jego imię. Włożywszy go w miedziane naczynie, zacząłem ogrzewać, ale ogień mały nie

pomógł, większy roznieciłem. — Ale kamień jeszcze się nie chciał rozkładać, wtenczas dobyłem ostatnich sił alchemii, nareszcie zwyciężyłem przyrodzenie. Podobnież, Minno, teraz nie chcesz ustąpić; gardzisz ręką Wallensteina, gardzisz jego ofiarą, ale kiedy lepiej go poznasz, zmiękczysz się. — Umie on także skrytymi miłości drogi ująć sobie serce, i równie jak ja z tym kamieniem, on coraz bardziej nalegając, prosząc, coraz bardziej odkrywając tobie swoje zalety, cnoty, bogactwa, zniewoli cie do ślubu. — A nakoniec pomyśl, Minno, że ta nadzieja jest całem mojem szczęściem.

Tu zamilkł alchimista i czekał odpowiedzi córki. Ale żadne słowo z jej wdzięcznych ust nie wyszło. Promień tylko lampy odbił się o łąkę w jej czarnem oku.

— Nic nie mówisz? — znów ozwał się astrolog — nic nie odpowiadasz? Nicze więc cię wzruszyć, nicze przekonać nie zdoła? A więc ostatniego już się chwycę sposobu. Słuchaj, córko, słuchaj. Gwiazdy, te narzędzia woli Boskiej, te oznaki jej gniewu lub dobroci, rozkazują ci oddać rękę hrabiemu Wallenstein. Ty i on pod jedną gwiazdą urodziliście się. — Wasz los jest nierozdzielny. Nie, rzekł ojciec, nie względy ziemskie przeznaczyły cię jemu od urodzenia, ale same niebiosy, ale Bóg wszechmogący. — To mówiąc, podał jej papier, na którym wyciągnął jej i Wallensteina horoskop. Wyobraził tam planetę wspólnego obu, i wiele innych porobił znaków mających przekonać dziewicę. Rzuciła mimo woli na papier smętne oko i położyła go po chwili na stół. Obraził się tem jej ojciec.

— Czy za nic nie masz — rzekł, — mojej nauki? czy sądzisz, że słaba wola dziecka może zmienić niebios wyroki i naruszyć postanowienie Boskie? Los nami rządzi i jemu podlegamy. Twoje łąy ani jęki go nie zmiękczą. Przynosi ci Wallenstein w darze sławne imię, mężną prawicę i chwałę w bitwach nabytą. Gwiazdy zgadzają się na wasze zameęcie a ty odmawiasz. Uważaj, córko, same gwiazdy...

— Tu jest najpierwsza gwiazda — przerwała Minna, wskazując na serce.

— A więc to serce nie chce Wallensteina?

— Nie chce, nie cierpi, nienawidzi, znieść nie może. Nigdy jego żoną nie będę.

— Smucisz mnie swoim uporem, kochana córko.

— Drogi ojcze! — odpowiedziała Minna, — życie bym dała dla ciebie. Ale za wielką jest ofiara pójść za Wallensteina. Znam tego człowieka, duma i zemsta panują w jego umyśle, a tymczasowa miłość prędko ustępuje tym dwom namiętnościom. — Nigdy z nim szczęśliwą nie będę.

— Będziesz, będziesz, Minno. Poznaj go lepiej! — Musisz być jego żoną.

Nie odpowiedziała już dziewczica, ale jej oczy mówiły, że wolałaby umrzeć, niż połączyć się z Wallensteinem.

Wtem wszedł do pokoju mąż wysokiego wzrostu. Kapelusz strusiemi ocieniony pióry okrywał mu głowę. Na pół odwinięty płaszcz, srebrną klamrą spięty, odkrywał bogaty ubiór hiszpański. Szpada, na której rękojeści wyrabiane były ze złota herby rodziny Wallensteinów, strzegła jego boku. Twarz, potem oblana i żywym rumieńcem okryta, dowodziła, że się spieszył ujrzeć cel swoich pragnień i miłości. Wysokie czoło, na którym rudawe unosiły się włosy, wielką duszę oznaczało. Oczy błyszczały świetnym ogniem, który się podwoił za ujrzeniem Minny. Wyraz wytrwałości w zamiarach i męstwa rozlany był po całej twarzy. Ale razem znać było na niej nienasyconą dumę. Gwałtowne namiętności często rozrywające jego serce wyrzyły swe piętno na białych zwyczajnie licach i zatarły znaki młodości. Liczył bowiem wtenczas hrabia Wallenstein dopiero trzydzieści kilka lat.

Przybliżył się do stołu i zatrzymał odchodzącą Minnę, zdjął kapelusz i usiadł naprzeciwko astrologa. Oczy jego zwracały się ciągle na dziewczicę, ale nikt

nie przerwał przez długi czas milczenia. Nareszcie powstał alchimista i poważnym rzekł głosem:

— Błogosławię was i życzę jak najdłuższego szczęścia. — To mówiąc, rozciągnął nad nimi swoje ręce, i wznosił oczy do Nieba, jak gdyby chciał wezwać jego łaski i opatrności nad osobami tak drogiemi.

Uradowany Wallenstein, porwał się z krzesła i wziął rękę Minny. Ale dziewczica odwróciła ławę oko i w rozpaczny mocnym wyrzekła głosem:

— Nie masz, nie będziesz miał nigdy mego serca. Przymuszają mnie być twoją żoną, ale czyż miło ci będzie pędzić życie z niewiastą, która cię niecierpi i nienawidzi?

Na to zapytanie stanął Wallenstein jak wryty, i najgwałtowniejsza namiętność zawrzała w jego duszy. Smutek i gniew, miłość i wściekłość napępiały jego serce, nareszcie:

— Nieczuła Minno — rzekł, — chcesz mojej śmierci, bo bez ciebie żyć nie mogę.

A po chwili silnym zawołał głosem:

— Mówisz, że mnie poznałaś. Nie, nie znasz, nie znasz jeszcze gniewu Wallensteina. Jedno moje skinienie może ciebie i twego ojca w proch zamienić. A nie myśl, żeby to były próżne słowa. Zapytaj się Czech całych, a odpowiedzą, że zemsta Wallensteina wszystko pożera. Moja miłość dla ciebie jest bez granic, ale kiedy zemsta zajmie jej miejsce, Niebo samo, sam Bóg nie wstrzyma mojej prawicy.

— Minno! każe ci ojciec usłuchać prośb Wallensteina — zawołał alchimista, — nie stawaj się naszej zguby przyczyną.

— Minno! — krzyknął Wallenstein, zbliżył się do dziewczicy i pałasz złożył przed jej stopami — nie odmawiaj tej ofiary, przyjmij tę szablę, dopóki leży przed tobą, nie czekaj, aż podniesie ją mściwa prawica. Oddaję się tobie. Ja, hrabia Wallenstein, ja, któremu gwiazdy przepowiedziały zawód najświetniejszy, któ-

rego męstwo w tysiącznych już się wślawiło walkach, ja, przed którym kiedyś cały świat, wojska i kraje drżeć będą, przychodzę prosić cię i błagać, byś zwróciła łaskawe na mnie spojrzenie. A za to ci obiecuję szczęście i zaszczyty bez granic.

Tu stanął Wallenstein, rozjaśniło się jego czoło i porwawszy szablę, wyjął ją z pochwy, wyniósł do góry.

— Tak, zaszczyty! obiecuję ci królestwa i państwa, hołd ci złożą dumne pany. Ten miecz kiedyś zabłyśnie nad wszystkimi Europy koronami, wzniesie się nad wszystkich tronu mocarzów. Na jego widok cesarze zbledną i przed nim uniżać się będą. I możesz się jeszcze wahać, o Minno. Możesz jeszcze gardzić mojemi ofiary? — Takim sposobem przepowiadał Wallenstein przyszłe swoje losy wieszczym duchem. W największem uniesieniu zdawało mu się, że już widzi świat cały klęczący przed sobą. Nie wątpił już, że Minna przystanie na jego żądania.

Okropnem było położenie dziewczicy.

Z jednej strony widziała ojca proszącego, błagającego, z drugiej człowieka, którego namiętności żadnej tamy nie знаły, i w którego sercu szeroko panowała zemsta. Pewną była, że odmówienie ręki Wallensteina, będzie wyrokiem śmierci i zguby, nie tylko dla niej, ale i dla ojca i dla wszystkich mieszkańców Egry.

Urodziła się Minna z pięknemi przymioty, z sercem czułem na męki innych, ale jej dusza nie miała tej mocy, której trzeba na poświęcenie się wiecznym cierpieniom i boleściom, żeby ratować i zapewnić szczęście drugich. Przekonała się z czynów i słów Wallensteina, że sercu jego prawdziwa miłość niedostępna była. Że jedna w nim tylko władała duma i pycha, niczem niewstrzymana, żadną przeszkodą, żadnym niezrażona oporem. A pędzić życie z takim człowiekiem, zdawało się jej, że to jest zamienić złudzenie i błogie chwile młodości na męczarnie bezdenne piekła. Wtem

nowy zamiar urodził się w jej myśli, zbliżyła się do rycerza i słabym ozwała się głosem:

— Wallensteinie, jeśli prawdziwie mnie kochasz, uczyni zadość mojej prośbie, poczekaj jeszcze tydzień, a po jego upłynieniu, przysięgam, że nigdy mojej ręki innemu nie oddam jak tobie.

— Nie, to być nie może — krzyknął alchimista.

— Minno — rzekł Wallenstein, — zezwalam na twoje żądanie i, żeby dowieść ci mojej miłości i poświęcenia bez granic, jeszcze tydzień jeden w najsroższej niepewności dla mnie upłynie, ale potem żadna władza Boska ani ludzka nie zdoła mnie wstrzymać.

Po tych słowach oddaliła się dziewczyna.

Astrolog przez chwilę stał niewzruszony, nareszcie wziął swój teleskop, porwał Wallensteina za rękę i spiesznym krokiem zaprowadził go na wysoką wieżę, z której zwykł był wpatrywać się w niebo i uważać bieg światów.

Ustała burza, księżyc wydobył się z za chmur, powoli ustępujących z Nieba jak pobite wojska, których męstwo jeszcze nie ostygło, zwolna z pola krwawych mordów się cofają.

Zachodnią część Nieba błyszczała rozsypanemi gwiazdy. Całe miasto u stóp wzgórka leżące ukazało się Wallensteinowi w cichości i milczeniu nocy. Dachy świeciły odbitemi promieniami księżyca o wody w srebrzystych kroplach z nich spływające.

Z przeciwnej strony wznosił się zamek Egierski na niebotycznej górze. Straże stały po jego wałach i gotyckich wieżach. Gdzieś tam błyszczały kopie w ręku mężnych wojowników i działa strzegące warowni.

Spokojnie usiadł astrolog i patrzył na niebo przez swój teleskop. Z tyłu stał pułkownik z założonemi rękami, dumal, wpatrując się w gwiazdy, które uważał za najpewniejsze przewodniki w życiu człowieka. Zmieniała się powoli twarz Adalberta de Reichstal. Coraz żywiej iskrzyły mu się oczy i coraz

mocniejszy rumieniec pokrywał jego lice. Wstał nareszcie, mocno ścisnął prawicę rycerza, drugą rękę wyciągnął ku gwiazdom, wzrok wlepił w błękity niebios, i jakby uniesiony nadludzkim duchem, w takie ozwał się słowa:

— Po wielokroć ogłaszałem ci, Wallensteinie, przyszłe twoje losy, po wielokroć mówiłem, że twoja gwiazda jest najświetniejszą i najżywszym ze wszystkich palącą się ogniem. Jeszcze raz powtarzam:

— Powtarzam, że pan świata, przeznaczył cię do wysokich dzieł i zaszczytów. Twoje ramię pokona najsrońszych wrogów, zrzuci z szczytu wielkości wielkich panów ziemskich, wielu innych wyniesie. Twoje imię głośnie na późne wieki zagrzmi w przyszłości jak trąba anioła, mającego kiedyś obudzić śmiertelnych ze snu śmierci.

Szczęście skrzydłami cię okryje. Na twój rozkaz całe Niemcy uklękną, a śmierć i rzeź, postrach i przerażenie ciebie otaczać, tobie splatać wieniec nieśmiertelności będą. Cały twój zawód stoi teraz przed moją myślą. Widzę, jak twoja gwiazda rzuca płomień złoty. Zalewa niemi pół nieba, wszystkie inne giną w tym potopie sławy i zwycięstw. Widzę koronę cesarską bliską twej głowie.

Tu wyraz smutku okrył twarz astrologa.

— Ale nigdy jej nie okryje. Już rękę wyciągniesz po nią, ale wymknie ci się z prawicy, a zabójcze żelazo twój zawód ukończy. Właśnie w tem miejscu spostrzegam bledniejącą gwiazdę przeznaczenia twego, krew zagasza jej świetny ogień. Bładość śmierci po niej się rozlewa. Skończyłem, Wallensteinie. Witam cię, bohaterze, witam cię, zadziwiający człowieka.

— Dzięki ci składam, mój ojczy — krzyknął z radością Wallenstein. — Nie dbam o ostatnie moje chwile, nie dbam o to, czy skonam w purpurze królewskiej lub pod ciosem wroga, dosyć mi na tem, że życie moje świetne, że mój zawód nadzwyczajnym bę-

dzie. Bylebym się wsławił, byleby moje imię dobiło się nieśmiertelności, zgadzam się na śmierć okropną i na koniec nieszczęśliwy. Za tydzień wrócę tu po twoją córkę. A potem rzucę się w wojny i zamęt świata i śmiałym zmierzać będę krokiem do korony lub śmierci. — Żegnam cię.

To mówiąc, opuścił astrologa, zszedł z wysokiej wieży i wrócił do swego mieszkania.

III.

Kędy jest miłe latek dziecinnych wesele?
Gdzie miłe burzliwego wieku niepokoje?
Kędy jest Laura moja, gdzie są przyjaciele?
Wszystko przeszło, a czemuż nie przejdą lzy moje?

Mickiewicz — Sonety.

Żeby rozumieć wypadki naszej powieści, musimy się cofnąć o pięćdziesiąt lat i wystawić Adalberta de Reichstał, okrytego już teraz śnieżnym włosem w kwiecie młodości i nadziei. Herald de Reichstał, jego ojciec, odumarał go w młodym wieku, a przez ciąg życia rozproszył po młodych dworach Europy i świetnych turniejach majątek swych dziadów wsławionych wieloma czynami. Aż do dwudziestego roku przebywał w Wiedniu Adalbert i wraz z matką starał się dawny majątek do pierwszej wrócić świetności. Wtem matka jego nagle umarła. Smutek ogarnął umysł przywiązanego syna. Porzucił swe włosci, które wkrótce zajęli dłużnicy a sam puścił się w podróż. Z początku nie cierpiał życia i wzywał śmierci. Nie uważał on otaczających go ludzi, a zbolełe serce nie biło ani dla miłości, ani dla przyjaźni. Powoli jednak zmniejszać się zaczął smutek, a coraz nowe okolice, coraz nowe ludzi namiętności zajęły jego umysł. Poznał jednak, że nie będzie mógł w świecie się odznaczyć, że nigdy sławy nie uzyska, jeśli nie posiędzie skarbów, nauk i wiadomości. Przybywszy do Florencyi, zapoznał się

z Signorem Riccioli, sławnym alchmistą. Oddał się zupełnie tej nauce, która zapalała żywą jego wyobraźnię i zaostrzała ciekawość. Uczył się także astronomii, ale nie mógł przestać na stałych i niewzruszonych prawach nadanych przez Stwórcę, odwieczne prawdy bez związku z człowiekiem wydały mu się suchymi, a chcąc dojść do ważnych odkryć, do wyższego światła, cofnął się i wpadł w przesady.

— Gwiazdy są wskazówkami mego życia — rzekł do siebie, i zaczął uważać te ogromne sfery, te słońca rozlewające światłość i promienie, te światy nieskończone za przewodników człowieka. Doszedł nawet w tej nauce do wielkiej biegłości, a kilka jego proctw trafem sprawdzonych potwierdziły go w wierze w astrologię. Przebywając długo na ziemi, nad którą kiedyś ulatywały orły ziemskie, spotykając co krok ślady tych panów świata, co krok deptając popioły wielkich mężów, nie mógł być nieczułym na te ostatki zgastej wielkości, wielkości panującej niegdyś świata i korzącej dumnych mocarzów. Każdy kawałek marmuru, każdy grobowiec, każdy napis zwracał jego uwagę i zagłębił się w przeszłe i dalekie wieki. Nauczył się języka, którym niegdyś Homer opiewał ostatnie walki ludu poświęconego na srogą niewolę. A takim sposobem został alchmistą, astrologiem i antykwaryuszem.

Po dwunastu latach opuścił Florencję i wrócił do Niemiec. Zwiedził Czechy. Zakupił pagórek i dom, w którym go widzieliśmy, upodobawszy sobie położenie Egry. Wystawił wieżę, z której miał uważać nieskończoność. Ale długo nie mógł zostawać na jednym miejscu. Chciwy sławy i nauki, chciał jej szukać po rozległym świecie. Zamknął swój pałac. Przyłożył na jego bramach pieczęć z herbem Reichstalów. Opuścił Egrę. Dziesięć lat nie słyszano o nim, raz tylko jakiś podróżnik, przybywszy do Pragi, mówił, że go spotkał w pustyniach Arabii i że tam nawet poślubił

sobie muzułmankę. Właśnie dziesiąty rok dochodził, jak porzucił Egrę, kiedy dnia jednego siedem koni stanęło przed warownią na wzgórku. Właśnie wiosna w całej swej piękności rozwiła kielichy świetnych kwiatów i liście w zieleniejących się ogrodach, słońce jak bohater po zwycięstwie, wzbijało się w górne niebiosy i wszystko zalewało potopem złotych promieni. Piękna pogoda rozweselała orszak, w którym mieścił się astrolog. Przy jego boku na pięknym koniu arabskim ukazywała się młoda niewiasta. Jej twarz spalona od gorąca pustyni, jej oczy pełne ognia; zawój głowę jej okrywa, a bogaty ubiór wschodni jej ród oznacza. Na trzecim koniu niewolnik czarny trzymał szeroki kosz, w którym leżało uspięte dziecko. Czwarty rumak, niezmiernie mały, trzymał na sobie syna astrologa, którego wiek sześciu lat nie przechodził. Mała szabelka wisiała u boku, a kołczan i łuk spoczywał na dziecinnych barkach. Za temi osobami jechało dwóch zbrojnych Muzułmanów na koniach, pakami i szkatułami obładowanych.

Astrolog zsiadł z konia, zerwał pieczęć, otworzył drzwi, wprowadził do domu muzułmankę z dziećmi. Paki i szkatuły w ukrytej sali zamknął.

Niewolnicy, odpocząwszy kilka godzin, dosiedli koni i jak strzała puścili się ku wschodniej stronie.

Wkrótce w tumanie kurzu zniknęli.

Mieszkańcy Egry nie wiedzieli, co myśleć o tem zdarzeniu; w kilka dni przybył arcybiskup pragski ze stolicy Czech i w kościele egierskim muzułmanka przyjęła chrzest święty wraz z dziećmi, z których jedno było Minną de Reichstal, a drugie otrzymało imię Alana. Spokojnie potem pędził dni szczęśliwe Adalbert de Reichstal z piękną Fatymą. Często mówił o swoich podróżach w Palestynie, Arabii, w pustyniach Azji.

Często wspominał o swojej miłości ku pięknej małżonce. Ale nigdy nikt się nie dowiedział, jakim

ją poznał, jakim zaślubił sposobem. Codzień jednak słabło zdrowie Fatymy, codzień większa bladość rozlewała się po jej licach. Zwolna postępowała do grobu, podobnie jak kwiat przeniesiony z lubej ziemi w odległą stronę wędnieję, schyla niegdyś świetną głowę i usycha. Patrzył na to nieszczęśliwy Adalbert. Gwiazd się poradził. Wróżyły mu nieszczęście. Od tej chwili pewnym już był, że utraci ulubioną Fatymę, i że ta perła wschodu niezadługo przestanie razić swym blaskiem.

Całe nocy przepędzał przy łożu ukochanej żony. — Krokodyle, rośliny, mumie, wydobyte z pak i rozwieszane po ścianach, nie zwróciły już jego wzroku. Oczy łzawe zatapiał ciągle w umierającej żonie w tej pięknej córce dzikiej Arabii, której ani jego miłość, ani nauka zachować nie mogła. Zmieniała się stopniami piękna pora. Deszcze, wichry i śniegi przybycie zimy obwieszczały. Wkrótce pola i miasta śnieg zaległ białym całunem. Czarne chmury zasępiły niebo. A Fatyma, zwyczajna widzieć zawsze jasne słońce, widzieć rozkoszne łąki i doliny okolic Mekki, nie mogła znieść widoku obumarłej natury. Wspomnienie ojczyzny tak dalekiej łączy jej wycisnęło i w ostatniem westchnieniu usłyszano słabo wymówione słowa: Bóg jest jeden, a Mahomet jego prorok.

Padł bez zmysłów Reichstal przy ciele Fatymy i długo nie mógł wrócić do spokojności. Wiele lat upłynęło, nim się trochę smutek w jego sercu zatarł. Tymczasem Alan de Reichstal wzrastał w siły i męstwo. Zrzucił kołczan i łuk, chwycił za szablę i puklerz. Już ciężka zbroja kryła jego piersi, a nikt lepiej nie kierował koniem, nikt lepiej nie siekł żelazem. Minna podobna do matki, ulubioną żonę ojcu przypominała. Nie pamiętała tej, która jej dała życie, ale często mówił jej o Fatymie Adalbert de Reichstal.

— O jakbym chciała widzieć i znać moją matkę — rzekła Minna.

— Chciałabyś? — odparł Reichstal, — chodź więc — i silną ręką porwał ją Adalbert i zawiódł do podziemnej komnaty.

Lampa drżącym ją oświecała płomieniem. Na wysokiem krześle siedziała niewiasta czyli raczej ciało niewiasty. Fałdzista suknia je obwijała. Twarz blada, oczy zawarte żelazną ręką śmierci.

— Oto twoja matka, Minno — rzekł astrolog, — oto Fatyma, zachowana moją sztuką. Sądź po piękności umarłej, jaką musiała być za życia.

Widok ten przeraził Minnę i odtąd czarna smętność opanowała jej duszę, wszystko jej ponurem się wydawało. Astrolog codzień odwiedzał ciało żony, ale w tajemnicy zachowała to jego córka; sam nawet Alan o tem nie wiedział. Kilka lat później wszedł do wojska i był już teraz kapitanem. W wielu walkach odznaczył się męstwem, a imię młodego Reichstala wszędzie głośnem było. Gwałtowny gniew często zapalał jego duszę, a wtenczas nicby go nie wstrzymało; ale zwyczajnie dobrego i usłużnego był serca. Najmniejsza jednak obraza w wściekłość go wprowadzała i nie jeden już zginął z jego mściwej ręki w krwawych pojedynkach.

Astrolog przestał odwiedzać ciało Fatymy, nad którem ciągle paliła się srebrna lampa, podsycana najczystsza palestyńską oliwą. Zatopił się już sędziwy Adalbert w naukach. Otoczył się wszystkimi księgami i narzędziami alchemii, i w rozważaniu natury ulgę ciężkich znajdował boleści.

Wielu możnych panów go znało a Wallenstein, chcąc pojąć jego córkę za żonę, nie zniżał się, bo ród Reichstalów świetniał zawsze blaskiem męstwa i sławy, ich potomek Adalbert szeroko słynął nauką, a nade wszystko Minna młoda anielskiej była piękności.

IV.

A wy dla znaku pierścień tylko nieście.
 Nie trzeba wleceć, skoro ujrzy godło.
 Pozna, kto jestem

A. Mickiewicz — Grażyna.

Kapitan de Reichstal wracał spokojnie na dzielnym koniu do wsi Leitmeritz, gdzie stał pułk, w którym służył. Z rana jeszcze wyjechał na łowy a zmęczony spieszył do niedalekiego pomieszkania. Już noc oblekła niebo, i księżyc bielił swemi promieniami ciężkie chmury zimowe. Naokoło ziemia śniegiem błyszczała, a gdzieniegdzie szronem ubielone drzewo wznosiło się wśród pola. Jechał Alan zatopiony w myślach. Przy siodle dwa zabite zające wisiały a kordelas strzegł boku. Igrał wiatr z piórem czarnym, wznoszącym się nad czapką. Czasami powstawał wicher i tumanami śniegu oczy konia i jeźdźca zasypywał. Zimno wzrastało stopniami. Wtem chmury, złączywszy się, zakryły księżyc. Niedaleka wieś Leitmeritz znikła z oczu Alana, o śnieg gęsty padać zaczął. W tej samej chwili usłyszał za sobą tętent rozpędzonego konia; odwrócił głowę i rozeznał wśród ciemności jakąś czarną postać zbliżającą się do niego. Mimowolnie prawie dotknął się kapitan pistoletu i wyjął go z za pasa. W tych bowiem czasach nieszczęść i wojen, na każdego zwracało się podejrzenie, osobliwie jeszcze kiedy noc i burza sprzyjały zamiarom zbrodniarzów. Stał po chwili przy Alanie człowiek wysokiego wzrostu obwinięty futrem i silnym zawołał głosem:

— Kto jesteś? czy przyjaciel poczciwych ludzi, czy zbójca lub protestant?

— Jestem wojskowym — odparł Alan — i chciałbym wiedzieć, czego się tak błąkasz po nocy?

— Czy daleko do wsi Leitmeritz?

— Nie mogę o tem sądzić, bo znikła mi z oczu, ale zdaje mi się, że nie ma więcej jak ćwierć mili.

— Czy tam stoisz, mości panie wojskowy?

— A tobie cóż do tego, twoje pytania już mnie nudzą. Jedź naprzód lub obierz sobie inną drogę.

— Moją drogą jest droga wiodąca do Leitmeritz, ale przebacz mi, jeszcze jedno zapytanie. Czy nie wiesz, w jakiej stronie wsi stoi kapitan Alan de Reichstal?

— Kapitan Alan de Reichstal? — powtórzył zdziwiony młodzieniec. — A z jakież do niego jedziesz zamiarami?

— O tem ani słówka więcej, mości wojskowy. Ale oddaj mi, proszę, usługę, którą każdy poczciwy człowiek bliźniemu wyświadcza, to jest: wskaż mi drogę do wsi i powiedz, gdzie w niej mieszka kapitan Alan de Reichstal.

Nie mógł już wytrzymać niecierpliwy Alan i krzyknął:

— Ja nim jestem! — a porwawszy za cugle konia towarzysza, zatrzymał go i pytał się, czego po nim żąda?

— Trzeba mnie o tem jeszcze przekonać — odparł spokojnie nieznajomy, — nie mam w zwyczaju we wszystko i wszystkim na ślepo wierzyć.

— Do tysiąca piorunów, uparty człowiecze, mówię ci że jestem Alanem de Reichstal, kapitanem w pułku Lichtensteina, synem Adalberta de Reichstal, mieszkającego w Egrze? Cóż chcesz więcej?

— Zaczynam już wierzyć, ale to jeszcze nie dosyć. Proszę mi powiedzieć, jaki jest herb Reichstalców?

— To już zanadto, żeby mnie nie wierzyć, że ja jestem sobą samym! — zawołał rozgniewany młodzieniec.

— Patrzże niewierny, patrz, i to mówiąc, wyciągnął lewą rękę, na palcu której miał bogaty pierścień z swoim herbem, prawą odwiódł kurek u pisto-

letu a przyłożywszy go blisko twarzy nieznajomego, wystrzelił. Przy chwilowej światłości, sprawionej przez ogień wybuchający, poznał nieznajomy trzy topory, godło rodziny Reichstałów i wyczytał imię Alana na pierścieniu.

— Poznaję cię teraz, poznaję i twarz już dawno niewidzianą i herb twych mężnych przodków. Witam cię, kapitanie, ale spieszymy się, nie mamy ani chwili do stracenia, lećmy do Leitmeritz, żebyś tylko prędzej mógł przeczytać list od siostry.

— Od Minny — zawołał Reichstał, — mam nadzieję, że nic jej się nie stało.

— W wielkim jest niebezpieczeństwie i zaraz mam odjechać z odpowiedzią twoją, ale spieszymy się do wsi.

— Nie trzeba wsi, na przeczytanie jej listu — krzyknął Alan. Zeskoczył z konia, wyjął z worka wiszącego przy siodle trochę siana, otoczył nie wielką stojącą przy drodze sosnę, a dobywszy drugiego pistoletu, w nią wystrzelił. Przybitka rozogniona padła na siano, które się zajęło jasnym płomieniem. Z początku wilgoć i śnieg odpierały moc ognia, ale jednak wkrótce zapalił się pień przepełniony żywicą i oświecił szeroko pole naokoło siebie. Wyrwał Alan list siostry z rąk towarzysza, zdarł pieczęć i czytać zaczął. Wzywała dziewczica jego pomocy. Zaklinała, żeby przybył ją uratować i wyrwać z rąk Wallensteina. Ale poznał z daty listu i z opowiadania siostry, że właśnie dzisiejszego dnia minął nieszczęsny tydzień. Obrócił się do towarzysza i rzucił się na niego.

— Niegodziwy! już zapóźno — zawołał, — czemuś prędzej mi nie donosiłeś tych nieszczęśliwych nowin? W jednym dniu mógłś tu przyjechać a cały tydzień upłynął od czasu, jak cię moja siostra wyprawiła.

— Nie sądź tak porywczo, mości kapitanie.

Wszystkich bram Egry strzegą żołnierze Wallensteina i przetrząsają wszystkich przejeżdżających. Kilka dni zeszło, nim znalazłem sposobność przejścia tajemnie

przez austriackie straże. A zresztą zdaje mi się, że i tak dosyć się dla was poświęcił.

— Przepraszam cię — odpowiedział Alan, — skoczył mu do szyi, dziękuję ci tysiąc razy za to, coś zrobił dla niej. Ale może już ją przymusili. Nie mogę tracić czasu.

To mówiąc, oderwał kawał papieru czystego z listu siostry, napisał na nim kilka słów ołówkiem i oddał towarzyszowi.

— Weź mego konia — rzekł rozkazującym głosem. — Twój nie tak zmęczony, mnie służyć będzie. Ale się obrócisz na lewo, pojedziesz do Leitmeritz i oddasz tam pismo pułkownikowi Lichtenstein. Ja zaś polecę do Egry, wyrwać siostrę z rąk niegodziwych. A teraz żegnam cię i dziękuję ci raz jeszcze. — Dokończając tych słów, rzucił mu sakiewkę napełnioną złotem. Wzdrygnął się ją przyjąć nieznajomy.

— Ubogi jestem — rzekł — ale Robert Dojuz nie potrzebuje nagrody za czyn cnotliwy. Nieraz twój ojciec już świadczył...

— Weź Robercie, weź — krzyknął Alan, — bo inaczej, rzucę te pieniądze w rów ten głęboki. — To mówiąc, nabił pistolety, skoczył na dzielnego rumaka i w jednej chwili zniknął z oczu Dojuza.

V.

Ach! i to jest widok srogi,
Kiedy piękność w życia kwiecie,
Ledwie wchodząca na świat,
Żegnać się musi z lubym jeszcze światem.

A. Mickiewicz.

Dnia 22 listopada 1620 r. skończył się tydzień, po którego upływie miała córka Adalberta de Reichstal oddać rękę hrabiemu Wallenstein. Nazajutrz wieczorem mieszkańcy Egry zdziwili się niespodzianym widokiem.

Pułkownik Wallenstein na czele 40 dobranych ze swego pułku żołnierzy jechał przez miasto. Czapka z wybijającemi się ku Niebu pióry okrywała mu głowę. Płaszcz podbity sobolowem futrem ulatywał naokoło. Szabla błyszcząca drogiemi kamieniami wisiała u złotolitego pasa. Złote ostrogi strzegły nóg opierających się na srebrnych strzemionach. A na szyi obwijał się złoty łańcuch utrzymujący medal cesarza Niemiec.

Koń biały w przepysznych, lśniących się szafirami i szmaragdami rzędach, zwolna postępował, dzielną kierowany prawicą. Za nim żołnierze na pięknych rumakach jaśnieli świetnemi ze stali kirysy. Z ich środka wznosiła się chorągiew rozwita i puszczona na igrzysko wiatrom.

Dwóch zaś jeźdźców w srebrnych hełmach, w srebrnych pancerzach jechało obok pułkownika. Jeden z nich na miedzianej tacy utrzymywał koronę świetną połyskującemi dyamenty i wieniec z róż kolorowych uwity, drugi zaś na aksamitnej poduszce miał drogie zausznice, perłowe naszyjniki i inne ozdoby. Z takimi więc dary jechał Wallenstein po piękną oblubienicę. Za tym orszakiem ukazał się sędzia Egry w długiej czarnej sukni. Czworograniasta czapka kryła sędziwą głowę. W prawej ręce trzymał laskę z jabłkiem złotem, a w lewej pergamin zawierający układy przedślubne, na którym z jednej strony była pieczęć Wallensteinów a z drugiej Reichstalów.

Wszyscy zatrzymali się na wzgórku przed domem astrologa. Żołnierze uszykowali się w półkole. Skoczył na ziemię niecierpliwy ich dowódzca. Porwał za rękę sędziego i wszedł w podwoje Adalberta. Za nim szli dwaj towarzysze niosący dary dla Minny. Sędziwy Reichstal przyjął ich w tym dniu uroczystym z powagą, przyjął z twarzą przypominającą więcej świetność i sławę swego rodu, niż alchemię, gwiazdy i starożytności greckie lub rzymskie. Ale w wielkiej sali nie było jeszcze Minny.

Opuścił więc Adalbert gości i przyspieszonym krokiem udał się do komnaty córki.

Miał czas Wallenstein przypatrzyć się odmianom zaszłym w szerokiej komnacie. Nie widać było już na jej murach ani kościotrupów, ani naczyń alchemii. Ale wszędzie herby i zbroje Reichstalów świetniały. Tu rogi jelenie dźwigały tarczę i szyszaki, tu znowu na niedźwiedzich skórach błyszczwały groty i miecze. Serce mocno biło pułkownikowi. Stary sędzia spokojnie zasiadł w szerokim krześle, rozłożył pergamin na stole, przysunął pióra i kałamarz. Wtem wrócił astrolog z córką. Ale niktby nie pomyślał, że się ona gotuje do ślubu. Nie wesele, nie słodkie uczucia radości, nie miłości uniesienia, ale smutek, ale śmiertelna rozpacz malowały się na jej twarzy, odbijały się w ogniu ponurym jej czarownych oczu.

Wiódł ją ojciec za rękę, jak za dawnych wieków kapłan prowadził do ołtarza ofiarę przeznaczoną bogom. Stała naprzeciwko Wallensteina. Nie miała na skroniach ślubnego wianka. Rozpuszczone włosy wiły się bez porządku naokoło śnieżnej szyi. Jedna tylko suknia biała bez żadnych ozdób mogłaby być znakiem godowej uroczystości, gdyby w pół ją nie obejmowała czarna przepaska. Długo wlepiął w nią oczy Wallenstein i nie mógł w tej dziewicy wybladłej poznać pięknej, boskich niegdyś wdzięków Minny. Nareszcie zbliżył się, ukląkł i ofiarował przepyszne dary. Pomieszany wzrokiem rzuciła na nie córka Adalberta, ale nie wyciągnęła ręki, nie schyliła głowy na znak podziękowania. Podobną była do pięknego posągu z marmuru, tylko że na martwym kamieniu rozpacz się nie maluje. A rozpacz władała jej sercem, władała już nie zdrowym rozumem. Znikały powoli wszystkie jej nadzieje. W każdym świcie wiatru słyszała z początku głos Alana, w każdej osobie upatrywała brata, ale brat nie przybywał i sto razy na dzień omylona już nie śmiała spodziewać się pomocy.

Postanowiła jednak w głębi serca, że nie będzie żoną Wallensteina i dochodziła już godzina, w której miała śmierć obrać lub rękę nienawidzonego męża. Widząc jej oziębłość, Wallenstein sam rozłożył swe bogate dary na stole, a ojciec zaprowadził ją do blizkiego krzesła.

Powstał wtenczas sędzia i oświadczył, że nie godzi się przypuszczać niewiasty do ślubu. Ale w tej chwili silna ręka Wallensteina ścisnęła go za ramię i w oddalony kąt pokoju zawiodła. Pospieszył za nimi Adalbert.

— Obieraj — po cichu lecz mocno rzekł Wallenstein, a prawicą uderzył w pałasz, lewą zaś ręką podawał ciężki worek. Nie długo wahał się sędzia, a wkrótce ręka pułkownika nie spoczywała już na rękojeści szabli, ale też i w drugiej nie było złota. W tej chwili wszyscy odwrócili się od dziewczycy. Leżał na stole przed jej oczyma nieszczęśliwy pergamin. Na ten widok jej rozpacz nie znała już granic, a na nieszczęście spostrzegła na kominie zapomnianą flaszkę przy wynoszeniu alchemicznych narzędzi. Porwała ją dziewczica. Na długim papierze przy niej wiszącym były słowa: Trucizna. Ledwo je przeczytała, już do ust przytknęła śmiertelny napój. Potem spojrzała w stronę komnaty, w której naradzał się jej ojciec z sędzią i Wallensteinem; dziki uśmiech wydał jej myśl okropną: już nie jestem w waszej mocy. Po chwili Adalbert wrócił do stołu. Zasiadli przy nim sędzia i pułkownik. Porwał Reichstal zimną rękę Minny i połączył ją z ręką Wallensteina.

— Błogosławię was — rzekł, — błogosławię, moje dzieci. Doczekajcie późnych lat...

— Nie doczekamy ich oboje — przerwała mu dziewczica i znów do dawnego wróciła milczenia.

Nie wiedział, co począć astrolog, kiedy Wallenstein porwał za pióro i podpisał się na pergaminie. Poszli za jego przykładem Adalbert i sędzia. Teraz kolej przychodziła na nieszczęsną Minnę, która już

zaczynała cierpieć bóle śmierć poprzedzające. Z obłąkanemi oczyma wzięła pióro ale zapomniała go umaczać. Astrolog odebrał pióro, zanurzył w kałamarz i oddał córce. Ale Minna nie miała dosyć mocy do podpisania się. Ojciec więc wziął jej rękę i nią kierował. Nareszcie nieczytelne dziewicy imię zaczętniało na pergaminie. Właśnie kończyła ostatnią literę, kiedy usłyszano tętent prędko biegnącego konia a wkrótce potem kroki w sieni i głos silny.

— To on — krzyknęła Minna i pióro wypadło jej z ręki.

Drzwi się otworzyły i wszedł kapitan Alan de Reichstal. Pióro połamane na czapce, cały ubiór w nieładzie, buty okryte śniegiem, pot ciekący z twarzy, dowodziły prędko odbytej podróży. Jego ukazanie się wszystkich zdziwiło. Astrolog nie mógł pojąć, dla czego syn przybywa na ślub siostry, kiedy o tem nawet go nie uwiadomił, bojąc się, by wzruszony łzami Minny nie wyzwał Wallensteina na śmiertelną walkę. Pułkownik nie znał Alana i z gniewem w sercu porwał się z siedzenia i pobiegł ku niemu.

— Kto jesteś? — silnym zawołał głosem. — Jak śmiesz tu stawać przed hrabią Wallensteinem?

— Jestem jej bratem — krzyknął wściekle Alan — i twoim wrogiem śmiertelnym.

— Ty moim wrogiem — odparł z uśmiechem wzgardy Wallenstein, — jej bratem, szaleńcze? Odejdź, bo cię każę pojmać.

— Nikogo się na świecie nie boję. Jestem bratem tej dziewicy. Kiedy wszyscy ją opuścili, mój pałasz zabłyśnie na jej obronę. Chcesz ją gwałtem poślubić?

— Któż ci o tem, najpodlejszy z ludzi, któż ci o tem doniósł?

Nie mógł już takiej zniewagi wytrzymać Alan, dobył szabli i piorunującym zawołał głosem:

— Gdyby nie ten list, jej oczy, jej twarz byłyby mi to powiedziały.

— Broń się Wallensteinie — krzyknęła przerażliwie Minna, — a na ten krzyk upadła żelazem zbrojna ręka Alana. Podniosła się wtenczas z trudnością dziewczyna i tak do otaczających przemówiła:

— Wstrzymaj się, Alanie, bo przybyłeś zapóźno. — Wstrzymaj się, Wallensteinie, bo już spełzły twoje nadzieje. — A teraz, mój ojciec, dowiedz się, że ja napisałam list do brata, że ja mu doniosłam o mojem nieszczęściu. Ale spóźnił się Alan a ja już uczyniłam wybór między śmiercią a tobą, Wallensteinie. Przyśięgłam, że nikt oprócz ciebie mojej ręki nie otrzyma. Świącie dochowałam danej wiary. Wypiłam truciznę. — To mówiąc, wskazała ręką na komin i upadła na krzesło. — Żegnam was — dokończyła głosem przerywanym częstemi jęki, — żegnam was. Ojciec, daruj winę. Mój bracie, zachowaj Minnę w twojem sercu, kiedy już jej przy tobie nie będzie. Módlcie się za mnie.

Alan przez chwilę wahał się, czy utopić żelazo w piersi Wallensteina, który stał głęboko zamyślony, czy pobiedz do siostry.

— Później zdasz mi z tego rachunek — rzekł do pułkownika. — A teraz wychodź stąd. Nie zatruwaj jej chwil ostatnich twoją przytomnością.

— Nie, zostanę, żadna siła nie zdoła mnie wyprzeć

— Zostań do szatana — krzyknął Alan i rzucawszy dobytą szablę, pobiegł do siostry, którą ścisnął stary Adalbert. Tonąc we łzach, żegnali się oba z ulubioną Minną. — Ale nareszcie kapitan porwał ojca za rękę.

— Ojciec, czy nie posiada twoja nauka sposobów uratowania jej?

— Nie, synu. Trucizna rozzdzierająca jej wnętrzności nie da się niczem uśmierzyć. Utraciłem w młodym wieku matkę, w późniejszych latach patrzyłem na śmierć Fatymy, a teraz ginie moja nadzieja, moja Minna. Takie moje przeznaczenie. Takie skutki nieszczęśliwej gwiazdy.

Ale umysł Alberta de Reichstal nie miał już dosyć siły do zniesienia tych nieszczęść. Upadł bez zmysłów na ziemię, a Alan kazał go zanieść do jego komnaty. Sam zaś z Wallensteinem został się przy siostrze. Za kilka chwil już miała Minna ten świat porzucić. Już niedobrze słyszała słowa brata, już niedobrze rozpoznawała rysy Wallensteina stojącego przed nią. Zatapiał on wzrok w umierającej oblubienicy, śledził na twarzy każdą oznakę boleści, uważał najłżejsze jej poruszenia, ale żadna łza nie zaświetniała w jego oczach, żadne pomieszanie nie wydało się na jego licach. Boleść rozrywała duszę, ale panem był Wallenstein swoich namiętności, i kiedy chciał je ukryć, darmo szarpały jego serce, daremnie w piersiach się ścierały; nigdy westchnienie, nigdy ogień oczu, nigdy bladość twarzy go nie zdradziła. Alan drżące siostry ręce trzymał w swoich rękach. W okropnej rozpaczycy prosił ją, aby nie opuszczała tej ziemi, jak gdyby mógł człowiek śmiertelny swoją wolą oprzeć się wszystko niszczącej śmierci. Wallenstein zbliżył się do Minny.

Alan chciał go odepchnąć.

— Dozwól mu widzieć ofiarę — rzekła dziewczyna, — już się teraz go nie boję. Prawdaż, nie będę jego żoną? zostanę przy ojcu; nie opuszczaj mnie, Alanie.

To mówiąc, powstała; zdawała się walczyć ze zgonem i konając, nie przestała mówić o szczęściu. Zbłąkane zmysły stawiały jej w najpiękniejszych farbách umajone kwiatami łąki, pola rozkoszne, pogodę bez końca, słońce rozlewające czyste promienie, ale nagle zmieniła wyraz łagodności, którego dotychczas boleści nie mogły zatrzeć w jej oczach, na wyraz gniewu i szaleństwa; wyciągnęła rękę do Wallensteina, ścisnęła jego prawicę.

— Nie prawdaż? — rzekła do brata, — pomścisz się na Wallensteinie mojej śmierci. Nie prawdaż?

utopisz mściwe w jego łonie żelazo. Pamiętaj, że on mnie zabił, że on wlał truciznę w moje serce.

Na te słowa zmieszał się pułkownik, ale nie oderwał prawicy i nawzajem ściskając rękę dziewczycy, jakby go mogła rozumieć:

— Nie ja — odpowiedział — sprawilem twe nieszczęście, bo świadczę się niebem, że twoje tylko szczęście miałem na myśli.

— Nie usprawiedliwiaj się — zawołał Alan — przed Minną, kiedy już jej grób się otwiera; zostaw mnie przy siostrze.

Wtem krzyknęła najsroźszych cierpień głosem córka astrologa; nagły rumieniec zastąpił śmiertelną bladość, oczy zaświetniały strasznym ogniem, ale ten ogień, do błyskawicy podobny, znikł w tej samej chwili. Jeszcze chciała wyrzec pożegnanie Minna, jeszcze jej usta się otwierały, jeszcze oczy zwracała ku bratu, ale śmierć nie dozwoliła jej ścisnąć ostatni raz ręki Alana, schyliła głowę, zamknęła powieki i padła bez życia. W tej samej chwili wszedł do sali Adalbert de Reichstal; smutek najgłębszy wyrzył swe piętno na jego licach, zbliżył się do ciała córki, przy której stał Alan, położył rękę na zimnej twarzy ulubionej Minny.

— To jest Minna de Reichstal — rzekł poważnym głosem; — jestem jej ojcem i nikt oprócz mnie nie ma do niej prawa. Jej ciało po śmierci do mnie należy. Wallensteinie, oddał się stąd. Idź na wojny i walki dokonywać świetnego przeznaczenia i zostaw tyle już razy nieszczęśliwego starca. Nie mam ku tobie żadnej nienawiści. Sam jestem przyczyną... Błogosławię ciebie, idź...

— Błogosławię! — ciszej powtórzył Alan i napół dobył pałasza.

— Synu, schowaj oręż! Zostaw nas, to jest zostaw mnie z córką, a jutro rano czekam ciebie w mojej komnacie.

Na te słowa ustąpił Alan; ustąpił Wallenstein. Spojrzenia ich się spotkały, a te spojrzenia wróżyły nieszczęście. Na czele żołnierzy wrócił pułkownik; kilkoma godzinami wprzód jechał do ślubu, teraz wracał ze spuszczoną głową, ze smutkiem w sercu, wracał od grobu oblubienicy.

VI.

Gomez:

Wielbię cię, żeś odważny, żałuję żeś młody.

Rodryg:

Który to raz nie pytaj i wychódź! a w tej dobie,
Jak ta ręka zaczyna, doświadczysz na sobie.

Cyd. — przekł. L. Osieńskiego.

Sen nie nawiedził powiek Alana; smutek go dręczył, a czarne widma otaczały jego łóżce. Zemsty piekieł i niebios wzywał nad Wallensteinem, nad mordercą ukochanej Minny. Raz zrywał się z łóża i chwytając za miecz, w okropnych wyrazach groził pułkownikowi, drugi raz upadał na ziemię i bez czucia zostawał, a kiedy mocno bijące serce i krew wzburzona znowu go do życia wracały, tonąc w łzach, tysiąc razy powtarzał imię siostry.

Mówią nawet, że w tej pamiętnej nocy ukazał mu się szatan w całej potęgze. Płomienie wieńczyły skronie dumnego anioła. Twarz była anielską, ale w oczach odbijało się całe piekło, w oczach, które wyrażają ludzkie namiętności, znać było pychę, piorunami Pana niebios niestartą, i pragnienie złego. Stał więc szatan przed oczyma Alana. Kapitan nie przeraził się jego widokiem; bo dla zbolełego serca nie ma bojaźni na świecie. Ofiarował mu pan nieszczęścia wykonanie zamiarów, obiecał nieszczęśliwy zgon wroga.

Przystał wtenczas syn Adalberta na oddanie duszy w ręce jego i na własną śmierć, mającą zaraz nastąpić po śmierci Wallensteina. Ledwo ukończył przysięgę, ścisnął go za rękę anioł ciemności. — Moim jesteś już teraz — rzekł grobowym głosem. Rozśmiał się szyderskim śmiechem i zniknął.

— Zginie nieprzyjaciół — zawołał Alan.

Choć trudno wierzyć tej pogłosce, pewną jednak jest rzeczą, że Alan de Reichstal nigdy już od tego czasu radości nie doznał. Nigdy miły uśmiech nie osiadł mu na ustach, nigdy łaża wesela nie odwilżyła powiek. Ponury, niedostępny, poświęcony na wieczną zgubę, pogardzał ludźmi; nie znalazł na tej ziemi serca, coby go mogło zrozumieć. Nigdy nie ścisnął prawicy przyjaciela, nigdy słodkie uczucia nie przerwały boleści, serce mu rozdzierających. Z nieszczęść w nieszczęścia, z błędów w błędy wpadając, pewnym krokiem zbliżał się do przepaści. A kiedy stanął u jej brzegu nie wahał się ani chwili w nią rzucić.

Nazajutrz przypomniał sobie ojca rozkazy. Wychojąc z pokoju, porwał za miecz i ścisnął go z uniesieniem, jak gdyby w nim tylko jedynego widział przyjaciela, jedyną upatrywał nadzieję. Przeszedł przez salę, w której skonała Minna. Zaćmiło mu się w oczach i mało nie zemdlął. Przebiegł długi korytarz i popchnął drzwi pokoju Adalberta. Otworzyły się podwoje, upadł Alan na progu, okropnym rażony widokiem. Ojciec stał przy ciele córki. Czarna suknią ją okrywała, a płaszcz ciemny spięty sprzączką, wystawiającą trupią głowę, aż do jej stóp spadał. Korona ze srebrnych liści uwita wieńczyła martwe czoło, na którym znać było piętno śmierci gwałtownej. Ogromne dyamentowe kolczyki zdobiły jej uszy, a naszyjnik z drogich kamieni skamieniałą szyję obwijał. Ręce miała złożone, a w nich spoczywał krzyż z kości słoniowej. Łzawe oko zwrócił Adalbert na syna i pospieszył go podnieść. — Z trudnością powstał

kapitan, ścisnął ojca prawicę i rzucił się w jego objęcia. Po chwili poważnie rzekł astrolog:

— Synu, tyś ostatni z rodziny Reichstalów, zatrzymuję cię tylko na chwilę. Potem wrócisz, gdzie cię powinność i sława wzywają. Wprzód mam ci odkryć tajemnicę. W podziemnych tego domu sklepieniach jest miejsce przeznaczone na grób naszej rodziny. W nim spoczywa Fatyma, moja żona i matka twoja, nie podlegając zepsuciu czasu; równie ocaliłem zwłoki mojej córki. Przetrwają one wieki, podobne do mumii starożytnego Egiptu.

Kończąc te słowa, uderzył astrolog nogą w podłogę. Drzewo się na kilka stóp rozstąpiło. Ukazały się kręte z kamienia schody. Objął w silne ręce ciało siostry Alan de Reichstal i, przyciskając je do piersi, szedł za ojcem dobrze znajomym drogi, kręcącej się wśród różnych kolumn i galeryi. Dosyć długo zstępowali na dół. Zewsząd ciemności nacierały na mały kaganiec trzymany przez Adalberta, jak gdyby nienawidząc światła, chciały wroga zakryć swemi cieńmi! Nareszcie otworzył astrolog drzwi żelazne i wszedł z synem do szerokiego lochu. Srebrna lampa posępne po nim rozsyłała promienie. Siedziała Fatyma na wyniosłym krześle. Przy niej przygotowane było niższe siedzenie, obite w czarny aksamit, nad którem wznosiła się tarcza z herbem Reichstalów. Tu Alan złożył ciało młodej Minny. Kląkł astrolog przed Fatymą i, biorąc jej rękę, tak przemówił:

— Przyprowadzam ci towarzyszkę, Fatymo, mój upór sprowadził ją do ciebie. Ja ją do grobu wtrąciłem. Spoczywajcie tu spokojnie. O wielki Boże! zwróć Twój gniew na mnie, ale nie odwracaj oblicza od Wallensteina.

Tak się dręczył smutny starzec. Alan nie mógł ścierpieć, żeby się ojciec oskarżał i wzywał jeszcze łaski niebios na Wallensteina, krzyknął więc:

— Zaczekaj, ojcze, pozwól synowi pomodlić się u grobu matki i pożegnać się z siostrą.

To mówiąc, ukląkł, dobył błyszczącego miecza. Przysięgam, rzekł, na wielkiego Boga, na Boga mych naddziadów i na to krwi pragnące żelazo, że całe moje życie, że wszystkie chwile poświęcę zemście nad Wallensteinem. Ścigać go będę, krok w krok za nim postępować i nie ustane, nim występnej duszy mu nie wydrę. Serce jego skrwawione tu przyniosę w ofierze, tu złożę przed twojemi stopy, ulubiona Minno, a jeśli mi się powiedzie, dziś go jeszcze zamorduję. Oby twoja śmierć, oby zbrodnie Wallensteina na mnie spadły, oby moją głowę przeklął ojciec, obym nigdy usnąć nie mógł, jeśli danego tu słowa nie dotrzymam, jeśli wszędzie zbrodniarza ścigać nie będę. Śmierć jedna wstrzyma moje ramię a oprócz niej żadna siła ludzka zemsty zabronić mi nie zdoła. Miałem piękny zawód przed sobą. Ale ja go teraz zamieniam na zawód krwi i rzezi, pomsty i śmierci, a świadczę się Tobą, o Boże, świadczę się tobą, o matko i siostro, że to czynię z mojej woli, nie z czyjego natchnienia lub rozkazu. Więc niech kara moich czynów mnie tylko dosięże, na mnie tylko się zwali. Niech mnie piekło pochłonie, niech mnie piorun zdruzgoce, bylebym dokonał zemsty, bylebym zabił Wallensteina.

Skończył młodzieniec, wznosił dobyte żelazo.

— Wstrzymaj się, synu — zawołał Adalbert — wstrzymaj się — ale już tych słów nie usłyszał kapitan, już szybkim krokiem wyleciał z ciemnego grobu i zmierzał do mieszkania Wallensteina. Z mieczem błyszczącym, z gniewem i wściekłością w sercu i na twarzy leciał wyzywać wroga.

Pułkownik Wallenstein siedział zamyślony przy szerokim stole, na którym leżał jego pałasz i pistolety. Przed nim był papier, na którym czytał przed chwilą rozkaz wyruszenia tego samego dnia jeszcze z Egry.

Smutek duszę jego przejmował i wrażenia dnia wczorajszego zajmowały serce. Wtem silna ręka porwała go za ramię. Obrócił się i poznał Alana. Natychmiast ściągnął rękę do szabli. Ale zaraz rzucił broń porwaną i pytał się kapitana o zdrowie ojca.

— Nie pytaj się o zdrowie człowieka, którego poznałeś na nieszczęście mojej siostry — krzyknął Alan — a mam nadzieję i na twoje nieszczęście. Nie odrzucaj tej broni. Owszem weź ją i chodź za mną.

— Kapitanie — odparł wstając Wallenstein, — dosyć już nieszczęścia z mojej przyczyny spadło na twoją rodzinę. Nie chciej, bym ręce zmaczał w krwi ostatniego jej potomka. Opuść mnie raczej i nigdy nie spotykajmy się na drodze życia, lub kiedy się spotkamy, wskaż swoją a ja przeciwną obiorę.

— Do stu piorunów, wychodź zbrodniarzu, wyzywam cię na pojedynek. Nie trać czasu na słowach, bierz pałasz i pistolety.

— Mości kapitanie — krzyknął z iskrzącemi się od gniewu oczyma Wallenstein — mówię ci raz jeszcze, byś mnie zostawił i nie przymuszał do zadania ci śmierci, boś zapewne musiał słyszeć, że tej ręki nikt jeszcze nie mógł zwalczyć.

— Chwal się teraz, chwal się, podły występco, z twojej odwagi. Umiesz zatruwać życie kobiety, umiesz ją do grobu wtrącać, a nie masz dosyć męstwa, byś z jej mścicielem walczył. Ostatni ci raz mówię wychodź, bo wyzywam cię na śmiertelną walkę.

— To już za nadto. Gotów już jestem, gotów. Idźmy się zabijać. Ale świadczę się niebem, że ja do tego powodu nie dałem, żeś mnie przymusił, niech więc twoja krew nie na moją głowę spływa. Zresztą — rzekł — bądź pewny, że darmo się silisz, bo nie mogę teraz i z twojej ręki zginać.

Uśmiech oznaczający wzgardę, zabłysnął na twarzy Wallensteina. Dokończając tych słów, wskazał na niebo. — Tu — rzekł — jest moja gwiazda i nie

przyszła jeszcze chwila, w której ma zblednąć. Ale idźmy, mości kapitanie.

Nie czekał długo Alan i wyskoczył z pokoju. Szedł za nim Wallenstein na śmiertelną walkę.

Ledwo minęli ostatni dom Egry, stanął pod kilkoma drzewami syn Adalberta de Reichstal.

— Nie mamy po co iść dalej — krzyknął do Wallensteina — i tu możemy śmierć znaleźć.

Staął Wallenstein i oba szabel dobyli.

Spotkały się ich pałasze, jak dwa błyszczące pioruny.

○ Jeden i drugi nastaje i siecze. Jeden i drugi napada, broni się, naciera i cofa.

Wallenstein z zimną rozważą odbijał żelazo wroga. Alan wściekle nacierał, ale zawsze jego pałasz spotykał pałasz przeciwnika a za każdym uderzeniem tysiączne iskry się sypały. Wiedli dosyć długo walkę i Wallenstein poznał moc prawicy Reichstala. Alan nie mógł znaleźć mieczem drogi do serca wroga, rzucił więc broń nieużyteczną.

— Dosyć już tego, mości pułkowniku — zawołał, — tą bronią za długo śmierci byśmy szukali. Lepiej kulom powierzmy nasze życie.

— Dobrze — odpowiedział Wallenstein i dobył pistoletu.

Alan pierwszy wystrzelił, kula przeszła kapeluszu pułkownika i zrzuciła go na ziemię. Wallenstein podniósł pistolet i widocznem było, że mierzył do drzewa stojącego przy Alanie. Ale w tej chwili zmienił swoje położenie młody Reichstal i raz odebrał w piersi. Upadł bez przytomności.

Wtem ukazał się przybywający na miejsce walki stary Adalbert. Spieszenie odszedł Wallenstein i wrócił do miasta. Zastał już pułk pod bramą, skoczył na konia, ściągnął wodze i zawołał żołnierza blisko stojącego:

— Walterze — rzekł naprzód głośno, a potem mowy po cichu dokończył. Skłonił się żołnierz a kiedy wszyscy wyruszali, on jeden się w Egrze został.

Kilka dni później pułkownik Wallenstein w zadumaniu już nad wieczorem siedział przy ognisku w wieśniaczej chacie. Nagle usłyszał tętent biegnącego konia. Zatrzymał się jeździec przed chatką.

— Czy tu stanął hrabia Wallenstein? — zawołał, a za daną odpowiedź skoczył na ziemię. Drzwi się otworzyły. Wszedł Walter i zdjawszy szyszak, zbliżył się do wodza.

— A cóż? — zawołał Wallenstein.

Żyje, pułkowniku, żyje. Ojciec go tajemnymi swej nauki sposobami uratował od zgonu. Ale wczoraj uzbrojony wyjechał z Egry.

— Do pułku Lichtensteina zapewnie?

— Nie, przeciwną udał się drogą, ale zdrów i żyje.

— Dzięki Niebu — krzyknął Wallenstein, — już mniej jedną zbrodnię.

VII.

Nowy jego towarzysz naksztalt czarnej chmury
Smutny jak noc jesienna: jak księżyc ponury,
Uśmiech opuścił usta, tylko zapal w łonie,
Tylko dzika chęć zemsty w zgasłych oczach płonie.

Bezimienny.

Piętnaście lat już było upłynęło od sławnej bitwy pragskiej. Wiele odmian tymczasem zaszło w Niemczech ciągle mieczem i ogniem pustoszonych. Cesarz Ferdynand z początku doszedł do najwyższego szczytu potęgi, poskromił buntujących się panów, starł dumę królów i książąt. Wielkich wodzów liczył w swoich wojskach: Tillego, księcia Bernarda bawarskiego, ale nad wszystkich wznosił się Wallen-

stein, postrach i śmierć protestantów. Mnogie jego zwycięstwa nagrodził cesarz zaszczytami i mnogiemi dary. Hrabia Wallenstein dostał łupem część kraju książąt meklemburgskich, a później mianował go admirałem mórz północnych i księciem Frydlandzkim. Jednak po tylu świetnych czynach coraz wzrastająca naszego bohatera duma i przyczyna, którą dał do wojny z Gustawem Adolfem, zniechęciła go w oczach Ferdynanda. Utracił dowództwo. Pogardził pyszny Wallenstein obmowami nieprzyjaciół zazdrosnych nieśmiertelnej chwale, ale zarazem otworzył serce zemście, którą miał nasycić, zrzucając z tronu cesarza i zasiadając na jego miejscu. Pomimo jednak tych niechęci, przyjął jeszcze raz książę Frydlandzki dowództwo nad wojskiem cesarskim i pospieszył uratować chylące się już ku upadkowi państwo.

Zwycięstwa Gustawa Adolfa w wszystkich przerażyły strachem, ale to właśnie obudzało męstwo Wallensteina. Wystąpił więc w pole i spotkał się ze strasznym przeciwnikiem. Niepewne zwycięstwo raz jednej, znów drugiej sprzyjało stronie.

Ale nakoniec w krwawym boju pod Lutzen starł się z całą swoją potęgą bohater cesarstwa z bohaterem wolności. Gustaw Adolf zginął na polu sławy. Odtąd nie upatrywał już nikogo Wallenstein, z którymby się mógł pomierzyć. Wrócił więc do dawnego zamiaru i rozgniewany postępowaniem cesarza pracować usilnie zaczął nad jego upadkiem. Cesarz nie zwiódł się na zamysłach Wallensteina i powtórnie go okrył swoim gniewem. Zemsta najgwałtowniejsza zapaliła serce bohatera i przysiągł zgubę dumnego pana, zawdzięczającego niełaską zbawienie Niemiec i utrzymanie tronu. Opuścił wojsko cesarskie a ze swoim własnym i z dworem, mogącym wiedeńskiemu się równać, osiadł w Egrze. Zamieszkał w zamku tego miasta wystawionym na niebotycznej górze. Stąd jak orzeł bystreimi spoglądał oczyma na całe Niemcy, śmiało

wpatrywał się w słońce panujące nad niemi, w słońce świecące przez jego zwycięstwa i ścisnął już szpony na jego zgubę.

Właśnie wtenczas kończył się rok piętnasty od bitwy pod Pragę stoczonej i od czasu, w którym pułkownik Wallenstein pierwszy raz poznał Egrę. Wracając do tego miasta, Wallenstein zaledwo przypomniawsobie zdarzenia, których niegdyś był tu świadkiem. Tyle bowiem przypadków, tyle zdarzeń widział od tego czasu, że śmierć Minny, rozpacz jej ojca, pojedynki z bratem, jak przez mgłę mu się przypomniały. Ale kiedy ujrzał na wzgórku dom astrologa, kiedy poznał wieżę, z której Adalbert de Reichstał prorokował mu przyszły zawód, wzruszyło się jego serce i ledwo że łza nie zabłysła w oku. Ważne sprawy w późniejszych dniach zachodzące, nie dały mu czasu spytać się o astrologa. Cały dzień bowiem dwieście paziów wprowadzało lub wyprowadzało od księcia Frydlandzkiego książąt, panów i posłów ze wszystkich niemieckich krain. Ci mu swe hołdy przynosili, ci dary pod jego składali stopy, tamci przybywali tajemnie się z nim naradzić, inni wyprawieni przez dwór wiedeński zdradzać wielkiego męża przychodzili a, podchlebiając jego dumie, śledzić skryte zamiary i knujące się na Ferdynanda spiski. Przyjmował wszystkich Wallenstein z dumą panującego. Dworzanie, lśniący się złotem i srebrem, wprowadzali posłów do szerokiej sali zamku egierskiego. Tu czekał na nich zbawiciel cesarstwa. Na wysokim tronie siedział z twarzą zasepioną. Ręka najczęściej spoczywała na rękojęści bogatego pałasa. Odpowiadał krótko na przełożenia, a często ruchem głowy lub skinieniem ręki wolę swą oznajmiał, rozrządzał narodami i królestwami. Ponurym wzrokiem spoglądał na otaczających, ale tym wzrokiem zgłębiał duszę każdego, czytał na twarzach poruszenia serca i wysledzał najmniejsze duszy uczucia. Jednej zdrady nie

mógł poznać, bo jej się nie bał, bo nie zadawał sobie nawet pracy do jej wykrycia. Nie lękał się bowiem zdrajców, nie lękał się najzaciętszych wrogów. Ufny w swoją gwiazdę, pogardzał ludźmi i jak gdyby sam nie był człowiekiem, nie chciał się zniżać aż do nich. Wiek i podjęte trudy swe piętno na jego twarzy wyryły. Blade lica, ścięte usta, smętne oczy, nie zgadzały się z pysznym ubiorem. Ale Wallenstein był zawsze wielkim i wola jego, jakby piorun rzucony z niebios, wszystko przynaglała, a opierających się druzgotała. Nie namowami, nie podarkami, nie pochlebstwem postępował do swego celu, ale rozważą, ale sławą nabytą przez wieloletnie zwycięstwa i wojny. Ciało jego już osłabło, siły osłabły, ale rozum wszystko podgarniający pod siebie nie zagaśł. Owszem rozwijał się w całej swej mocy, z nową trudnością nowe wynajdował sposoby i, wszystko przewyciężając, gotował sobie drogę do potęgi i chwały. Drżeli wszyscy przed bohaterem, nikt jawnie podnieść miecza nie śmiał na niego i w ciemnościach tylko nocy ostrzyły się sztylety, mające ugodzić w piersi księcia Frydlandzkiego. Na około niego stali zbrojni męże w ozdobnych zbrojach, a zewsząd sypały się roje dworzan i paziów, kornie bijących czołem przed panem pysznym z swojej wielkości, który ją teraz nie cesarzowi, ale sobie samemu był winien.

Miedzy dworzanami Wallensteina odznaczał się pułkownik Leslie, powiernik jego i największy przyjaciel. Od kilku lat już się przywiązał do księcia Frydlandzkiego i nawet w bitwie pod Lutzen uratował mu życie. — Od tej chwili polubił go Wallenstein i ciągle obsypywał dobrodziejstwami. Leslie miał już trzydzieści i kilka lat. Ogromne wąsy i bródka hiszpańska czerniły się naokoło ust jego. Twarz miedzianej barwy świadczyła o podróżach w dalekich krajach odbytych i walkach stoczonych w Afryce, o których często mówił. Rodem miał być ze Szkocyi. W mło-

dym wieku puścił się na morze i popłynął do Afryki. Tam z Anglikami walczył przeciw tamecznym ludom. Ale nareszcie zachciało mu się wrócić do Europy. A jak tylko stanął na brzegu ojczystym, usłyszawszy o wojnie wrzącej w Niemczech, wyprawił się na nią, poznał wielkiego wodza i los swój z jego losem połączył. Takie było opowiadanie pułkownika. Zresztą wszyscy znali moc jego ramienia i odwagę, którą świadczyły blizny, krzyżujące się na twarzy. Nie używał on wpływu swego na serce Wallensteina, żeby szkodzić drugim, ale uważał, że często rady dawane przez niego księciu Frydlandzkiemu nie były najlepszymi. Kochał go jednak dumny Wallenstein i wszyscy, idąc za przykładem pana, kochali go lub udawali, że mu sprzyjają. Wpadał czasem Leslie w czarną posępność. Wtenczas nienawidził świat i ludzi. Zdawało się, jak gdyby pamięć jakiego nieszczęścia wszystkie jego zatłumiła uczucia i serce tylko zemście otwierała. Z nikim nie obcował, nigdy uśmiechem nie powitał przyjaciela, nigdy oka nie zwrócił na hoże dziewice. Sam w sobie znajdując świat cały, głuchy był na wesołe pienia, na uniesienia radości. Zimne jego serce niczem się nie wzruszyło, chyba kiedy wlewało w niego gorzkie przeszłych zdarzeń przypomnienie. Wtenczas zdawał się odchodzić od zmysłów. Oczy jego zawsze martwe żywym zapałały ogniem, podobnym do błyskawicy, która wśród czarnej nocy rozdziera chmury i ogłasza światu grzmot strasznego piorunu. — Chodził po długich zamku kurytarzach. Jęczał i wzywał zemsty niebios na wroga. Przysięgając jego zgubę, dobywał miecza i miotał przekleństwa. Sam Wallenstein szanował te uniesienia i nigdy nie przerywał słów bez porządku wymawianych, między którymi zemstę najczęściej słyszano. Zresztą pułkownik Leslie wykonywał rozkazy Wallensteina z nadzwyczajną szybkością. Daremnie nieraz pytał go się książę Frydlandzki o przyczynę czarnego smutku. Nic nie od-

powiedział Leslie lub mówił: nie czas jeszcze, najjaśniejszy książę.

A wtenczas włosy jeżyły mu się na głowie, drżał cały, zwracał wzrok ognisty na Wallensteina, a ręką dotykał się sztyletu lub miecza. Nie uważał na te oznaki bohater, ciągle łaskami obsypywał Lesliego, powierzał mu tajemnice i często powiadał, że wkrótce Ferdynand jeszcze się uniży przed tym, który go utrzymał na tronie a za to doznał jego gniewu i niełaski.

VIII.

Ryszard:

Zabij: złoto ci trudy nagrodzi sowicie.

Arnald:

Co! jabym miał tą zbrodnią splamić moje życie?
Nigdy.

Szekspir.

Dnie upływały a Wallenstein, ciągle trapiiony chęcią panowania i pragnieniem zemsty, nie mógł się nasycić swoją wielkością i jeszcze świetniejszych żądał zaszczytów. Jednego wieczora otoczony dworzanami, mając przy boku Lesliego, pułkownika Butlera, służącego w jego gwardyi, patrzył z wysokiej zamku egierskiego wieży na miasto i okoliczne pola, oświecone ostatnimi zachodzącego słońca promieniami.

Zielone drzewa i kwiaty w ogrodach uprzyjemniały obraz rozwijający się szeroko przed oczyma.

Zdala czerniały się lasy i Czech niebotyczne góry. Lekki wietrzyk przynosił aż do Wallensteina ulatujące po powietrzu wonie. Wszystko szczęśliwem i wesołem było. Wszystko się uśmiechało. Ale piękne przyrodzenie nie było w zgodzie z sercem księcia Frydlandzkiego. Przypominał sobie, jak piętnaście lat przedtem podobnie spoglądał z wieży na Egrę. Przypominał sobie proroctwo astrologa. lecz kiedy stanęły

mu ostatnie słowa w pamięci, mimowolny dreszcz po nim przeszedł i zbladły mu lica. Ale prędko ukrył to pomieszanie. W tej chwili czerwony promień słońca odbił się od wieży domu astrologa.

— Pułkowniku Leslie, widzisz tę wieżę?

— To wieża mego... To wieża — odparł żywo Leslie, — to wieża astrologa.

— Nie wiedziałem, że znasz jej pana — rzekł spokojniejszym głosem Wallenstein.

— Słyszałem niedawno o Adalbercie de Reichstal.

— I imię nawet — a to już zanadto.

— Szczególnym dowiedziałem się sposobem.

— Wyjaw mi go, — to mówiąc, skinął księżę Frydlandzki, a dworzanie i Butler go opuścili.

— Wyjaw — powtórzył Wallenstein. — Wątpię, żeby jeszcze pamiętali.

— Żeby jeszcze pamiętali! — krzyknął Leslie z iskrzącymi się od gniewu oczyma. — Jest serce, co pamięta i co za każdą krwi kroplę odda jej strumienie.

— Cóż znaczy ta mowa, pułkowniku? — zawołał księżę, orywiąc Lesliego za rękę i silnie nią wstrząsając. — Obudź się, bo widzę, że znów w szal zwyczajny wpadasz.

— Prawda najjaśniejszy księżę, często pamięć nieszczęść miesza mój umysł. Przebacź tej krótkiej zapomnienia się chwili. O Adalbercie de Reichstal i córce jego słyszałem od tutejszych mieszkańców.

— Więc jeszcze nie zatarła się pamięć jej śmierci, po piętnastu latach zaburzeń i wojen. Leslie, ty, który jeden możesz zrozumieć moją duszę i objąć moje zamiary, przyszedł czas objawić ci zdarzenie, które goryczą napełniło kilka dni w mojem życiu.

Tu siadł Wallenstein i zaczął opowiadać swoją miłość ku Minnie i jej nieszczęśliwe skutki. Za każdym słowem zmieniała się twarz pułkownika, za wymówieniem imienia Minny drżały mu usta i piekielny ogień żarzył się w oczach. Nie mógł ostać na miejscu,

chodził wzdłuż i wszerz, ciche wymawiał słowa i zdawał się walczyć sam z sobą. Wallenstein przyzwyczajony do tego, ciągnął powieść i trzymał oczy wlepione w wieżę Adalberta de Reichstal, która się jeszcze czerniała wśród mroku, jak pamięć zbrodni w przeszłości, nie widział przeto, jak Leslie dobył sztyletu, wtenczas, kiedy opisywał gniew młodego Afana i pojedynkę z nim odbyty, i jak go znów do pochwy schował. Nareszcie temi słowy zakończył:

— Mimo największych starań, nigdy się nie dowiedziałem, gdzie uszedł lub gdzie przebywa.

— Może dowiesz się kiedy, najjaśniejszy książę — rzekł pułkownik i z uśmiechem szyderczym na ustach pytał się Wallensteina, — czy żadnych nie ma do wydania mu rozkazów.

— Leslie — krzyknął książę, — chcę odwiedzić dom astrologa, w którym pierwszy raz uczułem miłość i ostatni, mogę powiedzieć, bo później cała moja miłość w tem była. To mówiąc uderzył o rękojeść miecza. Nie kochałem nawet córki Starracha, nie, to nie była Minna de Reichstal. Chcę jeszcze raz zobaczyć starego Adalberta, jeśli żyje, a przynajmniej wejść jeszcze na wieżę, skąd mi przepowiedział przeznaczenie świetne. Tak, usłałem pod moimi nogi trony i mocarze, zwalczyłem wszystkich, pokonałem wszystkich. Zostaje się jeszcze jedna część proroctwa, która jeśli się spełni, Adalbert był największym i najuczeńszym astrologiem.

— A jakaż to jest?

— Leslie, powiem ja tobie jednemu, że żelazo zabójcze wytrąci z moich rąk koronę cesarską.

Na te słowa spojrzął na sztylet pułkownik, jak gdyby chciał powiedzieć: „już to żelazo gotowe.“

— Ale może pomylił się Reichstal — dalej mówił Wallenstein. — A zresztą, powtarzam, że sława pierwszem była mojem życzeniem. A dosyć jej mnie otacza, koronę w drugim już kładę rzędzie; jeśli nią ozdobię moje skronie, tem lepiej; jeśli nie, to i tak

przejdę do nieśmiertelności. Ale słuchaj, Leslie, chcę dziś jeszcze wieczorem odwiedzić astrologa. Pójdziesz ze mną.

— Nie mogę.

— Ja chcę — krzyknął książę Frydlandzki.

— Więc niech i tak będzie — odparł Leslie i rozeszli się.

Już zegar zamkowy dziewięć razy swe brzęki powtórzył. Niebo jaśniało rozsypanemi na jego błękitach gwiazdy. Księżyc na wozie z chmur złotych wznosił się po lazurowym przestworzu. Upał dnia letniego zwalniał się powoli. Słodka rosa odwilżyła podnoszące się głowy świetnych kwiatów a lekki wietrzyk poruszał liście drzew otaczających wały zamkowe. Przechadzał się po nich żołnierz zbrojny w świecący szyszak, w stalowy pancerz, ciężki pałasz i parę pistoletów wiszących u skórzanego pasa. Twarz jego zamyślenie wydawała; promienie księżyca oświecały ją zupełnie. Czoło zmarszczone od trudów wojennych i poczerniałe lica oznaczały walecznego wojownika. Wyraz poczciwości jaśniał w oczach, ale łatwo było poznać we wzroku smutek połączony z zadziwieniem. Wtem zbliżył się człowiek w szerokim płaszczu, z kapeluszem czarnymi ocienionym pióry. Skłonił się żołnierz na jego widok.

— Dobry wieczór, Walterze, cóż tak zamyślony chodzisz wzdłuż i wszerz warowni?

— Zamyślony! mości pułkowniku, a może mam przyczynę do tego — odpowiedział oddawna znany nam Walter.

— Cóż to może być?

— Oto niedawno widziałem księcia wychodzącego tą bramą z towarzyszem, którym, zdało mi się, że jest pułkownik Leslie.

— Leslie! — powtórzył zdziwiony nieznajomy. — Pewno cię wzrok omylił. Książę nigdy o takiej nie wychodzi godzinie.

— Znam ja dosyć Wallensteina — odparł, pokręcając węża, — wiele razy widziałem go na polu sławy. Widziałem, jak on, podobny do lwa wściekłego, ścierał się z heretykami.

— Zaręczam ci, pułkowniku Butlerze, że się nie zwiódłem. O Lesliem nie mogę twierdzić, bo nie często go widzę.

— Gdzież więc się udali, w jaką stronę?

— Do domu astrologa.

— Do domu astrologa? cóż to za astrolog?

— Zdaje mi się, że słyszałem od Lesliego o jakiejś Minnie.

— Od Lesliego! — krzyknął zdziwiony Walter.
— Ach! to już takiemu dyabłu książkę tajemnic powierza.

— Nie gniewaj się na mego towarzysza. Ale słuchaj, mam z tobą do mówienia. — I schylił się pułkownik do ucha żołnierza.

— Mów głośno, pułkowniku Butlerze. Nie mam nic do ukrycia na tym świecie. Racz mówić głośno, pułkowniku Butlerze, przecież nikt nie słucha, a ja nie cierpię tych szeptów, tych tajemnic. Prosto, otwarcie, szczerze powiedzieć, to ja lubię. To przystoi na pocziwego żołnierza; a potem nikogo się nie boję, bo mam przyjaciela u boku, który wiele razy największej dał mi dowody przyjaźni.

— Tu mury słuchają — rzekł Butler, — tu drzewa w każdym liściu nateżone mają ucho. — Nagle ze zwyczajnego głosu przeszedł do najśłabszego, ale cichą mowę żywemi wyrażał poruszeniami, znać było, że do czegoś namawia żołnierza. Głośniejsze czasem dawały się słyszeć słowa. — Wierz mi, to nie zdrada. To usługa dla monarchy. Dumny człowiek. Przysięgłeś na wierność cesarzowi. Obsypie cię bogactwami. Zaufaj mnie. Potrzeba dla spokojności państwa.

Twarz żołnierza podczas tej rozmowy rozmaitym podlegała odmianom. Gniew, oburzenie, pogarda, szybko w jego oczach przemijały.

Nareszcie lice jego ognistym pokryły się rumieńcem. Oczy zajaśniały najżywszym płomieniem.

Odepchnął Butlera.

— Milcz — krzyknął, — nikczemniku, milcz, szatanie pokusicielu. Przysiągłem na wierność nie Ferdynandowi, który jak słabe dziecko chwieje się na tronie, ale księciu Frydlandzkiemu. Ty sam niedawno w Pilzen tę samą składałeś przysięgę. Za Wallensteina życie bym oddał. Milcz, jeśli nie chcesz, żebym cię zrzucił z tych wałów. Śmierć jego. Ty śmiesz o tem myśleć? drżysz, nikczemniku.

— Uspokój się, Walterze, uspokój się.

— Ocal siebie, ocal pułk cały a za to obiecuję ci nagrodę. Oto masz zadatek wdzięczności cesarza. — To mówiąc, wyciągnął Butler sakiewkę pełną złota i podał ją Waltrowi.

Żołnierz porwał pieniądze i rzucił je ponad wysokie zamku egierskiego mury.

— Nie przekupisz mnie, zbrodniarzu — krzyknął w gniewie. — Odejdź, bo przysięgam, że tym pistoletem życie ci wydrę.

Wyjął broń z za pasa i przyłożył ją do serca Butlera. Cofnął się o kilka kroków zmieszany pułkownik.

— To wszystko żartem było — zawołał wyciskając śmiech udany na drżących ustach, — chciałem doświadczyć twojej wierności. Dobrze, Walterze, dobrze, widzę, żeś wierny księciu.

— Nie tak łatwo mnie oszukać — odparł Walter, — i Wallenstein o tem jutro będzie wiedział. Nawet i dzisiaj.

To mówiąc, skoczył z wału i jak strzała pobiegł ku domowi astrologa. Butler odwiódł kurek u pistoletu, skierował broń na żołnierza i wystrzelił. Ale po śmiechu usłyszanym i podwojonej szybkości kroków poznał pułkownik, że jego kula nie trafiła Waltera.

Żołnierz prędko mijał domy egierskie i po nie-
długim czasie przybył na wzgórek.

Miłość ku Wallensteinowi sił mu dodawała. Wszedł do domu: niewstrzymany, jak niegdyś, zamkniętymi bramy i w cichości długi przeszedł kurytarz. Słabe światło uderzyło go w oczy i ujrzał drzwi dawnego pokoju astrologa napół otwarte. Chciwy usłyszeć rozmowę Wallensteina, stanął przy nich i wszystko pilnem przebiegł okiem.

Słaby płomień lampy, w bladawych rozlewając się promieniach, oświecał Wallensteina stojącego z Leslieem przy łożu, na którem jęczał zgrzybiały starzec z długą, śnieżną brodą. Księgi różnej wielkości leżały po stołach, szafach i posadzce. Wallenstein obrócił się ku drzwiom.

— Zostań się tutaj, Leslie — rzekł do pułkownika i ostatnie jego chwile osłodził twoją przytomnością. Skłonił głowę Leslie a Wallenstein odszedł. Jak tylko ujrzał go na dziedzińcu, Walter wyskoczył z domu i silnym zawołał głosem:

— Najjaśniejszy książę, racz zatrzymać się przez chwilę i posłuchać wiernego żołnierza.

— Kto śmie mnie wołać — odparł Wallenstein, — kto śmiał śledzić moje kroki w pośród cieni nocy i badać moje zamiary.

To mówiąc dobył pałasza, ale poznał zbliżającego się Waltera.

— Któż ci pozwolił opuścić straż wałów?

— Twoje niebezpieczeństwo — po cichu odparł Walter, to mówiąc kląkł przed bohaterem i rzekł do niego:

— Najjaśniejszy książę, znasz wierność Waltera, wiesz, że zawsze jego męstwo odznaczało się na polu bitew. Przysiągłem tobie na wierność, przysiągłem nie mieć innego pana nad ciebie. Dzisiaj, oto niedawno, pułkownik Butler przybył do mnie, pełną złotą ręką chciał namówić do zdrady, do zbrodni. Radził, bym cały pułk odwiódł od ciebie.

Nareszcie zakończył odkryciem największej zbrodni. Tak, najjaśniejszy książę, on chce, twojej śmierci.

— Mojej śmierci! Butler! mojej śmierci — krzyknął zdziwiony Wallenstein. — Jam go dobrodziejstwy obsypał, łaskami obdarzył.

— Nie, me dziecko, mylisz się, wierny mój przyjacielu. Zapewne chciał doświadczyć twojej wierności lub żartować. Ale zresztą dziękuję ci, Walterze, za ostrzeżenie i za to masz ten worek. — Ale — dodał ostrym głosem — wracaj prędko na swoje stanowisko, bo żołnierz żaden opuszczać go nie powinien, żeby gwiazdy nawet padały na ziemię. Szczęście twoje, żeś spotkał samego Wallensteina, a nie księcia Frydlandzkiego, bo wtenczas musiałbyś zginąć za karę niedbałości. Wracaj więc, Walterze i niech nikt się nie dowie, że Wallenstein mógł przebaczyć komu.

Ułuchał rozkazu wodza żołnierz, ale ze spuszczoną głową, ze smutkiem w sercu spiesźnie wracał na stanowisko. Ledwie tam przybył, aliści ujrzał Wallensteina wchodzącego w bramy zamkowe.

IX.

Viens donc, viens détacher mes chaines corporelles
Viens, ouvre ma prison; viens, prette-moi tes ailes;
Que tardes-tu? Parais, que je m'élance enfin
Vers cet etre inconnu, mon principe et ma fin.

Alph. de Lamartine.

Tymczasem pułkownik Leslie z założonemi rękoma w głębokiem zamyśleniu stał naprzeciwko łoża boleści, na którem umierał srogą znękany chorobą i podeszłą osłabiony starością Adalbert de Reichstał.

Adalbert podniósł się trochę, wyciągnął rękę ku Lesliemu i rzekł często przerywanym głosem:

— Jutro już mnie nie będzie; ale powiedz mi, śmiertelny człowiecze, czy to nie mara, nie snem było. Zdało się osłabionym oczom, że widzę Wallensteina. Ach! jakże się zmienił. Dawniej czoło bohatera jaśniało boską pogodą, teraz smętność i zmarszczki go szpecą. — Jednak choć osłabiony wiekiem, choć trapiiony boleściami, poznałem jeszcze te oczy, ten wzrok pełen ognia, który tyle razy zwracał się na Minnę. Słyszałem, że wiele zwycięstw odniósł, a zapewne teraz pnie się do tronu.

— Do tronu — powtórzył Leslie, — do tronu! a któż ci to odkrył? Czyż człowiek przy śmierci może zgłębiać najskrytsze śmiertelnych myśli, czyż dusza mająca się wkrótce oderwać od ciała, unosi się nad sercami innych.

— Nędzny prochu, słaby człowiecze — znów odezwał się Adalbert, — spojrzij w to niebo, a tam poznasz myśli i zamiary ludzi. Przed piętnastu laty już wiedziałem, że Wallenstein pokona, zwycięży, wzniesie się wyżej, ale upadnie. Powiedz mu odemnie, jeśli jego przyjacielem jesteś, powiedz mu, że już kres życia dla niego się zbliża, lub lepiej nic nie mów, gdyżby cię nie usłuchał, niech losowi stanie się do woli.

Wtenczas Leslie zbliżył się do Reichstala.

— Przyjmuję — rzekł po cichu — tę wróżbę i tem śmieiej postępować będę.

— Dla czegoż — rzekł po chwili Adalbert — zostajesz się przy umierającym starcu, dla czegoż pilnujesz osłabionego człowieka?

Nic nie odpowiedział pułkownik.

— Ostatnia moja chwila się zbliża, wszyscy mnie opuścili; żona, córka, syn może w zimnym spoczywa grobie; tyś jeden ulitował się nademną; zawdzięczę ci za to sposobem, który jeden mi tylko pozostał. Bogactwa złupili protestanci, siłę wiek odjął,

ale wiek rozumu i nauki nie wydarł. Wesprzyj mnie ręką, zaprowadź do okna, niech raz jeszcze spojrzę na niego, a powiem ci co cię czeka, powiem ci jak daleka śmierć od ciebie.

Usłuchał Leslie starca; podniósł się Adalbert i wsparty na rękę pułkownika, słabym krokiem zmierzzał do okna, przy którym stało jego krzesło i ogromny teleskop dawno już nie używany. Usiadł i drżącą ręką przysunął astronomiczne narzędzie. Gasnące oczy przyłożył do szkła przybliżającego oku śmiertelnemu gwiazdy i nieskończone światy. Długi czas patrzył na niebo, nareszcie pchnął teleskop, który padł na ziemię i na drobne rozłukł się kawałki.

— Tyś już mi niepotrzebny — silnym zawołał głosem; — nieszczęścia same mi tylko wskazujesz.

Potem porwał z nadzwyczajną siłą rękę pułkownika i dość długo po niej linie się krzyżujące rozważał; nareszcie powstał, dobywając sił ostatnich, rzucił się w objęcia Lesliego i zawołał:

— To ręka Alana, nikt inny nie miał takich znaków. Zginiesz wraz z Wallensteinem. Wasze gwiazdy się spotkały, ale na śmierć waszą. Umieram, wiesz gdzie grób naszej rodziny, pochowaj mnie z żoną i córką.

Ostatnie to były słowa Adalberta de Reichstal, jeszcze raz podniósł oczy ku niebu, jeszcze raz ścisnął rękę przerażonego pułkownika i upadł na krzesło. Łzy płynące z oczu jego zatrzymała ręka śmierci, a dusza astrologa wzbila się ku światom, które za życia rozważał.

— I ciebie już nie ma — cichym głosem rzekł Leslie; — wkrótce więc i ja zginę, ale zemszczony.

Całą noc przepędził pułkownik przy Adalbercie, nazajutrz rano wyszedł z pustego już teraz domu. Łza samotna spłynęła na jego lica, ale to ostatnia była, którą miał wylać za życia.

Ciała astrologa nie znaleziono w jego komnacie, a sąsiedzi zgromadzeni na pogrzeb Reichstala, rozeszli się, mówiąc po cichu, że zapewne Wallenstein kazał go przed śmiercią swoją pochować; niektórzy zaś wierzący w czary twierdzili, że duch ciemności przywłaszczył sobie Adalberta.

Ale wkrótce już nie mówiono o tem zdarzeniu, bo chodziła pogłoska, że księżę Frydlandzki nie lubi, żeby wspomniano o Adalbercie.

Pamięć bowiem nieszczęść, które z jego ojczyzny na rodzinę Reichstalów spłynęły, truła jego spokojność, a nieraz za wymówieniem imienia Minny bladły mu lica. Przestali więc mówić o Adalbercie de Reichstal, a pułkownik Leslie ani słowa nigdy nie wyrzekł o nocy, którą przepędził obok konającego starca.

X.

I w zemsty srogiej udziale
Pastwić się będę.

Harald. — Tragedya.

Tygodniem później siedział pułkownik Leslie w ubogiej chacie, wśród czarnego lasu leżącej. Stały przed nim na stole puhary i konwie pełne węgierskiego wina. — Kilku wojskowych przechadzało się po komnacie, której okopcone i czarne mury posępność w serce wlewały. Już się zaczynało ciemnieć, a po kilku słowach, niecierpliwość oznaczających, zdawało się, że czekają na kogoś. Leslie oparł głowę na rękę i zarzucił szeroki płaszcz naokoło siebie.

Błada twarz, zmarszczone brwi i ponurość czoła, boleści duszy oznaczały. Wlepiał wzrok w drzwi chaty, ale ten wzrok nie miał już dawnej żywości. Martwe oczy, jakby u trupa, już się świetnym nie paliły ogniem, ale serce zato stokroć gwałtowniejszym wrzało. Serce wrzało namiętnościami a rozpacz

nie mogła się utrzymać we wzdętych piersiach, częste jęki z nich wychodziły, często ręką uderzał o stół dębowy, ale na żadne zapytanie nie odpowiadał, i czasem się pograżał w dumanie tak, że można było wątpić, czy żyje lub czy jego dusza, ciała nie starzała więzów.

Już noc ciemna zupełnie pokryła niebo. Już liczne pochodnie zaświetniały w chacie. Wiatr silny starodawne dęby uginał a, przeciskając się przez szpary niedobrze spojonego drzewa, z przeraźliwym świstem na wszystkie strony poruszał pochodni. Już niecierpliwość osób będących w chacie do najwyższego doszła stopnia. Często dawały się słyszeć wyrazy: „Chyba go szatan porwał.“ Już dziś nie przybędzie. Niewiedzieć po co tuśmy się zebrali. Jedźmy; i już nawet chcieli wychodzić z chaty i wsiąść na konie, kiedy Leslie rozkazującym rzekł głosem:

— Czekaście jeszcze! Zaręczam, że niezadługo tu będzie.

Ledwo słów tych dokończył, otworzyły się drzwi i wszedł pułkownik Butler. Na jego widok skłonili się wszyscy. Niósł w swoich rękach małą szkatułkę lśniącą się złotem i drogiemi kamieniami i złożył ją na stole. Leslie nie ruszył się z miejsca i najmniejszego znaku uwag. na zdarzające się wypadki nie dawał.

Butler wystąpił na środek chaty, obtarł pot z czoła i rzekł do przytomnych:

— Towarzysze! przysięgliśmy na śmierć Wallensteina. Ferdynand, nasz prawy cesarz, powoływa nas do czynu, mogącego nam zjednać chwałę nieśmiertelną i względy monarchy. Tu krzyki radości: niech żyje Ferdynand, nasz cesarz! niech żyje Ferdynand! przerwały mowę pułkownika, ale kiedy wróciło milczenie, znów dalej mówił.

— Wszyscyśmy gotowi śmierć i niebezpieczeństwo ponieść, byleby spełnić wolę panującego. Towarzysze! nie kryję przed wami, że Wallenstein włada

sercami żołnierzy, że wojsko kocha go jak ojca. Jednak udało mi się przekupić dwa pułki jego gwardyi i przyłączyć do naszego spisku większą część oficerów, którzy przysięgli mu na wierność niedawno w Pilzen. Kilku tylko nie można namówić, ale ci jutro zginą. Zaprosiłem ich na wielką biesiadę. Wśród okrzyków: Niech żyje książę Frydlandzki! — śmierć znajdą, a ich krew popłynie zmieszana ze strumieniami wina. Wśród puharów i radości, wśród śpiewów i poklasków upadną. Sam Wallenstein miał zginąć podczas tych godów, — ale na nieszczęście odmówił mojemu zaproszeniu. Dumny książę Frydlandzki nie raczył zasiąść u stołu pułkownika Butlera, ale za to śmierć mu obiecuje. Tak, bracia! śmierć jemu będzie za łupę, za spiski knowane na Ferdynanda. Pewnym jest korony cesarskiej, ale zamiast tronu, znajdzie zimną śmierci rękę. Kiedy jutro u mnie na biesiadę sproszeni wszyscy jego dworzanie radować się będą, trzeba, żeby który z was poszedł i własną ręką zamordował Wallensteina.

— Pułkownik Butler! Pułkownik Butler!

— Odważny nasz pułkownik! — krzyknęli otaczający go wojskowi.

Zbladł Butler na samą myśl zadania śmierci wielkiemu mężowi.

— Nie mogę — rzekł, — żadnym sposobem nie mogę. Muszę biesiady pilnować. Już biorę na siebie zamordowanie jego przyjaciół i generałów przywiązanych do niego. Ale ciągnijcie na los, czyja ręka ma utopić żelazo w piersi nienawidzonego człowieka. Niech los rozstrzygnie, komu przyjdzie oddać tak ważną ojczyźnie i dworowi usługę.

Na te słowa skoczył Leslie z krzesła, jak gdyby obudził się ze snu głębokiego.

— Ja — krzyknął, — ja mu serce tym żelazem przebiję; on ją wciągnie do grobu; ja zemstę się na nim; towarzysze! wyświadczyć mi tę łaskę:

towarzysze, powiedzcie: Twoja ręka niech się w krwi jego zboczy, — a najwyższe szczęście moim będzie udziałem.

— Pułkowniku Leslie — odparł Butler, — nie odmawiamy ci tego. Niech więc twoja ręka w jego krwi się zboczy.

— Tegom pragnął, tegom żądał — zawołał Leslie; — to moim przez tyle lat było celem; nie spuściłem go z uwagi ani w pustyniach Afryki, ani w krwawych z Indyanami walkach. W Anglii myślałem o śmierci Wallensteina; w Azji myślałem o śmierci Wallensteina. Pod Lutzen, kiedy życie mu ocaliłem, myślałem o jego śmierci, moją ręką zadanej. Ciesz się, Minno; już bliska zemsty chwila; on cię zabił, on wlał truciznę w twoje serce. Twój brat go zabije i rozedrze jego piersi żelazem.

Skończył Leslie, usiadł i znów do dawnego wrócił milczenia; Butler wtenczas obrócił się ku niemu i rzekł:

— Pułkowniku, jutro jak posłyszysz u mnie okrzyki radości i pochwały Wallensteina, wymkniesz się z biesiady, a niech się nie omyli twoja prawica, niechaj twoje żelazo nie chybi, ale niech się zanurzy po rękojeść w piersi Wallensteina. Masz wolny przystęp do jego pokoju. Tem łatwiej wypełnić ci ten czyn szlachetny. Ale teraz mam ogłosić wam, towarzysze, że cesarz po śmierci Wallensteina każdego z was wyższym stopniem obdarza. Posłaniec dziś przybyły z Wiednia oddał w moje ręce tę szkatułę. W niej mieści się nagroda dla tego, który z nieustraszoną sercem pójdzie ocalić monarchę, zrzucając Wallensteina ze szczytu potęgi. Ta nagroda jest wielka i godna cesarza Niemiec, szczęśliwie nam panującego Ferdynanda.

To mówiąc, wziął Butler szkatułę, złożył ją przed Lesliem, otworzył i wyjął order złotego runa wiszący na łańcuchu lśniącem się złotem i dyamenty.

— Tobie się ten zaszczyt należy, pułkowniku, tobie cesarz go przeznaczył, a wkrótce stopień generała...

— Stój, Butlerze — krzyknął piorunnym głosem Leslie, — stój, nie dla złotego runa, nie dla Ferdynanda moja ręka wzniesie się na Wallensteina. Śmierć jego najlepszą dla mnie będzie nagrodą. Zemsta mi nakazuje zabić księcia Frydlandzkiego, nie chcę ani złota ani zaszczytów. Nie dla złota błąkałem się tyle lat, nie dla złota zniósłem burze morza i spiekle wschodu słońca, nie dla złota bezsenne pędziłem noce, myśląc o zgonie wroga, nie dla złota daleko od ojczyzny w rozpacz młode strawiłem lata. Wy nie wiecie, co to znaczy zemsta. Was złoto, was zaszczyty, was skarby poruszają. Mnie nic prócz zemsty nie wzrusza; wre ona w mojem sercu. Po śmierci Wallensteina wszystko mi jedno, czy zginę, czy na najświetniejszym tronie zasięde.

To mówiąc, porwał za łańcuch ofiarowany przez Butlera, rzucił go pod stopy i zdeptał.

— Gardzę tobą, gardzę cesarzem, który cię przysłał, gardzę wami, gardzę światem. Tym jednym nie gardzę — i uderzył o rękojeść miecza, — bo w tym jedyna moja nadzieja.

Wyrzekłszy te słowa, wyszedł z chaty.

— On szalony! — krzyknęli wszyscy.

— Tem lepiej — ozwał się Butler, — kto szalony, nie trwoży się, stojąc nad przepaścią. Ale, bracia, pamiętajcie dobrze nagotować szable, bo jutro nie tylko Wallensteina krew popłynie. A teraz wracajmy do Egry.

To mówiąc, wyszedł z chaty a za nim inni. Wkrótce tętent ich koni szum wiatru przygłuszył.

XI.

Któżby to był powiedział, któżby się spodziewał,
Kiedy jego tryumfy wschód i zachód śpiewał.

Trembecki. — Powązki.

Dnia następującego jedno skrzydło zamku egierskiego tysiącznemi jaśniało pochodniami. Liczni słudzy ustawicznie wychodzili i wracali w świetne pokoje zamieszkane przez pułkownika Butlera, a w których teraz wesola odbywała się uczta. Siedzieli przy długim stole, uginającym się pod dzbanami srebrnemi i puharami ze złota, wodzowie i oficerowie wojska księcia Frydlandzkiego. Większa ich część już za obiecaną nagrodą przeszła na stronę spiskowych czyli dworu wiedeńskiego, kilku jeszcze wiernych zostało, niewiedzących nawet o zamachach podłych zdrajców.

Zanadto Butler znał ich cnotę i przywiązanie do wodza, żeby śmiał przed nimi o spisku napomknąć. Wolał ich się czarną pozbyć zdradą. Na lśniącej się sali bogatemi obiciami stali żołnierze gotowi na skinienie pułkownika, a miecze błyszczące już dobyli z pochew.

Tymczasem okrzyki: „niech żyje książę Frydlandzki, nasz pan i dobroczyńca“, odbijały się od wklęsłych sklepień, a za każdym krążeniem puharów, podwajały swojej mocy. Kilka razy Butler nie chciał wziąć w ręce złotej czary, ale kiedy coraz mocniej nalegać zaczęto, kiedy już stronnicy Wallensteina, dobrze winem zagrzani, wyrzucali mu nieżyczliwość ku księciu Frydlandzkiemu, wziął nareszcie w ręce świetny roztruchan, wznosił go do góry i silnym zawołał głosem: „Niech tak krew Wallensteina popłynie;“ i wylał pieniące się wino. Na te słowa powstali wierni Wallensteinowi. Ale biesiada zwątpiła ich siły. Doremno drżącą ręką szukali rękojeści pałasza. Inni udźwignąć tyle razy zwycięskiego miecza nie mogli.

Nogi odmawiały pomocy. Oczy dobrze zdrajców rozetnać nie mogły. A choć w sercu wrzała miłość ku wielkiemu wodzowi, napój bez miary użyty nieszczęśliwe skutki na nich wywierał.

Na znak dany przez Butlera u wszystkich drzwi komnaty ukazali się zbrojni żołnierze z dobytym orężem, a wkrótce miejsce, gdzie przed chwilą śpiewy i lejące się zewsząd wino radość i wesele ogłaszały, zamieniło się na miejsce mordu i rzezi.

Jednak nie bez bronienia się padali mężczyźni. Niejeden z walecznością się opierał, niejeden śmierć własną przeciwnika zgonem pocieszył, ale mała ich liczba wkrótce uleść musiała. Komnata zasłana trupami, w ich wierności świadczyła i o przywiązaniu do wodza. Krew pomieszana z winem, miecze rozrzucone wśród puharów i stalowych naczyń stawiały widok tem sroższy, że dwie w nim były ostateczności. Polegli rozciągnięci na posadzce, obłani napojem i krwią własną, przypominali prawdę, że wesela i biesiady, pycha i okazałości tego świata kończą się na trumnie, i że grób wszystko pożera oprócz nieśmiertelnej chwały. Ten z wyrazem męstwa na twarzy ścisnął jeszcze palasz w nieżywej ręce, jak gdyby i po śmierci nawet nie chciał ostatniego opuszczać przyjaciela. Drugi trzymał jeszcze złotą czarę w skościałej prawicy i zdawał się wzywać radości na miejsce wesela i godów. — Ale wszyscy głębokie mieli rany to w piersi, to w głowę zadane, z których krew się sączyła i oblewała cały pokój purpurowym potokiem.

Tymczasem Wallenstein w swojej komnacie zabierał się już do spoczynku. Samotny, nieprzystępny nikomu, przez cały dzień pisał i układał w myśli zamiary i sposoby zaczęcia wojny z Ferdynandem.

Dumne widoki, obrazy sławy i nieśmiertelności, stawiała mu gorejąca wyobraźnia. Już widział swe i kapłani, witając go z drżeniem, stali u stóp zwy-

cięscy. Tu znowu Ferdynand zstępował z tronu i oddawał rządy tych narodów własnemu wodzowi, pogardzonemu wodzowi, który podniósł się z zapomnienia i ciemności, mieczem zwycięskim rozstrzygnął w jednej chwili to, czego ciągle od ośmnastu lat już wojna dokazać nie mogła. Najwięcej zaś działała na namiętności Wallensteina myśl, że pokaże światu, iż cesarz Niemiec nic nie może działać bez niego. Wystawiał sobie księżę Frydlandzki zbladłego Ferdynanda, zdejmującego koronę, składającego berło, zstępującego z tronu naddziadów i żebrzącego litości u stóp tego, z którego tyle razy się naśmiewał. Pochlebiali takie obrazy dumie naszego bohatera, zemsta jego lubiła niemi się nasycać.

— Piorun mojej ręki zdruzgoce wrogów — zawołał z uniesieniem, przybliżając się do okna. Czasem odgłosy hucznej biesiady, odbywającej się u Butlera, uderzały go w uszy. Blask rażący setnych pochodni oświecał cały dziedziniec zamkowy. Wpatrywał się jeszcze w mieszkanie Butlera, kiedy okrzyki i szczęk broni dały się słyszeć. Pomyślał Wallenstein, że zapewne spór jaki wszczął się między biesiadującymi. Zawołał więc na żołnierza strzegącego bram pod oknem będących:

— Idź, Walterze, zobacz, co się tam dzieje, i rozkaż im w moim imieniu broń złożyć i zaprzestać kłótni.

Pobiegł Walter wypełnić rozkaz wodza, który sam się został.

Wtem usłyszał Wallenstein kroki po schodach i ktoś w kłamkę uderzył. W tej samej chwili wypadły podwoje wybite z trzaskiem, a Leslie wleciał do komnaty. Blade lica, najeżone włosy, pomieszane oczy wydawały okropny zamiar, a miecz zemsty błyszczał w jego prawicy.

— Leslie! — krzyknął z początku Wallenstein surowym głosem.

— Nie Leslie, ale Alan de Reichstal — odparł pułkownik, — Alan de Reichstal szukający przez wiele lat zemsty! Umieraj!

Wallenstein wzruszył się na ten widok, wzruszył się, widząc człowieka, którego obsypywał dobrodziejstwami, na jego godzącego życie. Ale to wzruszenie zamieniło się na wzdgarę. Nie mógł się bronić bohater, stał osłupiały, bo nigdy nie myślał, żeby ręka śmiertelnika śmiała podnieść się na niego, który się sam tak wznosił nad innych ludzi, który postrachem świat nappełnił i ludźmi pomiatał jak ziarnkami drobnego piasku. Nie wymówił żadnego słowa. Z początku szukał oczyma wiernego miecza, ale nie znalazł go nigdzie. — Rozciągnął więc ręce, jak gdyby chciał się rzucić w objęcia przyjaciela, ale zamiast przyjaźni spotkał żelazo przeciwnika i słowa: „Umieraj z ręki Alana!“ ostatnimi były, które słyszał na tym świecie.

Wściekły zabójca rzucił się na Wallensteina i wydarł z drżących piersi bijące jeszcze bohatera serce.

Oblany krwią wyleciał z zamku i pędem błyskawicy przebiegł Egrę. Wdarł się na wzgórek, wszedł do domu ojca, spuścił się do grobu rodziny Reichstałów, niepewnym krokiem zstąpił w czarne otchłanie, drżącą ręką otworzył żelazne kraty i wszedł do ciemnego grobu. Stało tam naczynie z czarnego marmuru, przyniesione niegdyś z dalekiego Egiptu przez Adalberta de Reichstal, w nie złożył jego syn serce bohatera i, podnosząc urnę, kląkł przed Minną i u jej stóp ją postawił.

Żadnej zmiany nie zaszło w tem miejscu poświęconem śmierci, od tego czasu, jak je Alan po pierwszy raz odwiedził. Jedna tylko osoba tam przybyła własnymi jego złożona rękami. Było to ciało Adalberta. Na wysokiem siedzeniu obok Fatymy tu już od kilku dni spoczywało. Obrócił się do niego Alan. Ścisnął zimną rękę, przyłożył ją do ust drżących i cichym wyrzekł głosem:

— Ha! co? nie mówiłem, zemsta, — jest zemsta.

Po chwili silniejszym zawołał głosem:

— A teraz cóż się ze mną stanie? Dla ciebie, o Minno, zostałem zbrodniarzem. Przyjm wydarte z jego piersi serce. Ale ja gdzież tułać się będę? Spada krew bohatera na mnie obmierzłego Bogu i ludziom. Krew dobroczyńcy rumieni się na mojej prawicy, uciekać trzeba.

— Zatrzymaj się! — zawołał głos do pioruna podobny; obrócił się Alan i ujrzał męża zbrojnego, który powtórzywszy wyrazy: zatrzymaj się, Leslie! dobył oręża.

W pierwszej chwili pułkownik nie poznał przeciwnika, ale wkrótce rozeznał rysy Waltera. Walter bowiem, jak tylko zobaczył zabitych stronników Wallensteina, i krwią zbroczonego Lesliego, pospieszył za nim, domyślając się strasznej prawdy, a chcąc się zemścić za ulubionego wodza, nie spuścił go z oka. Przybył za nim do domu astrologa, a kiedy Alan zapomniiał zasunąć podłogi, która się na jego przyjęcie roztępiła, wszedł do grobu i usłyszał słowa wyrzeczone przez ostatniego z Reichstalów.

— Broń się, Leslie, czy raczej szatanie! — krzyknął żołnierz. — Jeśli wszyscy opuścili księcia Frydlandzkiego, przynajmniej mnie zdasz sprawę ze strasznej zbrodni!

— Broń się!

— Zabijaj — odparł, odsłaniając piersi Alan de Reichstal, — zabijaj a wyświadcysz dobrodzieństwo.

— Nie! — krzyknął żołnierz, — nie tak pocztwy katolik postępuje, nie tak żołnierz Wallensteina. Dobądź miecza, a wtenczas Bóg rozsądzi, kto z nas ma słuszość.

— Dobrze! — dobywając pałasza, rzekł Alan, — pewno zginę, bo to ramię w krwi bohatera całą siłę straciło. Ale naprzód o jedną cię łaskę proszę.

O żadną, zbrodniarzu! — zawołał Walter.

— Więc nie będę walczył — rzekł Alan i rzucił pałasz.

— Mów, mów — krzyknął żołnierz, — co chcesz.

— Walterze, przysięgnij, że po zgonie, ciało moje złożysz obok rodziców i siostry, i że tym kluczem zamkniesz drzwi grobu i że nikomu nie wydasz tajemnicy, nie powiesz, że tu nasza rodzina spoczywa. Niech przynajmniej spokojnie to czoło tyle przez ciąg życia skołatane, w tem ciemnem miejscu po śmierci spoczywa.

— Zrobię, co żądasz, przysięgam na Boga, ale zabieraj się do walki.

Podniósł oręż Reichstal i stanął naprzeciwko Waltera. Za trzeciem uderzeniem pałasz żołnierza aż po rękojeść zanurzył się w piersiach Alana. Upadł pułkownik, Walter ostatnią wolę wroga wykonał, a potem wyszedł z grobu, zamknął drzwi kluczem, oddanym przez Alana, i z rozpaczą sam odszedł od domu, w którym tyle nieszczęść przez pół wieku blisko się zdarzało.

Już dzisiaj nie ma domu na wzgórku, nie ma nawet śladu żadnego zabudowania. Ale mieszkańcy Egry twierdzą, że grób rodziny Reichstalów zachowuje się dotąd we wnętrzu ziemi; i że tam Adalbert oczekuje na dzień, w którym trąba anioła, wskrzeszając śmiertelnych, ma uwieńczyć cnotę lub ukarać zbrodnię.

SPIS RZECZY.

	Str.
Psalmy Przyszłości	5
Resurrecturis	55
Dzień Dzisiejszy	61
Ostatni	101

POEZYJE

Bóg mi odmówił tej anielskiej miary	123
O biedna! czegóż ja mam życzyć tobie	123
Mogłem być z tobą na ziemi szczęśliwy	124
Serce mi pęka, światło się umyka	126
Jak anioł spadły, leżący w piękności	128
Wrażenie z kampanii	129
Ledwom cię poznał, już cię żegnać muszę	130
Znasz, co namiętność? czy ty wiesz, co piekło?	131
Czyż z tobą wtedy raz ostatni byłem?	133
Mnie smutek zabił, mnie gorzkie koleje	134
Zimny rozsądek w tobie się opiera	135
Od łez moich się zaduszę	136
Rankiem, wieczorem na wyspy bezdroże	137
O ziemio włoskai dziś mi nie żal ciebie	137
Do D. P.	139
To miasto wiecznem: w tych grobach jest życie	141
Ja was wzywam, duchy i anieli	141
Do Beatryczy	143
Po śmierci	143
Listku dziś suchy, przypomnij mi strony	146
Tak więc ciągle z burz na burze	146
Adamowi Sołtanowi	147
Nad morzem na skale	148
O nie mów o mnie, gdy mnie już nie będzie	150
Choć serca znecisz krwawych ocz krysztalem	150
O Lindo moja! jeśli zginąć trzeba	151
Myślałem nieraz — przez znak dotykalny	151
Lecz wszystko świeckie dziś pełne podłości	153
Gdybym dziś, jutro, lub dnia z tych jakiego	154
Niech moja dusza będzie cicha — czysta	155
Wiem, dla mnie Sybir, — powróz zgotowany	156
Czas ma nadzwyczaj coś gorzkiego w sobie	158
Im dalej idę, tem się okolica	159
Koloseum	163
Do Cezarego Platerra	164

	Str.
Fryburg	164
Fala	168
Tęsknota	169
Zwrotki do muzyki Konstantego Danielewicza	169
Dla Elizy	170
W albumie Konstantego Gaszyńskiego	171
Do K. B.	171
Przy bransoletce	172
Do A. P.	173
Pod Chrystusem	173
Poeta	173
Do pani D. P.	178
Ziemskości cień	178
Pod obrazem Scheffera	180
Na Sybir	181
Do przyjaciela	181
Przestroga	182
Windobona	183
O wiem, że Polska bój zwycięski toczy	185
Pytasz się, czemu ucichły me pieśni	185
Wiersz wyryty na fortepianie D. P.	186
Roma	187
Do Kajetana Koźmiana	189
W dzień św. Elżbiety	190
Hymn	191
Cokolwiek będzie, cokolwiek się stanie	192
Do Elizy	192

P R O Z A.

Modlitwa.	197
O Krytyce w ogólności	198
O Trójcy i Słowie wcielonym	209
O Żywocie wiecznym	213
Myśli	217
Z autografu w albumie Ewuni (Ankwiczówniej)	235
Ułomek z dawnego rękopisu słowiańskiego	241
Wygnaniec	251
Teodoro, król borów	257
Gastold, legenda	267
Zamek Wilczki	285
Mściwy karzeł i Masław książę Mazowiecki	307
Grób rodziny Reichstałow	321